

FRONTLINES

# POBÓR

MARKO KLOOS



fabryka słów®  
WYDAWNICTWO



**Marko Kloos**

**POBÓR**

*(Terms of Enlistment)*

**Tłumaczenie Piotr Kucharski**

**FRONTLINES – TOM 01**

Dla Robin: żony, najlepszej przyjaciółki  
i najzdolniejszej osoby, jaką znam

# Rozdział 1

## Pożegnania

– Powinieneś pójść do ojca – powiedziała z kuchni mama.

Podniosłem na nią wzrok znad czytnika książek. Wkładała właśnie do podgrzewacza tacę z jedzeniem, nie dostrzegła więc mojego krzywego uśmiešku. Wróciłem do lektury, ponieważ opis zniszczenia „Pequoda” wydawał mi się teraz znacznie ciekawszym tematem.

– Słyszałeś mnie, Andrew?

– Słyszałem, mamó. Po prostu cię zignorowałem.

– Nie bądź taki mądraliński. Nie zamierzasz pożegnać się z nim, zanim odleczisz?

– A po jakiego diabła miałbym to robić? I tak nie będzie kontaktował po prochach.

Mama wyjęła tacę z podgrzewacza. Podeszła do stołu i teatralnym gestem postawiła ją przede mną.

– Czy mógłbyś odłożyć to na czas obiadu?

Westchnąłem – również teatralnie – i wyłączyłem czytnik.

– Będziesz się szkolił wiele miesięcy. Jeśli jego rak dalej będzie się tak rozwijał, zapewne nigdy już go nie zobaczysz.

– I dobrze – stwierdziłem.

Mama zmierzyła mnie wzrokiem łączącym w sobie smutek oraz złość. Przez chwilę spodziewałem się, że uderzy mnie w twarz, choć nie robiła tego, odkąd skończyłem dziesięć lat. Jej spojrzenie złagodniało jednak, wyjrzała przez okno. Gęste kurtyny deszczu opadały na betonowy labirynt naszej Dzielnicy Zakwaterowania Komunalnego. Nie cierpiałem deszczowych dni, ponieważ wilgoć sprawiała, że zapachy stawały się jeszcze gorsze. Szczyny i gnijące śmieci – oto niezmienny aromat dzielnicy klientów opieki społecznej.

– Mimo wszystko jest twoim ojcem – powiedziała. – Nigdy już nie będziesz miał

okazji, żeby z nim porozmawiać. Jeśli teraz do niego nie pójdziesz, pewnego dnia tego pożałujesz.

– Złamałaś mu nos, gdy go zostawiałaś – przypomniałem jej. – Nie zamartwiałaś się zbytnio rakiem. Dlaczego ja miałbym się przejmować?

– To było siedem lat temu – odrzekła. Odsunęła krzesło i usiadła przy stole. – Od tamtego czasu wiele się wydarzyło. Był z ciebie dumny, gdy opowiedziałam mu o piśmie z potwierdzeniem.

Wpatrywała się we mnie, ja zaś próbowałem ją ignorować, ściągając zabezpieczenie z tacy. Daniem dnia był kurczak z ryżem. Niewiele można poradzić, by przetworzone proteiny z podstawowego przydziału żywnościowego wyglądały atrakcyjnie. Dzióbnałem widelcem tłusty kotlet z kurczaka i podniosłem wzrok. Mama wciąż patrzyła na mnie z tą przygnębioną miną, którą zawsze przybierała, gdy starała się wywołać we mnie poczucie winy. Wytrzymałem przez chwilę jej spojrzenie, po czym wzruszyłem ramionami.

– No dobrze, pójdę do niego – oznajmiłem. – Mam nadzieję, że jeśli po drodze ktoś mnie ograbi i zabije, będzie ci przykro.

\* \* \*

W moim pokoju wystarczało miejsca jedynie na łóżko, biurko i komodę. Meble wykonano ze stali nierdzewnej i przynitowano do podłogi, żebyśmy nie mogli rozebrać ich na złom. Komoda była na wpół pusta, bo nie miałem dość rzeczy, by ją wypełnić.

Otworzyłem górną szufladę i wrzuciłem czytnik na małą kupkę znajdujących się w środku ubrań. W zeszłym roku wymieniłem się na niego za pudełko starej amunicji bocznego zapłonu. Gość, od którego dostałem sprzęt, okazał się zupełnym głąbem. Naklejki oznaczające własność szkoły były niemożliwe do usunięcia, ale policja dzielnicy komunalnej nie zwracała zbytniej uwagi na szkolny sprzęt. Podczas nalotów szukali tylko broni i prochów. Gdybym chciał, mógłbym ukryć czytnik, lecz gliniarze robili się niecierpliwi, jeśli nie znajdowali zupełnie nic nielegalnego.

Gdy szedłem do drzwi wejściowych, mama wysunęła głowę z wnęki kuchennej.

– Andrew?

– Tak, mamo?

– Jest niedziela. Podejdiesz do stacji żywieniowej i odbierzesz swój przydział na następny tydzień?

– Jutro wyjeżdżam na szkolenie przygotowawcze. Nie zdążę go zjeść.

Mama popatrzyła na mnie niemal ze wstydem. Zrozumiałem, o co jej chodziło, i wzruszyłem ramionami.

– Odbiorę przydział, mamó.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale odwróciłem się i zamknąłem za sobą drzwi, więc jej słowa zlały się w jedno z pustym stuknięciem.

\* \* \*

Winda w naszym skrzydle budynku znów była nieczynna. Uchyliłem drzwi znajdujące się obok niej klatki schodowej i nasłuchiwałem. Schody stanowiły schronienie dla różnych początkujących bandziorów, którzy mieli zwyczaj napadać na ludzi w ograniczonej przestrzeni. Policja dzielnicy komunalnej pojawiała się w większej liczbie tylko wtedy, gdy masowo szukano broni i prochów, przez resztę czasu trzymała się z dala od bloków. Mieliśmy na każdym piętrze kamery monitoringu, lecz większość z nich była zepsuta. Nikt nie przejmował się szczurami z opieki społecznej.

Nasze mieszkanie znajdowało się na dwunastym piętrze trzydziestopiętrowego budynku. Zbiegałem po trzy lub cztery stopnie naraz, przedkładając szybkość nad ciche kroki. Na dole znów przystanąłem, nasłuchując, po czym otworzyłem drzwi do holu i szybko wyszedłem z budynku, by pójść po broń.

W budynkach kwaterunkowych nie wolno było posiadać broni, ale i tak niemal wszyscy ją mieli. Nie trzymałem swojej w domu z powodu wrywkowych nalotów, poza tym mama by się wściekła, gdyby ją znalazła. Ukrywałem broń w wodoszczelnej tubie wepchniętej w szczelinę obudowy wielkiej spalarki śmieci. Była to świetna kryjówka, ponieważ nikt tam nigdy nie zaglądał, ale do momentu opuszczenia budynku stanowiłem łatwą zdobycz. Rozejrzałem się, by mieć pewność, że nikt mnie nie obserwuje, po czym podszedłem do spalarki.

Za każdym razem, gdy sięgałem do szczeliny, spodziewałem się, że będzie pusta. I za każdym razem, gdy zaciskałem dłoń na chłodnym metalu magnetycznego pojemnika, wydawałem z siebie westchnienie ulgi. Otworzyłem wieko i wyciągnąłem stary rewolwer

na naboje, wykonany ponad półtora wieku temu. Mieścił tylko sześć ładunków, lecz działał nawet z marną amunicją, którą znacznie łatwiej spotkać niż dobrą. Większość swoich nędznych nabojów zrobiłem własnoręcznie, wykorzystując stare mosiężne łuski i załatwione od ludzi kawałki ołowiu. Rewolwery były znacznie popularniejsze od automatów, bo niewypał nie blokował bębena.

Wsunąłem spluwę w spodnie, tuż nad miednicą, gdzie przytrzymywał ją napięty pas. Chodzenie z nielegalną bronią było ryzykowne, ale jeszcze groźniej było kręcić się po Dzielnicy Zakwaterowania Komunalnego bez niej.

Deszcz miał jedną zaletę. Z jego powodu ludzie pozostawali w budynkach, nawet drapieżcy. Gdy padało, na ulicach było niemal spokojnie. Naciągnąłem kaptur kurtki i wyszedłem spod bloku.

W ciągu paru minut przemokłem do suchej nitki. Dawało się pozostać względnie suchym, gdyby trzymać się daszków nad wejściami i nawisów, ale wolałem zmoknąć. Wejścia i inne ciemne miejsca w pobliżu budynków były niebezpieczne. Przejdziesz obok takiego, w którym czai się banda początkujących zbirów, i twoja podróż się zakończy. W zeszłym roku dwa razy niemal zostałem obrabowany i teraz byłem ostrożniejszy niż inni.

Blok mojego ojca stał niemal na drugim końcu DZK. W pobliżu znajdowała się stacja komunikacji publicznej, ale nie mogłbym z niej skorzystać, nie uruchamiając skanerów broni przy wejściu, musiałem więc iść na piechotę.

To tutaj dorastałem. Nigdy nie opuszczałem bostońskiego metropleksu. Jutro leciałem na szkolenie przygotowawcze i jeśli mnie nie wyleją, nigdy już miałem nie zobaczyć tego miejsca. Zostawiałem za sobą wszystko, co dotąd znałem, i każdego, kto mnie kiedykolwiek znał. Nie mogłem się doczekać.

\* \* \*

Ojciec otworzył drzwi po trzecim dzwonku. Ostatnio widziałem go ponad rok temu i zaskoczyło mnie, jak bardzo zmienił się od tamtego czasu. Dawniej był bardzo przystojny, lecz rak go wyniszczył, miał wymizerowaną twarz i paskudnie popsuły mu się zęby. Aż chciałem się odsunąć, gdy otworzył usta, by się uśmiechnąć.

– No proszę, proszę – powiedział. – Przyszedłeś się pożegnać?

– Mama mnie przysłała – oznajmiłem.

– Jasne.

Przyglądaliśmy się sobie przez parę uderzeń serca, po czym odwrócił się i ruszył w głąb mieszkania.

– No wejdź, wejdź.

Wszedłem do przedpokoju, zamknąłem za sobą drzwi. Tata skierował się do salonu, gdzie z westchnieniem opadł na kanapę. Na stole przed nim piętrzyła się sterta lekarstw. Dostrzegł mój wzrok i wzruszył ramionami.

– To wszystko nie ma sensu. Konował w klinice mówi, że za sześć miesięcy zjedzą mnie robale.

Chciałem odpowiedzieć coś złośliwie, ale jakoś nie potrafiłem się do tego zmusić. W pokoju unosił się smród choroby, a ojciec wyglądał żałośnie. Rak zżerał go od środka. Umrze w tym bloku, gdzie klatka schodowa śmierdzi szczynami. Nic, co bym powiedział lub zrobił, nie sprawiłoby, żeby poczuł się gorzej. A ja nie poczułbym się lepiej.

Kiedy miałem czternaście lat, oddałbym wszystko za możliwość zabicia taty, zemszczenia się za wszystkie lania i upokorzenia. Teraz siedział przede mną tak słaby, że nawet nie potrzebowałbym rewolweru zatkniętego za pasek, lecz nie czułem już nienawiści.

– Myślałem, że twoja matka kłamała – odezwał się. – Nie sądziłem, że cię wezmą. Takiego mola książkowego.

– Może właśnie o to chodziło – odparłem. – Potrzebują też ludzi, którzy umieją myśleć.

– Będiesz gdzieś wciskał guziki. Nie ma mowy, żeby wysłali cię do zabijania innych. Nie jesteś do tego zdolny.

Niby dlatego, że nigdy nie oddawałem, gdy robiłeś sobie ze mnie worek treningowy? – pomyślałem mściwie.

Po tej uwadze ojca byłbym w pełni usprawiedliwiony, gdybym czymś w niego rzucił, ale uświadomiłem sobie, że próbował mnie sprowokować, i nie chciałem mu dać satysfakcji.

– Przekonamy się – powiedziałem, on zaś uśmiechnął się lekko. Tak bardzo byłem do niego podobny, że aż bolało. Jeśli mnie wyleją, wrócę do DZK, po czym pewnego dnia



zakończę życie właśnie w taki sposób: samotny i wystraszony, skazany na parę metrów kwadratowych w środku dzielnicy opieki społecznej. Po śmierci lokatora kwaterunkowe mieszkania nie zostawały długo puste. Jeszcze tego samego dnia wyrzucali twoje rzeczy, zmywali wnętrza detergentami, resetowali kod wejściowy do drzwi i przekazywali mieszkanie komuś innemu.

– Kiedy odlatujesz?

– Jutro wieczorem. Mam się zgłosić na ósmą do punktu mobilizacyjnego.

– Nie wychylaj się. Jeśli cię aresztują, ktoś inny z listy oczekujących zajmie twoje miejsce.

– Nie martw się o to. Gdy będę miał wątpliwości, pomyślę po prostu, co ty byś zrobił, po czym zrobię coś zupełnie odwrotnego.

Tata jedynie zachichotał chrapliwie. Gdy wciąż mieszkaliśmy pod jednym dachem, taka buta zapewniłaby mi lanie, ale rak pozbawił go furii.

– Wyrósł z ciebie niezły gnojek – oznajmił. – Zadufany w sobie. W twoim wieku byłem taki sam.

– Na pewno nie jestem taki jak ty, tato. W najmniejszym stopniu.

Spoglądał z rozbawieniem, gdy obracałem się, by opuścić jego mieszkanie. Przy drzwiach obejrzałem się przez ramię.

– Idź już – rzekł, gdy otworzyłem usta, by się pożegnać. – Zobaczymy się znowu, gdy cię wyleją.

Spojrzałem na niego, na człowieka, któremu zawdzięczałem połowę kodu genetycznego. Powtarzałem sobie, że widzę go po raz ostatni, że powinienem powiedzieć coś, po czym poczuje, że zamknąłem kolejny rozdział. Zamiast tego odwróciłem się tylko.

Wszedłem na odrapany korytarz i ruszyłem w stronę klatki schodowej znajdującej się na jego końcu. Gdy do niej dotarłem, usłyszałem, jak drzwi mieszkania ojca zamykają się cicho.

\* \* \*

W drodze powrotnej do domu zatrzymałem się przy stacji żywnościowej, by pobrać posiłki na tydzień. Pakowano je do zamkniętych jednorazowych tacek, po dwadzieścia

jeden w pudełku. Każdy klient opieki społecznej otrzymywał jedno pudełko na tydzień, zawierające czternaście tysięcy kalorii podstawowego przydziału żywnościowego.

Zawartość racji PPŻ składała się z przetworzonych protein wzbogaconych składnikami odżywczymi i witaminami oraz sztucznie aromatyzowanych, by stały się zjadliwe. Mówiono, że posiłki specjalnie były ledwo znośne, by nie zachęcać do nadmiernego spożycia, ale sądzę, że żaden proces naukowy nie stworzyłby z PPŻ kulinarnego delikatesu. Smakowały, jakby źródłem czystych protein były zmielone stopy i odbyty, co zapewne nie odbiegało zbytnio od prawdy. Jeden ze szkolnych kolegów twierdził, że racje PPŻ po części składają się z przetworzonego ludzkiego gówna z oczyszczalni ścieków komunalnych, co również mogło nie mijać się zanadto z rzeczywistością. W końcu komunalna woda pitna była oczyszczonymi sikami.

Deszcz wciąż miarowo padał. Jacyś goście stali w wejściu do bloku sąsiadującego z moim. Gdy ich mijałem, zauważyli pudełko pod moją pachą, lecz żadnemu z nich nie podobała się chyba idea przemoknięcia do suchej nitki za parę tac kiepsko aromatyzowanej soi, ponieważ się nie ruszyli.

Gdy dotarłem do schodów prowadzących do naszego budynku, przypomniałem sobie o rewolwerze nad miednicą.

Miałem dziś jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

\* \* \*

Spotkałem się z Eddiem w brudnym zaułku pomiędzy dwoma wieżowcami. Eddie kupował i sprzedawał niemal wszystko, co miało jakąś wartość: broń, prochy, kartki do sklepów spożywczych poza DZK i fałszywe karty identyfikacyjne, które czasami przechodziły nawet przez inspekcję.

– Ile masz do tego amunicji?

– Osiem naboju fabrycznych i dwadzieścia siedem samoróbek – rzuciłem.

Eddie otworzył bębenek i nim zakręcił – już czwarty raz podczas naszych negocjacji. Niemal czułem ból na widok mojego rewolweru w rękach kogoś innego. Wiedziałem, że jeśli dobijemy targu, już nigdy go nie zobaczę.

– Oczywiście je dorzucisz – oznajmił.

– Oczywiście. Po co mi naboje bez broni?

– Trzydziestkiósemki są powszechne na ulicach – powiedział Eddie. – Mógłbyś sprzedać amunicję komuś innemu.

– Jutro idę do woja. Nie mam czasu na szwendanie się. Uznajmy, że to transakcja wiązana.

– Transakcja wiązana – powtórzył Eddie. – Dobra.

Spojrzał znów na rewolwer i pokiwał do siebie głową.

– Dwie kartki żywnościowe i dwie uncje Canada Dry. Wystarczą ci na tydzień lub więcej, jeśli nie będziesz się dzielił.

Skrzywiłem się.

– Nie ma mowy, nie biorę prochów. Jeśli wyjdą w testach, wyleją mnie. Cztery kartki.

Eddie chwycił podbródek kciukiem i palcem wskazującym. Wiedziałem, że decyzję co do mojej propozycji podjął w tej samej chwili, w której ją wypowiedziałem, ale i tak pozwoliłem mu przejść przez cały rytuał.

– Trzy kartki, dziesięć pigułek, zwykłe leki, twój wybór z asortymentu.

Teraz ja udałem, że się zastanawiam.

– Trzy kartki, piętnaście pigułek – powiedziałem.

– Umowa stoi.

Eddie wyciągnął dłoń. Przypieczętowaliśmy transakcję uściskiem i mój rewolwer zniknął pod jedną z licznych warstw ubrania Eddiego.

– Jakie masz pigułki?

– Zobaczmy – odparł. – Przeciwbólowe, antybiotyki, na ciśnienie, na depresję, parę uspokajających.

– Jak dobre są przeciwbólowe?

– Bardziej na ból głowy i tym podobne niż na postrzały.

– Wystarczy – rzekłem. – Biorę.

Eddie sięgnął pod płaszcz, wyciągnął fiolkę z lekami i odliczył mi piętnaście do ręki.

– Lepiej, żeby były prawdziwe – powiedziałem, chowając pigułki do kieszeni.

– Pewnie, że są – odparł Eddie z lekką urazą w głosie. – Muszę dbać o reputację. Ludzie dostaną podróby i już nigdy nic ode mnie nie kupią.

Znów sięgnął do którejś kieszeni i wyjął trzy kartki żywnościowe, prezentując je jak wygrywane karty.

– Miło robić z tobą interesy – oznajmił, gdy brałem kartki.

– Do zobaczenia, Eddie – powiedziałem bez cienia wątpliwości, że nigdy już go nie zobaczę.

\* \* \*

Mama podniosła wzrok znad programu w sieciowizji, gdy wszedłem z powrotem do mieszkania.

– Jak było?

– Bez sensu – odpowiedziałem.

Podszedłem do stołu w salonie i położyłem na nim garść tabletek. Mama spojrzała na lekarstwa i podniosła brew.

– Nic nielegalnego – wyjaśniłem. – To tylko trochę środków przeciwbólowych. Uznałem, że mogą się przydać przy twoich bolących zębach.

Pochyliła się i zgarnęła pigułki.

– Skąd to masz, Andrew?

– Wymieniłem za coś.

Wyciągnąłem z kieszeni kartki żywnościowe i rozłożyłem przed mamą. Nachyliła się, by się przyjrzeć, i klasnęła w dłonie trzymane przed ustami.

– Andrew! Jak je zdobyłeś?

– Wymieniłem za coś, mamó – powtórzyłem.

Podniosła ostrożnie kartoniki, jakby mogły się połamać. Każdy z nich uprawniał okaziciela do odbioru produktów wartych sto nowych dolarów w sklepach poza DZK. Rząd wypuszczał je co miesiąc i na zasadzie losowania rozdawał z zabezpieczonej betonowej budki w pobliżu stacji transportu publicznego.

– Wykorzystaj je albo wymień na coś – poprosiłem.– Tylko nie pozwól, żeby ktoś cię oszukał.

– Nie martw się o to. – Mama zebrała kupony i wsunęła do kieszeni. – Minęło już półtora roku, odkąd dostałam kartkę. Mam ogromną ochotę na chleb z serem.

W pełni przygotowałem się do opowiedzenia matce jakichś bzdur o rzeczach, które wymieniłem na talony, ale była tak podekscytowana, że nie próbowała nawet dalej naciskać.

– Dobranoc – powiedziałem, idąc do swojego pokoju. Mama uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy od bardzo dawna. Następnie skierowała uwagę z powrotem na plazmowy ekran na ścianie, gdzie przy ściszym dźwięku leciał jakiś bezmyślny program sieciowizyjny.

– Andrew? – odezwała się, gdy byłem już przy drzwiach. Obróciłem się, a ona znów uśmiechnęła się do mnie. – Spróbuję pójść rano do sklepu spożywczego. Może uda nam się zjeść przyzwoity obiad, zanim pojedziesz.

– Byłoby miło, mamo.

\* \* \*

Ostatni wieczór i noc w DZK Boston-7 spędziłem na lekturze końcowych pięćdziesięciu stron „Moby Dicka”. Następnego dnia musiałem zostawić czytnik. Przeczytałem tę powieść z dziesięć albo i więcej razy, ale teraz nie chciałem zostawić jej nieskończonej, na wieczność zaznaczonej w miejscu, gdzie „Pequod” zniknął pod falami.

*Drugiego dnia ujrzałem okręt, który począł przybliżać się coraz bardziej i bardziej, aż na koniec mnie wyłowił. Była to błędnie krążąca „Rachel”, która, zawróciwszy w poszukiwaniu swych zagubionych dzieci, znalazła jeszcze jednego sierotę[\*].*

\* Herman Melville, „Moby Dick”, tłum. Bronisław Zieliński.



# Rozdział 2

## Odlot

– Nie rób tego – rzekła kobieta.

Stanowiłem oczywisty cel dla protestujących, którzy zebrali się przed wojskowym punktem mobilizacyjnym. Miałem ze sobą nędzną torbę podróżną i zaoszczędziłem armii kosztu fryzjera, obcinając sobie wcześniej włosy na długość trzech milimetrów.

– Słucham? – spytałem.

Miała sympatyczną twarz i długie włosy, które miejscami zaczynały już siwieć. Przed punktem stała cała grupa protestujących, trzymających transparenty i wykrzykujących antywojskowe hasła. Trzymali się z dala od wejścia do punktu, przy którym dwóch żołnierzy w pancerzach bojowych sprawdzało listy mobilizacyjne. Wartownicy byli wyposażeni w pistolety i pałki elektryczne, a mimo że nie zaszczycali demonstrantów choć spojrzeniem, nikt z tłumu nie podchodził bliżej niż na kilka metrów od żółtej linii oddzielającej publiczny chodnik od placówki.

– Nie rób tego – powtórzyła. – Nie obchodzisz ich. Potrzebują tylko ciepłego ciała. Zginiesz tam.

– Wszyscy umierają – odparłem. Ten frazes wydał się pompatyczny nawet mnie samemu. Miałem osiemnaście lat, a kobieta wydawała się po sześćdziesiątce i zapewne wiedziała znacznie więcej o kwestiach życia oraz śmierci niż ja.

– Nie w twoim wieku – stwierdziła. – Będą ci machali przed nosem marchewką, a dostaniesz jedynie trumnę owiniętą we flagę. Nie rób tego. Nic nie jest warte twojego życia.

– Już się zaciągnąłem.

– Wiesz, że możesz się wycofać w każdej chwili? Jeśli teraz odejdziesz, nic nie będą mogli ci zrobić.

Na pewno wiedziałem, że nigdy nie znalazła się bliżej niż na piętnaście kilometrów od

bloku opieki społecznej. Miałbym odejść stąd i wrócić tam?

– Nie chcę, proszę pani. Dokonałem wyboru.

Popatrzyła smutnym wzrokiem i poczułem lekkie zawstydzenie, gdy uśmiechnęła się do mnie.

– Przemyśl to – powiedziała. – Nie sprzedawaj życia za konto bankowe.

Wyciągnęła rękę i delikatnie położyła mi dłoń na ramieniu.

Jedno uderzenie serca później leżała już na ziemi, a dwóch żołnierzy spod wejścia na niej klęczało. Nawet nie zauważyłem, jak opuszczają posterunek. Wrzasnęła z zaskoczenia i bólu. Jej towarzysze przestali skandować, by krzyknąć w sprzeciwie, ale żołnierze nawet nie zwrócili na nich uwagi.

– Fizyczne zakłócanie dostępu do punktu mobilizacyjnego jest przestępstwem klasy D – oznajmił jeden z żołnierzy, wyciągając elastyczne kajdanki. Podnieśli kobietę z brudnego asfaltu i podciągnęli, by stanęła. Jeden z nich wprowadził ją do środka, drugi zaś zajął znów stanowisko przy wejściu. Żołnierz bezceremonialnie prowadzący kobietę za ramię był dwa razy od niej większy w potężnym pancerzu bojowym, ona wyglądała przy nim na bardzo kruchą. Obejrzała się przez ramię, by znów skierować do mnie ten smutny uśmiech, a ja odwróciłem wzrok.

\* \* \*

– Ten budynek został wykonany z betonu i stali – rzuciła kobieta w stopniu sierżanta. – Jest niezwykle trwałe. Nie musisz podpierać go ramieniem.

Stojący obok mnie chłopak odsunął się od ściany, o którą się opierał, i uśmiechnął się do żołnierki. Szła już dalej, jakby dalsze marnowanie czasu na wymianę zdań uznała za bezcelowe.

Staliśmy w kolejce na korytarzu budynku rejestracyjnego. Na jego końcu znajdował się składany stolik i ktoś skanował karty identyfikacyjne nowych rekrutów. Przesuwaliśmy się powoli. Gdy dotarłem wreszcie do początku, niemal minął już wieczór. Znalazłem się tu na godzinę przed wymaganą ósmą po południu, a teraz była już prawie dziesiąta.

Sierżant za rozkładanym stolikiem wyciągnął rękę po moją kartę i list mobilizacyjny. Podałem oba dokumenty.

– Grayson, Andrew – powiedział do żołnierza obok, który przejrzał staroświecki wydruk i postawił znaczek przy moim nazwisku.

Sierżant wziął moją kartę i wsunął do czytnika na blacie.

– No proszę, absolwent uczelni państwowej – rzekł po równo z rozbawieniem i drwiną w głosie. – Z wynikami powyżej przeciętnej. Może pewnego dnia zrobią z ciebie o-fi-cera. – Zachichotał do siebie, po czym wyciągnął kartę z czytnika i wrzucił do wiadra obok stołu, gdzie dołączyła do masy innych. Drukarka w jego terminalu komputerowym zabrzęczała i wypluła z siebie zwykły pasek papieru, który mi podał.

– To twoje potwierdzenie przydziału, profesorze. Nie zgub go. Wyjdź tamtymi drzwiami i znajdź bramkę wymienioną na potwierdzeniu. Zgłoś się do sierżanta przy bramce, który skieruje cię do odpowiedniego promu. Następny.

Prom do mojej stacji szkolenia przygotowawczego wypełnił się do ostatniego miejsca. Fotele były wytarte, pasy wystrzępione, a chodnik w środkowym przejściu stanowił luźną plątaninę włókien, które już dawno straciły wszelką spoistość lub wzór. Wyglądało na to, że korzystali z najstarszego sprzętu, jaki tylko mogli znaleźć, by nie wydać choć jednego niepotrzebnego dolara na nowych rekrutów.

Silniki promu wzbudziły drgania całego kadłuba i kilka minut później wznieśliśmy się w brudne wieczorne niebo. Niektórzy z nowych rekrutów wyciągali szyje, by dostrzec coś przez podrapane okna, ale ja nie zawracałem sobie tym głowy. Nawet gdyby udało się coś zobaczyć, byłyby to te właśnie widoki, które wszyscy chcieli zostawić za sobą: identyczne wieżowce zbite razem w rozlazłą masę betonu, która przypominała gniazdo szczurów, tyle że śmierdziała pięć razy gorzej i nie była nawet po części tak czysta.

Spędziłem całe życie w pozostawianej właśnie przez nas DZK i gdyby Związek Chińsko-Rosyjski wybrał właśnie tę chwilę, by rzucić na nią atomówkę, a ja ujrzałbym kulę ognia rozświetlającą nocne niebo za promem, ani trochę bym się tym nie przejął.

\* \* \*

Dotarliśmy do bazy o czwartej rano.

Prom znajdował się w powietrzu cztery godziny. Mogliśmy trafić gdziekolwiek we Wspólnocie Północnoamerykańskiej, od północnej Kanady do Kanału Panamskiego. Nie obchodziło mnie to zbyt. Liczyło się tylko to, że byliśmy oddaleni o cztery godziny lotu

od DZK Boston-7.

Gdy wysiedliśmy z promu, zostaliśmy skierowani do czekającego hydrobusu. Pojazd zaczął opuszczać lądowisko i zauważyłem, że znajdowaliśmy się na obszarze zabudowanym, lecz nigdzie nie było widać wieżowców, poza tym na horyzoncie widziałem góry o zaśnieżonych wierzchołkach. Było tu czysto, schludnie, panował porządek – zupełnie inaczej niż w DZK. Wszystko wydawało się tak odmienne, że równie dobrze mógłbym się znajdować na innej planecie.

Jazda busem zajęła kolejne dwie godziny. Wkrótce zostawiliśmy za sobą czyste ulice tego nieznanego miasta i rozciągający się za oknami krajobraz wydawał się niemal obcy w swym nieprzetworzonym stanie, niczym powierzchnia dziwnej i odległej skolonizowanej planety. Dostrzegałem niskie skaliste wzgórza i karłowatą roślinność z rzadka pokrywającą ich zbocza.

Wówczas dotarliśmy do celu.

Nagła zmiana scenerii na bazę wojskową była zaskakująca. W jednej chwili spoglądaliśmy na dziwnie pustą okolicę, w następnej przejeżdżaliśmy już przez służę bezpieczeństwa, która wydawała się pojawić znikąd. Tuż przed wjazdem busu do służy dostrzegłem rozciągające się w dali kilometry ogrodzenia.

Jechaliśmy jeszcze przez piętnaście minut obok rzędów identycznych budynków i sztucznych trawników. Wreszcie, po serii skrętów w prawo na coraz mniej uczęszczane boczne drogi, zatrzymaliśmy się na parkingu przed przysadzistym, niezbyt imponującym, parterowym budynkiem, wyglądającym jak przerośnięty kontener.

Drzwi hydrobusu otworzyły się i zanim któreś z nas zdążyło się zastanowić, czy powinniśmy zostać w fotelach, czy też wykazać inicjatywę i wysiąść, po schodach od przodu wszedł żołnierz w maskującym mundurze roboczym. Miał starannie podwinięte rękawy, z kantami na zagięciach i mankietami odwiniętymi z powrotem, by wzór kamuflażu zasłaniał jaśniejszą wewnętrzną stronę kurtki. Na kołnierzyku widniały insygnia stopnia, zawierające znacznie więcej szewronów i belek niż u sierżanta, który przyjmował moje dokumenty werbunkowe w punkcie mobilizacyjnym. Twarz żołnierza wyrażała lekkie zirytowanie, jakby nasze przybycie przerwało mu jakieś przyjemne zajęcie.

– Teraz – powiedział – zgrabnie wyjdziecie szeregiem z tego busu. Na betonie na

zewnątrz widnieją żółte ślady stóp. Każde z was stanie na parze takich śladów. W tym czasie macie nie rozmawiać, wiercić się czy drapać. Jeśli macie cokolwiek w ustach, wyjmijcie to i zostawcie w pojemniku na śmieci przy waszym fotelu. Wykonać – dodał stanowczo, po czym wyszedł, nie oglądając się za siebie, jakby nie miał wątpliwości, że zrobimy właśnie tak, jak rozkazał.

Opuściliśmy siedzenia i szeregiem wyszliśmy na betonowy parking. Widniały na nim rzędy żółtych odcisków stóp i każde znalazło sobie miejsce. Gdy ustawiliśmy się w nieporządnym szeregach, żołnierz z busu przeszedł przed naszą zgraję, pewnym szarpnięciem wyprostował przód munduru, założył dłonie za plecy i szeroko rozstawił stopy.

– Nazywam się starszy sierżant Gau. Nie jestem jednym z waszych instruktorów szkolenia, więc nie przyzwyczajajcie się zbyt do mojej twarzy. Mam wami tylko pokierować przez pierwsze dwa dni, gdy będziecie przechodzić procedury wstępne, i przygotować do spotkania z plutonowymi instruktorami szkolenia. Teraz – podkreślił to słowo w taki sposób, że zabrzmiało, jakby nie tylko kierował na siebie naszą uwagę, lecz również upewniał się, czy jesteśmy obecni zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym – znaleźliście się pośród dziesięciu procent kandydatów przyjętych do Sił Zbrojnych Wspólnoty Północnoamerykańskiej. Być może uważacie, że czyni to was z jakiegoś powodu wyjątkowymi. Nie jest tak... Być może uważacie, że skoro przeszliście przez pierwsze sito, włożymy wiele wysiłku, żeby uformować z was żołnierzy i pomóc przewyciężyć osobiste słabości. Nie jest tak... Być może uważacie, że obóz szkoleniowy jest podobny do programów, które oglądaliście w sieciowizji. Nie jest tak... Nie będziemy was bić ani źle traktować. Możecie w każdej chwili zdecydować, że przestajecie wykonywać rozkazy i polecenia. Jeśli nie wykonacie rozkazu, wylejemy was. Jeśli nie zdobędziecie oceny zaliczającej w dowolnym egzaminie lub sprawdzianie umiejętności, wylejemy was. Jeśli uderzycie innego rekruta lub starszego stopniem, wylejemy was. Jeśli będziecie kraść, oszukiwać lub okazywać niewłaściwe nastawienie, wylejemy was. Każdy z waszych instruktorów ma absolutne prawo do wylania was z dowolnego powodu. Gdy was wylejemy, nic się wam nie stanie. Zostaniecie po prostu umieszczeni w promie lecącym z powrotem. Nie będziecie nam winni pieniędzy ani nie poniesiecie odpowiedzialności karnej. Rozwiążemy zawarty z wami kontrakt i znów staniecie się cywilami. Podczas szkolenia przygotowawczego wylatuje pięćdziesiąt procent rekrutów, a



jedna czwarta z was zostanie zabita lub okaleczona podczas okresu kontraktu, nie otrzymując świadectwa zakończenia służby. W tym momencie stoi was przede mną czterdzieścioro i tylko dwadzieścioro zaliczy szkolenie przygotowawcze. Tylko piętnaścioro zakończy służbę po pięciu latach. Jeśli te liczby was niepokoją, możecie odwrócić się i wsiąść z powrotem do stojącego za wami busu. Zabierze was na lądowisko, skąd polecicie z powrotem do waszego punktu mobilizacyjnego. Jeśli moja przemowa zmieniła wasze podejście do służby w armii, oszczędźcie sobie i waszym instruktorom pracy oraz potu i wsiądźcie teraz do hydrobusu.

Sierżant Gau przerwał i popatrzył po nas wyczekująco. W szeregach nastąpiło lekkie poruszenie i szmery, po czym troje opuściło linię i wróciło do busu. Wówczas za ich przykładem poszli też bardziej nieśmiali i czterech kolejnych byłych już rekrutów podreptało z obwisłymi ramionami do środka pojazdu. Zauważyłem, że żaden z nich nie oglądał się za siebie.

– Dziękuję wam – zawołał za nimi sierżant Gau. – Szczerze. Dobrze widzieć, że niektórzy wciąż mają dość rozumu, żeby zdawać sobie sprawę, że zaraz obudziliby się z ręką w nocniku.

Odwrócił się z powrotem do nas.

– Reszta z was jest głupsza niż hektar grzybni i to również mówię szczerze. Teraz przejdźcie pojedynczym szeregiem przez te drzwi, w znajdującej się za nimi sali znajdźcie sobie krzesła i czekajcie w milczeniu na dalsze polecenia. Wykonać.

\* \* \*

Nie licząc kilku rzędów skrzypiących krzeseł z pulpitami, pomieszczenie było puste. Wszyscy zajęliśmy miejsca. Gdy usiedliśmy, zauważyłem, że nie pozostało żadne wolne miejsce, a więc uwzględniono, że część z nas nie dotrwała do końca przemowy sierżanta Gaua. Na pulpitach leżały jedynie czarne flamastry. Niektórzy z rekrutów wzięli je do rąk i zdjęli skuwki, co nie spodobało się Gauowi, gdy wszedł do środka.

– Nie mówiłem nic o braniu tych flamastrów. Mówiłem, żebyście znaleźli sobie krzesła i czekali w milczeniu.

Skarceni rekruci szybko odłożyli pisaki na blaty. Niektórzy z nich spojrzeli na sierżanta Gaua tak, jakby spodziewali się, że przewinienie już okaże się podstawą do wylania.

– A teraz podnieście flamastry i zdejmijcie z nich skuwki.

Wykonaliśmy polecenie.

– Użyjcie ich, żeby zapisać sobie na grzbiecie lewej dłoni następującą liczbę: jeden-zero-sześć-sześć.

Zanotowałem na grzbiecie dłoni liczbę tysiąc sześćdziesiąt sześć.

– To numer waszego plutonu. Jesteście plutonem szkolenia przygotowawczego jeden-zero-sześć-sześć. Zapamiętajcie ten numer.

Tysiąc sześćdziesiąty szósty to data bitwy pod Hastings. Umieściłem numer plutonu w odpowiedniej przegródce w mózgu. Przez chwilę zastanawiałem się, czy oznaczenia były nadawane po kolei i od jakiej liczby się zaczęły. Czy jesteśmy tysiąc sześćdziesiątą szóstą grupą w tej dekadzie, w tym roku, czy w tym miesiącu? Skoro współczynnik odchodzących wynosił pięćdziesiąt procent, ile plutonów musiało przejść w każdym roku przez obóz szkoleniowy, aby armia WPA była w pełni obsadzona?

Sierżant Gau wyciągnął stos kartek i położył na blacie rekruta siedzącego bezpośrednio przed nim.

– Weźcie jeden formularz z wierzchu stosu i przekazcie stos kolejnej osobie. Następnie połóżcie formularz na blacie i nie otwierajcie, dopóki tego nie polecę.

Stos kartek obszedł całe pomieszczenie. Gdy dotarł do mnie, wziąłem formularz z wierzchu i przekazałem resztę w prawą stronę. Precyzyjne wykonywanie poleceń wydawało się dziwnie wyzwalające. Dopóki postępowałem zgodnie z rozkazami sierżanta, nie musiałem się obawiać, że wzbudzę jego niezadowolenie. Postanowiłem na razie nawet nie drapać się po nosie bez rozkazu kogoś mającego szewrony na kołnierzyku.

– Weźcie flamastry i wypełnijcie leżące przed wami formularze. Gdy skończycie, nałóżcie skuwki i odłóżcie na wypełnione arkusze. Wykonać.

Była to administracyjna robota papierkowa, która w tym momencie wydawała się zbędna. Gdy podpisałem się pod aplikacją w biurze werbunkowym, spędziłem wiele godzin, wypełniając sterty formularzy różnymi informacjami. Gdy mieszkasz w Dzielnicy Zakwaterowania Komunalnego, rząd wie o tobie wszystko, wliczając w to twój profil DNA ustalony w okresie, gdy miałeś zaledwie miesiąc, ale najwyraźniej biurokracja cywilna i wojskowa nie rozmawiały ze sobą zbyt często.

Wypełniałem zatem leżący przede mną formularz, po raz tysięczny wpisując szczegóły mojego życia.

Ostatnia strona była kontraktem ujętym w pięciu zwartych akapitach prawniczego słownictwa i przeczytałem go pobieżnie. Zawierał te same informacje, które podawali nam w biurze werbunkowym. Kiedyś zadaniem werbownika było zachęcanie potencjalnych rekrutów do wstąpienia poprzez podkreślanie korzyści i bagatelizowanie minusów służby wojskowej, ale to już przeszłość. Teraz nie wspominali już o korzyściach. Wszyscy wiedzieli, że zostaną nakarmieni, a jeśli dotrważą do końca kontraktu, otrzymają dostęp do konta bankowego i świadectwo zakończenia służby. Obecnie starali się zniechęcać jak najwięcej osób, opisując wszystkie nieciekawe strony sił zbrojnych. Nie miałem wątpliwości, że istniały miesięczne normy odwodzenia ludzi od decyzji o zaciągu.

Po zakończeniu kontraktu zostanie aktywowane konto, z którego będzie można pobrać zgromadzoną sumę sześćdziesięciu dwóch złotych. Jeśli zginę przed upływem tego okresu, pieniądze z konta wrócą do rządu jako zwrot kosztów poniesionych na moje szkolenie i wyposażenie.

Podpisałem się. W końcu po to się tu przecież znalazłem: aby wyrwać się z DZK i podjąć próbę zdobycia konta bankowego. Nie obchodziło mnie, co zrobią z pieniędzmi, jeśli umrę. Dopóki nie dostanę do ręki świadectwa zakończenia służby, te pieniądze i tak pozostaną abstrakcyjnym zbiorem liczb w bazie danych.

Gdy wszyscy skończyli, sierżant Gau kazał jednemu z nas zebrać formularze i złożyć je na pulpicie w przedniej części sali.

– Gratulacje – powiedział. – Od tej chwili stajecie się oficjalnie członkami Sił Zbrojnych Wspólnoty Północnoamerykańskiej. Pamiętajcie, że do momentu ukończenia szkolenia przygotowawczego ten status jest warunkowy.

Nie było żadnej uroczystości, przysięgi, parady ani rytuału. Podpisujesz formularz i stajesz się żołnierzem. To trochę rozczarowujące, ale przynajmniej armia podchodzi konsekwentnie do całej procedury.

# Rozdział 3

## Wszystko po kolei

Większość pierwszego dnia spędziliśmy na oczekiwaniu, aż wydarzą się różne rzeczy. Przeszliśmy kolejne badanie lekarskie, podczas którego dwóch lekarzy sprawdzało cały pluton; obsłużenie wszystkich zajęło więc niemal trzy godziny. Przeskanowali nas szybko i zbadali krew, by upewnić się, czy w ostatniej chwili nie przydarzyły się nam jakieś chemiczne ekscesy. Następnie dostaliśmy jeden po drugim serię zastrzyków z sześciu różnych automatycznych strzykawek. Być może powinienem się zaciekawić, co wpuszczają mi do organizmu, ale stwierdziłem, że mnie to nie obchodzi. I tak przecież nie pozwoliliby mi odmówić.

Po badaniu medycznym sierżant Gau zaprowadził nas do innego budynku, gdzie stanęliśmy w szyku i obserwowaliśmy, jak reszta plutonów wchodzi po kolei do sali. Pozostali rekruci mieli na sobie workowate mundury robocze w zielono-niebieskie plamy, które wyglądały tak, jakby nie zapewniały kamuflażu na zupełnie żadnym tle.

– Pora posiłku – oznajmił sierżant Gau i na te słowa, odkąd dotarliśmy tu wczesnym rankiem, pierwszy raz na naszych twarzach zagościł uśmiech. – Wejdziecie do stołówki pojedynczym szeregiem. Staniecie w kolejce i weźmiecie tacę ze stosu. Możecie bez pytania o pozwolenie nałożyć sobie wszystko, co widzicie. Gdy skończycie nakładać na tacę, znajdziecie stół i usiądziecie. Kiedy już będziecie siedzieć, spożyjecie posiłek. W jego trakcie możecie rozmawiać z innymi rekrutami. Gdy wywołam numer waszego plutonu, dokończycie posiłek, przerwiecie rozmowy, zwrócicie tace na stojaki przy drzwiach i ustawicie się znów w szeregu przed stołówką.

Większość z nas nic nie jadła, odkąd wyruszyliśmy do punktów mobilizacyjnych. Byłem głodny, a po nagłym ożywieniu w plutonie widziałem, że nie tylko ja.

– Drobną radą – odezwał się sierżant Gau, zanim wprowadził nas do stołówki. – Niech objadanie się nie wejdzie wam w krew. Gdy rozpoczną się zajęcia fizyczne, będziecie rzygać jak najęci. Proponuję, żebyście powstrzymali apetyty.

W stołówce słyhać już było szmer rozmów pomiędzy rekrutami, którzy zajęli miejsca przed plutonem jeden-zero-sześć-sześć, lecz zachowywaliśmy milczenie, stojąc w kolejce, by napełnić tace. Mimo to mogliśmy rozglądać się i robić do siebie zdziwione oraz podekscytowane miny, nie krępowaliśmy się zatem. Za szklanym przepierzeniem pomiędzy stołówką a kuchnią znajdowały się wielkie metalowe pojemniki z jedzeniem i przez całe życie nie widziałem ani nie wahałem nic tak wspaniałego.

Potrawy w stojących przed nami pojemnikach były prawdziwe. Zauważyłem purée ziemniaczane, plastry mięsa z sosem, kluski i ryż. Musiałem porządnie się kontrolować, by nie złapać tacy i nie przeskoczyć na koniec linii, gdzie dostrzegłem pączki, pokrojone na kawałki ciasta i jakieś owoce zapiekane pod kruszonką. Zapewne po prostu przeładowały mi się receptory zapachowe, ale byłem pewien, że czuję czekoladowy lukier z leżących daleko pączków.

Wszyscy ładowaliśmy na tace zbyt dużo jedzenia. Wziąłem sałatkę, miskę zupy, w której pływały warzywa i kawałki kurczaka, kopiastą porcję purée ziemniaczanego oraz dwa plastry mięsa. Na końcu kolejki musiałem przesunąć naczynia, by zrobić miejsce dla dwóch pączków i szarlotki. Gdy obejrzałem się za siebie, na niewielu tacach było mniej rzeczy niż na mojej.

Znalazłem miejsce przy jednym z długich stołów i gdy tylko mój tyłek dotknął krzesła, wgrzyłem się w jedzenie. Mogliśmy teraz rozmawiać, lecz przez pierwsze kilka minut wszyscy byliśmy zbyt zajęci napełnianiem ust.

– Mógłbym do tego przywyknąć – powiedział wreszcie jeden z rekrutów przy stole. Był chudy jak szczapa, miał blizny po trądziku i rzadką bródkę.

– Każą ci to zgolić – odezwałem się, wskazując jego zarost własnym podbródkiem, a on wzruszył ramionami.

– Jeśli codziennie będą mnie tak karmić, mogą mi zgolić wszystkie pieprzone włosy na całym ciele.

Przy naszym stole siedziało czworo innych rekrutów. Wszyscy pochłonięci byli próbami ustalenia, ile jedzenia zmieszczą do ust, zanim zwichną sobie żuchwy. Panował parytet płci – trzech chłopaków, trzy dziewczyny – i gdy rozejrzałem się po pozostałych stolikach, wyglądało na to, że takie same proporcje obowiązują w pozostałych plutonach.



– To prawdziwe mięso – rzekła wysoka dziewczyna z krótkimi, ciemnymi włosami. – Ma włókna i w ogóle. Nie jadłam choćby kawałka prawdziwego mięsa, odkąd wyprowadziłam się od rodziców.

– Wołowina – odezwał się jej sąsiad, wskazując widelcem. – Tam leży kawałek wołowiny wart sto dolarów.

Dziewczyna odcięła spory kęs i włożyła sobie do ust.

– No i poszło dziesięć dolarów – powiedziała z pełną buzią.

Byłem pewien, że każdy gryz zostanie później okupiony wysiłkiem, lecz teraz postanowiłem cieszyć się chwilą i wrzucić w siebie tyle kalorii, ile tylko mogłem bez ryzyka wymiotowania. Już dla samego jedzenia warto było zaciągnąć się do armii, a jeśli wszystkie posiłki miały takie być, zamierzałem radośnie skakać przez wszystkie obręcze, jakie przed nami postawią.

\* \* \*

Po obiedzie sierżant Gau zaprowadził nas do magazynu pełnego wojskowych ubrań i wyposażenia. Z listą ekwipunku było bardzo podobnie jak z kolejką w stołówce – przechodziliśmy pojedynczo obok stanowisk wydawczych.

Na pierwszym z nich naburmuszony pracownik wyciągnął ze sterty wielki plecak i jeszcze większy worek, po czym rzucił je przede mną na blat. Na grubym płótnie widać było otarcia, burozielony kolor był miejscami spłowiały i widziałem prostokątny obrys wyciągniętych szwów w miejscu, w którym z klapy plecaka odpruto naszywkę z nazwiskiem poprzedniego właściciela.

Reszta sprzętu również była nienowa, w stanie sięgającym od lekkiego użytkowania po niemal całkowite zużycie. Na jednym ze stanowisk dostałem składaną łopatkę i nóż taktyczny. Na klindze noża widać było ślady setek ostrzeń, saperka zaś miała kiedyś łyżkę pomalowaną burozieloną farbą, lecz prawie cała z niej już zeszła, a krawędzie były poszczerbione. Wyglądało na to, że w większości fasowali nam rzeczy zdatne do wykorzystania tylko w ostatnim cyklu szkoleniowym, by później skończyły jako odpady.

Wymierzyli nas na potrzeby dopasowania mundurów, po czym wydali każdemu kilka zestawów uniformów roboczych. Również były używane, ale ucieszyłem się, że przynajmniej bielizna i skarpetki sprawiały wrażenie nowych. Chyba nawet rządowa

oszczędność miała swoje granice.

– Możesz je zatrzymać – powiedział sierżant Gau, widząc, że przyglądam się nowej parze szarych podkolanówek, odznaczając je na liście „Otrzymane wyposażenie” i wpychając do worka. – Gdy zostaniesz wylany, zabierasz ze sobą skarpety i bieliznę. I tak nikt nie chciałby nosić ich po tobie. Możesz uznać to za pamiątkę krótkiego pobytu w wojsku.

Spędziliśmy popołudnie, napełniając plecaki i worki mundurami, wyposażeniem przeciwdeszczowym, sakwami na sprzęt, hełmami, butami bojowymi, odzieżą chroniącą przed bronią chemiczną, butami do biegania, klapkami pod prysznic, przybornikami krawieckimi i masą innych akcesoriów o nieznanym przeznaczeniu. Gdy wreszcie przeszliśmy przez ostatnie stanowisko, było już późne popołudnie, a każdego z nas objuczały plecak i torba ważące razem zapewne z pięćdziesiąt kilogramów. Słabsi członkowie naszego plutonu chwiali się pod obciążeniem, gdy zebraliśmy się z powrotem przed budynkiem. Marsz na kwatery z takim ładunkiem wydawał się doskonałą okazją do treningu kondycyjnego, lecz sierżant Gau przygotował dla nas autobus.

Zostaliśmy zakwaterowani w dużym budynku o płaskim dachu, stojącym w długim rzędzie identycznych budowli. Można je było odróżnić jedynie po oznaczeniach nad wejściami: duży ekran wyświetlał numery mieszkających wewnątrz plutonów. Oprócz naszego do budynku skierowano pięć innych. Centralna klatka schodowa dzieliła wnętrze na pół, a na każdym piętrze po obu stronach schodów znajdowały się duże pomieszczenia. Gdy sierżant Gau wprowadził nas do naszej sali, po obu jej stronach ujrzelśmy piętrowe prycze. Przy każdej stały dwie szafki obrócone w stronę środkowego przejścia.

– Na pryczach są naszywki z waszymi nazwiskami – oznajmił sierżant Gau, gdy weszliśmy do sali plutonu. – Znajdźcie swoją pryczę i ułóżcie torby z wyposażeniem na materacach. Wykonać!

Zapanował pewien rozgardiasz, gdy gromadka rekrutów rozproszyła się, by znaleźć swoje łóżka; szybko zauważyliśmy, że zorganizowano je w porządku alfabetycznym. W górnej części każdego materaca leżał stosik z prześcieradłami, kocem i poduszką.

Współlokatorką mojej pryczy okazała się ciemnowłosa dziewczyna ze stolika przy obiedzie. Uśmiechnęliśmy się do siebie zachęcająco, kładąc sprzęt na materacach. Zrządzeniem alfabetu dostała jej się góra. Jej naszywka głosiła HALLEY D., a moja –

Kolejną godzinę spędziliśmy, rozpakowując wyposażenie i umieszczając wszystko w szafkach zgodnie z poleceniami sierżanta Gau. Stał pośrodku sali z torbą jednego z rekrutów opróżnioną na podłogę. Podnosił po kolei każdy przedmiot, podawał jego oznaczenie i czekał, aż wszyscy znajdą tę samą rzecz we własnej stercie. Gdy widział już, że ją trzymamy, mówił nam, w którym miejscu szafki to umieścić.

Kiedy poradziliśmy sobie już z całym wyposażeniem, sierżant Gau kazał nam znów otworzyć szafki i wyciągnąć przydziałowe dresy oraz buty do biegania. Przebraliśmy się i po raz pierwszy pluton uzyskał jednolity wygląd.

– Cywilne ubrania złożcie w dolnej szufladzie po prawej stronie szafki. Większość z was szybko ich będzie potrzebować.

Następnie sierżant Gau zaprowadził nas na stołówkę. Kolacja robiła nie mniejsze wrażenie niż obiad i znów objedliśmy się do obłędu. Wziąłem kanapki z grillowanym serem, gulasz wieprzowy i trzy różne owoce.

Po kolacji wróciliśmy na kwaterę, gdzie na pryzkach znaleźliśmy osobiste tablety informacyjne. Każdy z nich miał nad ekranem tabliczkę wymieniającą nazwisko nowego właściciela. Nigdy dotąd nie widziałem takiego sprzętu. Były duże i niezgrabne, z monochromatycznymi ekranami wyglądającymi jak relikty poprzedniej epoki. Miały przezroczyste polimerowe osłony zakładane na ekran podczas działań polowych, a całość doskonale pasowała do bocznych kieszeni mundurów roboczych, jakie wcześniej nam wydano.

– Niezbyt to nowoczesne – mruknęła cicho moja współlokatorka, przyglądając się tabletowi. – Miałam lepszy w szkole podstawowej.

– To wasi nowi towarzysze – rzekł ze środka sali sierżant Gau. – Nie wyglądają zbyt atrakcyjnie, ale są solidne i niezawodne. Zaznajomcie się z OTI i wywołajcie lekcję jeden kropka zero zero jeden zatytułowaną „Stopnie podoficerskie i oficerskie”.

Usiedliśmy w dwóch rzędach wzdłuż środkowego przejścia, otwierając poleconą lekcję, i sierżant Gau kazał nam powtarzać od góry do dołu strukturę stopni sił zbrojnych. Gdy wyrecytowaliśmy litanię kilkadziesiąt razy, polecił nam wyłączyć OTI i kolejne kilkadziesiąt razy powtórzyć hierarchię z pamięci. Uznawszy, że zapamiętaliśmy listę

stopni, kazał nam schować tablety.

– Teraz – powiedział – przekonamy się, kto z was naprawdę mnie dziś słuchał. Zbierzcie się przed budynkiem w trójszeregu. Wykonać!

Popatrzyliśmy po sobie z narastającą zgrozą. Wszyscy napchaliśmy się przy obiedzie i kolacji – nawet bardziej przy kolacji, ponieważ cały dzień nie musieliśmy ćwiczyć – i mój żołądek wciąż był nieprzyjemnie pełen. Sama myśl o bieganiu lub robieniu pompek wywoływała we mnie mdłości.

– To oznacza teraz, ludzie! – wrzasnął sierżant Gau i wszyscy zerwaliśmy się, by szeregiem opuścić salę plutonu.

\* \* \*

Gdy ustawiliśmy się już w trzech nieporządnym szeregach, sierżant Gau poprowadził nas na drogę. Zaczęliśmy, idąc, lecz po kilku krokach sierżant przeszedł do truchtu.

– Lepiej dotrzymajcie tempa – oznajmił. Jego ton wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie jest to tylko sugestia.

\* \* \*

Sierżant Gau nie biegł szczególnie szybko, lecz po dziesięciu minutach bolały mnie boki, a żołądek unosił się i opadał niczym źle zrównoważona przeciwwaga. Stękaliśmy i kasłaliśmy, starając się dotrzymać tempa Gauowi. Biegł w mundurze roboczym i butach bojowych, a jednak nawet się nie zasapał.

Po półgodzinie pierwsi członkowie plutonu chwiejnym krokiem zeszli na pobocze i gorącymi chlustami wypuścili z siebie kolację. Czułem podchodzącą do gardła żółć, gdy mój żołądek chciał pójść za ich przykładem, ale udawało mi się kontrolować sytuację.

Wtedy sierżant Gau znów zwolnił do chodu. Wskazał plutonowi, by zawrócił, po czym zebrał nas wokół trzech rekrutów, którzy stali zgięci wpół na krawężniku nad kałużami wymiocin. Smród świeżych rzygowin wywołał w głowie świeżą falę zawrotów i pochyliłem się, by wypuścić zawartość żołądka na ziemię.

Gdy skończyłem wymiotować, zauważyłem, że nie tylko ja nie zdołałem znieść tego smrodu. Połowa plutonu dolewała nową zawartość do cuchnącej zupy, która wypełniała już przydrożny rów.

– Mam nadzieję, że czegoś się nauczyliście – rzekł bez żadnej wesołości czy złośliwości sierżant Gau.

\* \* \*

Gdy wróciliśmy do naszej sali, sierżant kazał nam znów stanąć na baczność przed szafkami. Trudno jest stać z godnością, gdy ma się zaplamiony dres.

– Wystarczy na dzisiaj – powiedział. – Jeśli zastanawiacie się, dlaczego nikt z was jeszcze nie wyleciał, odpowiedź jest prosta. Nie rozpoczęliście jeszcze szkolenia, nie daliśmy wam więc zbyt wielu szans, by pokpić sprawę. Zmieni się to jutro rano, konkretnie, o czwartej trzydzieści. Teraz macie dziesięć minut, żeby doprowadzić się do porządku w łazience na końcu sali. Dokładnie o godzinie dwudziestej pierwszej ustawicie się znów przed swoimi szafkami w przydziałowej odzieży nocnej. Wykonać.

Łazienka była jednym dużym pomieszczeniem z toaletami na jednej ścianie, prysznicami na drugiej i ustawionymi w okrąg stalowymi umywalkami pośrodku. Nie było zbyt wiele miejsca na prywatność. Toalety i prysznice nie miały drzwi ani przepierzeń.

Umyliśmy się i zgodnie z rozkazem przebrali w przydziałowe piżamy. Wersja męska i damska wyglądały identycznie, były bezkształtne i niebieskie, zupełnie nie kojarzyły się z odzieżą wojskową. Gdy zebraliśmy się przed sierżantem Gauem przy szafkach, wyglądaliśmy jak zgraja przerośniętych sierot czekających na miskę zupy.

– Pora na odpoczynek nocny – oznajmił Gau po dokonaniu pobieżnej inspekcji plutonu. – Wchodźcie na prycze. Nie ma rozmów po zgaszeniu świateł. Jeśli pojawi się awaryjna sytuacja, jeden z was zapuka do drzwi starszego instruktora szkolenia, gdzie będę dzisiaj spał zamiast na kwaterze z żoną. Nie przeszkadzajcie mi, dopóki ktoś nie będzie krwawić z oczu.

Gdy znaleźliśmy się na łózkach, owinięci drapiącymi przydziałowymi kocami, diodowe lampy na suficie zaczęły się powoli ściemniać i wreszcie zupełnie zgasły. Słyszałem jedynie oddechy pozostałych rekrutów oraz brzęczenie klimatyzacji, która utrzymywała temperaturę dwudziestu stopni i filtrowała wszystkie syfy z atmosfery. Byliśmy daleko od wszelkich metropoleksów, ale skoro Chicagoland, Los Angeles-San Diego-Tijuana i Większy Nowy Jork miały blisko pięćdziesiąt milionów mieszkańców, w niewielu miejscach w kraju można było obywać się bez oczyszczania powietrza.



Moja współlokatorka przechyliła się przez krawędź pryczy i w niemal zupełnym mroku ledwo dostrzegłem zarys jej głowy.

– Nie jest tak źle – wyszeptała.

– Odliczając rzyganie – odszepnąłem, a ona zachichotała cicho.

Nigdy nie jadłem lepiej, ale wojskowe warunki spania nie były wcale lepsze niż to, czym dysponowałem w mieszkaniu mamy w DZK. Materac mógł być wykonany w tej samej rządowej fabryce, co ten z mojej starej sypialni.

Z zaskoczeniem poczułem tęsknotę za domem. Choć nie mogłem się doczekać, aż wyrwę się z DZK, część mnie nie chciała tu być, spać w jednym pomieszczeniu z tak wieloma nieznajomymi, słuchać ich oddechów i czasami pokasływać. W domu mogłem przynajmniej cieszyć się prywatnością, gdy tylko zechciałem. Część mnie tęskniła za przewidywalnością dawnego życia. Gdy budziłem się w domu, dobrze wiedziałem, co przyniesie dzień, tutaj zaś nie miałem pojęcia, co stanie się jutro. Było to wyzwalające, lecz również diabelnie przerażające.

Owinąłem cienką piankową poduszkę wokół głowy, by zakryć uszy. W uzyskanej ciszy odpłynąłem wreszcie w sen, mój umysł poddał się nadmiernie zmęczonemu ciału.

# Rozdział 4

## Rutynowe działania

Punktualnie o czwartej trzydziści diody na suficie włączyły się nagle i do sali plutonu wkroczył sierżant Gau.

– Z łóżek, teraz! – krzyknął bez żadnych wstępów. – Zróbcie swoje, umyjcie się i ubierzcie w zielono-niebieskie mundury. To takie ubranie z plamami. Jeśli potrzebujecie pomocy, zajrzyjcie do OTI do rozdziału „Mundur: bojowy, indywidualny”. Poranna inspekcja będzie o czwartej pięćdziesiąt pięć, więc ruszajcie się.

Dwadzieścia minut później wszyscy staliśmy w mundurach przed naszymi szafkami. Jeśli sierżant Gau odczuł choć lekkie zadowolenie z faktu, że byliśmy gotowi pięć minut przed czasem, nie pokazał tego po sobie. W ścianę biura starszego instruktora szkolenia wprawione było okno, doskonale wiedział zatem, iż pluton ustawił się i czekał na inspekcję, ale nie wyszedł stamtąd, dopóki zegar w sali nie wskazał za pięć piątej.

Pomaszerowaliśmy na śniadanie. Był to dopiero nasz trzeci posiłek w wojsku, lecz stoliki, zebrane wczoraj zupełnie przypadkowo, teraz zaczynały się już formować w krzepkie grupki. Nasz sześciuosobowy zespół spotykał się jak dotąd za każdym razem. Byliśmy tam ja, moja współlokatorka Halley, Ricci – chudy dzieciak z bliznami po trądziku i głupawą bródką, Hamilton – wysportowana dziewczyna o długich blond włosach, Cunningham – pokryta tatuażami i obcinająca się na zapałkę na długo przed decyzją o wstąpieniu do woja, i wreszcie Garcia – ciemnooki chłopak, który nigdy sam się nie odzywał, jeśli nie zadało mu się bezpośredniego pytania. Halley pochodziła z SeaTacVan, Ricci z metropolksu Dallas-Fort Worth, a Hamilton z Utah. Cunningham zapisała się w jakimś rolniczym miasteczku w Tennessee, a spytany o rodzinne miasto Garcia jedynie pokręcił głową.

– Jaką formację byście wybrali, gdybyście mieli szansę? – Ricci spytał nas nad jajecznicą i tostami.

– Wybrali, jasne – zaśmiała się Halley. – Będę się cieszyć, jeśli przejdę przez

przygotowawcze. Mogą mnie wtedy wcisnąć, gdzie będą chcieli.

– Przestań – odparł Ricci. – Wszyscy mają jakieś preferencje.

Halley wrzuciła do ust kolejny kęs jajecznicy i wzruszyła ramionami, zanim odpowiedziała:

– Nie wiem, szczerze. Po zakończeniu przygotowawczego zdecydują, w czym jesteśmy dobrzy. Nie miałabym jednak nic przeciwko jeżdżeniu albo lataniu czymś. Mogłabym pilotować desantowiec marines albo trafić do załogi czołgu.

– A ty? – spytałem Ricciego.

– Chcę do marynarki – oznajmił. – Latać leniwie okrętem gwiazdnym. Nie musiec biegać szaleńczo i obrywać. A tak poważnie, to mogę robić wszystko. Myć pokłady, czyścić kible, cokolwiek.

– Wylądujesz w marines – rzekła do niego Halley. – Albo gorzej, wrzucą cię do armii.

Nasza wiedza na temat formacji sił zbrojnych była raczej ograniczona do paru wzajemnie sobie zaprzeczających programów w sieciowizji oraz do promocyjnych filmików, które odtwarzali nam w biurze werbunkowym, gdy byli przekonani, że nie zdołają zniechęcić nas do zapisania się.

Marynarka posiadała ciężki sprzęt, okręty gwiazdne, które skakały pomiędzy koloniami i zapewniały potężne wsparcie ogniowe przy dysputach terytorialnych, marines zaś to siły naziemne w koloniach. Okręty były uważane za najlepszy przydział i kandydaci do służby na nich zaraz po obozie przygotowawczym lecieli do Szkoły Floty na Lunie. Ponieważ do obsadzenia i obrony było ponad pięćset skolonizowanych światów, marines mieli najwięcej wolnych miejsc i zapewne właśnie tam wyląduje większość z nas.

Armia Terytorialna pozostawała dla tych, którzy nie dostali się do pozostałych dwóch formacji. To do niej należeli żołdacy, którzy utrzymywali porządek społeczny w WPA na Ziemi i tłukli się z całą pozostałą setką państw. Nie latali okrętami kosmicznymi i nie bronili kolonii, byli śmieciarzami sił zbrojnych. AT musiała radzić sobie z wojskami wszystkich wojowniczych krajów na Ziemi, również tych, które były zbyt biedne lub zacofane, by rozwijać się kolonialnie. Była również głównym narzędziem rządu do wygaszania gwałtownych zamieszek w samej WPA. Niebezpiecznie było skakać na nową planetę lub bronić nowej kolonii przed inwazją chińsko-rosyjskich marines, lecz zupełnie

innym poziomem zagrożenia było lądowanie w środku Dzielnicy Zakwaterowania Komunalnego podczas buntów społecznych, gdy otaczało cię pięć milionów ludzi w różnym stopniu podniecenia bądź niezadowolenia.

– Jeśli spróbują wrzucić mnie do armii, po prostu odejdę od tego wszystkiego – powiedział Ricci.

– Poważnie? – zapytała Cunningham. – Po przejściu przez przygotowawcze?

– A żebyś wiedziała – odparł. – Nie zaciągnąłem się po to, żeby dać sobie odstrzelić głowę. Albo marynarka, albo nic. Przynajmniej będę miał trzy miesiące dobrego jedzenia, prawda?

– A ty? – spytała mnie Halley, gdy po skończonym śniadaniu odnosiliśmy tace na stojaki. – Kim chcesz być po przygotowawczym?

– Kimkolwiek – rzekłem. – Wszystko jest lepsze od powrotu do domu. – Pomyślałem o perspektywie wylania i o tym, jak zadowolony byłby ojciec, gdybym przywłókł się z powrotem do DZK, nie zaliczywszy nawet szkolenia przygotowawczego. Byłby zachwycony, gdyby jego syn nie zaszedł tak daleko jak wydalony ze służby ojciec. Umarłby ze świadomością, że nie był największym przegranym w rodzinie, a ja nie chciałem podarować mu nawet tej odrobiny dumy.

Przystanąłem, gdy przechodziła przede mną, by wsunąć swą tacę w stojak.

– Chcę polecieć w przestrzeń – dodałem, gdy nadeszła moja kolej na oddanie tacy. – Opuścić tę zasraną kupę skał, może nawet odetchnąć niefiltrowanym powietrzem na jakiejś kolonii.

Sierżant Gau popatrzył na nas krzywo z odległości siedmiu metrów – poza stołami mieliśmy nie prowadzić rozmów – my zaś pospieszyliśmy, by dołączyć do reszty plutonu zbierającego się na zewnątrz.

\* \* \*

Po śniadaniu przeszliśmy do punktu wydawania broni.

Zbrojownia mieściła się w piwnicy budynku kompanii. Nie miała okien i od reszty podpiwniczenia oddzielały ją dość solidne stalowe drzwi. Sierżant Gau kazał nam ustawić się szeregiem w korytarzu, po czym wziął karabin od podoficera pełniącego tam służbę.

Wszyscy popatrzyliśmy na znajdującą się w jego rękach broń: złowieszczy kawał stopu i polimeru, który wydawał się jednocześnie gładki i nieporęczny.

– To broń systemu M-66T, która przez resztę tutejszego szkolenia pozostanie waszym najlepszym przyjacielem. Jest to szkoleniowa wersja karabinu, który zostanie wam wydany w odpowiedniej formacji. Jest tożsamy z waszą przyszłą przydziałową bronią pod względem wagi, wyważenia i działania, z zaledwie jedną różnicą.

Podoficer podał Gauowi prostokątne polimerowe pudełko, sierżant zaś odwrócił je i wsunął do gniazda na spodzie tylnej części karabinu.

– Różnica polega na tym, że ta broń nie wystrzeliwuje ostrej amunicji. Korzysta z niezależnych, jednorazowych magazynków, podobnie jak karabin przydziałowy, lecz w wersji treningowej zawierają one jedynie parę obwodów, obciążniki i baterię. Wystrzelone ładunki są symulowane i podliczane w sposób elektroniczny.

Sierżant Gau wyciągnął magazynek z broni, włączył automatykę i trzymając karabin w rękach, zaczął powoli iść wzdłuż linii rekrutów.

– M-66 jest wielozadaniową bronią osobistą przeznaczoną do zwalczania szerokiego spektrum zagrożeń bojowych. Jej głównym elementem jest automatyczny, kierowany impulsami karabin flesztowy, wykorzystujący bezłuskowe trzymilimetrowe naboje flesztowe z jednorazowych dwustupięćdziesięciopładunkowych magazynków. Broń działa w trybie automatycznym, pełnym automatycznym lub kontrolowanym przez użytkownika i może strzelać pojedynczymi pociskami lub dowolną kombinacją wielokrotnych salw. Szybkostrzelność w trybie serii i automatycznym jest zależna od profilu zagrożenia. Drugim elementem jest zintegrowany czterdziestomilimetrowy granatnik wystrzeliwujący różne rodzaje granatów z komory niskiego ciśnienia. Amunicja do granatnika zależy od konkretnej misji i obejmuje granaty burzące, przeciwpancerne, odłamkowe, śrutowe, zapalające, termobaryczne, chemiczne i nieśmiertelne. Nazywamy go bronią „wybierz rodzaj bólu”. Dzięki zmianie granatów możecie z równym powodzeniem powalić uczestnika zamieszek lub jednokondygnacyjny budynek z żelazobetonu. Każdy z was otrzyma i pokwituje jedną broń systemu M-66T. Numer seryjny karabinu zostanie powiązany z numerem waszego kontraktu oraz profilem DNA. Muszę to powiedzieć jasno: jeśli wycelujecie broń w inną osobę bez upoważnienia lub rozkazu, zostaniecie w trybie natychmiastowym wylani ze szkolenia przygotowawczego. Macie korzystać z broni

wyłącznie na polecenie. Gdy otrzymacie karabin, zawieszcie go na ramieniu na czas marszu na kwaterę. Umieście go w waszych szafkach i jeśli choć dotkniecie go znowu pomiędzy tą chwilą a pierwszym dniem szkolenia z użycia broni, zostaniecie pozbawieni statusu rekruta.

Spoglądał na nas przez chwilę, by ocenić, czy jego słowa odniosły należyty efekt.

– Teraz podejdziecie po kolei i pokwitujecie odbiór uzbrojenia. Gdy dostaniecie karabin, przejdziecie na koniec linii, żeby sformować ją na nowo. Wykonać!

Obserwowałem, jak rekruci przede mną jeden po drugim podchodzą po karabiny. Pierwszy raz rzeczywiście czułem się jak w wojsku. Mieliśmy na sobie robocze mundury kamuflujące, a teraz dostawaliśmy broń, nawet jeśli nie można z niej było strzelać ostrą amunicją. Spoglądałem na karabiny zwisające z ramion rekrutów mijających mnie w linii. Były otulone płaskimi czarnymi osłonami z polimeru, z mnóstwem zakrzywień i niewieloma kantami, nadającymi im niemal organiczny wygląd.

Nadeszła moja kolej, by pokwitować odbiór M-66T. Był cięższy, niż sugerowała jego zwarta budowa, i przez krótką chwilę układałem go na ramieniu, zanim wróciłem do linii.

Gdy wszyscy otrzymaliśmy broń, sierżant Gau znów ustawił pluton przed budynkiem, po czym pomaszerowaliśmy na kwaterę.

– Otwórzcie szafki i umieście karabiny w klamrach po prawej stronie – rozkazał. – Po odłożeniu broni nie wolno wam jej dotykać, patrzeć ani nawet myśleć o niej, dopóki nie rozkaże tego instruktor szkolenia.

Na tylnej ścianie każdej szafki znajdowały się wyścielone klamry, na spodzie zaś polimerowy wspornik, idealnie pasujący do kształtu kolby. Umocowałem broń, zamknąłem szafkę i dołączyłem do reszty plutonu stojącego przed środkowym przejściem. Sierżant Gau czekał niewzruszenie w postawie swobodnej z rękoma za plecami, dopóki cały pluton nie ustawił się w linii.

– Macie już całe przydziałowe wyposażenie. Jesteście gotowi do rozpoczęcia szkolenia. Przekażę was teraz instruktorom. Wykonujcie ich rozkazy, róbcie dokładnie to, co do was mówią, a może część z was zobaczę na ceremonii ukończenia za dwanaście tygodni.

Obrócił się do drzwi i wtedy idealnie zgodnym krokiem weszło do sali troje

sierzantów. Najwyraźniej czekali tuż za wejściem, aż Gau skończy przemówienie. Obserwowaliśmy z niepokojem, jak maszerują środkowym przejściem i zatrzymują się przed Gauem. Wszyscy troje byli szczupli i mieli surowe twarze, nie widziałem na nich zbędnego grama tłuszczu. Na kołnierzyku żołnierza idącego na czele widniały trzy szewrony i belka – oznaczenie sierżanta sztabowego. Pozostała dwójka miała jedynie szewrony, a więc zwykli sierżanci. Najstarszy stopniem był również najniższy. Idący za nim byli wyżsi, lecz nie wyglądali tak groźnie. Jedno z nich było potężnym czarnym mężczyzną z ogoloną głową, drugie zaś rudowłosą kobietą, regulaminowo ostrzyżoną na sześć milimetrów.

Sierżant sztabowy zasalutował sierżantowi Gauowi, który błyskawicznie odpowiedział salutem. Następnie Gau obrócił się na pięcie, przeszedł wzdłuż rzędu rekrutów po lewej stronie sali i bez słowa opuścił pomieszczenie. Niższy instruktor szkolenia popatrzył na nas tak, jakbyśmy byli nudnymi okazami w zoo.

– Nazywam się sierżant sztabowy Burke. To są sierżanci Riley i Harris. Naszym zadaniem jest odesłać większość z was do domu i ustalić, do czego nadaje się reszta.

Sierżanci Riley i Harris przeszli za starszego instruktora szkolenia i ustawili się dokładnie o krok za nim po obu bokach.

– Przebierzcie się w przydziałowe dresy i buty do biegania. Wykonać! – szczechnął sierżant Burke. Rozerwaliśmy szereg i pospieszaliśmy do naszych szafek. Gdy zdejmowaliśmy mundury robocze i wkładaliśmy niebieskie dresy, Riley i Harris przeszli na krańce linii szafek, Burke zaś pozostał na środku sali. Cała trójka zaczęła jednocześnie odliczać w dół.

– Dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście, siedemnaście, szesnaście...

Nie miałem pojęcia, co się stanie, gdy w chwili osiągnięcia przez nich zera nie będę w stroju do ćwiczeń, i nieszczególnie chciałem się dowiedzieć. Gdy instruktorzy doliczyli do siedmiu, kończyłem już wiązać buty, a gdy dotarli do czterech, wróciłem na swoje miejsce w środkowym przejściu. Wszyscy znaleźliśmy się na tam na czas, choć dwóch czy trzech maruderów ledwo zdążyło, zanim odliczanie dobiegło końca.

– Większość z was jest bez formy – oznajmił sierżant Burke. – Siedzieliście na tyłkach w domu, oglądając sieciowizję i jedząc śmieci. Nie mam pojęcia, jak można utyc na tym

gównie, które wam wydają, ale widzę tu za dużo tłuszczu.

Burke mówił z taką samą intonacją jak wcześniej Gau. Nie licząc lekkiego południowego akcentu, brzmiał zupełnie jak starszy sierżant. Zastanawiałem się, czy instruktorów szkolenia specjalnie uczą emisji głosu.

– Teraz trochę poćwiczycie. Musimy dowiedzieć się, kto z was jest w odpowiedniej kondycji, żeby w ogóle zacząć nabierać formy.

Cofnął się o krok, a rudowłosa sierżant podeszła i zajęła jego miejsce. Zmierzyła nas spojrzeniem twardym jak granit.

– Plu-tooon! – warknęła. – Dwuszeregiem przed budynek, biegiem!

Przebiegliśmy obok instruktorów, ale miałem pewność, że w tym momencie jakakolwiek szybkość zostałaaby przez nich uznana za niewystarczającą, nawet gdybyśmy zdołali natychmiast teleportować się na dół.

– To znaczy: teraz, chłopaki i dziewczyny! – krzyknęła. – Nie płaci się wam od godziny.

Potruchtaliśmy po schodach niczym stado spanikowanych kozic. Na zewnątrz zgodnie z rozkazem na nowo uformowaliśmy dwuszereg.

Nasi instruktorzy wyszli z budynku zwykłym krokiem. Burke znów stanął przed plutonem, rudowłosa sierżant zajęła pozycję na lewym krańcu naszego dwuszeregu, a łysy czarny sierżant uczynił to samo na prawym skraju.

– Zabawimy się w grę o nazwie „naśladujemy lidera”. Sierżant Riley będzie liderem.

Skinął głową w kierunku rudowłosej po naszej lewej.

– Sierżant Riley poprowadzi pluton na małą przebieżkę. Waszym zadaniem jest dotrzymać jej kroku. Sierżant Harris będzie zamykał tyły. W waszym interesie leży pozostać przez cały czas przed sierżantem Harrisem i za sierżant Riley.

Riley wyglądała, jakby mogła przebiec maraton, lecz byłem niemal pewny, że zdołam dotrzymać jej kroku. Miała na sobie mundur roboczy i buty bojowe, my zaś dresy i buty do biegania, poza tym przez ostatnie trzy miesiące w ramach przygotowania do szkolenia wojskowego biegałem po klatkach schodowych na naszym osiedlu.

Zrobiliśmy w lewo zwrot, by zgodnie z poleceniem uformować kolumnę. Sierżant Riley zaczęła biec, a pluton ruszył za nią.



Po upływie godziny nie byłem już tak przekonany o swojej wytrzymałości. Znajdowałem się w środkowej części plutonu, a sierżant Riley biegła dwadzieścia metrów przede mną. Z tego, co mogłem stwierdzić, nawet nie zaczęła ciężko oddychać. Odkąd wystartowaliśmy, biegliśmy w jedną stronę, a wciąż nie widziałem końca bazy. W obydwu kierunkach mijały nas inne plutony i wszyscy należący do nich rekruci poruszali się w idealnej synchronizacji. Pluton jeden-zero-sześć-sześć stanowił natomiast luźną zgraję kaszlących, świszczących i sapiących rekrutów w różnym stopniu żałosności. Sierżant Riley nie zwalniała. Jak na razie nikt nie odważył się zostać za sierżantem Harrisem.

Wreszcie sierżant Riley zboczyła z kierunku, w jakim biegła od godziny. Przy drodze znajdował się duży park maszynowy i skręciła w jego stronę, obrzydliwie lekkim susem przeskakując nad krawężnikiem. Pluton podążył za nią, choć niektórzy z nas o mało nie potknęli się o niewysoką przeszkodę. Riley zwolniła do truchtu, a następnie, gdy większość plutonu znalazła się na środku placu, stanęła.

– Dwuszereg, chłopcy i dziewczęta. To wojsko, a nie przerwa w szkole. Formacja!

Zakrzątnęliśmy się, by ustawić się zgodnie z rozkazem.

– Zostawcie dużo miejsca między sobą a rekrutem przed wami – poinstruowała tylny szereg.

Wiedziałem już, co nas teraz czekało.

– Pompki – oznajmiła. – Ja liczę, wy robicie. Niech nikt nie wysuwa się przede mnie, bo zaczniemy od nowa.

Opadła na dłonie i popatrzyła na pluton, gdy poszliśmy za jej przykładem.

– Jeden.

Opuściła się, dopóki niemal nie dotknęła brodą ziemi. Zerknąłem w bok i zauważyłem, że sierżanci Harris oraz Burke również robią pompki i obserwują, czy pluton idzie za przykładem Riley.

– Chcę tu zobaczyć dobrą formę! – krzyknęła Riley. – Przy każdym odliczeniu nosy mają dotykać ziemi. – Jeden – zaczęła od początku. – Dwa. Trzy. Cztery. Pięć.

Byliśmy przy dwudziestej którejś, gdy pierwsi rekruci zaczęli się chwiać. Gdy stało się

oczywiście, że niektórzy się męczą, obaj sierżanci podnieśli się ze swych pozycji po bokach plutonu i zbliżyli.

– Jeśli nie umiesz zrobić trzydziestu pompek, naprawdę nie ma sensu trzymać cię tu przez resztę szkolenia! – wrzasnął sierżant Burke do jednego z rekrutów, gdy ten próbował nadążyć za Riley na drżących rękach. – Zrób sobie przysługę i padnij już na brzuszysko.

Rekrut z mozołem zrobił jeszcze jedną chwiejną pompkę, po czym z jękiem opadł na ziemię. Sierżant Burke jedynie prychnął z niesmakiem i przeszedł dalej.

Po chwili niewiele z nas dotrzymywało już kroku sierżant Riley. Dotarłem do czterdziestu dziewięciu, potem ręce tak drżały mi już z osłabienia, że musiałem dać za wygraną. Czułem lekkie zawstydzenie, lecz w tym momencie większość plutonu leżała już na brzuchach, moja duma doznała więc tylko nieznacznego uszczerbku. Riley robiła dalej pompki, obserwując, jak wciąż aktywna część plutonu kurczy się do czterech, trzech, wreszcie dwóch osób. Ostatnią rekrutką pozostałą na palcach stóp i dłoniach była Hamilton, wysportowana i szczupła dziewczyna z mojego stolika w stołówce.

– Wystarczy – powiedziała sierżant Riley, zatrzymując się w połowie pompki i prostując z podskokiem. – Popracujemy nad tym. Tylko jedno z was jest w przyzwoitej formie.

Przyjrzała się Hamilton, która pozostała w postawie do pompki.

– Powstań! – rozkazała, a Hamilton wykonała polecenie.

– Plutonie tysiąc sześćdziesiąt sześć, oto wasz lider – rzekł sierżant Burke. – Rekrutka Hamilton poprowadzi nasz bieg z powrotem do budynku kompanii.

Uśmiech, który zaczynał się już powoli formować na ustach Hamilton, znów zniknął.

\* \* \*

Po południu poznawaliśmy zasady poruszania się jak żołnierze. Nazywało się to musztrą i polegało na tym, że naszych troje instruktorów próbowało zmusić nas do wykonywania zgodnie ruchów i odpowiadania na ich polecenia w dokładnie tej samej chwili, w której były wydawane. Bardziej zaawansowane plutony doprowadziły to do perfekcji, lecz gdy ćwiczyliśmy pierwszy raz, nie wyglądaliśmy zbyt imponująco.

– To brzmi jak gówno – stwierdził sierżant Harris, gdy maszerowaliśmy przez plac

przed budynkiem, starając się zachować jedność ruchów. – Maszerujecie niczym stado upośledzonych kóz. Chcę słyszeć, jak wszystkie pięty jednocześnie uderzają o ziemię.

Po dwóch godzinach głośnych i wciąż powtarzanych instrukcji stwierdziłem, że musztra wychodzi najlepiej, jeśli całkowicie wyłączyć mózg i po prostu działać jak robot sterowany głosem. Reszta plutonu chyba doszła do podobnego wniosku. Wciąż byliśmy okropni, lecz znacznie mniej niż na początku.

To dziwne uczucie chodzić zgodnym krokiem ze zgrają ludzi odzianych dokładnie tak samo. Czuję się niczym trybik w maszynie, ale właśnie to mi się w wojsku podobało. Jeśli robisz, czego się od ciebie wymaga, jeśli nie jesteś ani najlepszy, ani najgorszy w jakimś zadaniu, możesz zniknąć w tłumie i cieszyć się odrobiną samotności. W tym momencie ukończenie szkolenia wydawało się niemożliwie odległą perspektywą, uznałem więc, że zadowolę się celem krótkoterminowym. Chciałem skończyć sesję szkolenia tak, by nikt na mnie nie wrzeszczał ani bym nie musiał wykonywać dodatkowych pompek. Następnie zamierzałem popracować nad kolejnym ćwiczeniem i w taki sposób być może przetrwać cały dzień.

Przez resztę popołudnia siedzieliśmy znów przed szafkami w naszej sali, słuchając instruktorów wykładających nam takie tematy, jak ujednolicony kodeks prawa wojskowego, formacje oraz nasza hierarchia dowodzenia. Większość z nas była zmęczona po porannych ćwiczeniach oraz poobiedniej sesji musztry, lecz gdy pierwszy rekrut przysnął, otrzymaliśmy nauczkę, jak ważne jest zachowywanie czujności. Sierżant Burke nagle przestał mówić o historii i misji Armii Terytorialnej, wyprostował się, po czym złożył ręce za plecami.

– Rekrucie Olafsson! – szczechnął.

Olafsson, który siedział naprzeciwko mnie po drugiej stronie przejścia, nagle poderwał głowę i rozejrzał się ze spanikowaną miną.

– Chyba masz problem z utrzymaniem przytomności – powiedział przyjaźnie sierżant Burke. – Podejrzewam, że to niedobór tlenu. Powstań, natychmiast.

Rekrut Olafsson wykonał rozkaz, wyraźnie zmieszany, że znalazł się nagle w centrum uwagi.

– Dołącz do sierżant Riley na pokładzie rufowym – polecił Burke, wskazując przednią

część sali, gdzie było sporo otwartej przestrzeni pomiędzy pierwszym rzędem prycz a oknem biura starszego instruktora szkolenia. Riley stała już pośrodku tego obszaru, trzymając ręce za plecami.

Jeśli ćwiczenia pod opieką sierżant Riley miały dostarczyć tlenu organizmowi Olafssona, wydawały się wywierać odwrotny skutek. Piętnaście minut później Burke zakończył wykład o Armii Terytorialnej, a rekrut Olafsson z twarzą barwy ciemnej czerwieni wykonywał szóstą serię pompek i przysiadów.

– Wasza uwaga ma być skierowana na mnie! – warknął sierżant Burke, gdy dostrzegł, że część z nas zerka na pokład rufowy. – Obiecuję, że w ciągu najbliższych dwunastu tygodni każde z was będzie miało mnóstwo okazji, żeby spędzić czas na pokładzie rufowym.

Wrócił do historii oraz misji marynarki. W tym czasie rekrut Olafsson kontynuował wysiłki, a niewzruszona sierżant Riley stała nad nim, gdy męczył się z kolejną serią pompek.

Jeszcze jedenaście tygodni i pięć dni, powtarzałem sobie. Osiemdziesiąt dwa dni biegania, wrzeszczenia i karnych ćwiczeń na pokładzie rufowym.

Przez chwilę rozważałem, czy wstać i podejść do sierżanta Burke'a, i oznajmić, że chcę odejść, zanim zaharuję się przez te kilka tygodni tylko po to, by i tak zostać wylanym, a więc koniec końców nic mi z tego nie przyjdzie. Wtedy przypomniałem sobie DZK – smród szczyń i wymiocin w korytarzach oraz na klatkach schodowych, wszechobecne śmieci, zbirów napadających na ludzi z czystej złośliwości czy nudy – i odepchnąłem od siebie tę myśl. Choć nie cierpiałem ćwiczeń i pomiatania, perspektywa lotu powrotnego promem w tamto miejsce wydawała się znacznie gorsza. Skończyłbym jak mama i tata – nie żyjąc, a jedynie wegetując.

Do cholery, pomyślałem, gdy sierżant Burke smęcił o strukturze i organizacji marynarki Wspólnoty. Przynajmniej będę w świetnej formie, gdy stąd wyjdę.

# Rozdział 5

## Żłobek piechoty

Mój pancerz bojowy był porysowany i cholernie sponiewierany, ale i tak go kochałem. Kochałem również karabin w rękach bardziej, niż rozsądny człowiek powinien kochać zwykły przedmiot. Razem przemieniały mnie w coś innego, bardziej zaawansowanego niż suma mnie i otulającej mnie technologii.

Trwał siódmy tydzień szkolenia i ćwiczenia bojowe na poziomie oddziału były pierwszą rzeczą w wojsku, jaką mógłbym wykonywać codziennie. Ostatnie kilka tygodni spędziliśmy na zaznajamianiu się z naszymi karabinami i wyposażeniem oraz na poznawaniu podstaw walki piechoty: poruszania się jako oddział i zespół ogniowy, natarcia, obrony, czyli podstawowych kroków w tańcu, jakim jest nowoczesna zintegrowana walka naziemna.

Gdy za pierwszym razem ćwiczyliśmy manewry oddziałem z pomocą zintegrowanej sieci taktycznej, czułem się, jakbym przez całe życie cierpiał na krótkowzroczność, nie wiedząc o tym, i nagle ktoś nałożył mi na oczy odpowiednie okulary. W hełm wbudowano więcej mocy obliczeniowej niż we wszystkich komputerach w klasie w moim starym liceum. Po wewnętrznej stronie wizjera, nad lewym okiem, umieszczono swoisty monokl i to właśnie on był najwspanialszym elementem pancerza, projektorem holograficznym połączonym z komputerem taktycznym kombinezonu. Komputer analizował wszystko, co znajdowało się w polu widzenia, nakładał na każdego sojusznika lub wroga odpowiednie symbole, po czym przesyłał dane do reszty oddziału. Cokolwiek dostrzegałem, widzieli to również pozostali, gdy komputery łączyły nadchodzące informacje w pełen obraz. Jeśli jedno z nas zauważyło nowe zagrożenie, komputer tej osoby automatycznie przesyłał nowe dane do innych za pośrednictwem szyfrowanej sieci bezprzewodowej i w ciągu paru milisekund cały oddział był już świadom niebezpieczeństwa. Dopiero dwa tygodnie temu zaczęto nas uczyć korzystania z systemu, ale tak już przywykłem do otrzymywanych informacji, że gdy nie miałem na sobie pancerza bojowego, czułem się ślepy i głuchy.

Karabin również był powiązany z komputerem. Wprawdzie sam nie celował, ale całą

resztę robił automatycznie. Gdy tylko mierzyłem w cel, komputer wybierał odpowiednią długość i szybkostrzelność serii. Wprawdzie moja broń nie wyrzucała z siebie prawdziwych fleszet, ale w jej kolbę wbudowano hydrauliczny mechanizm symulujący odrzut ostrej amunicji. Pełnię rzeczywistych wrażeń uzyskiwaliśmy dzięki modułowi dźwiękowemu, wydającemu odgłosy wystrzałów.

Podchodzenie wraz z oddziałem i nacieranie na inne jednostki na udawanym polu bitwy terenu szkoleniowego stanowiło dziwnie uzależniające doświadczenie. Ćwiczyliśmy do wojny i wiedziałem, że w prawdziwym świecie nieprzyjaciel będzie strzelał do mnie fleszetami oraz pociskami wybuchającymi zamiast nieszkodliwymi promieniami, lecz na razie wszystko to sprawiało wrażenie ekscytujących zawodów sportowych. Oddziały ścierały się ze sobą i wygrywaliśmy lub przegrywaliśmy mecze, jak w liceum. Po ćwiczeniach następowały nawet pod prysznicem zwyczajowe przechwałki: zwycięzcy puszyli się, a przegrani dąsali. Nikt nie ginął ani nie był raniony, nie licząc paru siniaków. Pancierz bojowy dawał lekkiego kopa, gdy zostawało się „trafionym” ogniem nieprzyjaciela, ale nie było to bolesne, jedynie nieprzyjemne, jakby muskać dłonią nagi przewód niskiego napięcia.

Minęła już połowa szkolenia przygotowawczego i po upływie sześciu i pół tygodnia zostało nas dwadzieścioro siedmioro. Siedmioro zrezygnowało dobrowolnie jeszcze przed podpisaniem kontraktów, w późniejszym okresie z własnej inicjatywy odeszło jeszcze dwoje, w tym chłopak, który postanowił rzucić wojsko w połowie naszego pierwszego biegu. Pozostałych czworo wylali instruktorzy za niewykonywanie rozkazów lub niewypełnianie norm.

Nasz stolik ze stołówki stracił jedną osobę: Cunningham, dziewczynę z tatuażami i fryzurą na jeża. Dotarła do trzeciego tygodnia i uznała, że ma już dość sierżant Riley, wciąż wybierającej ją do dodatkowych sesji na pokładzie rufowym. Pewnego wieczoru w trzecim tygodniu po prostu rzuciła swój OTI na pryczę i wyszła z sali plutonu. Poszliśmy na zajęcia na temat wojny chemicznej, a gdy wróciliśmy, by przygotować się do kolacji, na pryczy Cunningham nie było już pościeli, szafka zaś była opróżniona. Nigdy nie opróżniali szafek rekrutów w obecności plutonu, ale też nigdy nie czekali z tym długo.

\* \* \*

Znajdowaliśmy się w OSWU – ośrodku szkoleniowym walki ulicznej, naśladującym

fragment wschodnioazjatyckiego miasta. Leżał na pokrytej rzadkimi krzakami pustyni na obrzeżach naszej bazy i nawet dotarcie tam było ćwiczeniem samym w sobie. Zajęcia z walki ulicznej trwały już trzeci dzień, codziennie o piątej trzydzieści musieliśmy być gotowi i znajdować się w pełnym osprzęcie bojowym. Każdego ranka maszerowaliśmy trzydzieści kilometrów przez pustynię do OSWU, objuczeni pancerzami bojowymi, karabinami, w pełni zapakowanymi plecakami oraz piętnastolitrowymi zbiornikami hydracyjnymi. Droga do OSWU zajmowała dwie i pół godziny tempem sierżant Riley, a więc czymś pomiędzy szybkim chodem a powolnym truchtem.

Nasz pluton składał się teraz z trzech dziewięcioosobowych oddziałów. Za każdym razem, gdy traciliśmy rekrutów, przetasowywali oddziały, by każdy liczył tyle samo osób, a teraz było nas za mało, aby uformować pełen czterooddziałowy pluton. W tym ćwiczeniu kierowałem zespołem ogniowym liczącym czworo rekrutów, a dowódcą mojego oddziału był Ricci. Wraz z nami atakował jeszcze jeden oddział, a obrońcy stacjonowali w ufortyfikowanych punktach w „mieście”. Dowodziła nimi Halley, moja współlokatorka.

Ricci był kiepskim dowódcą. Już dwukrotnie nasz oddział został zgnieciony przez obrońców i dwa razy instruktorzy kazali nam zacząć ćwiczenie od nowa. Ricci nie modyfikował swojego planu, który polegał na przeskakiwaniu od drzwi do drzwi wzdłuż głównej drogi. Nie chciał bawić się w piechotę i było to widać. Zachowywał się agresywnie tam, gdzie należało być ostrożnym, i bojaźliwie tam, gdzie trzeba było śmiało nacierać. Zmarnowaliśmy dwie godziny na przygotowanie i wykonanie jego planu, tylko po to, by oddział Halley powystrzelał nas jak kaczki, i nie miałem pojęcia, dlaczego instruktorzy nie pozwalają komuś innemu przejąć pałeczki.

– Musisz szybciej przeprowadzić swój zespół przez drogę – powiedział Ricci, gdy po raz trzeci szliśmy przez ten sam zaułek, zajmując osłonięte pozycje na skrzyżowaniu z główną drogą. Iluzja wydawała się niemal idealna: wszędzie walały się śmieci, ściany były ozdobione obcojęzycznym graffiti i poplamione najrozmaitszymi wydzielinami fizjologicznymi, ze sklepików przy ulicy dobiegała szczebiocząca chińska muzyka pop. Nigdy nie byłem na Dalekim Wschodzie, lecz fałszywe miasto wyglądało dokładnie tak, jak widywałem w wiadomościach i filmach wojennych. Brakowało jedynie mieszkańców.

– Nie jest istotne, jak szybko się przemieszczamy – oznajmiłem Ricciemu. Na końcu drogi, jakieś sto metrów przed nami, znajdował się dość wysoki budynek wychodzący na

skrzyżowanie i broniący się oddział umieścił tam przynajmniej zespół ogniowy. – Kąsz nam nacierać na bronione stanowisko, a oni wiedzą, że idziemy. Nie da się przegonić cholernej fleszety.

– No dobra, generale mądrało, a masz lepszy pomysł?

Wywołałem na monoklu obraz taktyczny i przyjrzałem się widzianej z góry mapie okolicy.

– Podzielmy oddział i pójdźmy tymi dwoma bocznymi zaułkami, jeden zespół w każdym. Gdy znajdziemy się na skrzyżowaniu, odpalimy dym, a później natrzemy z obu stron. Nie możemy iść wokół budynku, bo wtedy strzelą nam z góry w dupy.

– Jasne, dym. Równie dobrze mógłbyś wrzasnąć: „Oto idziemy!” – stwierdził Ricci.

– Jeśli sami nie zrobimy sobie osłony, znów nas wystrzelają. Twój wybór, szefie. – Ostatnie słowo podlałem odrobiną kwasu i Ricci pokazał mi środkowy palec.

– A więc dwa zespoły – powiedział. – Wezmę swój od prawej, a ty pójdziesz od lewej. Idź przodem i odpalaj dym, skoro chcesz. Ja skorzystam z dywersji, gdy będą do was prażyć.

– Przekonamy się. Przynajmniej nie zabiją nas wszystkich razem na środku skrzyżowania jak przy ostatnich dwóch próbach.

\* \* \*

Prowadzenie natarcia to paskudne zadanie. Obrońcy wiedzą, że idziesz, i musisz wyjść na otwartą przestrzeń, by do nich dotrzeć. Jednak to ty dysponujesz inicjatywą.

Przeskakiwaliśmy od domu do domu, wykorzystując osłonę markiz sklepowych i wejść, aby zamaskować podejście do skrzyżowania. Na wyświetlaczu taktycznym wciąż widziałem drugi zespół idący zaułkiem po prawej.

Dotarliśmy do skrzyżowania bez nawiązania jakiegokolwiek kontaktu z przeciwnikiem. Spojrzałem na górne piętro budynku po drugiej stronie, wypatrując oznak ruchu, lecz broniący się oddział trzymał się na baczności. Wiedziałem, że mieli w tym budynku przynajmniej zespół ogniowy – stanowił naturalne przewężenie i nie mogliśmy go obejść, nie odsłaniając się – lecz dobrze bawili się w chowanego.

Włączyłem kanał oddziału.



– Zespół ogniowy Bravo na pozycji. Czekamy na was.

– Idziemy na trzy – odrzekł Ricci, a ja wyciągnąłem granat dymny z upręży w przedniej części pancerza bojowego.

– Czekaj na dym – powiedziałem, lecz Ricci zaczął już odliczać.

– Jeden... dwa...

Zakląłem, zdjęłem osłonkę bezpieczeństwa z granatu i rzuciłem nim w kierunku skrzyżowania.

– Trzy!

Na wyświetlaczu taktycznym zobaczyłem, że cały zespół ogniowy Ricciego opuścił osłonę. Następnie usłyszałem terkot ich karabinów, gdy w biegu strzelali z biodra automatycznymi seriami.

– Głupi dupek – stwierdziłem, dając mojemu zespołowi sygnał do wyjścia. Granat wybuchł ze stłumionym hukem i nasza strona skrzyżowania natychmiast zasnuła się gęstym chemicznym dymem. – Jazda, jazda, jazda!

Pobiegliśmy przez dym w stronę budynku. Mieliśmy do przebycia jedynie około pięćdziesięciu metrów, lecz taka odległość wydaje się niezwykle duża przy świadomości, że ludzie z karabinami i granatnikami będą próbowali powstrzymać nas przed dotarciem do mety.

Szkoleniowe karabiny nie emitowały błysków z luf, po obu stronach naszego podejścia słyszałem jednak staccato automatycznego ognia dobiegające z budynku. Wyglądało na to, że Halley umieściła w nim większość swego oddziału, przewidując, jak będzie wyglądała trzecia próba natarcia naszego głupiego dowódcy. Komputery taktyczne wskazywały brak zabójstw i jak na razie nasz oddział osiągnął jedno wielkie zero.

Po naszej prawej, tam, gdzie zespół Ricciego biegł do skrzyżowania, usłyszałem przekleństwa, gdy pierwsi rekruci zostali trafieni wirtualnymi pociskami z karabinów oddziału Halley. Pędziłem przez obłok sztucznej mgły, nasłuchując stukotu przynajmniej dwóch karabinów ze znajdującej się przede mną części budynku, i żołądek wywracał mi się w oczekiwaniu na ten lekki elektryczny wstrząs, który oznaczał trafienie. Gdy rekrut zostawał ugodzony wirtualnym ładunkiem, komputer taktyczny określał miejsce trafienia i wyłączał część systemu w oparciu o znaczenie symulowanego zranienia. Jeśli otrzymało

się trafienie śmiertelne, komputer wyłączał kanał komunikacyjny i interfejs taktyczny, nie można więc było porozumiewać się ani wymieniać danymi z resztą oddziału. Odcinał również karabin, aby nie dało się oszukiwać i strzelać, gdy teoretycznie jest się martwym.

Na szczęście obrońcy skierowani w stronę mojego zespołu ogniowego strzelali jedynie na ślepo w dym w nadziei, że przypadkiem kogoś trafią. Mój zespół przedarł się i znalazł na skrzyżowaniu.

Gdy wszyscy ustawiliśmy się przy bocznej ścianie budynku, zerknąłem na wyświetlacz taktyczny, by sprawdzić, co dzieje się z dowodzoną przez Ricciego połową oddziału. Ich symbole mrugały na czerwono, co oznaczało, że z ich przekaźników nie dobiegały informacje o statusie. Włączyłem znów kanał oddziału, lecz już wiedziałem, że to bezcelowe.

– Dowódcu oddziału, tu Brawo. Przeszliście?

Nie doczekałem się odpowiedzi. Wszyscy zostali skoszeni przez obrońców Halley, a komputery odcięły im połączenia sieciowe.

– Wygląda na to, że jesteśmy zdani na siebie – powiedziałem członkom mojego zespołu.

– To i tak znacznie lepiej, niż znowu być trupem – odezwał się jeden z nich, a reszta przytaknęła.

– Gra się jeszcze nie skończyła – oznajmiłem.

Z boku budynku znajdowały się drzwi. Zasygnalizowałem członkom zespołu, by zajęli miejsca po obu ich stronach. Halley wiedziała, co robi, nie chciałem więc po prostu wpaść do środka. Wyciągnąłem granat z upręży na pancerzu i kciukiem zdjąłem osłonkę bezpieczeństwa.

– Gotowi? – spytałem i w odpowiedzi otrzymałem trzy skinięcia.

Włączyłem zapalnik czasowy granatu, uderzając przyciskiem bezpiecznika w twardą skorupę napierśnika.

– Odłamkowy!

Wrzuciłem granat w drzwi, celując w ścianę za framugą, by pocisk odbił się do korytarza. Granat zrykoszetował od betonu i potoczył się na podłogę, znikając z pola

widzenia.

– Kurwa! – usłyszałem i z korytarza dobiegły odgłosy szybkich kroków, gdy ktoś uciekał przed czarną kulą o gruzłowatej powierzchni.

Moduł dźwiękowy w granacie uruchomił się ze stłumionym hukiem. Ćwiczeniowy pocisk wyrzucił z siebie grad symulowanych odłamków. Promienie sięgały w każdym kierunku, odbijając się od twardych powierzchni i zachowując jak ich śmiercionośne odpowiedniki.

– Dalej!

Wpadliśmy do korytarza podręcznikowo, dwiema parami. Nie było nikogo, lecz po prawej, w odległości trzech metrów, znajdowały się kolejne drzwi. Ujrzałem za nimi ruch i podbiegłem tam, trzymając karabin w gotowości. Tuż za wejściem jeden z żołnierzy Halley podnosił się właśnie, poderwałem więc broń i wystrzeliłem mu dwie serie w plecy, gdy próbował obrócić karabin. W pomieszczeniu był jeszcze jeden przeciwnik, znieruchomiał przy oknie z M-66T wycelowanym we mnie. Wiedziałem, że mnie wyprzedzi, i skuliłem się w oczekiwaniu na wstrząs, lecz gdy wróg nacisnął spust, jego karabin wciąż milczał. Rekrut wchodzący ze mną w parze wycelował ze swojej broni i obydwaj wystrzeliliśmy po salwie w drugiego obrońcę.

– Czysto – powiedziałem do mikrofonu w hełmie i po chwili do pomieszczenia weszło pozostałych dwóch członków mojego zespołu, trzymając karabiny w gotowości.

– Co jest, kurwa? – spytał drugi z żołnierzy Halley, spoglądając z konsternacją na swoją broń.

– Musiałeś oberwać tym granatem – odezwałem się.

– Gówno prawda. Byłem już za drzwiami, gdy wybuchł w korytarzu.

– Komputer mówi, że nie żyjesz, a więc nie żyjesz – rzekł mój kompan. – Nie ma sensu się kłócić.

– Koniec gadania – uciałem. – Na tym piętrze jest więcej pomieszczeń. Do roboty.

W większości przypadków akcja wyprzedzała reakcję. Oczyszcziliśmy piętro w parach, sprawdzając pomieszczenie po pomieszczeniu i strzelając do wszystkiego, co miało na sobie pancerz bojowy. Straciliśmy jednego członka zespołu, trafionego przez „rannego”

wroga, który udawał trupa, ostatecznie wykurzyliśmy jednak oddział Halley, sami działając jedynie połową stanu. Pomieszczenia nie miały żadnych barier pozwalających blokować symulowane szrapnele z wrzucanych przez nas granatów, a ludzie Halley nie znaleźli dostatecznie szybko metody przeciwko nam, gdy eliminowaliśmy ich para po parze.

– Dobra robota – powiedział sierżant Burke na kanale plutonu, gdy oczyściliśmy ostatnie pomieszczenie. – Zbierzcie graty i ustawcie się przed budynkiem. Pluton, wykonać!

\* \* \*

– Czego dowiedzieliśmy się dziś rano? – spytał nas Burke, gdy zebraliśmy się przed budynkiem, aby omówić przebieg ćwiczenia.

Dowiedzieliśmy się, że rekrut Ricci gówno wie o taktyce piechoty, pomyślałem, lecz sierżant sam sobie odpowiedział, zanim zdążyłem wysłowić swą myśl.

– Gdy się bronicie, silna pozycja jest waszym sojusznikiem, lecz może zostać obrócona przeciwko wam – oznajmił Burke. – Broniący się oddział zrobił się trochę zbyt pewny siebie przy trzecim podejściu. Znaleźli się w pułapce własnych stanowisk bojowych, ponieważ nie zabezpieczyli tylnych drzwi i nie zostawili sobie drogi wyjścia. Oddział atakujący utrzymał inicjatywę i wykorzystał rozproszenie obrońców, żeby zlikwidować ich miejscową przewagą ogniową. Oznacza to, rekrutko Halley, że wprawdzie miałaś więcej żołnierzy w obronie, jednak w praktyce nie miało to znaczenia, ponieważ byli zbyt podzieleni i rozproszeni. Zostali zneutralizowani w małych grupach przez atakujących i właśnie tak powinien wyglądać ten manewr, gdy jest wykonywany prawidłowo. Teoretycznie walczyło czterech na dziesięciu żołnierzy na korzyść twojego oddziału, lecz zespół rekruta Graysona cały czas walczył czterech na dwóch na jego korzyść. Nazywamy to „taktyką motti”. Zrozumiałaś?

– Tak jest – odparła Halley.

– Dobra robota – rzucił sierżant Burke w naszym kierunku, a mój zespół lekko się wyprężył. – Gdyby rekrut Ricci zdołał wyhodować sobie mózg i nie pozwolił sprzątnąć swojego zespołu po raz trzeci, w ogóle byłoby pozamiatane. Wygląda na to, że jednak nie wszyscy jesteście zupełnie cofnięci w rozwoju.

Ricci popatrzył z niewzruszoną miną na Burke'a, ale wiedziałem, że podczas kolacji

będzie przy stole sporo gadania.

– Halley, teraz grasz atakujących. Sformuj oddział i ruszaj do punktu etapowego – rozkazał Burke. – Ricci, niech twój oddział zajmie pozycje obronne. Zobaczmy, jak poradzisz sobie w obronie.

\* \* \*

Spędziliśmy dzień, bezkrwawo się zabijając.

Pozostawanie w obronie jest jednocześnie prostsze i trudniejsze. Możemy przygotować stanowiska bojowe oraz wykorzystać osłony i kryjówki, ale musimy też czekać, aż drugi zespół rozpocznie atak na własnych warunkach. Raz zostaliśmy zlikwidowani i dwukrotnie pokonaliśmy przeciwny oddział, mszcząc się za wcześniejsze porażki z rąk ludzi Halley. Dowódca jednego z zespołów ogniowych Halley zajął pierwsze miejsce w rankingu zabójstw, których zaliczył czternaście. Ku swojemu zaskoczeniu znalazłem się tam jako drugi, choć w pierwszych dwóch rundach nikogo nie zlikwidowałem. W sumie zadałem zabójcze obrażenia dwunastu żołnierzom Halley.

– Wygląda na to, że znalazłeś coś, w czym nie jesteś do dupy, Grayson – zauważył sierżant Burke, gdy przedstawiał plutonowi listę zabójstw. – Tylko nie myśl sobie teraz, że jesteś urodzoną maszyną do zabijania. To cholerstwo nie jest prawdziwą walką.

\* \* \*

– Za bardzo to lubisz – powiedziała w łazience plutonu Halley, gdy pod prysznicem zmywaliśmy z siebie nagromadzony przez cały dzień pot. – Dobrze się tam bawiłeś.

– Może. – Wzruszyłem ramionami, starając się nie przyglądać zbyt otwarcie jej kształtnemu tyłkowi, gdy obróciła się, by zmyć szampon z włosów.

– Jeśli nie będziesz uważał, skierują cię do Armii Terytorialnej – odezwał się z drugiej strony łazienki Ricci.

– To dlatego byłeś dzisiaj tak kiepski? – spytała Halley, a paru innych rekrutów zachichotało.

– A jak sądzisz? – odparł z uśmiechem Ricci. – Myślisz, że chcę dać im powód, żeby mnie zaszufladkowali jako „dobrze posługującego się karabinem”? To pewny bilet do AT.

– W zeszłym tygodniu byłeś też do dupy w nawigacji naziemnej – rzekłem. – I wydaje

mi się, że znalazłeś się w okolicach końca listy na kontroli walki. Czekasz na szkolenie z zarządzania biurem, żeby pokazać swoje prawdziwe umiejętności?

– Zabawne – powiedział Ricci i rzucił w moją stronę pojemnikiem mydła w płynie. Odbiłem go z powrotem i mydło upadło z brzękiem na podłogę między dwoma rzędami pryszniców. Ricci popatrzył na mnie kwaśno, przechodząc na środek łazienki, by je podnieść. Halley gwizdnęła kpiąco, gdy się pochylił. Wystawił środkowy palec, nawet nie spoglądając w jej stronę.

– Co za gnojek – mruknęła pod nosem Halley.

\* \* \*

Na następnym etapie szkolenia nie szło mi już tak dobrze.

„Tydzień powietrza i przestrzeni”, jak nazwał go sierżant Burke, zaczął się od całodniowego szkolenia z aeronautyki, systemów kokpitu oraz podstawowych zasad lotu w atmosferze i kosmosie. Całkiem nieźle rozumiałem teorię i udało mi się uzyskać dobre oceny na elektronicznym egzaminie pod koniec części odbywającej się w sali lekcyjnej, ale z jakiegoś powodu mój mózg nie potrafił dobrze przełożyć tej wiedzy na praktyczne umiejętności. Po zajęciach teoretycznych rozpoczęliśmy szkolenie na symulatorach w wielkim pomieszczeniu rozmiarów sali naszego plutonu. Każde z nas otrzymało własną dźwiękoszczelną kapsułę. Z zewnątrz wyglądała jak zgniecione jajko z wystającymi z wierzchu przewodami, gdy jednak usiadło się w środku, wewnętrzna strona skorupy przemieniała się w ogromny wyświetlacz, fotel i awionika zaś stanowiły precyzyjne repliki tych, które można było znaleźć w standardowym okręcie szturmowo-desantowym typu Osa. Wystarczyło zająć miejsce, założyć hełm oraz wpiąć się do konsoli taktycznej i kierujący symulacją komputer robił, co w swojej mocy, aby rekrut uwierzył, że leci prawdziwym pojazdem. Symulator spoczywał na siłownikach hydraulicznych, które mogły obracać kapsułę w zakresie trzystu sześćdziesięciu stopni. Gdy przeprowadzałem pierwsze ćwiczebne zejście z orbity w atmosferę, obraz znajdującej się w dole planety spowodował w połączeniu z ruchami kapsuły nieprzyjemne zawroty głowy.

Teoria była dość prosta. Drażek z prawej strony kokpitu poruszał powierzchniami sterowymi skrzydeł i ogona. Przepustnica po lewej kontrolowała ciąg silników, a przełącznik w kształcie kapturka z jej boku odpalał pędniki manewrowe, wykorzystywane podczas lotu w atmosferze. Pociągnij za drążek, dziób pójdzie w górę. Pchnij drążek, dziób

opadnie. Przechył go w lewo lub w prawo, a okręt przechylił się w tę samą stronę. Pedaly steru kierunku pod stopami kontrolowały zmianę kursu. Każda oś sterowania przemieszczała okręt wokół innej osi fizycznej, pilot zaś musiał jedynie koordynować obsługę drążka i przepustnicy, by kierować okręt tam, dokąd chciał lecieć.

– Dobry pilot okrętu desantowego potrafi nawlec Osą igłę. Świetny pilot okrętu desantowego umie to zrobić w pełni załadowaną Osą, znajdując się pod ostrzałem, z jednym silnikiem i odstrzeloną połową skrzydła – powiedział sierżant Burke, prezentując nam symulatory.

Najwyraźniej nie byłem świetnym pilotem okrętu desantowego. Nie byłem nawet dobrym. Po drugim dniu zadowoliliby mnie status przeciętnego, lecz na razie udawało mi się być tylko beznadziejnie złym. Z jakiegoś powodu moja orientacja przestrzenna zupełnie gubiła się w obcym dla organizmu stanie nieważkości, a mózg nie chciał prawidłowo zsynchronizować kontroli nad trzema osiami. Ćwiczenia polegały na podążaniu wyznaczonym kursem do strefy zrzutu, a zamontowany na hełmie wyświetlacz taktyczny dogodnie wskazywał w moim polu widzenia prawidłowe wektory oraz wskazówki nawigacyjne, gdy odczepiałem się od symulowanego lotniskowca szturmowego i spadałem w atmosferę znajdującej się poniżej planety.

Bez funkcji automatycznego lądowania ledwo udawało mi się kierować okręt w odpowiednią stronę. Przepustnica przyspieszała pojazd, który jednak poruszał się dalej zgodnie z prawami fizyki, a więc wychylenie dziobu jedynie ściągało go z osi lotu, zamiast zmienić kierunek. Szybko dochodziło do tego, że leciałem bokiem lub tyłem i nie potrafiłem określić, jak skoordynować sterowanie, by dziób znów skierowany był do przodu. Pilotowanie okrętu desantowego wymagało nieustannych korekt we wszystkich kierunkach, zupełnie jakby próbowało się biec z piłką na talerzyku deserowym utrzymywanym w równowadze na opuszkach palców. Takie umiejętności przekraczały możliwości mojego mózgu i trzeciego dnia spalałem się w atmosferze przy każdym zrzucie.

– Rekrut Grayson zniszczył do tej pory w sumie dziewięćset milionów dolarów należących do Wspólnoty – oznajmił z końcem trzeciego dnia sierżant Burke, gdy zwyczajowo omawiał zakończone właśnie ćwiczenia.

Poczułem, jak czerwienią mi się policzki, gdy niektórzy rekruci roześmiali się na tę uwagę.

– Nie martw się, Grayson – powiedział, zauważając moje zawstydzenie. – Reszta plutonu wcale nie popisała się o wiele lepiej. Nie spodziewamy się, że ktokolwiek wylądje okrętem. Staramy się po prostu określić, kto z was posiada talent pozwalający w ogóle rozpocząć właściwe szkolenie pilotażu.

Cóż, tym nie musiałem się przejmować.

\* \* \*

– Jak ci poszło? – spytałem Halley, gdy usiedliśmy na mojej pryczy po wieczornym prysznicu. Mieliśmy chwilę, by zajrzeć do naszych OTI, zanim wyłączą światła. Zwykle zbliżaliśmy wtedy głowy, by dać upust naszym frustracjom. Nie przypominała dziewczyn, które dotąd poznałem. Sama właściwie nigdy nie wspominała o własnym domu, ale po prostu wiedziałem, że nigdy nie znalazła się nawet w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od DZK. Wszystko w niej aż krzyczało o „przedmieściach klasy średniej”: proste i zadbane zęby; to, jak zwracała uwagę na wygląd nawet w naszych workowatych mundurach; sposób, w jaki trzymała sztucce na stołówce.

– Dwa razy wylądowałam okrętem – odparła cicho i uśmiechnęła się z dumą.

– Poważnie? Burke coś mówił?

– Powiedział, że mam chyba do tego rękę.

– Na to wygląda – rzekłem. – A ja przez cały dzień zamieniałem okręt w kometę.

– Cieszę się po prostu, że w czymś jestem dobra.

Zdałem sobie sprawę, że nawet jeśli przejdziemy przez szkolenie przygotowawcze, z powodu rozbieżności naszych talentów zapewne zostaniemy przydzieleni do różnych formacji, i perspektywa rozstania z Halley nagle mnie przygnębiła. Wiedziałem, że to irracjonalne – istniało tak wiele różnych pułków marines i jednostek marynarki, że niemal na pewno nie służylibyśmy razem, nawet gdybyśmy wylądowali w tym samym rodzaju wojsk – ale nie mogłem pozbyć się tego uczucia. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie dopasować się do niej wynikami, czy nie zluzować trochę ze szkoleniem piechoty, aby nie wysforować się przed nią w tej dziedzinie, ale nie byłem w stanie dorównać jej w symulatorze, a na pewno nie zamierzałem prosić jej, by popsuła swoje wyniki dla mnie. Specyfika wojska mówiła jednak, że i tak próżno było szukać metody kierującej przydziałami, zatem mimo wszystko mogliśmy skończyć blisko siebie.



Halley opowiadała o swoim pierwszym udanym symulowanym lądowaniu, a ja słuchałem i obserwowałem małe dołeczki, jakie robiły jej się na policzkach, gdy się uśmiechała.

# Rozdział 6

## Ceremonia

Ostatnie kilka tygodni szkolenia przygotowawczego to rozmazane wspomnienia ćwiczeń fizycznych – przez nas nazywanych torturami – wykładów w salach lekcyjnych, sesji w symulatorach, posiłków i krótkich intymnych chwil z Halley, wykradanych z naszych coraz bardziej napiętych planów zajęć, przy jednoczesnym wymykaniu się spod niemal nieustannego nadzoru. Nocą dyżurujący instruktor spał w biurze starszego instruktora szkolenia, a wiedzieliśmy już, że nasi sierżanci mieli lekki sen. Riley praktycznie spała z jednym okiem otwartym. Burke przesiadywał bardzo długo, odwalając papierkową robotę i nasłuchując systemu monitorującego dźwięki w sali plutonu, lecz Harris zwykle szybko zasypiał po zgaszeniu światła i spał aż do pobudki. Dzięki temu co trzecią noc nazywaliśmy „randką” i wraz z Halley przemykaliśmy w ciemności do łazienki, aby spędzić trochę czasu ze sobą z dala od oczu oraz uszu pozostałych rekrutów.

Nasza relacja nie była wcale tajemnicą. Wystarczyło, że parę osób natknęło się na nas w łazience o drugiej rano, by dowiedzieli się wszyscy, i przypuszczałem, że wieści mogły dotrzeć też do instruktorów. Z jakiegoś jednak powodu nie wprowadzano w życie żadnych środków uniemożliwiających nam wymykanie się dwie lub trzy noce w tygodniu do łazienki, a inni rekruci weszli z nami w swoiste niepisane porozumienie. Nie zostało nas wielu, na tydzień przed zakończeniem szkolenia pluton skurczył się do dwunastu osób. Nasz stół w jadalni wciąż był nieźle obsadzony, ponieważ straciliśmy tylko Cunningham. Wszyscy pozostali przetrwali: Halley, Hamilton, Garcia, Ricci i ja. Hamilton nadal dowodziła plutonem i to ona miała nieść proporczyk mocno przerzedzonego tysiąc sześćdziesiątego szóstego podczas ceremonii zakończenia.

Gdy w wieczór poprzedzający uroczystość maszerowaliśmy na ostatnią wspólną kolację, w każdym calu wyglądaliśmy na kończących kurs: wysportowani i sprawni, z butami wypolerowanymi na błysk, idący w jednym tempie. Szliśmy obok świeżo przybyłych plutonów, grupiek zdumionych długowłosych dzieciaków w cywilnych ubraniach, oni zaś spoglądali na nas tak, jak my patrzyliśmy na doświadczonych rekrutów

niemal trzy miesiące wcześniej.

\* \* \*

W końcową noc szkolenia dyżur pełniła Riley. Halley i ja już pogodziliśmy się z rozczarowaniem, że nie będziemy mogli na pożegnanie pobrykać w łazience, gdy Riley wzięła swój OTI z biura starszego instruktora szkolenia i zgasiła światło.

– To wasza ostatnia noc – oznajmiła, gdy czekaliśmy przy szafkach na rozkaz udania się na spoczynek. – Dotarliście aż dotąd. Mam nadzieję, że nikt z was nie będzie na tyle głupi, żeby wywinąć jakiś idiotyczny numer, za który wywalą was tuż przed ukończeniem szkolenia – powiedziała i uśmiechnęła się lekko.

Naprawdę lekko, jednak był to pierwszy raz, gdy na jej twarzy zobaczyłem coś innego niż tylko wiecznie surową minę.

– Zróbcie sobie małą imprezę, jeśli chcecie – rzekła do nas Riley, gdy patrzyliśmy po sobie z niedowierzaniem. – Tylko bądźcie cicho i pamiętajcie, żeby być tam, gdzie powinniście, gdy przyjdzie czas pobudki. Dobrej nocy, plutonie.

Obróciła się, wsunęła OTI do bocznej kieszeni spodni i wyszła z sali.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, gdy zamknęły się za nią drzwi.

– Słuchajcie, mam pomysł – zaproponowała ze śmiechem Hamilton. – Może wyciągnijmy wszystkie pyszności.

Wszyscy wynosiliśmy już wcześniej jedzenie ze stołówki, pomimo upomnień instruktorów. Z powodu ćwiczeń całym plutonem oraz na pokładzie rufowym staliśmy się szczupli i wiecznie głodni, a godziny posiłków były po prostu zbyt oddalone od siebie, aby nasz metabolizm to znosił. Za każdym razem, gdy serwowano deser, który dało się łatwo przenosić, wielu rekrutów brało dokładki, owijało nielegalne pączki lub kawałki ciasta w serwetki i chowało w kieszeniach spodni. Instruktorzy nie byli oczywiście głupi, lecz przymykali na to oko.

Zebraliśmy ukryte rezerwy jedzenia na jednej z pustych prycz. W sumie złożyły się na solidny przegląd wszystkich deserów podawanych w minionym tygodniu. Mieliśmy różne rodzaje pączków i ciastek, mnóstwo świeżych owoców, kawałki czekoladowego ciasta, a nawet parę lekko zgniecionych fragmentów szarlotki. Nie dysponowaliśmy oczywiście niczym do picia, lecz w poidelku w łazience leciała zimna i czysta woda, my zaś tak

byliśmy podekscytowani czekającą nas nocą bez nadzoru i ceremonią ukończenia kursu, że smakowała nam jak zimne piwo.

Zjedliśmy zgromadzone jedzenie, nie przejmując się podsuszonymi tygodniowymi pączkami, i przepijaliśmy do siebie zimną wodą, jako naczynia wykorzystując kubki na szczoteczki do zębów. Skoro na jedną noc zniesiono nam ograniczenia, rozmawialiśmy i żartowali, jakbyśmy byli w stołówce. Nigdy nie mieliśmy okazji pogawędzić z kolegami z plutonu bez kręcącego się w pobliżu instruktora i dziwnie było wreszcie móc to zrobić po dwunastu tygodniach w towarzystwie „przyzwoitek”.

Później Halley i ja wycofaliśmy się na jedną z pustych prycz przy tylnej ścianie. Musieliśmy znieść trochę życzliwych kuksańców ze strony reszty, gdy konstruowaliśmy sobie osłonę z szorstkich koców, wieszając je na ramie górnej pryczy. Po zakończeniu budowy prywatnej kryjówki wślizgnęliśmy się na dolne łóżko, osłonięte teraz z trzech stron. Brzydkie przydziałowe piżamy wylądowały na podłodze i wreszcie mieliśmy trochę czasu, by nacieszyć się sobą na prawdziwym materacu, zamiast obściskiwać pośpiesznie w kącie łazienki, cały czas nasłuchując nadchodzących kroków. Koledzy z plutonu trochę gwizdali i komentowali, lecz byliśmy zbyt zajęci sobą, by zwracać na to uwagę, i po chwili zostawili nas w spokoju.

\* \* \*

– Pozostaniemy w kontakcie, prawda? – spytała Halley później, gdy leżeliśmy na cienkim materacu. Przypomniałem sobie pierwotnego lokatora tej pryczy, chłopaka, który wyleciał po trzech tygodniach za „problemy z dostosowaniem”.

– Oczywiście – odrzekłem. – Będziemy pisać do siebie przez MilNet.

– Szkoda, że przygotowawcze nie jest o miesiąc czy dwa dłuższe – powiedziała, a ja się roześmiałem.

– Myślałem, że aż się gotujesz, żeby się stąd wyrwać.

– Owszem. Nie miałabym jednak nic przeciwko, żeby spędzić z tobą jeszcze trochę czasu, głupolu. Nawet wytrzymałabym parę tygodni biegania i ćwiczeń na rufie.

– Ooo, to takie słodkie – odparłem i oboje się zaśmialiśmy.

– A poważnie – przyznała Halley – to chciałabym, żeby tak się stało, jednak nie sądzę, żebyśmy mieli szansę trafić do tej samej jednostki. Chcę dostawać od ciebie mejle co

tydzień, słyszysz? Chcę wiedzieć, że nie dałeś odstrzelić sobie głowy w jakiejś zawszonej kolonijce na zadupiaстым krańcu znanej Galaktyki.

– Przecież wcale mogą mnie nie wysłać do marines. Mogę skończyć jako kwatermistrz na lotniskowcu. Przez następne cztery lata będę wydawał ręczniki i spinacze.

– Daj spokój – powiedziała. – W marynarce jest pięćset dużych okrętów i wszystkie są tak zautomatyzowane, że wystarczy im dziesięcioosobowa załoga. Mamy natomiast setki skolonizowanych światów i każdy z nich potrzebuje garnizonu marines wielkości przynajmniej kompanii. Wszyscy skończymy w marines.

– Nie obchodzi mnie to. Cokolwiek, żeby wyrwać się z Ziemi.

– Hej, a ja polubiłam to miejsce. To przecież dom, czy nie? W sensie, że smog, przemoc i w ogóle.

– Poważnie? – rzuciłem. – Chcesz powiedzieć, że nie zamieniłabyś jej na szansę odetchnięcia świeżym powietrzem na jakiejś kolonii? Podobno istnieją osiedla tak małe, że na całej planecie mieszka tysiąc osób. Możesz to sobie w ogóle wyobrazić?

– Tak, mogę. – Spuściła wzrok i uśmiechnęła się. – Mój wujek i jego rodzina kilka lat temu dostali się na jeden ze statków kolonizacyjnych. Wygrali w dziesięciostanowej loterii. Teraz mają dwieście hektarów na Laconii. Co jakiś czas przysyłają zdjęcia.

– Moglibyśmy połączyć środki, gdy wyjdziemy z woja.

– Po co? – Roześmiała się. – Żeby wykupić miejsce na statku kolonizacyjnym i uprawiać skrawek piachu na drugim końcu wszechświata?

– Pewnie. Czemu nie? Co innego zamierzasz robić po zakończeniu kontraktu? Wrócić do domu i kupić mnóstwo rupieci, oglądać sieciowizję, dopóki nie zgnije ci mózg, i zakładać maskę przy dużym smogu?

Zachichotała.

– Właśnie to zamierzałam robić, ale skoro tak ująłeś sprawę...

Spojrzała na mnie, odnajdując wzrokiem moje spojrzenie, i znów zrobiła poważną minę.

– Jeszcze pięćdziesiąt siedem miesięcy, Grayson. To dużo czasu. A jeszcze więcej w takiej robocie. – Położyła mi dłoń na policzku. – Spróbuj przetrwać następne pięć lat, a

wtedy zobaczymy, dobrze?

Wiedziałem, że spędzimy te pięć lat w różnych zakątkach wszechświata. Oboje byliśmy świadomi, że wojsko nie jest dobrym miejscem na zdobycie lub utrzymanie partnera. Zapewne prześpi się w końcu z jakimś oficerem o wydatnej szczęce, a może nawet z paroma po kolei, a i ja będę miał swoje skoki w bok. Gdy nadejdzie pora odejścia ze służby, być może będziemy dla siebie już tylko wyblakłym i przyjemnym wspomnieniem. Miło było jednak o tym myśleć, zresztą dysponowaliśmy teraz świeżymi wspomnieniami z ostatnich tygodni, cieszyłem się więc chwilą.

– Zobaczymy się po zakończeniu kontraktu – stwierdziłem. – Przynieś swoją wypłatę, a ja przyniosę swoją.

\* \* \*

W dniu ukończenia szkolenia świt rozświetlał bezchmurne niebo.

Wstaliśmy na długo przed pobudką, przywracając salę plutonu do wymaganego stanu i kolejny raz polerując buty oraz sprzączki pasków do nieskalanego błysku.

Pomaszerowaliśmy na stołówkę, by zjeść ostatni posiłek szkolenia przygotowawczego. Po śniadaniu wróciliśmy do sali zdjąć zielono-niebieskie mundury i włożyć uniformy galowe, które otrzymaliśmy przed kilkoma dniami. Sierżant Burke wyjaśnił, że mundury klasy A nie są wydawane wraz z resztą wyposażenia na początku kursu, ponieważ są zbyt kosztowne, by marnować je na ewentualnych kandydatów do wywalenia, a poza tym rekruci tracili tyle wagi i nabierali tyle mięśni podczas szkolenia, że dopasowany na początku uniform po dwunastu tygodniach wisiałby na swym właścicielu jak namiot.

Już jakiś czas przed ceremonią ukończenia zaczęliśmy się do niej przygotowywać. Nasz pluton, a przynajmniej to, co z niego zostało, miał wmaszerować na plac defilad za proporczykiem i sprawnie zająć wyznaczone miejsce obok innych kończących plutonów. Następnie dowódca wygłaszał krótkie przemówienie, my wszyscy składaliśmy przysięgę, po czym następowały wyróżnienia i awanse za doskonałe wyniki podczas kursu. Przez cały ten czas mieliśmy stać w słońcu i przez godzinę słuchać gadającej wierchuszki, później zaś wrócić do swych sal, by spakować wyposażenie i odebrać przydziały służbowe. Wszyscy chcieli oczywiście wiedzieć, w jakiej formacji wojsk wylądują i czym będą się zajmować, więc cała pompa i ceremoniał w znacznej mierze były dla nas jedynie bezcelową torturą,

nauczyliśmy się jednak trzymać gęby na kłódkę i wykonywać rozkazy.

Pomimo prób nie byliśmy przygotowani na widok głównego placu defilad, na który wchodziliśmy za sierżantem Burkiem oraz naszą dowodzącą Hamilton, trzymającą proporczyk.

Plac mógł mierzyć około ośmiuset metrów z każdej strony i był wypełniony szeregami kończących szkolenie plutonów. Setki proporczyków powiewały na lekkim porannym wietrze, dzięki czemu cały majdan wyglądał jak wielokolorowy płócienny las. Trzymaliśmy tempo i głowy w górze, ale sama liczba zgromadzonych na placu ludzi była dość szokująca po dwunastu tygodniach wymuszonej segregacji.

Znaleźliśmy swoje miejsce w szeregu. Pozostała dwójka instruktorów, sierżanci Riley i Harris, już tam czekali. Stanęliśmy w szyku składającym się z setek plutonów. Gdy wszyscy kończący szkolenie rekruci wmaszerowali już na plac i zajęli pozycje, przed ustawionym pośrodku podium były nas już tysiące. Wszyscy mieliśmy na sobie mundury klasy A, które kazano nam zwrócić zaraz po uroczystości, i wyglądaliśmy smukło oraz czujnie.

Przemowa okazała się oczywiście punktem obowiązkowym. Dowódca ośrodka szkoleniowego mówił na szczęście litościwie krótko, wspominając o obowiązku, poświęceniu oraz wyzwaniach czekających na nas pośród gwiazd. Wszystko to było, rzecz jasna, stekiem napuszonych bzdur i dobrze to wiedzieliśmy, ale do tej pory nauczyliśmy się, jak stać na baczność i słuchać.

Następnie złożyliśmy przysięgę. Słuchanie kilku tysięcy głosów skandujących wspólnie te same słowa okazało się niemal mistycznym przeżyciem:

– Uroczyście przysięgam służyć wiernie Wspólnocie Północnoamerykańskiej i z odwagą bronić jej praw oraz wolności jej obywateli.

Byliśmy już zaprzysiężonymi, czynnymi żołnierzami sił zbrojnych Wspólnoty Północnoamerykańskiej, absolwentami szkolenia przygotowawczego, dziesięcioma procentami tych, którzy przetrwali dwanaście tygodni nieustannych ćwiczeń, wykładów, sprawdzianów fizycznych oraz teoretycznych, a także scenariuszy sprawdzających podatność na stres. Byliśmy gotowi, aby wysłano nas we wszechświat, gdzie będziemy mieli okazję walczyć i umierać za Wspólnotę. Pozostała tylko jedna rzecz: dowiedzieć się, gdzie wojsko postanowiło najlepiej nas wykorzystać.

Wróciliśmy do sali plutonu. Nasze szafki były już opróżnione, ponieważ wyposażenie spakowaliśmy do worków i plecaków. Instruktorzy stali na środku sali, my zaś weszliśmy do środka z zamiarem zajęcia naszych zwyczajowych pozycji na baczność przy szafkach, lecz sierżant Burke machnął ręką.

– Spocznij. Szkolenie przygotowawcze zakończyło się przed trzydziestoma minutami. Zbierzcie się wokół nas, żeby odebrać przydziały.

Sierżant Harris podał mu stertę wydrukowanych formularzy. Wszyscy stłoczyliśmy się w oczekiwaniu. Wyznaczyli nam przydziały i teraz mieliśmy się dowiedzieć, gdzie oraz jak spędzimy następne pięćdziesiąt siedem miesięcy służby wojskowej.

– Garcia... Marines. Drugi Batalion Piątej Brygady Marines. Po wcieleniu do piechoty morskiej idziesz do szkoły czołgistów.

Garcia przyjął formularz z uśmiechem, a Burke uściśnął mu dłoń.

– Dobra robota. Kennedy... Marines. Pierwszy Batalion Siódmej Brygady Marines. Szkoła piechoty.

Kennedy odebrał rozkazy, uściśnął sierżantowi dłoń i opuścił tłumek oczekujących rekrutów, by wziąć swoje rzeczy.

– Halley... Marynarka.

Zaczęliśmy wiwatować. Wszyscy tak naprawdę chcieli się dostać właśnie do floty. Uśmiechałem się, gdy podchodziła po przydział. Sierżant Burke wyciągnął kolejny formularz i położył na rozkazach Halley, zanim oddał jej całość.

– Będziesz latać na okrętach desantowych. Od tej chwili awansujesz również na E-2. Zdobyłaś najwyższe sumaryczne wyniki w testach. To spore osiągnięcia. Od trzech cykli żaden z moich absolwentów nie trafił do marynarki.

– Dziękuję, sir – powiedziała Halley, a jej twarz jaśniała podnieceniem. Poczułem ukłucie zazdrości, bo zapewne miała od razu zgłosić się do Szkoły Floty i nie minie tydzień, jak ujrzy Ziemię z przestrzeni.

– Ricci... Marines. Trzeci Batalion Trzeciej Brygady Marines. Polowa artyleria samobieżna. Postrzelasz sobie.



Spodziewałem się, że na przydział do marines zareaguje spełnieniem swej obietnicy i natychmiast zrezygnuje z kontraktu, ale Ricci jedynie odebrał rozkazy od sierżanta Burke'a i zasalutował sprężyście, po czym odszedł na bok.

– Grayson – oznajmił Burke. Poczułem, jak skręca mi się żołądek, gdy czekałem na ogłoszenie wyroku w sprawie moich dalszych losów. – Armia Terytorialna. Gratulacje, zostajesz na Ziemi.

\* \* \*

W plutonie tysiąc sześćdziesiąt sześć zostało dwanaścioro rekrutów i jedenaścioro z nich leciało w przestrzeń. Tylko ja miałem służyć na Ziemi, wykonując najpaskudniejszą robotę w siłach zbrojnych: sprzątać śmieci dla WPA.

Pozostałem niewzruszony, słuchając słów Burke'a, lecz moim pierwszym odruchem była chęć uderzenia go w twarz. Gratulacje? Nie sądziłem, bym dał mu powód, aby mnie nie lubił, przynajmniej nie bardziej niż innych rekrutów, lecz zabrzmiało to tak, jakby ze mnie kpił.

Bez entuzjazmu zebrałem rzeczy, wciąż nie mogąc pogodzić się z wieścią, że jednak nie polecę w przestrzeń. Mimo to przeszedłem przez szkolenie przygotowawcze. Pragnąłem konta bankowego i nie chciałem marnować całego wysiłku, który już włożyłem w wojsko, powstrzymałem więc chęć, by cisnąć rozkazami pod nogi Burke'a. Alternatywą był prom wracający do DZK, a cokolwiek AT dla mnie przewidziała, nie mogło być gorsze od blokowiska.

– Grayson – powiedział Burke, gdy zarzucałem worek na ramię.

– Sir. – Zsunąłem worek z ramienia, by stanąć na baczność, lecz machnął ręką.

– Spocznij. Nie wydajesz się zbyt zadowolony z przydziału.

– Nie, sir – przyznałem, starając się nie wyglądać na przygnębionego.

– Nie ma nic złego w Armii Terytorialnej. Sam do niej należałem, zanim przydzielono mnie do szkolenia.

– Nie mogłem się doczekać wylotu w przestrzeń, sir. AT dostaje same gówniane zadania.

Sierżant Burke popatrzył na mnie i prychnął, kręcąc głową.

– AT to prawdziwe wojsko – rzekł. – Pozwól, że powiem ci coś o przydziałach w przestrzeni. Goście z marynarki spędzają służbę na myciu pokładów w pozbawionych okien metalowych rurach. Marines grają z ZCR w kabuki, kompania przeciwko kompanii, jakby to był jakiś pieprzony mecz sportowy. To nie żołnierka, tylko walenie konia. Tak są przekonani, że stanowią szpicę wszelkich działań, ale wiesz co? Każda kompania AT, w której służyłem, mogłaby wytrzeć podłogę dowolną kompanią marines. Wiesz dlaczego AT dostaje same gówniane zadania? Bo nikt inny by sobie z nimi nie poradził. Idź do autobusu – polecił, wskazując głową drzwi. – Nie słuchaj tych przyszłych kosmicznych kierowców i kolonialnych wartowników, gdy będą się przechwalać, jakie to mają szczęście. Na razie gówno wiedzą, i ty też. A teraz spadaj stąd i zapomnij o tym, czego „nie mogłeś się doczekać”. To wojsko i nikogo nie obchodzi, czego my chcemy. Dostajemy to, co nam dają, i prosimy o dokładkę. Tak to działa.

\* \* \*

Autobus czekał, by zabrać nas na lądowisko promów. Jazda do bazy przed trzema miesiącami była samotnym doświadczeniem, a przerażeni i zaniepokojeni rekruci siedzieli jak kołki w płocie. Teraz podróż przypominała bardziej imprezę towarzyską i korzystaliśmy z okazji, by ostatni raz porozmawiać z kolegami z plutonu.

– Przeżyjesz jakoś? – spytała Halley, obserwując, jak czytam wydrukowane rozkazy. Miałem zgłosić się do swojej jednostki Armii Terytorialnej w Forcie Shughart w stanie Ohio. Ona wstępowała do marynarki nad Wielkimi Jeziorami.

– Tak – odparłem. – Poradzę sobie. I tak przecież nie spodziewałem się pięciu lat w krainie mlekiem i miodem płynącej.

– Tylko się nie wychylaj. Chcę co tydzień dostawać od ciebie mejla.

– Będiesz na okręcie marynarki – rzekłem. – Możesz tygodniami nie mieć dostępu do sieci.

– A ty i tak masz wysyłać wiadomości – oznajmiła Halley. – Będę sprawdzać daty. A jeśli pozwolisz się zabić, będziesz miał ze mną poważne kłopoty.

– Zapamiętam. – Wyszczrzyłem zęby. – I nawzajem.

Na lądowisku promów pożegnaliśmy się. Przyszli marines lecieli wspólnie do Camp Puller, gdzie szkolili się wszyscy nowi członkowie piechoty morskiej z terenów na wschód

od Missisipi. Nie trafialiśmy na ten sam prom.

– Uważaj na siebie – powiedziałem.

– Ty też.

Pocałowaliśmy się ostatni raz, teraz bardziej jak brat i siostra. Obserwowałem, jak idzie do swojej bramki z workiem na ramieniu.

I oto znalazłem się w tym samym miejscu co przed dwunastoma tygodniami, kiedy wsiadałem na prom w punkcie mobilizacyjnym: samotny, pełen lęku i niemający pojęcia, co przyniosą następne dni.

# Rozdział 7

## Witamy w batalionie

Moją nową jednostką była kompania Brawo 365. Samodzielnego Batalionu Piechoty należącego do Trzeciej Dywizji Piechoty. Batalion stacjonował w Forcie Shughart, masywnej bazie na przedmieściach metropleksu Dayton. AT wydawała się bezlitośnie skuteczna – spodziewałem się powtórki z administracyjnego zółwiego tempa pierwszego dnia mojej wojskowej kariery, a tymczasem w ciągu trzydziestu minut od przyjazdu wojskowym autobusem z lądowiska w Dayton zostałem skierowany do budynku kompanii, przydzielony do oddziału, otrzymałem szafkę oraz pryczę w jednym z pokoiów oddziałów.

Podczas szkolenia przygotowawczego mieszkaliśmy całym plutonem w jednej wielkiej sali. Tu, w kompanii Brawo, oddziały kwaterowały w pokojach. Oficerowie i podoficerowie otrzymywali prywatne pomieszczenia, lecz szeregowcy musieli mieszkać wspólnie, po cztery osoby w sali, w której znajdowały się dwie podwójne prycze, cztery szafki i stół z czterema krzesłami. Budynek był stary, ale dobrze utrzymany – farba wypłowiwała, a polimerowa wykładzina podłóg wytarła się, lecz wszędzie było czysto. Na każdym piętrze umieszczono wspólną łazienkę, a toalety i prysznice zostały oddzielone przepierzeniami.

Gdy wszedłem do przydzielonego mi pokoju, koledzy z oddziału siedzieli przy stole, grając w karty. Obrócili się, a ja pomachałem im na przywitanie. Dwoje z nich było chłopakami, a trzecie – bardzo ładną dziewczyną.

– Grayson – przedstawiłem się. – Zaraz po przygotowawczym. Chyba jestem nowy w waszym oddziale.

– Właż – powiedział jeden z chłopaków.

Przyglądali mi się z ciekawością, niewątpliwie oceniając.

– Tam masz szafkę. – Wskazał po swojej lewej, gdzie pod ścianą stał rząd szafek. – Tę najbliżej okna.

– Dzięki.

Podszedłem do szafki i otworzyłem drzwiczki. Na wieszaku wisiały już przydziałowe sorty mundurowe, a wewnątrz było zorganizowane z precyzją znaną z obozu szkoleniowego. Na dolnej półce stała nawet schludnie para zupełnie nowych butów.

– Już jest zajęta – rzekłem, a moi nowi kompani zachichotali.

– To twoje nowe wyposażenie. Zaopatrzenie dostało twoje dane, gdy tylko przydzielili cię do pułku. Zawczasu pakują ci szafkę.

– To wygodne.

W środku szafki zostały urządzone tak samo jak na przygotowawczym. Włożyłem swoją mizerną kupkę osobistych ubrań i rzeczy do jedynej wolnej szuflady. Była tam zamykana przegródka na cenne przedmioty, zawierająca OTI – znacznie mniejszy i cieńszy model niż te, które wydawano na przygotowawczym. Wyciągnąłem komputer i włączyłem. Okazało się, że na ekranie głównym znajdował się już mój osobisty login. Zobaczyłem tam również opcje, których nie widziałem wcześniej – standardowy OTI miał pełną łączność z siecią, w przeciwieństwie do ograniczonych modeli ze szkolenia, które pozwalały nam porozumiewać się jedynie z instruktorami i pozostałymi członkami plutonu.

– Jesteśmy już po służbie – powiedział za moimi plecami jeden z nowych kolegów. – Możesz nie spieszyć się z układaniem rzeczy. Stołówka będzie jeszcze otwarta czterdzieści pięć minut, jeśli chcesz coś przegryźć.

– Dzięki.

Kompani z oddziału mieli na sobie terytorialną wersję indywidualnego munduru bojowego. Kamuflaż był inny dla każdej formacji: marines mieli wielobarwny wzór zmieniający się w zależności od otoczenia, marynarka – niebiesko-szary, wyglądający jak ilustracja z podręcznika do geometrii, Armia Terytorialna zaś wydawała wzór pikselowy, składający się z czerni, szarości oraz wyblakłej zieleni, czyli barw miejskiego pola bitwy. Ze wszystkich przydziałowych kamuflaży ten wyglądał najbardziej złowieszczo i profesjonalnie. Przebrałem się w IMB, by nie wyróżniać się na tle reszty. Nowe buty miały odpowiedni rozmiar, lecz irytująco skrzypiały, jak cywilne. Musiała minąć większość okresu szkolenia wstępnego, by przydziałowe obuwie dopasowało mi się do stóp, a teraz trzeba było rozpocząć ten proces od nowa.

– Gdzie przechodziłeś przygotowawcze? – ktoś spytał i wskazał puste krzesło.

Podszedłem do stołu i usiadłem.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nigdy nam nie powiedzieli, a ja nigdy nie pytałem.

– Bagna, pustynia z krzakami czy nic poza polami kukurydzy?

– Pustynia z krzakami – odparłem.

– OSWPA Orem – powiedział inny żołnierz. – Też się tam szkoliłem. Nie było źle. Nie ma robali i wilgoci, które muszą znosić biedne gnojki z OSWPA Charleston.

Wszyscy moi współlokatorzy mieli na kołnierzykach szewrony. Jedna osoba była E-2, z jednym szewronem, druga E-3, czyli starszym szeregowym, z szewronem oraz belką pod spodem. Zwykle nie dostawało się E-2 zaraz po przygotowawczym, chyba że osiągnęło się najwyższe wyniki w batalionie szkoleniowym, jak Halley, a awanse na E-3 nigdy nie zdarzały się przed upływem roku czynnej służby. Trzeci żołnierz był E-4, kapralem.

– Jestem jedynym nowym w tym oddziale? – spytałem.

– Yhm – potwierdziło jedno z nich. – Nasz pluton dostał w tym cyklu chyba cztery osoby, w tym ciebie. Od czasu do czasu dołączają w ten sposób nowych, żeby łatwiej im było się wdrożyć. Grayson, zgadza się?

– Tak.

Żołnierz naprzeciwko mnie wyciągnął dłoń, uścisnąłem ją.

– Jestem Baker. Ten pieprzony oszust próbujący podejrzeć mi karty to Priest, a ta z kucykiem to Hansen.

Skinąłem każdemu z nich po kolei.

– Masz szczęście, Grayson. Jesteś w oddziale z najlepszym dowódcą w całym batalionie.

– W całej brygadzie – sprostowała Hansen. Miała oczy w kształcie migdałów i bardzo białe, równe zęby, świadectwo lepszej opieki stomatologicznej, niż można było znaleźć w promieniu piętnastu kilometrów od DZK.

– Naprawdę? Jak on się nazywa?

– Ona. – Priest zrezygnował z prób zapuszczania żurawia w karty Bakera i rozparł się

na swoim krześle. – Sierżant sztabowy Fallon. Kiedyś była starszym sierżantem sztabowym, ale zdegradowali ją za uderzenie oficera.

– Wydawało mi się, że za uderzenie starszego stopniem wylatuje się z woja – skomentowałem, wyczuwając wojskową legendę.

– Owszem – przyznała Hansen. – Chyba że ma się na koncie Medal Honoru. Nikt nie pozbywa się bohaterów. Byłaby to porażka wizerunkowa.

– Medal Honoru? – powtórzyłem po Hansen, a na widok niedowierzania na mojej twarzy pozostała trójka uśmiechnęła się szeroko. – Żartujecie, prawda?

Medal Honoru, najwyższe wojskowe odznaczenie za odwagę, był zawsze wręczany osobiście przez prezydenta Wspólnoty. Z tego, co mówił nam na obozie przygotowawczym sierżant Burke, w dziewięciu przypadkach na dziesięć prezydent przypinał go do trumny owiniętej we flagę.

– W żadnym razie. Dostała go po wypadzie WPA do kontynentalnych Chin przed kilkoma laty, po bitwie o Dalian. Jeśli dają ci medal, możesz poprosić o dowolny przydział w całych siłach zbrojnych, a Fallon zaraz po wyjściu ze szpitala wróciła od razu do swojej starej jednostki.

– Nieźle zakręcone. Jest taką sztywniarą?

– Wcale nie. Nie ma cierpliwości do próżniaków, ale jeśli robisz swoje i sprawiasz wrażenie, że kumasz, co się dzieje, nie czepia się.

– To nie brzmi tak źle – powiedziałem. – Spodziewałem się... Kurczę, nie mam pojęcia, czego tak naprawdę się spodziewałem.

– Spodziewałeś się czegoś na kształt karnej kolonii? – podsunął przyjaźnie Baker. – Gdy powiedzieli ci, że idziesz do AT, sądziłeś, że wyciągnąłeś najgorszą kartę z całej talii, co?

Nie było sensu zaprzeczać, więc przytaknąłem.

– Wszyscy tak z początku sądzą. My też. Jednak to dobra jednostka. Nasi sierżanci znają się na rzeczy, a oficerowie zwykle się nie wtrącają. Wykonujemy robotę i pilnujemy sobie nawzajem tyłków. Jestem w AT od niemal dwóch lat i nie wziąłbym przydziału do garnizonu w kolonii, nawet gdyby płacili podwójnie.

Pozostali pokiwali potwierdzająco głowami.

Wciąż czułem rozczarowanie, że nie poleciałem w przestrzeń, i nie miałem pojęcia, czy za dwa lata będę podobnie myślał o AT. To miejsce miało być jednak moim domem, dopóki nie odsłużę kontraktu, uznałem więc, że muszę jak najlepiej je wykorzystać.

– Grasz w karty, Grayson? – zapytała Hansen.

– Pewnie – odparłem, przybliżając krzesło do stołu.

\* \* \*

Poranna pobudka odbyła się na spokojnie. Sygnał dobiegł z głośników na suficie i wszystkich OTI o piątej czterdzieści pięć, czyli niemal godzinę później niż na szkoleniu przygotowawczym. Od razu wyskoczyłem z łóżka i wyciągnąłem z szafki osobisty zestaw higieniczny, by pójść do łazienki, ale moi współlokatorzy nie wydawali się spieszyć.

– Nie tak szybko – poradził Baker, gramoląc się z łóżka. – Nikt nie przyjdzie nas pilnować czy coś. Stołówka otwiera się o szóstej, a rozkazy dostajemy o siódmej. Nie trzymają cię za rękę i nie popędzają jak na przygotowawczym.

– AT zakłada, że potrafisz sam zebrać się rano do kupy – dodał z pryczy nad moją Priest. – Nie przegap tylko rozkazów przed budynkiem o siódmej, bo wpadniesz w głębokie gówno.

– Kapuję – odparłem.

Dziwnie się czułem pozostawiony rankiem samemu sobie. W domu nigdy nie wstawałem przed dziewiątą lub dziesiątą, lecz dwanaście tygodni obozu przygotowawczego zrobiło ze mnie rannego ptaszka. Nie mieliśmy podczas niego swobody – ponieważ rekrutów było dwa razy więcej niż umywalek, toalet i pryszniców, nikt nie miał czasu na poranne opieprzanie się – istniało jednak pewne poczucie celowości. Można było po prostu wyłączyć mózg i podążać za stadem, a powtarzalność zachowań dawała wygodę. Teraz musiałem znów zerkać na zegarek i zarządzać własnym harmonogramem, a choć lubiłem nie spieszyć się przy umywalce lub w toalecie, stwierdziłem, że trochę brakuje mi sztywnej struktury przygotowawczego.

Zrobiłem więc to samo co od chwili, gdy wysiadłem z autobusu w OSWPA Orem – podążyłem za stadem.



Moi współlokatorzy nie wydawali się mieć nic przeciwko, gdy powlokłem się w ich towarzystwie do stołówki. Stałem za nimi w kolejce, co oszczędziło mi konieczności wybierania stolika, a później siedzenia samotnie. Ładując tacę, jednym okiem zerkąłem na pozostałych, a później podszedłem, by usiąść obok nich.

Przy stoliku siedzieli również inni żołnierze, których jeszcze nie znałem, i przez chwilę zastanawiałem się, czy jednak nie pójść gdzieś indziej. Wtedy Hansen dostrzegła mnie i przywołała gestem.

– No, nie wstydz się. Siadaj, przedstawię cię reszcie oddziału.

Odsunęła krzesło, a ja postawiłem tacę na stole i usiadłem.

– Chłopaki i dziewczyny, to szeregowy Grayson. Dopiero co wprowadził się do tej dzielnicy. Grayson, to oddział. Ta czwórka błaznów zajmuje pokój obok naszego.

Pozostali członkowie oddziału ocenili mnie wzrokiem, podobnie jak wczoraj moi współlokatorzy, a ja skinąłem im głową.

– Dzięki Bogu – powiedział jeden z nich. – To znaczy, że oficjalnie nie jestem już pieprzonym nowym. Jestem wdzięczny, Grayson.

– Miło mi – odparłem. – Tylko pamiętaj, żeby przekazać mi podręcznik, dobra?

– Nie ma tego za wiele. Trzeba zaopatrywać lodówkę w pokoju i pilnować, żeby reszta miała co rano lśniące buty.

– Nie słuchaj Phillipsa – rzekła Hansen. – Gdyby ta robota wymagała robienia czegoś dobrze, zostałyby wylany na drugi dzień.

Hansen po kolei przedstawiła mi resztę oddziału. Phillips był wysokim, piegowatym gościem o szpeceniastych rudych włosach i w okularach z małymi, okrągłymi soczewkami. Jackson była równie wysoką i chudą czarną dziewczyną. Miała pod oczyma ciekawe tatuaże z jakimiś plemiennymi wzorami. Stratton, o wydatnej szczęce, przypominał modela z plakatu werbunkowego i wyglądałby wyjątkowo groźnie w swej perfekcji, gdyby nie był najniższym członkiem oddziału. Był niższy od wszystkich, i to o pół głowy. Ostatni był Paterson, którego ścięte na zapałkę włosy nie do końca skrywały fakt, że jużłysiał. Jackson była kapralem, Stratton i Paterson starszymi szeregowcami, a Phillips – jednoszewronowym szeregowym. Jako jedyny członek oddziału nie miałem na kołnierzyku oznaczenia stopnia.

– To nie jest jednostka szkoleniowa – powiedziałem. – Spodziewałem się trochę bardziej zaawansowanego treningu. Wszyscy pozostali rekruci z mojego plutonu poszli do jakichś szkół.

– Nie, to batalion polowy – odrzekła Jackson. – Piechota AT nie musi wysyłać ludzi do szkół. Masz umiejętności z przygotowawczego, a robota piechoty to po prostu więcej tego wszystkiego, tyle że z ostrą amunicją. Nauczysz się przy nas, w polu.

– Mamy dość aktywny batalion – dodał Stratton. – Raz czy dwa razy w miesiącu idziemy do akcji. Pewnie trafisz do walki, zanim wyrobisz sobie te nowe buty.

Zachichotałem, lecz chyba żaden z siedzących przy stole żołnierzy nie wydawał się żartować, więc śmiech jakoś uwiązł mi w gardle.

\* \* \*

– A więc to ty jesteś ten nowy – stwierdziła sierżant sztabowy Fallon, gdy weszła do naszego pokoju. Była niska, zbierała ciemne włosy w kucyk i wyglądała na tak twardą, że zapewne bez większych problemów pobiłaby połowę oddziału. Rękawy jej IMB były podwinięte jak u instruktorów na przygotowawczym, a mięśnie na ramionach wyglądały niczym stalowe kable.

– Tak, proszę pani – odrzekłem, stając na baczność, lecz natychmiast machnęła ręką.

– Spocznij – powiedziała. – Jezu, czy ci instruktorzy nie usuwają wam kijów z tyłków, zanim pošlą was do prawdziwego życia?

– Nie pamiętam, żeby wydawano mi jakiegokolwiek kije, pani sierżant sztabowy – odparłem, a sierżant Fallon zachichotała.

– Cwaniak. Zupełnie jakbyśmy nie mieli ich tu już dość. Myślę, że dobrze się dopasujesz.

\* \* \*

Harmonogram obowiązków w pułku polowym piechoty lekkiej był dość prosty, przynajmniej dla zwykłych żołdaków, których głównym zadaniem jest naciskanie spustu. Gdy twoim zadaniem jest zabijać ludzi i wysadzać różne rzeczy, to albo uczysz się, jak lepiej wykonywać swoją pracę, albo też rozwijasz nabyte już umiejętności. Spędzaliśmy równie dużo czasu na poligonie jak nad podręcznikami i w salach lekcyjnych. Fort Shughart

miał oczywiście własny teren do ćwiczenia walki miejskiej i każdy oddział musiał spędzić tam co tydzień trochę czasu, szkoląc się w ataku i obronie, podobnie jak podczas kursu przygotowawczego. Była też strzelnica do ostrej amunicji i w pierwszym tygodniu sierżant Fallon kazała mi zaliczyć strzelanie z M-66.

Przydzielony karabin wydawał się trochę różnić od wersji szkoleniowej, nawet jeśli ważył tyle samo i identycznie się go obsługiwało. Może była to kwestia świadomości, że broń naprawdę strzela ostrą amunicją, czyli tungstenowymi fleszetami, które potrafiły penetrować pancerze i ciało, a nie nieszkodliwymi promieniami, wywołującymi jedynie reakcję komputera, ale w jakiś sposób miałem do niej większy szacunek. Podczas próbnych walk nie ćwiczyliśmy z ostrymi ładunkami – na miejskim poligonie broń strzelała oczywiście ślepakami, a szkoleniowe nasadki na lufy symulowały lot pocisków – jednak na strzelnicy nie było nic wirtualnego we fleszetach opuszczających moje M-66.

Zaliczający egzamin strzelecki dla żołnierzy piechoty składa się z setki celów wyskakujących w różnych odstępach czasu i odległościach. Atakowałem je wszystkie po kolei, kierując celownik M-66 na cel i pozwalając, by komputer określił szybkostrzelność. Karabin pluł krótkimi seriami fleszet do każdego obiektu i w większości przypadków je powalał. Ruchome cele sprawiały mi z początku więcej problemów, zwłaszcza takie, które przemieszczały się torem prostym, ale po kilku chybionych sylwetkach określiłem już, ile trzeba do nich wystrzelić, i moje wyniki się poprawiły.

– Nieźle, jak na kogoś świeżo po przygotowawczym – oceniła sierżant Fallon, gdy skończyłem sprawdzian i rozładowałem broń, by została sprawdzona pod kątem bezpieczeństwa. – Siedemdziesiąt dziewięć. Wynik na strzelca. Jeszcze jedno trafienie i miałbyś strzelca wyborowego. Możesz odpuścić albo spróbować zdobyć strzelca wyborowego lub eksperta.

– Spróbuję jeszcze raz – odparłem, a sierżant Fallon kiwnęła z aprobatą głową.

– Strzelec to dobry wynik dla kucharzy i urzędasów z kancelarii, ale naszywka eksperta wygląda znacznie lepiej na piechociarskim mundurze klasy A – rzekła. – Pamiętaj jednak, że w ostatecznym rozrachunku nie to ma znaczenie. Tak naprawdę liczy się, jak dobrze potrafisz strzelać, kiedy cele odpowiadają ogniem.

# Rozdział 8

## Bitwa o ambasadę

Dwa tygodnie po moim przyjeździe miała miejsce dyslokacja bojowa. Buty były jeszcze dalekie od wyrobienia się.

– Nie zwracajcie sobie głowy pakowaniem zapasowych skarpet – powiedziała sierżant Fallon, gdy pakowaliśmy się w naszych pokojach. – Bierzemy niewiele rzeczy. Tylko podstawowy sprzęt. Zapewne wrócimy do domu na kolację.

– Dokąd jedziemy, pani sierżant? – spytał Stratton.

– Rutynowy lot gdzieś na Bałkany. Ktoś znów ogłosił niepodległość i skumał się z Chino-Ruskimi. Wpadniemy tam tylko okrętami desantowymi, żeby ewakuować ambasadę.

– Wrócimy na kolację – powtórzył po Fallon Stratton. – Nie mam nic przeciwko rutynowym lotom, dla odmiany.

– Podnosimy płozy za czterdzieści pięć minut – oznajmiła Fallon. – Załóżcie imprezowe ciuchy, zgarnijcie broń ze zbrojowni i wskakujcie do autobusu. Znacnie procedurę, więc do roboty.

Pomogliśmy sobie nawzajem w założeniu pancerzy bojowych, sprawdziliśmy zatrzaski i zamknięcia. Następnie zeszliliśmy do zbrojowni kompanii, gdzie wydano nam uzbrojenie. Przed zbrojownią stały już inne oddziały, lecz personel okazał się wydajny i nikt nie spędził więcej niż dziesięć sekund przy odbiorze. Gdy wszyscy byliśmy już uzbrojeni, wyszliśmy z budynku do czekającego autobusu, który miał nas zawieźć do okrętu desantowego.

Nasz samodzielny batalion dysponował szwadronem szturmowych desantowców typu Szerszeń. Nie była to wersja zdolna do lotu w przestrzeń, z której korzystali marines, a jedynie do podróży w atmosferze, ale miała solidniejszy pancerz i więcej uzbrojenia niż tamte, ponieważ nie musiano poświęcać miejsca ani udźwigu na cały ten szmelc potrzebny do przemieszczania się w kosmosie. Każdy okręt mógł przewieźć pluton żołnierzy albo pojedynczy czołg. Podczas tej misji nie braliśmy wielu rzeczy. Dowództwo uznało, że nie

będziemy potrzebowali ciężkich panczerzy, mieliśmy więc wykorzystać tylko cztery z dwunastu okrętów i załadowano do nich jedną kompanię lekkiej piechoty – kompanię Brawo.

Cztery plutony żołnierzy AT dysponowały solidną siłą ognia, nawet bez czołgów i artylerii. Szerszenie nie tylko dostarczały nas na pole bitwy, lecz także służyły za bezpośrednie wsparcie lotnicze oraz jednostki dowodzenia i kontroli walki. Gdy dojechaliśmy na lądowisko, cztery okręty stały już na pozycjach z włączonymi silnikami, błyskającymi światłami nawigacyjnymi oraz spuszczone tylnymi rampami ładunkowymi. Były przysadziste i wyglądały groźnie, składały się niemal w całości z załamań i ostrych krawędzi, a także z krótkich, grubych skrzydeł, mieszczących pojemne zbiorniki paliwa oraz sporo artylerii.

– No to przelećmy się. – Sierżant Fallon wstała ze swojego fotela, a wszyscy w autobusie zaczęli gwizdać i wiwatować, jakbyśmy mieli jechać na stadion i obejrzeć mecz futbolowy ligi Wspólnoty.

\* \* \*

Lot nie był zbyt równy. Wojskowe okręty desantowe nie zapewniały szczególnie wielu wygod. W ładowni wzdłuż ścian znajdowały się dwa rzędy siedzeń, składające się jedynie z siatek zaopatrzonych w zapinane w talii pasy, wyglądające tak, jakby dodano je po namyśle.

Gdzieś nad wschodnią częścią Morza Śródziemnego starszy sierżant wstał ze swego siedziska i zaczął rozdawać dowódcom oddziałów skrzynki z amunicją. Sierżant Fallon wzięła dwie z nich i przyniosła nam. Nacisnęła hermetyczny zatrzask i wieko otworzyło się, odsłaniając schludnie ułożone rzędy magazynków oraz granatów do M-66.

– Pięć magazynków do karabinu na głowę – powiedziała, niewątpliwie mając mnie na uwadze. – Cztery do kieszeni, piąty do broni. Nie ruszajcie dźwigni ładowania, dopóki nie znajdziemy się na ziemi i nie wydam pozwolenia.

Dwóch kolegów z oddziału dostało też wyrzutnie. Poznałem je ze szkolenia przygotowawczego – były to pociski przeciwpancerne Sarissa. Wszyscy po kolei sięgali do skrzynki z amunicją i wypełniali kieszenie na magazynki oraz pętle na granaty przymocowane do panczerzy bojowych, poszedłem więc w ich ślady.

– Włóżcie hełmy i sprawdzimy tak-łącza. Odprawa za pięć minut.

– A co, jeśli wpadniemy w kłopoty i będziemy potrzebowali więcej amunicji? – spytałem.

Sierżant Fallon wskazała jedynie gestem przednią część ładowni.

– Okręt desantowy ma dodatkową amunicję. Jeśli gdzieś utkniemy, będziemy mieć przy sobie wystarczająco wiele, żeby móc strzelać całymi dniami.

Założyliśmy hełmy i opuściliśmy wizjery. Włączyło się łącze taktyczne i ujrzałem w polu widzenia znajome romby oznaczające poszczególnych członków oddziału oraz plutonu.

– Sprawdzenie komunikacji – odezwała się Fallon na kanale oddziału. Zgłaszaliśmy się po kolei oddziałami. W tej misji byłem Alfa-4, czwartym członkiem zespołu ogniowego Alfa. Każdy oddział podzielony był na dwa zespoły ogniowe po czworo żołnierzy. Dowódca naszego oddziału łączyła się z kanałem plutonu, dowódcy plutonów zaś mieli dostęp do kanału kompanii. W ten sposób pasm wyższego poziomu nie zaśmiewały bojowe odzywki każdego żołnierza z kompanii.

– Oto dane – powiedział dowódca naszego plutonu, gdy komputery wyświetliły nam widzianą od góry mapę obszaru misji. – Przeprowadzamy ewakuację personelu WPA z terenu ambasady. Dziś rano otrzymali powiadomienia o eksmisji za pośrednictwem granatów o napędzie raketowym. Miejscowa załoga obronna jakoś się trzyma, ale przydadzą im się naprawdę solidni żołnierze na ziemi.

Jedna z map ukazywała w trzech wymiarach kompleks ambasady. Dowódca plutonu kontynuował odprawę, nakładając jednocześnie wektory dyslokacji na obraz.

– Gdy okręty znajdą się na ziemi, plutony pierwszy i drugi ustanowią perymetr obronny, żeby wzmocnić załogę broniącą ambasady. Pierwszy pluton bierze przednią bramę i wschodni mur. Ludzie z drugiego plutonu osłaniają zachodni mur i tył. Musimy zabrać dwieście osób personelu i cywilnych uchodźców, zrobimy więc dwie wycieczki desantowcami, najpierw z połową ewakuowanych. Plutony trzeci i czwarty pilnują drugiej. Okręty desantowe wracają, ładujemy pozostałych, wychodzimy spokojnie, po czym spotykamy się z drugą połową kompanii Brawo. Utrzymujemy się, dopóki desantowce nie wrócą po odstawieniu cywilów, a następnie wskakujemy do nich i wracamy do domu.

Powinno pójść jak po maśle.

– Jak zawsze – mruknął mój sąsiad.

– Słyszeliście – podjęła sierżant Fallon. – Osłaniamy przednią bramę razem z drugim oddziałem. Oddziały trzeci i czwarty biorą wschodni mur. Jeśli tubylcy zrobią się niespokojni, koło bramy będzie pewnie gorąco, jesteśmy więc bezpiecznikiem dla reszty plutonu.

– Warunki użycia broni? – spytała kapral Jackson. Wyglądała złowieszczo w szarym pancerzu bojowym i hełmie zakrywającym całą twarz oprócz wytatuowanego obszaru wokół oczu.

– Każdy, kto wyceluje w nas broń lub będzie próbował wdrzeć się na teren ambasady, staje się celem. Dopuszczone są środki śmiertelne. Jak zawsze polegajcie na swojej opinii.

– Przyjęłam – rzekła Jackson.

– Pamiętajcie, zgodnie z prawem międzynarodowym ambasada jest suwerennym terytorium WPA. Jeśli ktoś strzeli do nas z zewnątrz, usmażymy go. A teraz przyjrzyjmy się mapie i ustalmy dyslokację dla zespołów ogniowych.

\* \* \*

– Zapnijcie się – usłyszeliśmy na kanale komunikacyjnym okrętu pół godziny później. – Schodzimy na obszar docelowy, przewidywany czas przybycia dziesięć minut. Czeka nas lądowanie bojowe, nie rozstańcie się z obiadami, chłopcy i dziewczęta.

Usłyszawszy to, koledzy z plutonu jęknęli, uniosłem więc pytająco brew w stronę siedzącego na prawo ode mnie Strattona.

– Lądowanie bojowe. Zejście korkociągiem z dużą prędkością, żeby zmylić urządzenia naprowadzające. Lecą na pełnej przepustnicy i naciskają hamulce jakieś pięć sekund przed tym, jak płozy mają dotknąć ziemi.

Zapiął się i zacisnął mocno pas, po czym umieścił karabin w klamrach obok fotela. Szybko poszedłem za jego przykładem.

Silniki desantowca zwiększyły moc, a następnie okręt skręcił w prawo i zaczął opadać w dość niepokojącym tempie. Mój fotel znajdował się po lewej stronie, więc manewr

przycisnął mnie do kadłuba. Po drugiej stronie członkowie oddziałów trzeciego i czwartego wisieli na swych siedzeniach, utrzymywani jedynie pasami. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, co się stanie, jeśli uprząż żołnierza siedzącego naprzeciwko mnie nagle pęknie i sto dwadzieścia pięć kilogramów opancerzonego wojaka pomknie przez ładownię w moją stronę.

Zejsście było męczące, na szczęście krótkie. Gdy okręt wyprostował się w końcowym etapie lądowania, czułem tylko lekkie mdłości. Desantowiec nie miał okien, więc dopóki płozy nie dotknęły podłoża i nie opuściła się rampa załadunkowa, nie widzieliśmy, w co się pakujemy. Okręt osiadł niemal delikatnie, a dowódcy oddziałów opuścili swoje miejsca, zanim rampa pokonała ćwierć drogi.

– Ładuj broń! – wrzasnęła sierżant Fallon.

Podnieśliśmy się i włączyliśmy karabiny. Ładunek fleszetowy został wepchnięty do komory. Nie pierwszy raz ładowałem ostrą amunicją, lecz dotąd zawsze strzelałem z niej do wypełnionych żelam sylwetek z polimeru, a nie do ludzi.

Rampa dotknęła ziemi. Na zewnątrz ujrzałem starannie przystrzyżony trawnik, za nim kilka niskich budynków. Po tej stronie Atlantyku była noc i kamera hełmu automatycznie przełączyła się na tryb pracy w słabym świetle.

– Jazda, ludzie!

Zbiegliśmy po rampie z desantowca, trzymając broń w gotowości. Na wyświetlaczach taktycznych widzieliśmy wektory dyslokacji dla poszczególnych oddziałów, nikt nie musiał więc wskazywać nam drogi. Przede mną znajdował się Stratton, biegłem za nim przez trawnik w kierunku frontowej bramy kompleksu. Za mną podążały pierwszy i drugi oddział, szesnaście małych niebieskich rombów nakładało się na moje pole widzenia na wyświetlaczu hełmu.

– Zespół ogniowy Alfa, schowajmy się za tymi donicami na lewo od bramy – powiedział na naszym kanale kapral Baker.

Przy budce wartowniczej na wysepce pośrodku bramy przycupnęło dwóch strażników ambasady w oprzyrządowaniu do tłumienia zamieszek. Sama brama była żeliwną kratownicą, służącą bardziej do dekoracji niż stanowiącą rzeczywistą przeszkodę. Zachichotałem na widok opuszczonych przez wartowników czerwono-białych szlabanów,



zupełnie jakby te kawałki pasiastego plastiku mogły powstrzymać kogoś próbującego przedrzeć się do środka kompleksu.

Zajęliśmy pozycje za ciężkimi betonowymi donicami pięćdziesiąt metrów od stróżówki, a wartownicy popędzili do nas, z głowami schowanymi w ramiona jak dwa zółwie. Mieli na sobie płyty uderzeniowe, ale daleko im było do naszych pancerzy bojowych, składały się bowiem z paneli na pierś i plecy połączonych szybko rozpinanymi kłami. Ubrojeni byli w krótkolufowe PDW, małe maszynowe automaty, lepsze od pistoletów, ale na pewno nie tak użyteczne jak karabiny.

– Dobrze was widzieć – powiedział jeden z nich. – Jesteśmy gotowi, żeby się stąd wynieść.

– Jakież kłopoty z miejscowymi? – spytał kapral Baker.

– Można tak powiedzieć. Dziś rano główny budynek został obrzucony granatami i od tego czasu tu i tam słychać odgłosy strzałów z broni ręcznej. Miejscowi musieli napaść na jakąś zbrojownię czy coś. Strzelają z przejeżdżających pojazdów. Dzięki Bogu, że nie potrafią celować. Podjeżdżają tylko i prażą seriami w mniej więcej naszym kierunku.

– Zatem następna runda należy do nas – stwierdził Baker. – Trzymajcie się teraz z tyłu.

– Nie będziemy się spierać – uznał drugi wartownik i obydwaj pobiegli, by gdzieś się ukryć.

– Brawo Jeden-Jeden, pierwszy zespół ogniowy na pozycji – oznajmił Baker do mikrofonu w hełmie.

– Wiem, głupku. Jesteśmy trzydzieści metrów na prawo od was. Widzę was – z kanału oddziału dobiegła odpowiedź sierżant Fallon i wszyscy zachichotaliśmy.

– Słuchajcie – rzekła Hansen. Z miasta za bramą ambasady dobiegały miarowe trzaski strzałów. Widziałem puste ulice podświetlone żółtymi latarniami. Obszar wokół kompleksu wyglądał, jakby sporo się tu działo. W oczy rzucały się zdemolowane sklepy i zniszczone markizy.

– Ciekawe, czy mają tu jakieś dobre bary? – rzuciłem.

– Może pójdziesz poszukać? Mam uniwersalną kartę kredytową. – Stratton uniósł karabin.

Otworzyłem usta, by odparować błyskotliwą ripostą, ale z końca ulicy biegnącej za bramą ambasady dobiegły nas odgłosy silnika i wszyscy wrócili do poszukiwania osłony. Odległe dźwięki brzmiały jak stary diesel, stosowany w ciężkim sprzęcie. Czułem, jak chodnik wibruje od niskiego dudnienia maszyny.

– To źle wróży – odezwał się Hansen.

– Desantowce ładują już cywilów – poinformowała sierżant Fallon. – Jeśli zza tamtego rogu wyłoni się coś wyglądającego na bardziej niebezpieczne niż zmiatarka ulic, rozwalcie to.

Z przeciwległego końca ulicy ukazał się tępy nos pojazdu opancerzonego, obserwowaliśmy, jak pokonuje zakręt, niszcząc przy tym śmietnik i markizę sklepu. Był to czołg bojowy, jeden ze starszych modeli, które jeździły na gąsienicach. Wydawał się znacznie wyższy niż nowoczesne czołgi i zamiast modularnego gniazda na broń miał okrągłą opancerzoną wieżyczkę, wyglądającą jak odwrócona patelnia, oraz działo niemal dorównujące długością całemu pojazdowi. Zabytek, ale jeśli posiadali amunicję do tej wielkiej armaty, wciąż mógł wyrządzić wiele szkód.

– O kurwa – stwierdził Baker. – Zejdźcie mu z widoku, ludzie.

Nie potrzebowaliśmy zachęty. Donice stanowiły dobrą ochronę przed bronią ręczną, ale nie przeciwko działu czołgowemu.

– Priest, dawaj tu rakiety przeciwpancerne.

Doszło nas kolejne dudnienie i następny czołg wyłonił się zza rogu w obłoku dieslowskich spalin. Pojawił się też trzeci, za którym szli żołnierze w mundurach i pancerzach. Czołgi rozsunęły się na całą szerokość ulicy, a po chwili pojawił się jeszcze czwarty, który zajął miejsce w formacji.

– Cudownie, cały pieprzony pluton czołgów. Sierzancie, potrzebujemy tu więcej ludzi.

– Są w drodze – odrzekła Fallon.

Priest zamienił karabin na wyrzutnię przeciwpancerną i zdjął z niej osłony przeciwpylne.

– Grayson, osłaniaj Priesta. Przeróbcie ich na złom.

Priest przemknął do muru, ja za nim, z karabinem w gotowości. Szedł pod osłoną

ściany, dopóki nie dotarł do bramy, po czym wyjrzał za róg, by sprawdzić pozycję wrogiego plutonu pancernego. Gdy jego komputer przetworzył informacje, ujrzeliśmy na naszych mapach cztery czerwone ikony.

Priest kciukiem zdjął osłonę przycisku zwalniającego i puścił mi oczko. Następnie odsunął się od muru i wycelował w powietrze. Rozległ się stłumiony huk, gdy ładunek miotający wypuścił raketę z wyrzutni, po czym silnik samego pocisku włączył się z niezbyt imponującym syknięciem, jakby Priest wystrzeliwał naprawdę wielką butelkę z gazowanym napojem. Rakieta pomknęła w nocne niebo.

– Jedna Missisipi, dwie Missisipi... – zdążył powiedzieć Priest, kiedy po drugiej stronie muru rozległ się wstrząsający ziemią wybuch. Jedna z czerwonych ikonek czołgów na moim ekranie zamigotała i zgasła. Priest wyjrzał znów za róg i pośpiesznie cofnął głowę.

– O-o. Chyba się wkurzyli.

Czołgi otworzyły ogień z karabinów maszynowych. Kawałki betonu pofrunęły w powietrze w miejscu, z którego Priest wcześniej strzelał, my zaś wycofaliśmy się pod osłoną ogrodzenia, odsuwając się od bramy.

Znajdowaliśmy się dwadzieścia metrów od wjazdu, gdy mur ambasady zatrzęsął się i jego fragment zapadł się do wnętrza kompleksu w obłoku pyłu. Słuchawki w moim hełmie automatycznie odfiltrowały odgłos eksplozji, lecz nawet pomimo elektronicznego filtra wybuch był niemal ogłuszający. Gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem w murze dziurę nieznacznie tylko mniejszą niż drzwi garażowe.

– Chyba dotarliśmy tuż przed tym, jak zrobiło się gorąco! – wrzasnąłem do Priesta, który roześmiał się, szykując drugą raketę przeciwpancerną.

– Właśnie tak działamy, człowieku. Jesteśmy strażą pożarną.

Wystrzelił w powietrze drugi pocisk i kilka uderzeń serca później rozległa się kolejna eksplozja, tym razem bliżej niż pierwsza. Następna ikonka czołgu błysnęła, po czym zniknęła z mapy taktycznej. Kilkadziesiąt metrów na prawo od nas, gdzie pozycje zajęli zespół ogniowy Bravo i sierżant Fallon, ktoś wypuścił jeszcze jeden pocisk. Obserwowałem, jak niewiele dłuższa od mojej ręki rakieta sprawnie wznosi się w powietrze, kierowana wąskim odrzutem szybko spalającego się paliwa.

Trzeci czołg eksplodował donośnie. Wybuch dobiegł praktycznie z drugiej strony muru. Czwarty pojazd pancerny dodał gazu i widziałem, jak jego reflektory oświetlają chodnik po naszej stronie bramy.

– Jeden przejeżdża przez bramę! – wrzasnąłem do tak-łacza. Kątem oka zobaczyłem stłumione błyski jeszcze dwóch rakiet wystrzelonych z pozycji oddziałów trzeciego i czwartego.

Brama wyskoczyła z trzaskiem z zawiasów, gdy uderzyło w nią pięćdziesiąt ton pancerza. Czerwono-biały szlaban wzleciał w powietrze, koziółkując. Czołg wpadł z rykiem na teren ambasady, prażąc z karabinu maszynowego do niczego szczególnego. Znajdujący się za mną Priest złapał mnie za uprząż bojową i wciągnął za osłonę.

– Uważaj – ostrzegł.

Czołg skręcił lekko w prawo, by nie przejechać po stróżówce i nie utknąć na jej szczątkach. Wieżyczka zaczęła obracać się w naszym kierunku.

Nagły błysk rozświetlił nocne niebo kilkadziesiąt metrów nad czołgiem, ujrzałem główce nadlatujących sariss. Rozdarły pancerz tuż za wieżyczką i czołg się rozpadł.

Eksplozja zatrzęsa ziemią pod moimi nogami, przewróciłem się na Priesta. Fragmenty pancerza zasypały betonową zaporę służącą nam za osłonę. Wszędzie wokół bramy słyszałem odgłosy spadających na chodnik szczątków pojazdu. Działo odbiło się od ściany pobliskiego budynku i z donośnym metalicznym brzękiem wylądowało na ulicy.

Gdy przestał padać deszcz metalu, wyjrzałem znad osłony. Niewiele zostało z wrogiego czołgu – jedynie dolna część podwozia, kilka kół jezdnych i kawałek zerwanej gąsienicy. Co dziwne, wybuch, który rozerwał czołg na szrapnele, nawet nie drasnął znajdującej się pod spodem drogi.

– Nadchodzi piechota! – krzyknęła na łączu oddziału sierżant Fallon. – Pod mur i znajdźcie przytulne miejsce.

Mój zespół pospieszył z powrotem do dziury w murze pozostawionej przez jedyny pocisk, który zdążyła odpalić wroga kolumna pancerna. Położyłem się za niskim fragmentem ściany i wyjrzałem nad krawędzią. Tak-łacze natychmiast zaktualizowało się, pokazując przynajmniej dwa tuziny czerwonych symboli oznaczających wrogą piechotę. Najbliższa ich grupa biegła na bramę i znajdowała się w odległości niecałych dwudziestu

metrów. Podniosłem lufę karabinu i wycelowałem w ostatniego żołnierza w kolumnie.

– Atakuję.

Nacisnąłem spust i mój karabin wypluł z siebie pół tuzina przeciwpancernych fleszet. Salwa trafiła ostatniego wroga w korpus, padł natychmiast. Widziałem małe strzępki materiału w miejscu, w którym fleszety przedarły się przez staroświecki pancerz. Wcześniej brałem udział w walkach w DZK, nawet parę razy ciężko raniłem ludzi, ale po raz pierwszy miałem pewność, że zabiłem inną ludzką istotę. Nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać, bo wciąż nacierały dziesiątki żołnierzy, którzy nie zamierzali z nami niczego grzecznie omawiać. Przesunąłem celownik na kolejnego wroga, ale zanim zdążyłem nacisnąć spust, Priest i Hansen otworzyli obok mnie ogień krótkimi seriami i przeciwnik upadł.

Do tego czasu idąca z przodu grupa wrogów znalazła się w martwym polu na prawo ode mnie, gdzie zasłaniał ich mur i nie widziałem, jak podchodzą do bramy. Skuliłem się za resztkami skruszonej ściany, gdy w wyniku strzałów wroga w twarz zaczęły mi przyskać kawałki betonu.

Hansen i Priest również się pochylił, Priest wcześniej zdążył zarobić dwa pociski w pancerz, które rzuciły nim o ziemię. Upadł na plecy i szybko odczołgał się od wyrwy w murze.

– Te skurwysyny naprawdę potrafią strzelać – uznał. Na napierśniku jego pancerza dostrzegłem dwie szare smugi w miejscu, gdzie kule z wrogich karabinów rozpadły się na twardej skorupie.

Baker wyciągnął granat z uprząży bojowej, odbezpieczył i cisnął nim przez dziurę.

– Leci hukowy! – wrzasnął.

Granaty hukowe nie były zbyt skuteczne przeciwko żołnierzom w nowoczesnych pancerzach bojowych. Hałas eksplozji zostawał odfiltrowany przez hełmowe słuchawki, wizjery zaś automatycznie chroniły nas przed błyskiem. Dla wojsk bez nowoczesnego wyposażenia działanie takiego granatu było jednak niczym spoglądanie na wybuch bomby nuklearnej przy jednoczesnym wbijaniu lodowych sopli w bębni uszu.

Po drugiej stronie muru granat eksplodował z hukiem, przy którym wcześniejszy strzał czołgowego działa wydawał się niczym wybuch zamkniętego fajerwerku. Błysk na chwilę

zamienił obszar przed ambasadą w powierzchnię słońca, miliony kandel wypalających każdą nieosłoniętą siatkówkę w promieniu tysiąca metrów. Wrodzy żołnierze natychmiast przestali strzelać.

– Bierzmy ich – oznajmił Baker. Podszedł do otworu w murze, podniósł karabin i zaczął wybierać cele.

Dołączyliśmy do niego.

Przy bramie drugi oddział robił podobnie. Cały pluton piechoty został dyslokowany przed ambasadą, lecz teraz byli oni w większości ślepi i głusi, my zaś mieliśmy tam osiemnastu żołnierzy AT połączonych ze sobą siecią, dzielących się danymi o celach i wektorami zagrożeń. Droga przed ambasadą przemieniła się w siódmy krąg piekieł, gdy tysiące fleszet ze sterowanych komputerowo karabinów oczyszczały ją ze wszystkiego, co żywe. Niektórzy przeciwnicy znajdowali się za dobrymi osłonami – zaparkowanymi pojazdami i metalowymi pojemnikami na odpadki – jednak kilka granatów przemieniło zarówno osłony, jak i osłanianych w dymiące szczątki.

Nie prowadziliśmy walki, lecz pogrom. Wrodzy żołnierze pozostawali na tak drastycznie niższym poziomie, że byliśmy niczym zawodowi bokserzy spuszcający manto astmatycznym dzieciakom z podstawówki. Za nami dwa okręty desantowe wzniosły się w nocne niebo z silnikami w pełnym pędzie. Kilka chwil później dołączyły do nich dwa kolejne.

– Desantowce podniosły płozy! – krzyknęła sierżant Fallon. – Zegar tyka. Piętnaście minut do podróży powrotnej.

– Spróbujemy się utrzymać, pani sierżant – odparł Stratton.

Po kilku minutach nie mieliśmy już do kogo strzelać. Ulica była zasłana ciałami i zniszczonymi pojazdami. W miejscach, gdzie granaty coś podpaliły, migotały małe płomienie. Powietrze przesycił cierpki zapach spalonego materiału napędowego z tysięcy bezłuskowych ładunków.

– Przerwać ogień, przeładować broń i obserwować swoje strefy.

Wyciągnąłem z karabinu opróżniony częściowo magazynek i sięgnąłem do kieszeni po świeży. Na przedzie mojej upręży znajdowały się cztery kieszenie i gdy opuszczałem okręt desantowy, każda z nich mieściła dwustupięćdziesięciopięćdziesiąt ładunków magazynka. Nie

pamiętałem, bym przeładowywał podczas walki, teraz jednak dwie kieszenie były puste. W zaledwie pięć minut szaleńczej strzelaniny wystrzeliłem więcej niż połowę przydziału bojowego, ponad siedemset ładunków. Uchwyty karabinu aż parzyły w dotyku.

– Pieprzona strzelnica – powiedział Priest, pocierając miejsce na pancerzu, w którym wrogie kule pozostawiły po sobie ślady. – Zupełni kretyni, żeby tak leżać sobie ulicą, jakby byli na jakiejś paradzie.

– Nie mam nic przeciwko kretynom. – Hansen wzruszyła ramionami, płynnym i wyćwiczonym ruchem przeładowując karabin.

Wiedziałem, że zabici przez nas właśnie żołnierze mieli znośną broń i że każdy z ich strzałów mógł zaliczyć szczęśliwe trafienie, na dobre wyłączając mi światło. Mimo to cała sytuacja nie wydawała mi się zbytnio odbiegać od ćwiczeń na strzelnicy, od wyskakujących celów, które po prostu przewracały się, gdy przeszły się je salwą.

Po ulicy poniósł się odgłos strzałów, donośny huk, w niczym nieprzypominający chrapliwego pokaskiwania naszych karabinów na fleszety. Przy bramie, tam, gdzie pozycje zajął drugi oddział, jeden z naszych żołnierzy upadł. Wszyscy ukryliśmy się z powrotem.

– Snajper! – zawołał ktoś z drugiego oddziału. – Okno sklepu na końcu ulicy.

Na moim ekranie tak-łącza pojawił się nowy symbol. Choć dzielił nas gruby mur, w polu widzenia widziałem czerwony romb nałożony na pozycję wrogiego snajpera. Karabin znów się odezwał i kula przebiła dziurę w ścianie stróżówki, gdzie ukrył się żołnierz drugiego oddziału.

– Niezły kaliber – zauważył Priest. Obok niego Hansen szykowała swój granatnik, a ja postanowiłem pójść za jej przykładem. Otworzyłem zamek, wyciągnąłem granat z upręży i wsunąłem do wyrzutni.

Oboje odsunęliśmy się od muru, by dać lufom trochę przestrzeni, po czym nakierowaliśmy celowniki na czerwony znacznik wskazujący położenie wrogiego snajpera.

– Uwaga, granat! – wrzasnęła Hansen i razem nacisnęliśmy spusty.

Wyrzutnia miała solidny odrzut, musiałem się szybko cofnąć o krok, by odzyskać równowagę. Wydawany przy strzale odgłos był stłumiony, jakby uderzać poduszkę drewnianym kijem. Nasze pociski poleciały łukiem nad murem w kierunku pozycji snajpera.

Pierwszy uderzył granat Hansen. Gdy głowica burząca wybuchła, podniosły się pył i żwir. Następny był mój, który wylądował tuż za wyłamanym oknem sklepu.

Eksplozja mojego pocisku okazała się tylko nieznacznie mniej hałaśliwa niż wcześniejsza detonacja hukowego. Fasadę sklepu wyrzuciło na ulicę, a chwilę później przewrócił się cały fronton budynku.

Po chwili wywołanej szokiem ciszy kilku żołnierzy z drugiego oddziału wydało triumfalne okrzyki. Obok mnie Stratton roześmiał się.

– Można pewnie i tak. Snajper unieszkodliwiony.

– Powinieneś zachować granaty termobaryczne na wyjątkowe sytuacje – powiedział do mnie Baker na kanale zespołu. – Są drogie.

– Zachować je na co? Jestem ledwie parę tygodni po przygotowawczym – odparłem. – Strzelający do mnie snajperzy to chyba dość wyjątkowa sytuacja.

Dopiero gdy usłyszałem chór śmiejących się żołnierzy, uświadomiłem sobie, że nadałem odpowiedź na kanale oddziału.

\* \* \*

Reszta misji nie była szczególnie emocjonująca. Desantowce wróciły puste i drugi pluton załadował resztę cywilów, podczas gdy pierwszy stał na straży. Po laniu, jakie otrzymali przy bramie ambasady, miejscowi rewolucjoniści najwyraźniej stracili ochotę na dalsze starcia, ponieważ do końca krótkiego pobytu nie dostrzegliśmy na ulicy żywej duszy.

Niedługo później okręty desantowe były już gotowe do odlotu i pierwszy pluton wycofał się skokami przez ogrody ambasady w taki sposób, że jedna jego połowa przez cały czas osłaniała tyłki drugiej. Była to najgroźniejsza faza misji i każdy sensowny taktyk zaczekałby aż do teraz, aby sprowadzić silnie opancerzone wojska, które będą strzelały do mocno obciążonych desantowców, jednak wyglądało na to, że miejscowych opuściła już wszelka odwaga, tak więc bez szwanku wsiedliśmy na okręty i odlecieliśmy.

Niedługo po starcie desantowce skrzyły i wykonały koło z powrotem. Poczulem dudnienie zwalnianych ładunków i kilka chwil później okrętem zakołysała fala uderzeniowa z szeregu naziemnych eksplozji.

– Czy właśnie zbombardowaliśmy własną ambasadę? – spytałem sierżant Fallon, która



siedziała dwa miejsca dalej.

– Yhm – potwierdziła. – Skoro mamy być kilka milionów dorców do tyłu, równie dobrze możemy je sami puścić z dymem, prawda?

– Prawda – przyznałem. – Ale chyba trochę szkoda?

Popatrzyła na mnie z rozbawioną miną.

– Wojna jest pełna szkód. Właśnie rozpieprzyliśmy tam sporo w drobny mak. Nie przejmuj się, że zabiliśmy tych biednych łachmytów. Pamiętaj tylko, że to oni zaczęli. Równie chętnie zostałamby dzisiaj w domu i wypić piwo w podoficerskiej kantine.

\* \* \*

Kompania Brawo nie poniosła ofiar. Jeden z żołnierzy drugiego oddziału, Harrison, został przewrócony przez pierwszy strzał snajpera, ale jego pancerz zatrzymał kulę kalibru 50. Tego typu ładunki są wystarczająco potężne, by przebić się przez wizjery naszych hełmów, i gdyby snajper celował jakieś dwadzieścia centymetrów wyżej, Harrison zginąłby na miejscu. Tymczasem miał tylko siniaka na mostku, snajper zaś był teraz starannie rozproszoną materią organiczną.

Nowoczesne metody prowadzenia wojny nie pozostawiały miejsca na spekulacje, nie dawały szans, by ktokolwiek podkreślał swoje wyczyny i przypisywał sobie wyobrażone osiągnięcia. Komputery taktyczne zapisały bitwę z perspektywy każdego żołnierza w kompanii, podsumowały zabitych i przeanalizowały nasze wyniki. Sierżant Fallon omówiła liczbę zlikwidowanych przez nasz oddział i okazało się, że zastrzeliłem z karabinu trzech wrogich żołnierzy, a trzeba było do tego dodać snajpera, którego unieszkodliwiłem granatem termobarycznym. Zasługi w usunięciu snajpera zostały podzielone w stosunku dwadzieścia pięć do siedemdziesięciu pięciu pomiędzy Hansen a mnie, zgodnie z szacunkiem obrażeń dokonany przez komputer. Owszem, zabijanie prawdziwych ludzi sprowadzało się do liczby w protokole, ale ci zabici nie mieli się otrzepać z pyłu i w następnej rundzie działać w obronie. Dziś zakończyłem życie czterech osób, pociągnięciem spustu postawiłem kropkę przy ich historiach.

Zapewne powinienem wciąż o tym myśleć i zastanawiać się, w jakim stopniu ci wrodzy żołnierze byli do mnie podobni – próbowali odsłużyć czas kontraktu, by później odebrać pieniądze – lecz nie robiłem tego. Przyszli nas zabić i żeby nie stało się odwrotnie, to my

ich zabiliśmy. Nie czułem wyrzutów sumienia z tego powodu. Była to w pewnym stopniu transakcja biznesowa – nic osobistego, tylko dwie grupy pracowników wykonujących swoją robotę. Nie czułem wobec nich złości, nienawiści ani smutku. Odczuwałem jedynie swoistą euforię. Wystąpiliśmy przeciwko czyjejś drużynie sportowej i spuściliśmy im manto. Wciąż oddychałem i znajdowałem się o dzień bliżej od daty zakończenia służby, a więc nie było tak źle.

# Rozdział 9

## Życie w Shughart

Fort Shughart był niczym małe miasto. Wszystko, czego potrzebowaliśmy, mieliśmy w obrębie bazy. Dysponowaliśmy kinami, teatrami, obiektami sportowymi i basenami. W cichym zakątku na skraju fortu znajdował się nawet park, a w nim sadzawka z kaczkami, ścieżki spacerowe i ławki.

Gdy pozostawaliśmy skoszarowani, dzień roboczy kończył się o piątej po południu. Od rana odbywaliśmy ćwiczenia polowe, chodziliśmy na strzelnicę, siadaliśmy w salach lekcyjnych i słuchaliśmy wykładów, albo też konserwowaliśmy broń i wyposażenie, lecz o piątej dzień oficjalnie się kończył i mieliśmy wolne aż do siódmej rano. Część z nas jadła kolację na stołówce, a później siedziała w kantine dla szeregowych, szła na film albo grała w softball na dobrze utrzymanych, krytych boiskach za parkami maszynowymi. Żołnierze pozostający w związkach małżeńskich wracali do rodzin i domów w willowej części bazy, która wyglądała jak dowolne inne przedmieście poza DZK, lecz my, szeregowi, w większości byliśmy samotni i kwaterowaliśmy w pokojach. Było trochę jak w liceum, tylko że z bronią i mundurami, a zamiast poznawać tajniki trygonometrii lub historii Ameryki Północnej, uczyliśmy się lepiej zabijać ludzi lub wysadzać ich sprzęt.

Lubiłem swoich kompanów. Pierwszy oddział bardziej się starał, pilniej pracował wspólnie i lepiej się bawił niż wszystkie pozostałe. Wyglądało na to, że spływała na nas część blasku rzucanego przez Medal Honoru sierżant Fallon, wskutek czego czuliśmy niewypowiedziane zobowiązanie, by spełniać wyższe standardy. Większość kolegów była zabawna i sympatyczna, właśnie z takimi ludźmi chciałbym się przyjaźnić w domu. Nikt nie próbował cię nieustannie obrobić z racji PPŻ lub czarnorynkowych leków. Tylko kapral Jackson, dowódca zespołu ogniowego Brawo, trzymała się na uboczu. Rzadko do nas dołączała, gdy szliśmy zagrać w bilard i wypić parę drinków w kantine dla szeregowych, nieczęsto też śmiała się z czyichś dowcipów lub opowiadała własne. Było w niej coś onieśmielającego i nie chodziło tylko o zwykle surową minę czy tatuaże wokół oczu. Wydawała się poświęcać doskonaleniu umiejętności w jeszcze większym stopniu niż reszta

z nas i z tego, co wiedziałem, masę wolnego czasu spędzała na bieganiu, ćwiczeniu musztry lub czytaniu podręczników na swoim OTI.

Pozostali członkowie oddziału okazali się bardziej przystępni. Stratton był grupowym żartownisiem, Baker zamyślony i wycofany, Priest doskonale grał w pokera i uganiał się za spódniczkami, Paterson zaś był wielkim, niezbyt bystrym, przyjaznym wojakiem. Phillips trochę lubił wachać szewrony – tak nazywano gości, którzy próbowali kumplować się ze starszymi podoficerami – lecz okazał się kompetentny i zawsze chętny do zamiany z innymi na paskudne zadania, więc nikomu zbytnio to nie przeszkadzało. Hansen była najładniejszą dziewczyną w kompanii i praktycznie wszyscy faceci – oraz niektóre dziewczyny – na nią lecieli. Poza tym śmiertelnie skutecznie walczyła wręcz, dlatego też jej wielbiciele ograniczali się do patrzenia zamiast dotykania. Nie mogłem zaprzeczać, że Hansen była miła dla oka, lecz wciąż miałem świeże wspomnienie Halley.

Halley.

Pozostawaliśmy w kontakcie za pośrednictwem MilNetu i pisaliśmy do siebie niemal codziennie. Miała dość upakowany harmonogram zajęć w Szkole Floty, ale mimo to udawało jej się wysyłać jedną odpowiedź na trzy wiadomości, które ja słałem do niej. Nienawidziła zakuwać na astrofizykę oraz rachunek różniczkowy i całkowy, uwielbiała natomiast ćwiczenia w stanie nieważkości, gdzie wszyscy nowi członkowie marynarki po raz pierwszy uświadamiali sobie wyjątkowość służby w przestrzeni. Oczywiście wszystkie okręty floty dysponowały sztuczną grawitacją, lecz kursanci i tak musieli się nauczyć działać w zerowym ciężeniu, podobnie jak żeglarze w dawnej wodnej marynarce musieli umieć pływać. Po Szkole Floty miała przez trzy miesiące uczyć się na pilota okrętu desantowego, później zaś zająć fotel drugiego pilota w jednym z licznych szwadronów bojowych, gdzie latałaby przez rok, zanim otrzymałaby dowództwo nad własną Osą. Zazdrościłem jej takiej ścieżki kariery, która w zasadzie była pracą marzeń dla niemal wszystkich wstępujących na pięcioletnią służbę. Halley miała spędzić większość pierwszego roku na szkoleniach, lecz pod koniec tego okresu zostałaby młodszym oficerem i desantowałaby marines oraz brała udział w misjach bojowych na odległych koloniach w trzystutonowej maszynie. Ja natomiast miałem tłuc się z bojownikami na starej, dobrej Ziemi, a jedyne rzeczy, jakimi dowodziłbym pod koniec roku, były para butów i karabin przerzucony przez pierś. Po zakończeniu służby Halley będzie porucznikiem, ja zaś

zostanę co najwyżej kapralem, osiem stopni zaszerzowania i cały stos warstw społecznych poniżej niej.

Co dziwne, to Halley wydawała się zazdrościć mi pracy. Gdy przesłałem jej długi i szczegółowy opis ewakuacji ambasady, mojej pierwszej misji bojowej, odpisała niedługo później:

*Ale zajebicie. Szkoda, że nie mogłam tam być.*

Odpowiedziałem: *Poważnie? Ostra amunicja i w ogóle. Dwa tuziny gości próbowały nas tam zabić.*

*Tak, poważnie. Spędziłam cały miesiąc w sali lekcyjnej albo na kwaterze, czytając podręczniki. Pokój jest wielkości schowka na miotły i dzielę go z dziewczyną, która chrapie jak pieprzony doker.*

Poczułem irracjonalną ulgę na wieść, że mieszkała z dziewczyną, a nie chłopakiem.

*No to trzymaj się tam. Niedługo będziesz unikać ognia naziemnego podczas misji desantowej na jakąś ledwo sterraformowaną kulę błota na Zewnętrznych Rubieżach.*

*A co tam. Jeśli już odchodzić, równie dobrze można to zrobić jako ładna kometa, co nie?*

Roześmiałem się z jej odpowiedzi, ale część mnie była w pełni świadoma, że wielu pilotów okrętów desantowych kończyło swe losy właśnie w taki sposób. Desantowce nie tylko przewoziły marines, lecz służyły również jako bezpośrednie wsparcie lotnicze, a piechota morska ZCR dysponowała własnymi okrętami desantowymi i zaawansowanymi raketami ziemia–powietrze. Żaden pojazd w wojskowym arsenale nie był niezwyciężony, nawet wielkie nowe lotniskowce bojowe, które przewoziły chmary myśliwców i wystarczająco wiele pocisków nuklearnych, by przemienić sporą planetę w kulę świecącego żużla. Osę zaprojektowano jako solidną maszynę, lecz zwykły granat z granatnika mógł trafić w ważny element i sprawić, że okręt przemieni się w kulę ognia.

*Muszę lecieć, następne zajęcia za pięć minut. Więcej później.*

Wyłączyłem OTI i przez chwilę wpatrywałem się w pusty ekran, próbując wyobrazić sobie Halley na Lunie, chodzącą na zajęcia teoretyczne i skaczącą podczas treningu w zerowej grawitacji. Była tam, gdzie ja chciałem się znaleźć, i czułem wstyd, że byłem o to zazdrosny, lecz jeszcze bardziej dręczyła mnie świadomość, że zapewne już nigdy jej nie

zobaczę.

\* \* \*

Wojsko miało strukturę na wskroś plemienną. Fort Shughart to wielka baza, 365. Samodzielny Batalion Piechoty był zaś tylko jedną ze stacjonujących tu jednostek. Dzieliliśmy bazę z wielozadaniowym skrzydłem lotniczym, skrzydłem transportowym, pułkiem żandarmerii wojskowej, jednostką sił specjalnych oraz kilkoma innymi pułkami o rozmaitych specjalizacjach. Teoretycznie posiadaliśmy również w bazie pułk raketowy Strategicznego Dowództwa Sił Nuklearnych, jednak silosy raketowe oraz ich sprzęt służący do ich obsługi znajdowały się ponad sto kilometrów dalej, w Indianie, a jedyną częścią pułku rzeczywiście obecną w Fort Shughart był budynek sztabu kompanii.

Każda gałąź AT uważała się oczywiście za lepszą od wszystkich pozostałych, między jednostkami panowała więc spora konkurencja, zarówno usankcjonowana, jak i nieoficjalna. Organizowano zawody sportowe obejmujące całą bazę, coroczne konkursy strzeleckie oraz cotygodniowe burdy w kantynach dla szeregowych i podoficerów. Żołnierze piechoty uważali saperów za durniów z łopatkami, saperzy zaś sądzili, że piechociarze aż się rwą, by dać się zabić. Podziały plemienne istniały również w obrębie pułków, gdzie kompanie rywalizowały ze sobą, oraz kompanii, gdzie plutony tworzyły własne małe klany. W plutonach przyjazne rywalizacje sięgały do poziomu oddziałów oraz zespołów, z których składał się każdy oddział. Batalion lub pułk był twoim klanem, kompania – dalszą rodziną, pluton – bliską rodziną, a oddział – domownikami. Podobnie jak w każdej rodzinie, mieliśmy wewnętrzne niesnaski, ale gdy ktoś z zewnątrz wszczywał z nami spór, zwieraliśmy szeregi.

\* \* \*

– Patrzcie!

Zebraliśmy się wokół stołu przy kolacji, podjadając sobie nawzajem z talerzy, gdy Jackson wskazała drzwi.

– Wygląda na to, że mamy gości w bazie.

Obróciłem się w stronę wejścia. Do stołówki wchodziła grupa żołnierzy w nieznanych mundurach i potrzebowalem chwili, by rozpoznać kamuflaż.

– Cholera, to marines. Kosmiczne małpy. Co oni tu robią, do diabła?

Marines nie wyglądali jak superżołnierze. Szczerze mówiąc, wyglądali jak każdy inny piechociarz AT: krótko ścięte włosy, brak tłuszczu na ciele, muskularne ramiona wystające z podciągniętych rękawów IMB. Kamuflaż nie był jedyną rzeczą odróżniającą ich uniformy – zakasywali rękawy tak, że widać było jaśniejszą wewnętrzną stronę kurtki, podczas gdy żołnierze AT nasuwali ostatnie dziesięć centymetrów zewnętrznej strony na podwiniętą część.

Marines weszli do stołówki z lekką buńczucznością, w pełni świadomi poruszenia, jakie wśród żołnierzy AT wywołała ich obecność. Rzadko kiedy widywaliśmy przedstawicieli innych formacji. Czasami eskadra okrętów desantowych marynarki zatrzymywała się w drodze na remont, lecz pojazdami kosmicznymi latali oficerowie, oni zaś nie spoufalali się z szeregowcami w stołówce.

Obserwowaliśmy, jak marines podchodzą do lady z jedzeniem. Wzięli po tacy ze stojaków i wepchnęli się przed żołnierzy AT czekających na swoją kolej. Rozległy się pomruki, ale w kolejce było tylko dziesięciu czy dwunastu naszych, podczas gdy marines przyszli w sile przynajmniej dwóch oddziałów.

– Nie wiem, jak wy – powiedziała Jackson – ale nagle nabrałam ogromnej ochoty na deser.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Ja chyba też – oznajmił Stratton. – Chodźmy po kawałek ciasta.

Wszyscy odsunęliśmy krzesła i wstaliśmy.

Pozostali żołnierze AT podchwycili pomysł i również się podnieśli. Jackson przeszła na początek kolejki z tacą w dłoniach. Gdy mijala szereg marines, niektórzy z nich oceniali ją wzrokiem. Jackson była wysoka i żylasta, wyglądała bardziej jak trenerka piłki nożnej niż żołnierka. Wcisnęła się przed pierwszego z przybyłych, akurat gdy zamierzał położyć sobie na tacy talerzyk z deserem, po czym wyrwała mu naczynie z ręki. Marine wpatrywał się w osłupieniu, jak kładła deser na własnej tacy.

– AT nie skończyła jeszcze jeść – poinformowała marine. – Pomniejsze formacje nie jedzą, dopóki prawdziwi żołnierze nie skończą.

Marine prychnął z niedowierzaniem i obrócił się, by popatrzeć powątpiewająco na swych kompanów. Jackson uniosła widelec i wzięła kęs deseru, wydawała się nie

przejmować tym, że blokowała kolejkę dwudziestu marines.

Obserwowany przez żołnierzy dwóch różnych formacji marine nie miał wyjścia i musiał przyjąć wyzwanie. Obrócił się z powrotem do Jackson i uśmiechnął. Był wyższy od niej niemal o głowę i zapewne o połowę cięższy. Wyciągnął rękę i położył dłoń na jej obojczyku, by odepchnąć dziewczynę od lady.

Jackson upuściła widelec, prawą ręką złapała marine za nadgarstek i wbiła mu lewy łokieć między żebra. Cofnął się z bólu, ona zaś zatoczyła stopą łuk, trafiając go w kostki. Marine z haniebnym brakiem wdzięku upadł na podłogę.

W tym momencie stołówka zamieniła się w salę ćwiczeń walki wręcz. Podbiegliśmy do Jackson. Marines stojący najbliżej niej starali się zrobić lepsze wrażenie niż ich towarzysze i wkrótce wszyscy członkowie naszego oddziału zmagali się już z jednym czy dwoma. Przeważali nad nami liczebnie w stosunku ponad dwa do jednego, ale żołnierze AT z innych plutonów dołączali już do bijatyki. Złapałem jednego z oponentów za kłapy munduru i pchnąłem na ladę z jedzeniem, gdzie odbił się od osłony nad purée ziemniaczanym. Jego kolega wymierzył pięścią cios, który trafił mnie w twarz, lecz nagle u mego boku pojawił się Stratton i poczęstował drugiego marine podręcznikowym prawym prostym w sam podbródek. Na lewo ode mnie dwóch przeciwników próbowało pochwycić Hansen, której aż podskakiwał kucyk, gdy z wdziękiem ominęła jednego z nich, po czym kolaniem uderzyła drugiego w pachwinę. Gdy się temu przyglądałem, inny marine złapał mnie od tyłu i obaj upadliśmy na ziemię.

Z następnych pięciu minut pamiętałem tylko migawki ciosów pięściami, kopniaków, popchnięć, mundurów marines i AT splątanych w bijatyce. Marines nieźle się trzymali i bardzo sprawnie walczyli, lecz my posiadaliśmy przewagę liczebną, a w walce wręcz byliśmy wyszkoleni równie dobrze jak oni.

Nagle drzwi stołówki otworzyły się i do środka wpadła cała zgraja żandarmerii w pełnym rynsztunku do tłumienia zamieszek. Byli wyposażeni w elektryczne pałki.

– Dość tego! Wystarczy! – wrzasnął ktoś przez mikrofon w hełmie. Żandarmi nie zamierzali czekać, aż posłuchamy. Przykładali pałki do najbliższych walczących. Słyszałem okrzyki bólu, gdy marines i AT padali na ziemię, unieruchomieni pięćdziesięcioma tysiącami woltów. Szybko się uspokoiiliśmy.



Marine przyciskający mnie do ziemi puścił mój kołnierz. Podniósł się i wyciągnął dłoń.

– Popsuli zabawę – powiedział, podnosząc mnie, i wymieniliśmy uśmiechy. Żuchwa bolała mnie z obu stron, krwawiłem solidnie z nosa i wiedziałem, że wieczorem będzie mnie cholernie męczyła poobijana głowa, ale była to jedna z najciekawszych kolacji od paru miesięcy.

\* \* \*

Gdy następnego ranka wyszliśmy z budynku po rozkazy, czekała nas niespodzianka: starszy chorąży sztabowy Graciano, najstarszy podoficer pułku, stał obok sierżanta naszej kompanii. Domyślałem się, dlaczego Graciano się pojawił, a po twarzach wielu kolegów z plutonu odgadywałem, że oni również.

– Sierżanci, wystąpić i zająć się swoimi sprawami – zaczął Graciano. – Sprawa jest przeznaczona wyłącznie dla młodszych stopniem.

Dowódcy oddziałów oraz plutonów opuścili szyk i wrócili do budynku. Mieli własną stołówkę i nikt z nich nie był obecny zeszłego wieczoru, gdy dekorowaliśmy naszą za pomocą marines.

– Wczoraj wydarzyła się zabawna rzecz – oznajmił Graciano, gdy ostatni sierżanci zniknęli w środku. – Żandarmeria zadzwoniła do mnie w nocy, żeby opowiedzieć bajeczkę o zgrai moich żołnierzy dokuczających przy kolacji paru marines.

Zaczął przechadzać się wzdłuż przedniego szeregu z rękoma założonymi za plecami, przystając co jakiś czas, by przyjrzeć się tym, na których szczególnie mocno było widać ślady po wieczornej burdzie.

– Powiedziałem mu, że musiał się pomylić, bo wiem, że żaden z was, durniów, nie wszcząłby bijatyki z członkami szacownej siostrzanej formacji.

Wrócił na środek. Graciano był niski i zbudowany jak zapaśnik, a choć jego przycięte na zapałkę włosy przyprószyła siwizna, sprawiał wrażenie, że mógł pokonać większość z nas w walce. Miał na kołnierzyku mnóstwo pasków, a na jego kurtce mundurowej klasy A znajdowało się wiele kolorowych baretek. Gdy mówił „skakać”, cały batalion znajdował się zazwyczaj w powietrzu, zanim ktokolwiek zdążył spytać o parametr wysokości.

– A teraz – rzekł – chcę zobaczyć wasze dłonie. Starszy sierżant Rogers i ja sprawdzimy, kto z was ma niedawne niewyjaśnione obrażenia.

Wyciągnęliśmy przed siebie ręce, niczym zgraja przedszkolaków pokazująca przed obiadem, czy się umyli. Graciano i Rogers przeszli wzdłuż linii i wszyscy z otartymi kostkami lub zadrapaniami na twarzy otrzymywali twarde spojrzenie oraz wywarczone „ty”.

Gdy skończyli inspekcję, Graciano kolejny raz zatrzymał się pośrodku.

– Ci, których wskazaliśmy, wystąpić i uformować nowy szereg tam. – Wskazał krawężnik za swoimi plecami.

Miałem otarte kostki i spuchniętą wargę, więc postąpiłem zgodnie z rozkazem. Cały mój oddział ustawił się za starszym chorążym sztabowym. Dołączyła do nas większość drugiego oddziału i spore części trzeciego oraz czwartego.

– A teraz ci, którzy nie znajdowali się w tym czasie w stołówce, niech wystąpią i przejdą do wyznaczonych zadań. Odmaszerować.

Mniej więcej połowa pozostałych żołnierzy z kompanii Bravo wróciła do budynku z ulgą na twarzach.

– Oznacza to, że reszta z was była obecna i nie uczestniczyła w rzekomej bójce – powiedział Graciano, po czym odwrócił się do nas. – A wy, pajace, zdecydowaliście się rzucić na pluton marines, co?

Nic nie odparliśmy. Odzywianie się bez zezwolenia podczas przydzielania rozkazów było poważnym przewinieniem. Staliśmy jedynie i czekaliśmy na swój los.

– Powiedziałem żandarmom i dowódcy pułku, że zbadam całą sprawę i wymierzę ewentualne kary. Anuluję wam zatem przepustki na weekend. W sobotę i w niedzielę odbędziecie dodatkową sesję szkoleniową.

Zaczekał, by te wieści do nas dotarły, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Zrobimy sobie uzupełniające szkolenie z walki w zwarciu na sali gimnastycznej. Zachowaliście się haniebnie. Powinniście byli zamieść podłogę tymi kosmicznymi małpami, zanim żandarmi dotarli w ogóle na stołówkę.

Obrócił się do reszty kompanii.

– A wy też możecie pomachać na pożegnanie swoim weekendowym przepustkom. Park maszynowy wymaga szorowania i powiem starszemu sierżantowi Blauserowi, że

zgłosiliście się na ochotnika do tego zadania.

Miny na twarzach pozostałych żołnierzy przestały wyrażać zadowolenie i ulgę, przemieniając się w niepokój.

– Gdy następnym razem wasi towarzysze będą się z kimś bić, macie dołączyć, zrozumiano? Jeśli nie mogą na was liczyć, gdy obija ich banda marines, czego mają się spodziewać, gdy znajdą się pod ogniem?

Graciano obrócił się na pięcie, znów założył dłonie za plecami i pokręcił głową.

– Odmaszerować, wszyscy. Nie każcie mi tu szybko wracać, zrozumiano?

\* \* \*

– To było zajebiste – skomentował Stratton, gdy wróciliśmy do budynku. – Najlepszy opierdol, jaki w życiu dostałem. Stary trep ma głowę na karku, to pewne.

– Ano ma – odparłem. – Myślałem, że mamy naprawdę przerąbane.

– Nie bądźcie tacy szybcy – wtrąciła się Hansen, podchodząc do nas. – Znacie Graciana. Na to szkolenie z walki zaprosi tych samych marines i rzuci ich przeciwko nam w stosunku dwóch do jednego.

– Mamy najlepszą robotę na świecie – stwierdził Stratton z uśmiechem. – Zabawy z bronią, wysadzanie różnych rzeczy i wszczynanie bójek, a jeszcze za to wszystko nam płacą. Mogą się wypchać ze służbą w kosmosie. Nie mogę uwierzyć, że kiedyś chciałem w ogóle trafić do pieprzonej marynarki.

W tym momencie mój umysł połączył słowa „marynarka” i „Halley”. Gdy zeszłego wieczora pielęgnowałem spuchniętą wargę w pokoju, OTI zaćwierkał, dając mi znać, że nadeszła wiadomość. Od Halley – jej zdjęcie w nowym kombinezonie bojowym do walki w warunkach zerowej grawitacji. Nie towarzyszył mu żaden komentarz, nie był jednak potrzebny. Wyglądała na tak dumną, że zaraz mogła eksplodować, i samo spoglądanie na fotografię sprawiało, że serce bolało mnie bardziej niż obrzmiała warga. Gdyby ktoś teraz do mnie podszedł i zaproponował miejsce w Szkole Floty, zgodziłbym się bez zastanowienia.

Nikt nie zamierzał jednak tego zrobić i wiedziałem, że już do końca kontraktu będę w AT. Lubiłem swoich tutejszych kumpli i zamierzałem być dla nich towarzyszem, jakiego

wszyscy pragnęli w ogniu walki. Mogłem nawet wszczynać burdy, by bronić honoru nowej rodziny.

Mimo to natychmiast przeszedłbym do marynarki, gdybym otrzymał okazję.

# Rozdział 10

## Zamieszki

– Przyjaciele i sąsiedzi, szambo się rozlało.

Sierżant Fallon była już w pełnym pancerzu bojowym, gdy wkroczyła do pokoju, w którym się szykowaliśmy. W korytarzu wciąż dźwięczał alarm, a czerwone lampy na suficie rzucały na nią złowieszczy poblask.

– O co chodzi, pani sierżant? – spytała Hansen, a my wszyscy przerwaliśmy hałaśliwe czynności, by wysłuchać odpowiedzi.

– Zamieszki na osiedlu komunalnym – odparła. – Jedna z DZK w Detroit.

– O kurwa – wycedziła Hansen. Pozostali kompani pomrukami zgodzili się z nią.

Widziałem już kiedyś zamieszki – nie same walki, lecz ich wynik. Gdy miałem dziesięć czy jedenaście lat, wybuchły w naszej DZK. Dziwaczny sojusz ulicznych szczurów, bandziorów, szalonych meneli i niespełnionych rewolucjonistów próbował podpalić każdą własność rządową w polu widzenia. Rząd zrobił to, co robił zawsze, gdy miejscowa policja nie potrafiła ogarnąć sytuacji: przysłał wojsko – dwa pełne pułki AT w pancerzach i ze wsparciem lotniczym. Nawet przy przytłaczającej przewadze technologicznej żołnierzy AT walki trwały dwa dni. Matka przez tydzień nie pozwalała mi chodzić do szkoły, co było fantastyczne, a także wychodzić na zewnątrz, co nie było już takie świetne. Gdy wreszcie wyłoniłem się z naszego mieszkania trzy dni po zakończeniu walk, na każdym rogu stali żołnierze AT, a ulice nie zostały jeszcze oczyszczone z gruzów oraz spalonych pojazdów.

Ze wszystkich metropleksów w kraju Detroit było najgorsze. Centrum miasta otaczało przynajmniej dwadzieścia DZK, a ponad osiemdziesiąt procent mieszkańców metropleksu żyło na garnuszku państwa. Całą aglomerację Detroit zamieszkiwało trzynaście milionów ludzi, a dziesięć z nich zostało upchniętych w betonowych pudełkach na buty ustawionych po sto jedno na drugim. Przy tym wszystkim moje stare osiedle jawiło się niczym tropikalny kurort.

Zebraliśmy sprzęt i pomogliśmy sobie nawzajem w założeniu pancerzy. Tym razem nie

żartowaliśmy. Wszyscy wydawali się spięci i zaniepokojeni.

– Byłeś kiedyś w DZK, Grayson? – spytał Priest, gdy dopinałem mu klamry pancerza bojowego.

– Dorastałem w jednym z nich – odparłem. – I naprawdę nie mam ochoty tam wracać.

– Tym razem masz karabin, a nad głową będzie ci się unosił desantowiec. Mimo to robota jest gówniana.

– Tak gówniana, jak to tylko możliwe – zgodziła się Hansen.

– Przynajmniej nie będą mieć czołgów – powiedziałem.

– Tak, ale będzie ich wielu, i to bardzo wkurzonych. Jeśli się okaże, że trzeba strzelać, lepiej, żeby skończyła im się odwaga, zanim nam wyczerpie się amunicja.

\* \* \*

Gdy wysiedliśmy z autobusu, okręty desantowe grzały już silniki.

– Pamiętajcie, żeby przygotować karty pokładowe – powiedział specjalista od załadunku desantowca, gdy wlekliśmy się po rampie.

– Jesteś zabawny jak kawał gówna, Atkins – skomentowała z końca naszej małej kolumny sierżant Fallon. – I pamiętaj, dla mnie z dodatkowym cukrem i śmietanką.

Zapięliśmy pasy, zabezpieczyliśmy broń i obserwowaliśmy, jak reszta plutonu robiła to samo. Letnia noc była gorąca i wilgotna, w powietrzu pachniało paliwem.

– Pierwszy pluton, słuchać – dobiegło na kanale plutonu. – Będziemy w powietrzu tylko trzydzieści minut, pomińmy więc dziś formalności i wymyślne odprawy. Naszym celem jest budynek urzędu dzielnicowego w DZK Detroit-7. Desantujemy się wraz z drugim plutonem.

Włączyły się wyświetlacze taktyczne w naszych hełmach i porucznik Weaving przeprowadził nas przez szczegóły misji. Urząd wyglądał jak każdy inny ośrodek administracyjny, jaki widziałem: przysadzisty, pięciokondygnacyjny, z małymi oknami i ścianami ze wzmocnionego betonu.

– Drugi pluton wylądował na dachu i sprawdzi budynek od góry do dołu, żeby go zabezpieczyć. My wysiadamy na zewnątrz i ustanawiamy perymetr obronny. Dyslokujemy po jednym oddziale na każdym rogu budynku. Pozostałe plutony zajmą się innymi

miejscami w okolicy, tak więc tutaj będzie tylko drugi pluton i my. Zabezpieczamy urząd i całą znajdującą się w jego wnętrzu rządową własność. Jeśli ktokolwiek spróbuje się zbliżyć, stanowczo go zniechęcimy.

– A jeśli nadejdą tłumnie, poruczniku? – spytał jeden z dowódców oddziałów.

– Podejmijcie wszelkie środki samoobrony, jakie uznacie za stosowne – odparł Weaving. – W powietrzu będą się znajdować okręty desantowe, a dowódcy oddziałów są upoważnieni do wzywania ich wsparcia. Nie zmasakrujcie tylko gromady dzieciaków i psów, bo źle wypadniemy w wieczornych wiadomościach.

– W strefie zamieszek nie ma dzieci i psów – stwierdziła kapral Jackson, poklepując się jednocześnie po rękojeści noża taktycznego. Wszyscy nosiliśmy noże w polimerowych pochwach na udach, lecz Jackson mocowała swój do upręży pancerza bojowego, z rękojeścią skierowaną w dół. Wielokrotnie obserwowałem, jak ostrzyła starannie jego klingę i nie miałem żadnych wątpliwości, że wiedziała, jak go używać.

Pochwyciła mój wzrok, gdy spoglądałem na nią przez ładownię desantowca i – co mnie zaskoczyło – mrugnęła do mnie.

\* \* \*

Okręt desantowy schodził nad Detroit w konwencjonalny sposób – nie na łeb na szyję, jak w lądowaniu bojowym, lecz niemal swobodnie, jakbyśmy wracali do bazy. Płozy dotknęły gruntu, a rampa opadła, gdy podnosiliśmy się z foteli i zbieraliśmy broń.

Sceneria na zewnątrz prezentowała się dość podobnie jak w filmie katastroficznym. Wyszliśmy na wielki plac przed urzędem dzielnicowym i natychmiast opuściliśmy wizjery, by zamknąć hełmy przed gryzącym dymem z setek ognisk. Zanim się pojawiliśmy, zamieszki trwały zapewne na całego. W oddali widzieliśmy ludzi biegiem szukających osłony, roztropnie oddających plac desantowcom najeżonym bronią. Pozostawili za sobą spustoszenie w postaci płonących śmieci i spalonych hydrosamochodów. Front budynku urzędu miał na sobie ślady ognia, a połowa okien na parterze była wybita. Wszędzie widziałem łuski ze staroświeckiej mosiężnej amunicji.

– Idziemy – poleciała na kanale oddziału sierżant Fallon. – Zajmujemy północno-zachodni narożnik. Znajdźcie jakąś osłonę i obserwujcie swój sektor.

Pluton podzielił się zgodnie z rozkazami. Pierwszy oddział biegiem udał się na

frontowy lewy róg budynku. Nad nami desantowiec drugiego plutonu z hałasem wylądował na dachu i dzięki hełmowemu systemowi wzmacniania dźwięków nawet z ulicy dosłyszałem hydrauliczny jęk rampy załadunkowej. Z tyłu nasz okręt desantowy wypływał z siebie ostatnich członków trzeciego i czwartego oddziału. Spojrzałem przez ramię na zamykający się właz. Pilot natychmiast się wzniósł. Desantowce są najbardziej narażone na ziemi, gdzie grozi im ogień przeciwnika, więc ich piloci nie lubią spędzać z płozami na poziomie gruntu ani chwili dłużej, niż to niezbędne.

– Gównno tu jest, a nie osłony, pani sierżant – oznajmił na kanale oddziału Baker.

– Użyjcie tamtych kolumn – rozkazała Fallon i na wyświetlaczach w naszych hełmach przez chwilę zamigotał znacznik celu. Pierwsze piętro budynku urzędu dzielnicowego wystawało lekko nad parter, podtrzymywane rozmieszczonymi w równomiernych odstępach kolumnami. Skuliliśmy się za nimi w pobliżu przydzielonego nam narożnika budynku i rozglądali w poszukiwaniu zagrożeń.

Okolica urzędu była zwykle najczystszy i najbezpieczniejszym spłachetkiem gruntu w DZK. Jeśli podobnie było tu, w Detroit, to reszta dzielnicy musiała wyglądać niczym zupełny rynsztok, ponieważ biegnąca przed nami ulica wyglądała jak najgorsza część mojego starego blokowiska. Wszystkie budynki znajdowały się w opłakanym stanie, sporo okien było zabitych deskami, a w pierzejach tkwiły szczeliny w miejscach, gdzie stare domy zostały częściowo rozebrane na materiały budowlane. Większość latarni nie świeciła i gdyby nie przekaz w podczerwieni z czujników na hełmie, nie widziałbym zbyt wiele w późnowieczornym mroku.

– Gdzie są, kurwa, wszyscy? – spytałem.

– Czekają, aż desantowce znikną z pola widzenia – odparła zwięźle Hansen.

Nad nami okręt desantowy drugiego plutonu wzniósł się i z rykiem zniknął na brudnym nocnym niebie. Rozległ się huk ładunku wybuchowego, gdy drugi pluton wysadził drzwi prowadzące na dach. Wszystko znów szło zgodnie z planem.

– O-o – ktoś odezwał się na kanale oddziału.

Na moim wyświetlaczu ukazały się dziesiątki symboli w kształcie czerwonego rombu, gdy uczestnicy zamieszek wyszli z kryjówek i ruszyli z powrotem w stronę budynku urzędu dzielnicowego. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób tylu ludziom udało się ukryć w tych



ciemnych zaułkach i za osłonami, ale teraz wracali tłumnie na ulicę, najpierw parami, później dziesiątkami, wreszcie setkami. Zerknąłem na mapę taktyczną i na lewo od nas, gdzie straż pełnił czwarty oddział, sytuacja się powtarzała.

– Uważajcie, idą – odezwał się na kanale plutonu porucznik Weaving. Brzmiał tak spokojnie, jakby nam mówił, że wieczorem stołówka będzie serwować klopsy i tłuczone ziemniaki.

– Bez jaj – odparła sierżant Fallon. – Włóżcie ładunki gazowe do granatników.

W pętlach na przedzie mojego pancerza bojowego znajdowało się dwanaście granatów do wyrzutni w karabinie. Cztery z nich zawierały gumę, dwa – śrut, a pozostałe sześć – chemiczne ładunki służące do tłumienia zamieszek, nazywane przez wojskowych „mniej śmiercionośnymi”, co teoretycznie było słusznym określeniem. Prawdziwszy byłby jednak termin „tylko troszkę mniej śmiercionośne”. Wypełniał je wyjątkowo nieprzyjemny środek chemiczny, który przedostawał się przez każdą maskę czy filtr oprócz zamkniętych pancerzy bojowych. Na szkoleniu przygotowawczym podczas zajęć z broni chemicznej wszyscy musieliśmy wytrzymać dziesięć sekund wystawienia na gaz do tłumienia zamieszek i dobrze wiedziałem, że osoby zaatakowane tą substancją żałowały, iż nie dostały zamiast tego ostrą amunicję.

Wyciągnąłem z uprząży granat gazowy i wsunąłem do granatnika. Na prawo ode mnie koledzy z oddziału robili to samo. Rozejrzałem się po zbierającym się tłumie, wypatrując broni, i z niepokojem zauważyłem, że niemal wszyscy mieli przy sobie coś nadającego się do uderzania, kłucia bądź strzelania. Rok wcześniej sam znajdowałbym się w takiej zgrai, wykorzystując panujący chaos jako dogodną wymówkę do tego, by coś zniszczyć i ukraść, lecz teraz byłem po drugiej stronie barykady i nie czułem żadnych wyrzutów sumienia, biorąc zbliżający się tłum na cel.

– NIE ZBLIŻAĆ SIĘ! – zagrzmiała do buntowników sierżant Fallon. Nasze urządzenia komunikacyjne posiadały funkcję głośnika, z której rzadko korzystaliśmy, pomijając psikusy robione kolegom z plutonu. – NATYCHMIAST SIĘ ROZEJŚĆ ALBO OTWORZYMY OGIEŃ!

Tłum odpowiedział gniewnymi okrzykami i pierwsi buntownicy znaleźli się już na tyle blisko, by zacząć w nas rzucać kawałkami gruzu. Czynili to z entuzjazmem.

– Niech mają za swoje – uznała Fallon. – Granatniki bez rozkazu, tylko ładunki do uspokajania tłumów. Ostra amunicja wyłącznie w samoobronie.

Była nas dziewiątka z AT, a nacierający na nas tłum liczył kilkaset ludzi. Mieli przewagę liczebną pięćdziesiąt do jednego i gdyby dotarli do naszych pozycji, załukliby nas na śmierć. Zgodnie z moją własną definicją mieliśmy w związku z tym pełne prawo do samoobrony, ale słuchałem rozkazów i trzymałem palec z dala od spustu karabinu. Obok koledzy ustawiali granatniki na cel i dołączyłem do nich, celując w środek zbliżającej się zgrai.

Poczułem w dłoniach odrzut, gdy wystrzeliłem granat gazowy w pierwszy szereg buntowników. Pocisk eksplodował ze stłumionym hukiem i nagle z miejsca, w które trafiłem, rozeszła się biała chmura substancji chemicznej. Dzięki naszym dziewięciu granatom ulica na całej szerokości zasnuła się białym dymem. Gazowa barykada powstrzymała natychmiast tłum i widziałem, jak kilkadziesiąt osób upada na dłonie i kolana, próbując złapać oddech.

– Dajcie im kolejną salwę, tym razem dalej – poleciła Baker.

Załadowałem następny granat i posłałem łukiem nad pierwszym rzędem buntowników, w tłum, który już się rozpraszał, by uciec przed powiększającą się szkodliwą chmurą. Na lewo od nas, po drugiej stronie placu przed budynkiem urzędu, gdzie pozycje zajął czwarty oddział, rozległy się strzały. Nie brzmiały one jak chrapliwe, wysokie odgłosy naszych przydziałowych karabinów. Kilka chwil później czwarty oddział odpowiedział ogniem – najpierw jeden karabin, później drugi zaczęły strzelać krótkimi seriami fleszet. Wyglądało na to, że sytuacja bardzo szybko nabierała tempa.

– Uważajcie na swoje sektory – poleciła sierżant Fallon. – Jeśli ktoś użyje ostrej amunicji, odpowiedzcie tym samym.

– I na tym kończymy nieśmiertelnością część dzisiejszego programu – Stratton udał ton sieciowizyjnego prezentera, a Hansen zachichotała.

Tłum znajdował się już w większości w rozsypce, lecz wyglądało na to, że część napastników może mieć wciąż ochotę na walkę. Ze skraju grupy dobiegł odgłos strzałów, ostre staccato broni automatycznej. Na prawo ode mnie Baker wrzasnął, gdy kilka kul trafiło go w pancerz. Zatoczył się, odzyskał równowagę i raptownie skoczył za osłonę, jak

ktoś próbujący uciec przed nagłym gradem. Pierwsza salwa ostrą amunicją od strony tłumu oznaczała, że sytuacja uległa zmianie, odsunąłem więc palcem wskazującym osłonę spustu. Gdy strzelec wypuścił kolejną salwę, dmuchnięcie ciepłych gazów z lufy pokazało mi się na wyświetlaczu niczym flara. Wycelowałem w buntownika i nacisnąłem spust. Mężczyzna przewrócił się w obłoku betonowego pyłu.

Strzały dobiegały już z całej szerokości ulicy przed nami. Niektórzy z mieszkańców DZK uciekli z linii ognia, inni zaś odzyskali odwagę i nacierali na nas z powrotem, ciskając różnymi przedmiotami i wykrzykując zdecydowanie nieprzyjazne słowa. Ci, którzy dysponowali bronią, wykorzystywali tłum jako osłonę, co było sprytne, bo nie mogliśmy zastrzelić każdego na ulicy, nawet gdybyśmy chcieli. Rzuciłem się za betonową kolumnę, gdy nadlatujące z przeciwka kule uderzyły w ścianę gmachu za nami. Nawis pierwszego piętra był jedyną osłoną, jaką zapewniał nam budynek urzędu dzielnicowego, lecz stanowił również pułapkę, betonowe pudło zamknięte z trzech stron, a więc przebywanie tam nie było teraz zbyt dobrym pomysłem. Ośmielony tym, że wszyscy próbowaliśmy kryć się przed strzałami, tłum zaczął znów nacierać na budynek. Wyjrzałem zza osłony i strach solidnie ścisnął mi żołądek, gdy zobaczyłem, że pierwsza linia buntowników znajduje się już zaledwie kilkadziesiąt metrów od naszych pozycji.

Z trudem znalazłem w upręży jeden z granatów śrutowych i niezgrabnymi palcami wsunąłem go do wyrzutni. Nie otrzymaliśmy jeszcze pozwolenia na użycie ostrych granatów, lecz za dziesięć sekund nie miało to już być istotne. Na prawo ode mnie Hansen i Baker kurtuazyjnie zaszczycili tłum strzałami ostrzegawczymi, wypuszczając krótkie serie w ziemię przed zbliżającą się zgrają, lecz odgłosy ich karabinów zupełnie utonęły w ryku i strzałach z ich strony. Tuż przede mną jeden z podchodzących uniósł staroświecką śrutówkę i wycelował w moją stronę. Z odległości dziesięciu metrów jej lufa wyglądała jak haubica i nie miałem zamiaru sprawdzać, czy osłona hełmu wytrzyma to, co z niej wyleci. Obniżyłem karabin i wystrzeliłem granatnikiem z biodra, wypuszczając duży nabój śrutowy.

Odgłos wyrzutni na krótką chwilę stłumił harmider buntowników. W częściowo zamkniętej przestrzeni betonowego nawisu okazał się na tyle głośny, by uaktywnić filtr dźwiękowy hełmu i na moment mnie ogłuszyć, ratując mi słuch. Przede mną w szeregach nacierającej zgrai pojawiła się nagle przerwa. Nikt nie stał w promieniu trzydziestu

metrów od lufy wyrzutni.

Otworzyłem granatnik i załadowałem kolejny granat śrutowy, a moje palce poruszały się jak kierowane autopilotem. Tłum bezpośrednio przede mną rozproszył się, by zejść z linii ognia, uciekł na lewo i prawo, napierając zamiast tego na moich kompanów.

Hansen i Stratton poszli za moim przykładem, również strzelając granatami śrutowymi, i ulica przed nami zamieniła się w dom wariatów. Tłum znalazł się już na tyle blisko, że idący na czele buntownicy mogliby nas łapać za karabiny, i niektórzy z nich starali się tak robić. Ktoś próbował chwycić M-66 Bakera, w odpowiedzi dostał pięcioprzętową serię. Obserwowałem z makabryczną fascynacją, jak zdolne do przebijania pancerzy fleszety przechodzą przez pechowego buntownika oraz człowieka stojącego za nim. Obaj upadli, lecz nadciągali kolejni i znajdująca się przed nami ludzka masa była po prostu nieprzebrana.

Na lewo ode mnie, zza betonowego filaru, który wykorzystywałem jako osłonę, wyłoniła się grupa krzyczących buntowników. Jeden z nich trzymał toporny pistolet. Zauważył mnie i uniósł broń w chwili, gdy podrywałem karabin do ramienia i naciskałem spust.

Coś pchnęło mnie silnie z prawej strony i nagle stwierdziłem, że leżę na plecach, ślizgając się po chodniku. Podniosłem karabin i obróciłem się do napastników. Jakiś facet złapał za lufę mojego M-66. Gdy poczułem, że wyrywa mi broń z rąk, odpaliłem granatnik, w którym znajdował się ładunek śrutowy. Napastnik puścił karabin, otrzymawszy pełną porcję śrutu, cztery tysiące ołowianych kulek, które z tej odległości skupiły się w sferę wielkości zaledwie pięści. Środkowa część tułowia przemieniła się w krwawą miazgę, a wizjer mojego hełmu pokrył się kroplami krwi oraz fragmentami tkanki.

Wokół mnie rozległ się stukot kilku M-66 działających w trybie pełnej automatyki. Tuż obok trzy albo cztery osoby rzuciły się na kaprala Bakera. Jeden z nich złapał go za karabin i obrócił, by skierować lufę na Strattona, który parę kroków dalej zmagął się z własną grupą buntowników. Bez zastanowienia wycelowałem broń i strzeliłem w plecy człowiekowi ściskającemu M-66. Reszta przeciwników Bakera była zajęta próbami przyszpilenia kaprala do ziemi, zdejmowałem ich pojedynczymi strzałami. Baker wstał, rozejrzał się i podniósł broń.

– Kto strzela ostrą amunicją? Kto strzela ostrą amunicją?!

Okrzyk dobiegł z kanału plutonu. Wydał go zapewne dowódca naszego plutonu, pilnujący jednego z mniej obleganych narożników po drugiej stronie budynku wraz z trzecim lub czwartym oddziałem.

– Brawo Jeden, potrzebujemy was tutaj – odpowiedziała sierżant Fallon. – Kopia nam tyłki, jeśli nie zauważyliście.

Na wyświetlaczu taktycznym było pełno czerwonych rombów. Otaczało nas kilka setek wkurwionych buntowników. Skończyły mi się granaty śrutowe, a magazynek w karabinie był niemal pusty. Niezgrabnie wyjąłem kolejny z kieszeni w uprząży. Potrzebowałem trzech prób, by umieścić magazynek w karabinie. Podczas szkolenia zawsze przeładowywałem w płynny sposób, lecz teraz miałem wrażenie, że nawlekam igłę w zimowych rękawicach. W końcu wcisnąłem magazynek, nasadą dłoni uderzyłem przycisk zamka. Wskazania małego licznika w lewym dolnym rogu wyświetlacza zmieniły się z „31” na „249”. Komputer pilnował pozostałej amunicji, aby dać mi znać, gdy nadejdzie czas na przeładowanie, informował też przez tak-łaczę dowódcę oddziału, jeśli zostawało mi już mało ładunków. Nie monitorował natomiast poziomu mojego przerażenia, tego, ile razy trafiono w mój pancerz, w jakim stopniu chciało mi się wymiotować i jak bardzo chciałem w tym momencie znaleźć się z powrotem w bazie.

Wybrałem nowy cel, wymierzyłem i strzeliłem. I znów, i znów. Nie brakowało mi celów. Przestałem myśleć o nich jak o ludziach. Byli teraz jedynie sylwetkami w celowniku, na każdego przypadało jedno wciśnięcie spustu. Nasz oddział skupił się w ciasną grupę i wszyscy kryli ogniem obszar przed sobą, jak na ćwiczeniach. Przez parę chwil słyszałem jedynie miarowy stukot karabinów rzygających śmiercią w tempie kilku tysięcy ładunków na minutę. Strzelaliśmy metodycznie, jednostajnie, jakbyśmy znajdowali się na strzelnicy w Fort Shughart.

I nagle miejscowi stwierdzili, że mają już dość.

Musieli uznać, że nie posiadają przewagi, ponieważ tłum przestał napierać, straciwszy wściekłą energię, która kazała pierwszym szeregom atakować żołnierzy w nowoczesnych pancerzach bojowych za pomocą jedynie staroświeckiej broni palnej i granatów samoróbek. Bezkształtna ludzka masa rozdzieliła się na setki osób uciekających w różnych kierunkach, byle tylko dalej od luf naszych karabinów.

Odetchnąłem chrapliwie. Poczułem się, jakbym od momentu rozpoczęcia strzelaniny nie

napełniał porządnie płuc. Rozejrzałem się, by stwierdzić, że wszyscy moi kompani z oddziału wciąż stoją z bronią w gotowości, a na ulicy przed nami piętrzą się dziesiątki ciał. Pod naszymi nogami leżała warstwa czegoś białego, wyglądającego jak cienka pokrywa śnieżna, i dopiero po chwili zorientowałem się, że to odrzucone plastikowe osłony naszych fleszet, które wypadły z luf, gdy opuszczały je tungstenowe strzałki.

Dziesięć metrów na prawo od nas zza rogu budynku wypadli biegiem żołnierze z trzeciego oddziału z dowódcą plutonu na czele. Porucznik Weaving rozejrzał się szybko i uniósł wizjer hełmu.

– O kurwa, ludzie. To będzie paskudnie wyglądać w wiadomościach w sieciowizji.

Sierżant Fallon chciała odpowiedzieć na kanale oddziału, lecz powstrzymała się i podeszła do Weavinga. Gdy znalazła się przed nim, również uniosła osłonę hełmu.

– Coś nie tak z pańskim tak-łączem, poruczniku?

– Nie – odparł.

– Lepiej, żeby pan je sprawdził, gdy wrócimy, skoro nie pokazało panu kilkuset osób próbujących nas zabić.

Porucznik Weaving spał się, gdy nagle rozległ się odgłos przypominający stukot gradu o metalowy dach. Oficer zatoczył się w bok i przewrócił. Przez ulicę przetoczył się gwałtowny trzask, dźwięk potężnego karabinu.

– Snajper! – troje lub czworo z nas wrzasnęło jednocześnie na kanale oddziału i wszyscy rzucili się za osłony. Sierżant Fallon przykucnęła, złapała porucznika Weavinga za ramię, by odciągnąć go w bezpieczne miejsce.

– Przydałoby mi się trochę pomocy – powiedziała.

Opuściłem względnie bezpieczne schronienie za betonową kolumną, podbiegłem do niej i złapałem porucznika za drugie ramię. Razem przesunęliśmy jego bezwładne ciało za kolejny filar.

– Porucznik został trafiony – zakomunikowała na kanale plutonu Fallon. – Walkiria Sześć-Jeden, tu Brawo Jeden-Jeden. Opuść okręt przed budynek celem ewakuacji medycznej, natychmiast.

– Walkiria Sześć-Jeden, potwierdzam. Przewidywany czas przybycia dwie minuty –

usłyszałem w odpowiedzi. Walkiria była sygnałem wywoławczym eskadry naszych desantowców, a Sześć-Jeden to okręt naszego plutonu.

– Zróbcie trochę dymu i znajdźcie tego snajpera – rozkazała Fallon. Priest oraz Paterson wyciągnęli z uprząży granaty dymne i rzucili je na ulicę przed naszymi pozycjami.

W oddali znów rozbrzmiał karabin. Kula z niego wzbiła betonowy pył z kolumny przed nami.

– Zastrzelcie szybciej tego gnojka – poleciała sierżant Fallon.

Granaty dymne wybuchły ze stłumionym hukiem, pokrywając obszar gęstym, białym dymem. Snajper nie zraził się tym. Znów strzelił i kula z brzękiem trafiła w jedno z okien za nami. Wreszcie ktoś ustalił komputerem najbardziej prawdopodobną trajektorię jego strzałów. Tak-łącze zaktualizowało wszystkim wyświetlacze, nakładając słaby znacznik celu na przypuszczalną pozycję snajpera kilkaset metrów w głąb ulicy. Oba otaczające mnie oddziały otworzyły ogień z karabinów.

– Grayson, ze mną. Sierżancie Ellis, proszę przejąć dowodzenie. Grayson i ja zaniemiemy porucznika z powrotem na plac, żeby wsadzić go do ptaszka. Reszta, osłaniajcie nam tyłki.

– Potwierdzam – odparł Ellis. Był dowódcą trzeciego oddziału, nominalnie równym teraz rangą sierżant Fallon, jednak Fallon znajdowała się tak wysoko w hierarchii kompanii, że każdy podoficer niższy stopniem niż sierżant zwykle się z nią liczył.

Porucznik był nieprzytomny. Kula oderwała z hełmu uniesiony częściowo wizjer, po czym ugodziła pod kątem w głowę. Twarz miał zalaną krwią, a jego czoło wyglądało, jakby ktoś musnął je siekierą, ale wciąż oddychał i pocisk chyba nie przebił kości. Sierżant Fallon zdjęła porucznikowi hełm, położyła na ziemi, wyciągnęła dłoń.

– Daj mi pakiet ratunkowy, Grayson.

Sięgnąłem do bocznej kieszeni mundurowych spodni i wyjąłem pakiet z bandażem. Otworzyłem plastikowe zamknięcie, wytrząsnąłem opatrunek i podałem Fallon, która położyła go porucznikowi na głowie. Termiczny bandaż natychmiast przyległ do rany, zamykając ją.

– Przeżyje, żeby osobiście odebrać Purpurowe Serce – oznajmiła sierżant. – Pomóż mi zanieść go do okrętu.

Złapaliśmy porucznika Weavinga za ręce, by podciągnąć jego spore ciało. Był wysoki, ważył niemal sto kilogramów, a pancerz bojowy dokładał do tego kolejne piętnaście.

– Weź też jego karabin – poleciła. Pochyliłem się, by podnieść M-66 porucznika. Zauważyłem, że miał cztery pełne magazynki w kieszeniach, a komputer poinformował mnie, że w jego karabinie wciąż znajdowało się dwieście pięćdziesiąt ładunków.

– Walkiria Sześć-Jeden, przewidywany czas przybycia jedna minuta – usłyszałem na kanale plutonu. – Nie wychylajcie się tam.

Skierowaliśmy się do głównego wejścia do budynku, biegnąc niezdarnymi krótkimi krokami, obciążeni bezwładną masą porucznika. Wszędzie wciąż byli buntownicy, jednak gdy pokazaliśmy, że nie boimy się korzystać z ostrej amunicji, zajęli się raczej unikaniem nas.

Nad głową usłyszałem silniki opadającego desantowca. Leciał z pełną prędkością, wykonując lądowanie bojowe. Gdy okrążyliśmy róg dzielący nas od głównego placu dzielnicowego, wzdrygnąłem się na widok kolejnych ciał na ziemi, w niemal dwukrotnie większej liczbie niż przed pozycjami naszego oddziału. Drugi oddział się nie hamował.

– Brawo Jeden-Jeden, tu Brawo Jeden-Dwa. Mamy trzech rannych, którzy muszą dostać się na wasz okręt.

– Przyjęłam, Brawo Jeden-Dwa. Dawajcie ich, i to bez guzdrania – odpowiedziała sierżant Fallon.

Desantowiec pojawił się z fantazją. Wyłonił się z niskich chmur i lecąc bokiem, wykonał ciasny ostatni skręt. Na widok tej wielkiej, śmiertelnej maszyny ogarnął mnie chwilowy pierwotny lęk. Ktokolwiek zaprojektował Szerszenia, nawet przez moment nie zastanawiał się nad estetyką. Pojazd w całości składał się z kątów i ostrych ścianek, najeżony był wielolufowymi działkami i zasobnikami bombowymi. Wyglądał jak wywodzące się z czyichś gorączkowych majaków połączenie szerszenia oraz wazki, rozdęte do ogromnych rozmiarów i zakute w pancerz z laminatu.

Na moich oczach wysunęło się podwozie i okręt zwolnił, by pionowo dotknąć gruntu. W ostatniej chwili pilotka skrzyła Szerszenia tak, by ogon i rampa ładunkowa były skierowane w stronę budynku urzędu, broń zaś obrócona w kierunku zagrożenia. Widziałem, jak działko w wieżyczce dziobowej obracało się z boku na bok, gdy komputer



automatycznie szukał celów. Podwozie zetknęło się z ziemią i Szerszeń przysiadł nisko. Rampa towarowa z tyłu otworzyła się z hydraulicznym jękiem.

– Jest już pańska taksówka – poinformowała nieprzytomnego porucznika Weavinga sierżant Fallon.

Wnieśliśmy porucznika na plac. Ogon desantowca znajdował się kilkadziesiąt metrów od budynku. Szef załogi wyszedł na rampę i gestem wskazał, byśmy ruszali.

Znajdowaliśmy się dziesięć metrów od rampy, gdy przez plac przetoczył się grzmot ciężkiej broni automatycznej. Rozejrzałem się w poszukiwaniu zagrożenia, sądząc, że to wieżyczka dziobowa desantowca atakuje cel, ale zauważyłem, że pociski smugowe lecą w naszą stronę, a nie odwrotnie.

– Padnij! – wrzasnęła sierżant Fallon. Rzuciliśmy się na ziemię wraz z porucznikiem Weavingiem.

Przed nami rozległ się odgłos przypominający uderzenia gradu o metalowy dach. Desantowiec zaczął obrywać.

– Kurwa, skąd to leci? – krzyknął ktoś na kanale plutonu.

– Z dachów – odparł ktoś inny. – Są na dachach, na prawo i w środku.

Pilotka desantowca podkręciła obroty i uniosła okręt z ziemi. Stojący w wejściu szef załogi utrzymał równowagę, po czym cofnął się w głąb, pod osłonę pancerza. Zastanawiałem się, dlaczego wieżyczka nie odpowiadała ogniem. Strumienie smugowców dolatywały z dachów dwóch bloków po prawej stronie placu i jednego na przeciwnym skraju, bezpośrednio na wprost budynku urzędu. Oba wieżowce były standardowymi mrówkowcami opieki społecznej, wysokimi na trzydzieści pięter, i uświadomiłem sobie, że wieżyczka okrętu nie może strzelać pod takim kątem.

Karabiny na dachach strzelały seriami, około dwudziestu ładunków naraz. Sierżant Fallon i ja znajdowaliśmy się na otwartej przestrzeni, pomiędzy zapewniającym względną osłonę budynkiem a opancerzonym okrętem. Rampa desantowca była znacznie bliżej niż betonowy nawis urzędu, jednak okręt wisiał już metr nad ziemią i wyglądało na to, że jego załoga nie zamierzała czekać, aż zostanie zasypała pociskami.

– Kurwa, skąd oni wzięli karabiny maszynowe? – wysyczała Fallon. Wyciągnęła z uprząży granat dymny i gestem wskazała, bym zrobił to samo.

Rzuciliśmy nimi w stronę placu i nasza pozycja zasnuła się gęstym dymem.

– Spieprzajmy stąd – zasugerowała sierżant. Ponownie złapaliśmy wciąż nieprzytomnego porucznika za ramiona i zaczęliśmy wycofywać się w stronę budynku. Za nami pociski z karabinów maszynowych nadal obsypywały pancierz desantowca rytmicznym staccato.

Nagle odgłos silników uległ zmianie i od razu zrozumiałem, że coś ważnego właśnie się zepsuło. Miarowy skowyt turbin przerodził się w bolesny wrzask. Obejrzałem się przez ramię, dostrzegłem dym z silnika na sterburcie. Kolejny strumień smugowców spadł na desantowiec, wiszący teraz piętnaście metrów nad placem. Stykając się z pancierzem, kule krzeszały czerwone i żółte iskry dobitnie wskazujące, że ładunki przeciwpancerne uderzają w twardą powierzchnię.

– Nie zatrzymuj się, żeby podziwiać widoki, kretynie! – wrzasnęła sierżant Fallon. Dopadliśmy osłony nawisu we frontowej części budynku.

Przy skraju nawisu klęczało paru żołnierzy z drugiego oddziału. Celowali karabinami w górę, strzelając seriami w źródło smugowców sieczących nasz desantowiec. Ktokolwiek ustawił tam karabiny maszynowe, znał możliwości Szerszenia. Okręt był najbardziej narażony, gdy znajdował się na ziemi, a karabiny stały wysoko na dachach, poza zasięgiem szybkostrzelnej wieżyczki dziobowej. Ustawiono je tam w wyniku albo wyjątkowego zbiegu okoliczności, albo też starannego planowania. Położyłem porucznika, przerzuciłem jego karabin przez swój napierśnik i sprawdziłem poziom naładowania mojej broni. W uprząży miałem tylko nieśmiercionośne granaty, którymi mógłbym jedynie zirytować załogi wrogich karabinów maszynowych. Zresztą i tak nie dysponowałem niczym, co mogłoby dolecieć na dach trzydziestopiętrowych budynków.

– Skurwysyny wiedzą, co robią – powiedziała niemal z szacunkiem Fallon. Obserwowaliśmy, jak desantowiec przechylił się na bok i zarzucił ogonem. Jego pilotka robiła, co tylko mogła, aby utrzymać kokpit oraz pozostały sprawny silnik z dala od strumienia pocisków. Próbowała poderwać okręt z betonowej pułapki, ale z jednym uszkodzonym silnikiem Szerszeń bardzo wolno się wznosił. Karabiny maszynowe wciąż dudniły, śledząc desantowiec smugowcami. Oba strumienie zetknęły się na kokpicie.

Okręt znajdował się już trzydzieści metrów nad placem, gdy z niepokojącą gwałtownością zarzuciło nim na bok. Pilotka zaraz opanowała stery, obróciła ogon i

skierowała dziób w dół, by nabrać prędkości. Postanowiła zrezygnować z pionowego wzlotu i starała się wydostać ze strefy zagrożenia na niskim pułapie. Kurs skierował go tuż obok jednego ze stanowisk karabinów maszynowych i broń przestała strzelać, gdy desantowiec mknął daleko poniżej poziomu dachu. Drugi cekaem nawet na chwilę nie przestał wyrzucać miarowo pocisków i lecące z niego smugowce podążały za Szerszeniem opuszczającym plac.

Nad nami jeden albo dwa oddziały drugiego plutonu zajęły pozycje na dachu urzędu dzielnicowego. Słyszałem terkot ich M-66, gdy atakowały stanowiska karabinów maszynowych. Budynek administracyjny miał jedynie pięć pięter, więc cekaemy wciąż dysponowały przewagą wysokości. Po kilku chwilach ostrzału ze strony oddziałów z dachu operatorzy wrogich karabinów maszynowych postanowili wykorzystać swą pozycję i odpowiedzieć. Jeden z cekaemów, ten po przeciwległej stronie placu, znów zaczął strzelać i tym razem strumień smugowców pomknął na nasz budynek.

– Brawo Jeden, tu Walkiria Sześć-Jeden.

Pilotka naszego desantowca wywoływała porucznika na kanale plutonu. Brzmiała tak, jakby mówiła przez zaciśnięte zęby.

– Walkiria Sześć-Jeden, tu Brawo Jeden-Jeden. Porucznik jest ranny. Co z taksówką? – odparła sierżant Fallon.

– Okręt jest do niczego – odrzekła pilotka. – Mój drugi nie żyje, a szef załogi nie odpowiada na wezwania. Prawy silnik nie działa, połowa gratów w kokpicie rozwalona. Lecę do... Chwila.

Odgłos jedyne silnika Szerszenia wzniósł się nagle w oddali, po czym zamarł w złowieszczo definitywny sposób.

– Walkiria Sześć-Jeden, zaraz się rozbiję – oznajmiła pilotka rzeczowo na kanale plutonu. Brzmiała tak spokojnie, jakby przekazywała nam prognozę pogody na przyszły tydzień.

Z odległości trzech czwartych kilometra usłyszeliśmy trzask. Nie było eksplozji, jedynie donośny hałas, jakby ktoś upuścił ogromną torbę ze śrubami i gwoździami na twardą powierzchnię. Po paru chwilach odgłosy ucichły.

Przez moment na kanałach oddziału i plutonu panowała martwa cisza. Nawet karabiny

maszynowe i M-66 nad nami przestały strzelać.

– Kurwa! – zawołała Fallon, po czym przełączyła się na kanał plutonu. – Mamy zestrzelony desantowiec, ludzie. Walkiria Sześć-Jeden została zestrzelona w DZK.

# Rozdział 11

## Zestrzelony desantowiec

Nad naszymi głowami smugowce z cekaemu orały dach w miejscu, gdzie pozycje zajęli żołnierze drugiego plutonu. Nie byliśmy podłączeni do ich kanału, ale po dobiegających z góry wrzaskach i krzykach wnioskowałem, że nie działa się tam zbyt dobrze.

Sierżant Fallon wyjrzała spod nawisu i popatrzyła na nocne niebo, na którym pociski smugowe z karabinów maszynowych dolatywały do naszego budynku niczym roje bardzo rozwścieczonych światełek.

– Zgraja szczurów na zasiłkach kopie nam tyłki – mruknęła, po czym włączyła komunikator i zaczęła mówić do mikrofonu w hełmie. Nie słyszałem nic na kanałach plutonu ani oddziału, a więc musiała połączyć się z kompanią.

– Walkiria Sześć-Cztery, tu Brawo Jeden-Jeden. Walkiria Sześć-Jeden została zestrzelona trzy czwarte kilometra na wschód od naszej pozycji. Mamy tu na dachach cekaemy, które spuszczają manto drugiemu plutonowi. Zalecam, żebyś oczyścił stanowiska na dachach, a potem sprawdził, co widać na miejscu wypadku. Odbiór.

Wysłuchała odpowiedzi Walkirii Sześć-Cztery i przełączyła się znów na kanał plutonu.

– Ludzie, ptaszek drugiego plutonu wykona przelot bojowy. Schowajcie głowy.

Walkiria Sześć-Cztery nie traciła czasu. Pierwszą oznaką jej przelotu bojowego był strumień ognia z góry oraz odległy ryk wielolufowych działek Szerszenia. Dach budynku po drugiej stronie placu eksplodował deszczem iskier, gdy ładunki z działek przeorały stanowisko karabinu maszynowego. Cekaem ucichł i chwilę później desantowiec pojawił się nad nami, grmiąc nad placem niemal na poziomie dachu, gdy podnosił się po locie ostrzeliwującym. Zauważyłem, że część pocisków z działek chybiła krawędzi dachu i trafiła w mieszkania poniżej. Kilka okien na trzydziestym piętrze było wybitych, widziałem też wielkie otwory w zewnętrznych ścianach wieżowca. Fragmenty plastikowych futryn i kawałki betonu opadały na plac.

– Brawo Jeden-Jeden, tu Walkiria Sześć-Jeden – na kanale plutonu odezwał się głos

pilotki zestrzelonego desantowca. W tle transmisji słyszałem wyjące alarmy z kokpitu.

– Słyszę cię, Sześć-Jeden. Twój status? – odparła Fallon.

– Szerszeń rozjebany. Leżę prawym bokiem na środku pieprzonej ulicy. Awionika i łączność mają moc, ale wieżyczka dziobowa nie działa. Szef załogi i drugi pilot chyba nie żyją. Naprawdę przydałaby mi się tu pomoc.

– Sześć-Jeden, czekaj. Wyjdziemy po ciebie. Nie otwieraj włazów. Jesteś w gównianej okolicy.

– Zrozumiałam. Nigdzie się nie wybieram.

– Mamy cię na tak-łączu – oznajmiła sierżant Fallon. – Niedługo tam będziemy.

Wpatrywałem się w Fallon, gdy zamykała połączenie. Pomyślałem ze zgrozą, że ona chce tam iść pieszo.

– Zostawimy porucznika z trzecim oddziałem – rzekła do mnie. – Weź jego amunicję. Zrobimy sobie mały spacer. Pierwszy oddział, zbiórka przy mnie! – poleciała na kanale oddziału.

Wyciągnąłem magazynki z kieszeni porucznika Weavinga i umieściłem w pustych miejscach we własnej uprzęży, a resztę amunicji wepchnąłem do bocznych kieszeni pancerza na nogach.

– Nikt, kto bierze udział w strzelaniu, nie narzeka nigdy, że ma za dużo pocisków – rzuciła do mnie sierżant Fallon.

– Chyba tak – odparłem niepewnie, zamykając klapkę kieszeni na magazynki. Wyjście na ulicę DZK i oddalenie się od reszty plutonu było ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnąłem.

Reszta pierwszego oddziału zjawiała się biegiem: Stratton i Hansen na przedzie, później Jackson, Priest, Baker i wreszcie Paterson oraz Phillips.

– Jaki mamy plan, pani sierżant? – spytał Baker, gdy oddział zebrał się wokół nas.

– Nasza taksówka jest niecały kilometr w tamtą stronę. – Fallon zaznaczała trasę na naszych wyświetlaczach taktycznych. – Żyje przynajmniej jedna pilotka, pójdziemy więc tam, wyciągniemy załogę i uruchomimy ładunek wybuchowy w desantowcu. Nie zostawimy całej tej amunicji, żeby zabrali ją sobie miejscowi.

– Nocny wypad do miasta – powiedział Stratton. – Widzisz, Grayson? A narzekałeś, że nigdy nie pozwalają nam opuszczać bazy.

– Jasne. Zapomnij, że w ogóle się odzywałem – odparłem z uśmiechem. Wesoły nastrój Strattona wydawał się niezniszczalny, ale zauważyłem, że jego beztroska miała na mnie uspokajający wpływ.

– Do roboty – poleciła sierżant Fallon. Sprawdziła stan magazynka swego karabinu i wyszła na plac. – Idźcie w odstępach i pilnujcie swoich sektorów. Jeśli macie wątpliwości, najpierw strzelajcie, później przepaszajcie. I wywalcie te gumowe ładunki. Jeśli po tym pokazie fajerwerków ktoś wylezie na ulicę, pokażemy mu, czym dysponujemy.

\* \* \*

Ruszyliśmy ulicami DZK. Władze wreszcie pomyślały, by wyłączyć zasilanie w zbuntowanych obszarach dzielnicy, więc latarnie pogasły. Wszędzie było jednak mnóstwo palących się pojazdów i śmietników. Sensory obrazu w hełmach automatycznie zapewniały nam najlepszy obraz: tryb pracy w słabym świetle, termowizja i około trzech tuzinów innych filtrów. Ludzie, z którymi walczyliśmy, nie dysponowali wojskowymi sensorami, jednak w jakiś sposób całkiem dobrze znali naszą pozycję. Widywaliśmy małe grupki buntowników przemykające przez ulice i znikające przed nami w zaułkach. Trzymali się z dala i nikt nie mierzył w nas z broni, lecz z jakiegoś powodu miałem wrażenie, jakbym znalazł się z powrotem w ośrodku walki miejskiej w obozie przygotowawczym i właśnie rozpoczynaliśmy inscenizowane szkolenie.

DZK Detroit była zupełnym bagnem. Obszar wokół urzędu dzielnicowego wydawał się wręcz pokazowy, jeśli porównać go ze zniszczeniami na rozciągających się dalej ulicach. W Bostonie znajdowały się paskudne, lecz w większości nietknięte budynki. Tutaj, w Detroit, blokowiska były dwa razy brzydsze i połowa z nich znajdowała się w różnym stopniu dewastacji. W każdym kwartale ulic trafiała się jedna czy dwie posesje będące wyłącznie fundamentami lub rudarami, z których pozostały podłogi i walące się ściany. Wyglądały jak zepsute zęby w i tak już niezdrowej szczęce. Gdy z bronią w gotowości mijaliśmy te puste parcele, nikogo nie widzieliśmy, lecz płonące śmietniki i rozrzucone pudełka po jedzeniu świadczyły, że mieszkańcy ruin nie są daleko.

– Brawo Jeden-Jeden, tu Walkiria Sześć-Cztery. Krążymy nad celem i widzimy was na taktycznym. Uważajcie, miejscowi śledzą was równoległą ulicą, na godzinie czwartej.

Na naszych wyświetlaczach pojawiły się dziesiątki czerwonych rombów, zgromadzonych na ulicy na prawo od nas i dotrzymujących nam tempa.

– Przyjęłam – odpowiedziała sierżant Fallon. – Jak wygląda miejsce wypadku, Sześć-Cztery?

– Teraz jest czysto, ale wygląda na to, że w okolicy zbiera się zgraja miejscowych. Sugeruję, żebyście się pospieszyli.

– To masz załatwione, Sześć-Cztery.

– Co oni robią, do cholery? – spytał Paterson. – Najpierw biegają nam prosto na lufy, żeby nas dorwać, a teraz się wycofują.

– Nie wycofują się, durniu – odparła kapral Jackson. – Czekają, aż wejdziemy w pułapkę. Wiedzą, dokąd zmierzamy.

– Przestańcie gadać i trzymajcie szyk – poleciła sierżant Fallon. – Jeszcze pół kilometra. Z życiem, ludzie. Pospieszmy się, zanim szczury na zasiłkach dopadną zbrojownię na tej łajbie.

\* \* \*

Desantowiec spadł na sam środek dużego skrzyżowania, co było kiepską wiadomością, ponieważ znajdował się na otwartej przestrzeni i był odsłonięty ze wszystkich stron. Silnik na sterburcie wciąż dymił, a w jego opancerzonej gondoli dostrzegłem liczne otwory po pociskach przeciwpancernych, natomiast ten na bakburcie pracował na biegu jałowym, wydając z siebie niskie buczenie. Pół tuzina miejscowych dotarło na miejsce przed nami. Walili w boczny wjazd i skakali po dachu kokpitu, w ciemności nie widząc, że nadchodzimy.

Sierżant Fallon poinformowała ich o naszej obecności, bez zwalniania tempa mierząc z karabinu i wystrzeliwując jeden ładunek. Buntownik stojący na desantowcu spadł z dachu kokpitu i uderzył o chodnik, nawet nie próbując się czegoś chwycić. Pozostali usłyszeli strzał i rozbiegli się niczym karaluchy po włączeniu światła. Pozwoliliśmy im uciec, po czym podbiegliśmy do zestrzelonego desantowca.

– Sześć-Jeden, jesteśmy na zewnątrz. Otwórz boczny wjazd, jeśli możesz.

– Chwila – odpowiedziała pilotka. – Mam parę złamanych kości.

Podszedłem do kokpitu od prawej strony i zajrzałem do środka. Drugi pilot wisiał



bezwładnie w opancerzonym fotelu, a nierówna dziura z boku hełmu nie pozostawiała wątpliwości co do jego stanu. Prawa część kokpitu została ostrzelana ładunkami z karabinu maszynowego dużego kalibru i jeden z nich na tyle osłabił polikarbonat, że kula czy dwie wpadły do środka. Drugi pilot Walkirii Sześć-Jeden miał to nieszczęście, że siedział na ich trajektorii.

Obserwowałem, jak pilotka rozpina uprzęż i próbuje wstać z fotela. Krzyk, który się rozległ, był na tyle głośny, że dotarł do moich uszu przez opancerzoną osłonę kabiny.

– Pani sierżant, ona ma połamane nogi. Chwila. – Poklepałem bok kokpitu. – Sześć-Jeden, możesz awaryjnie odrzucić owiewkę?

Pilotka skinęła do mnie słabo głową i jeszcze słabiej wzniosła kciuk, po czym sięgnęła do czerwono-żółtej dźwigni po swojej stronie kokpitu.

– Lepiej się odsuńcie – poradziła. – Naprawdę daleko.

Wycofaliśmy się na skraj ulicy, z dala od owiewki desantowca.

– No dawaj, Sześć-Jeden. Jesteśmy daleko.

Panele osłony rozłączyły się ze stłumionym stuknięciem. Podbiegliśmy do kokpitu. Jackson podała swój karabin Patersonowi, po czym wspięła się na ściankę i zsunęła do otwartej już kabiny pilotów.

– Niech ktoś mi tu pomoże – poprosiła. Przekazałem karabin komuś z tyłu i wdrapałem się do Jackson.

Pilotka była w kiepskim stanie. Miała połamane nogi, poranioną prawą rękę i rękaw kombinezonu w strzępach. W kokpicie śmierdziało krwią, spaloną elektroniką i chemicznym paliwem. Popatrzyła na nas przez czysty wizjer hełmu. Uśmiechnąłem się do niej, próbując tak się ustawić, by unieść ją z fotela wraz z Jackson.

– Trzymaj się. Zaraz cię stąd wyciągniemy.

– Uwaga! – krzyknął ktoś na zewnątrz i nagle ze wszystkich stron skrzyżowania zaczęły dobiegać strzały.

– Pierwszy oddział, wielu nieprzyjaciół zbliża się do waszej pozycji – oznajmiła Walkiria Sześć-Cztery z determinacją w głosie.

– Taa, naprawdę? – odparł ktoś.

– Jackson i Grayson, zabierzcie pilotkę na tył i otwórzcie nam ten pieprzony właz – rozkazała sierżant Fallon. Oddział odpowiadał teraz ogniem i głośne odgłosy strzałów buntowników mieszały się z chrapliwym terkotem naszych M-66.

Wraz z Jackson ze zwiększoną determinacją ściągnęliśmy pilotkę z fotela. Krzyczała, gdy wlekliśmy ją do drzwi kokpitu, małego opancerzonego włazu znajdującego się metr za stanowiskami pilotów. Kokpit był zbyt mały dla trzech osób oraz trupa i każdy, kto strzelałby w jego obręb teraz, gdy został pozbawiony owiewki, niemal na pewno trafiłby jedno z nas. Jackson i ja mieliśmy na sobie pełne pancerze bojowe, pilotka jedynie płytę napierśnika na kombinezonie, osłanialiśmy więc ją jak najbardziej własnymi ciałami, gdy Jackson pociągała dźwignię otwierającą właz. Drzwi odsunęły się i przedostaliśmy się przez wąski otwór, niosąc pilotkę pomiędzy sobą. Na zewnątrz strzały przybrały na głośności. Gdy przeciskałem swe opancerzone cielsko przez właz, słyszałem kule uderzające o przegrodę tuż obok mnie. Instynkt kazał mi się pochylić i uciekać, jak najszybciej przedostać pod osłonę ładowni, lecz zatrzymałem się i obróciłem, by pociągnąć dźwignię po drugiej stronie przejścia. Właz zasunął się z powrotem i zamknął przejście czterema centymetrami pancerza z laminatu.

Potyając się, szliśmy wąskim korytarzem prowadzącym z kokpitu do ładowni. Pilotka była na w pół ciągnięta przez Jackson, na w pół popychana przeze mnie. Wreszcie dotarliśmy do ładowni i położyliśmy kobietę na pokrytej gumową wykładziną podłodze, z dala od bocznego włazu. Szef załogi leżał twarzą do dołu na podłodze przy tylnej rampie, nie ruszał się.

Jackson podbiegła do bocznego wejścia, pociągnęła dźwignię bezpieczeństwa. W przeciwieństwie do drzwi kokpitu, te były zamocowane na zawiasach otwierających się do środka pojazdu. Gdy tylko się uchyliły, żołnierze pierwszego plutonu zaczęli tłoczyć się do wejścia. Na zewnątrz ogień karabinowy przeszedł w rytmiczną kakofonię. Kadłub desantowca był zasypywany kulami z broni ręcznej, co brzmiało jak odgłos kamieni uderzających o polikarbonowe okno.

Oddział wcisnął się do środka. Ostatnia była Fallon, która jedną ręką strzelała z karabinu przez otwarty właz, drugą zaś ciągnęła za zamykającą drzwi dźwignię. Puściła spust, dopiero gdy właz prawie już dotykał jej lufy. Sierżant zatoczyła się do tyłu i włączyła kanał kompanii.

– Walkiria Sześć-Cztery, tu Brawo Jeden-Jeden. W naszej lokacji roi się od nieprzyjaciół. Zamknęliśmy się w okręcie. Może rzucicie wokół nas trochę artylerii?

– Brawo Jeden-Jeden, tu Walkiria Sześć-Cztery. Nie możemy nic zrzucić na obszar cywilny, ale przelecimy się tam z działkiem.

– Spróbujcie nie trafić w desantowiec, Sześć-Cztery. Wszyscy siedzimy w ładowni.

– Zrozumiałem, Jeden-Jeden. Czekać.

Mój wyświetlacz pokazywał, że okręt otaczało morze czerwonych rombów. W bocznych ścianach ładowni nie umieszczono okien, lecz dudnienie w kadłub Szerszenia wyraźnie świadczyło, że miejscowi całkowicie nas okrążyli. Pancierz desantowca był na tyle gruby, że tłumiał większość wrzasków, mimo to dobrze słyszeliśmy odgłosy strzałów po drugiej stronie płyt z laminatu.

– Gdzie mój karabin? – spytałem.

Stratton wzruszył ramionami.

– Wyczerpałem go i zostawiłem na zewnątrz. Przepraszam.

– Noż kurwa. I z czego mam niby teraz strzelać, do cholery?

– Weź sobie następny ze schowka z bronią tam na przedzie – poradziła sierżant Fallon.

– A przy okazji uzupełnij amunicję. Baker i Jackson, idźcie z nim i weźcie ładunki dla swoich zespołów. Bierzcie wszystko, co zdołacie unieść. Chyba czeka nas długa noc.

\* \* \*

Schowek znajdował się za kokpitem, tuż obok toalety chemicznej i wnęki kuchennej. Przypominał małą garderobę, wypełnioną po sufit zapasowym uzbrojeniem i ładunkami. Broń ustawiona była rzędami na tylnej ścianie schowka, amunicję zaś umieszczono poniżej, w zamkniętych pudełkach. Złapałem dwa pudła podpisane: MAGAZYNKI, KARABIN, M-66, 45EA, po czym podałem je Bakerowi oraz Jackson, którzy stali w korytarzu za mną.

– Weź też granaty do karabinów – polecił Baker.

Sięgnąłem znów do schowka i wyciągnąłem kilka różnych pudeł z twardego plastiku, pełnych granatów kalibru czterdzieści milimetrów. Kaprale odebrali je ode mnie i rzucili na tył, gdzie reszta oddziału już zajmowała się przeładowywaniem karabinów oraz

uzupełnianiem amunicji w kieszeniach.

Na stojakach znajdowały się głównie karabiny M-66, standardowe wyposażenie większości z nas. Na prawo od nich widziałem kilka sariss, które nie były szczególnie użyteczne w naszej sytuacji, a także pół tuzina wyrzutni MARS, które zdecydowanie mogły się przydać. Wielozadaniowa wyrzutnia rakiet bojowych jest krępą, krótką rurą wystrzeliwującą rozmaite krępe, krótkie rakiety. Działyły podobnie jak granatniki wbudowane w nasze karabiny, lecz MARS miał dwukrotnie większy kaliber i zasięg oraz robił czterokrotnie głośniejsze bum. Zdjąłem ze stojaka M-66, załadowałem do niego świeży magazynek i zarzuciłem broń na ramię. Kierując się impulsem, wziąłem również jeden z pistoletów, który wsunąłem w pustą pętlę na granaty w mojej uprzęży. Wreszcie wyjąłem z klamr wyrzutnię MARS. Ładunki do niej były schludnie ustawione pod spodem, a różnokolorowe osłony wskazywały, który konkretny śmiercionośny efekt wywołują. Połowy barw nie znałem, choć uważałem na szkoleniu przygotowawczym, gdy zaznajamiano nas z tym systemem uzbrojenia. Znałem kody kolorystyczne dla dwufunkcyjnych rakiet burzących (czerwone) i termobarycznych (żółte). Wziąłem po jednej, załadowałem pierwszą raketę do wyrzutni, a drugą przerzuciłem przez ramię, gdzie brzęknęła o karabin.

– Masz jakieś poważniejsze plany na dzisiejszą noc, Grayson? – spytała sierżant Fallon, gdy wróciłem do ładowni z MARS-em w zagięciu ręki.

– Upewniam się tylko, że mamy wystarczająco dużo bum, pani sierżant.

Na zewnątrz bębnienie ustało. Usłyszeliśmy za to serię szybko następujących po sobie eksplozji, jakby ktoś odpalał największy w dziejach zestaw fajerwerków. Po chwili Walkiria Sześć-Cztery z rykiem przeleciała nam nad głowami.

– Brawo Jeden-Jeden, rozbiegli się w poszukiwaniu kryjówek. Wykonamy jeszcze jeden lot.

– Zrozumiałam, Sześć-Cztery. Wielkie dzięki! – odparła Fallon. – Bierzcie graty i szykujcie się do wyjścia – poleciła nam na kanale oddziału. – Idziemy do tego bocznego zaułka. – Oznaczyła odpowiednie miejsce na naszych wyświetlaczach. – Pamiętajcie, żeby oddalić się w cholerę od tej łajby. Gdy ładunek wybuchnie, okręt stanie się największym granatem na świecie.

– Niech ktoś zobaczy, co z moim szefem załogi – odezwała się pilotka. Mówiła bardzo powoli, bo Paterson, sanitariusz naszego oddziału, wstrzyknął jej standardowy koktajl przeciwbólowy z pakietu ratunkowego, a ten towar był na tyle dobry, że pozwalał zapomnieć nawet o paru złamanych kościach. Przez kilka godzin nie będzie czuła nic poniżej pasa, ale i tak nie za bardzo mogłaby biegać na połamanych nogach.

– Jest nieprzytomny, ale żyje – doniósł Paterson. – Zupełnie urwał mu się film.

– Paterson i Baker, bierzcie szefa – rozkazała sierżant Fallon. – Phillips i Priest, wy niesiecie pilotkę. Rozwalmy tę łajbę, zanim tłum odzyska odwagę i wróci.

– Brawo Jeden-Jeden, tu Walkiria Sześć-Cztery. Dostaliśmy rozkaz ewakuacji rannych z drugiego plutonu. Przez jakiś czas będziecie zdani na siebie. Sześć-Dwa i Sześć-Pięć lecą z Shughart, przewidywany czas przybycia dziewiętnaście minut.

– Super – odparła Fallon. – Po prostu doskonale wycucie czasu, Sześć-Cztery.

– Zgłoś to do kompanii – zripostował pilot Sześć-Cztery. – Robimy tylko to, co nam kazano.

– Nie przejmuj się, Sześć-Cztery. W końcu jesteście łajbą drugiego plutonu.

– Jaki teraz mamy plan, pani sierżant? – zapytała Jackson.

– Wypytam kompanię – odrzekła Fallon i przełączyła się na kanał kompanii. Po kilku chwilach zwięzłej rozmowy pokręciła głową i wróciła na kanał oddziału. – Pułk przysyła kompanię Alfa i jeden z plutonów pancernych. Drugi pluton ma wielu rannych. Mamy iść z buta do urzędu dzielnicowego i przyczaić się razem z pierwszym oraz drugim plutonem, dopóki nie przyleci kawaleria.

– Plan wydaje się sensowny – stwierdził Baker. – Tylko szkoda, że od razu nie wysłali tych czołgów.

– Niemal nigdy nie wleką czołgów do spraw wewnętrznych, Baker. Wtedy wygląda to za bardzo jak wojna.

Dla mnie zdecydowanie wygląda to jak wojna, pomyślałem. Ludzie do nas strzelają, my odpowiadamy ogniem, a ci, którzy zostają trafieni, już nie wstają. Tam, na zewnątrz, byli obywatele WPA, ludzie, których praw obiecywaliśmy bronić, gdy składaliśmy przysięgę, lecz prawa obywatelskie niekoniecznie są pierwszą rzeczą, jaka przychodzi na myśl, gdy

ktoś strzela w twoim kierunku. Obecnie po jednej stronie znajdowało się nasze małe plemię wystraszonych i zmęczonych żołnierzy, przyczajonych w zestrzelonym okręcie desantowym, a po drugiej wszyscy pozostali, i w naszym oddziale nie było ani jednej osoby, która nie zastrzeliłaby dowolnej liczby Ich, aby ocalić jedno z Nas.

– Wyskakujemy – oznajmiła Fallon. – Wszyscy do tylnego wjazdu. Pamiętajcie, żeby odsunąć się od tego okrętu. Wszędzie będzie fruwało gówno. Stratton, zostań przy mnie, gdy będę uzbrajać ładunek. Reszta ruszać się.

Zebraliśmy sprzęt i zgromadziliśmy się na tyle desantowca. Przytomna pilotka i jej nieprzytomny szef załogi zostali podwieszani pod dwiema parami żołnierzy AT. Cieszyłem się, że byłem obciążony tylko wyrzutnią MARS, ponieważ tych czworo z nas, którzy musieli nieść członków załogi, mogło mieć problemy z oddawaniem strzałów. Jackson gestem wskazała mi, żebym krył tyły wraz z Hansen.

– Ja biorę szpicę – powiedziała. – Wy zamykajcie pochód.

Pociągnęła za dźwignię mechanizmu otwierającego rampę, wjazd towarowy otworzył się i lampy w ładowni zgasły. Mój wyświetlacz w hełmie zamigotał, dostosowując się do zmienionego światła. Dolna część rampy nie dotknęła jeszcze ulicy, gdy Jackson wyskoczyła na zewnątrz i zaczęła biec.

– Ruchy, ruchy, ruchy!

Tylna straż to nieprzyjemnie odsłonięta pozycja. Nie mogłem wyprzedzić dwóch par kolegów niosących załogę zestrzelonego okrętu, ponieważ miałem ich osłaniać, byłem więc równie powolny jak oni. Pobiegliśmy do wylotu wskazanej przez sierżant Fallon uliczki, większość z nas czymś obciążona.

Zaułek znajdował się w odległości około stu metrów od unieruchomionego okrętu. Nasza grupa opancerzonych żołnierzy wraz z osobami towarzyszącymi potrzebowała trzydziestu sekund, by pokonać ten dystans. Gdy dotarliśmy do wylotu uliczki, obejrzałem się przez ramię. Sierżant Fallon i Stratton wyskakiwali właśnie z ładowni, a ja przyklęknąłem na jedno kolano i zamieniłem wyrzutnię MARS na karabin, by ich osłaniać. Obok mnie przykucnęła Hansen, celując ze swojego M-66 w tamtym kierunku. Za desantowcem, po drugiej stronie skrzyżowania, w cieniach zalegających pod budynkami, widać było jakieś ruchy: miejscowi z powrotem podchodzili do okrętu, choć tym razem z

większą ostrożnością. Nasze wsparcie lotnicze odleciało, by bawić się w latającą karetkę dla rannych z drugiego plutonu, lecz mieliśmy trochę czasu, zanim buntownicy zorientują się, że zostaliśmy sami. Widziałem sylwetkę kogoś zbliżającego się ulicą, a dostosowane do niskiego poziomu światła czujniki w hełmie wyraźnie pokazywały zarys karabinu. Wycelowałem i wystrzeliłem szybko trzy pociski. Idący schował się pospiesznie.

Sierżant Fallon i Stratton przemknęli obok, grzechocząc karabinami o twarde pancerze bojowe.

– Kryjcie dupy, już! – wrzasnęła sierżant, nie zwracając sobie głowy włączeniem radia. Szybko weszliśmy tyłem w zaułek, cały czas trzymając karabiny w gotowości, by móc zareagować na ewentualne zagrożenie. Gdy znaleźliśmy się za rogiem, obróciliśmy się i pobiegli, by oddalić się od niebezpiecznej strefy. Nasi koledzy z oddziału ustawili na szybko perymetr w pobliżu dwóch wielkich śmietników. Dołączyliśmy do nich i zatrzymaliśmy się, by złapać oddech.

Przez moment panowała dziwna, nienaturalna cisza – bez strzałów, bez okrzyków, bez odgłosów silników w powietrzu, jedynie ciężkie oddechy dziewięciorga żołnierzy AT, którzy przebiegli sto metrów wraz z dwudziestoma kilogramami broni oraz pancerza.

– Gdzie bum? – odezwał się po chwili Stratton. – Miało być solidne bum.

Sierżant Fallon zaczęła odpowiadać, lecz nagle z oddali dobiegł dziwny odgłos, jakby ktoś otwierał wielki pojemnik z napojem gazowanym, i filtry wbudowane w hełm zupełnie odcięły dopływ dźwięków.

Choć elektroniczny osprzęt robił, co mógł, by oszczędzić mój słuch, boleśnie odczułem w bębenkach eksplozję desantowca. Przetoczyła się przeze mnie pędząca z prędkością dźwięku fala uderzeniowa i poczułem się tak, jakby ktoś rzucił mną na ziemię, a następnie skoczył na pierś. Przez chwilę wydawało mi się, że okręt desantowy musiał mieć w jednym z zasobników niewielki ładunek nuklearny, i byłem przekonany, że Fallon wysadziła połowę DZK, zresztą razem z nami. Mgliście zdawałem sobie sprawę, że nagle znalazłem się na chodniku, przewrócony siłą wybuchu.

Długo nic nie widziałem ani nie słyszałem. Spolaryzowany wizjer bardzo powoli przywracał mi możliwość widzenia, a dźwięk pozostawał wyciszony. Byłem ślepy i głuchy w pancernym kokonie, odcięty przez technologię, która pozwoliła mi zachować słuch i

wzrok.

Gdy znów mogłem skupić się na otaczającym mnie świecie, ujrzałem dookoła kolegów z oddziału, rozrzuconych na ziemi i podobnie zdezorientowanych. Wstałem na kolana, podniosłem karabin i sprawdziłem jego status na wyświetlaczu. Tak przywykłem do elektronicznych obrazów nałożonych na pole widzenia, że bez nich odczuwałem niepokój. Nie dostrzegałem symboli ani liczb wskazujących aktywne kanały tak-łącza, statusu naładowania broni, znaczników marszruty oddziału, a nawet kolorowych rombów oznaczających sojuszników i przeciwników. Przed oczyma rozciągał się wyłącznie zielonkawy obraz z sensorów w hełmie, pozbawiony jakiegokolwiek wspomaganie ze strony komputera taktycznego. Nie licząc wzmocnienia wzroku przy słabym świetle, pod względem technologicznym nie przewyższałem ludzi, którzy do nas strzelali.

Nagle mój komputer zresetował się, wracając do działania po potężnym wstrząsie, który zakłócił jego cyfrową równowagę. Na wbudowanym ekranie dostrzegłem znajomą sekwencję inicjalizacji systemu i pięć sekund później mogłem już normalnie widzieć oraz słyszeć.

Przestawiłem tak-łącze na kanał oddziału i odchrząknąłem.

– Pierwszy oddział, sprawdzenie łączności. Ktoś odbiera?

– Tak, wróciliśmy – odparł Baker. – Nieźle walnęło, co?

– Jak cholera – odezwała się Hansen. – Nie słyszałam nic tak głośnego od czasu imprezy w ostatnim roku szkoły.

– Ludzie, perymetr – upomniała nas sierżant Fallon. – Wstańcie i pilnujcie swoich sektorów.

Jej rozkaz wydawał się w tym momencie trochę bezcelowy – każdy w promieniu wybuchu, kto nie dysponował pancerzem bojowym ani zintegrowanym hełmem, przez jakiś czas był ślepy i głuchy. Mimo to sprawdziłem znów karabin, podniosłem wyrzutnię MARS i zająłem pozycję przy kontenerze na śmieci, by pilnować wylotu uliczki.

Cały zaułek był zasypany szczątkami, których wcześniej tam nie było. Wszędzie leżały fragmenty polikarbonatu, a gdy spojrzałem na budynki, zauważyłem, że fala uderzeniowa rozbiła wszystkie okna. Dziesiątki grubych na dwa centymetry tafli pękły jak warstewka lodu na kałuży. Widziałem, że za rogiem coś płonęło.



– Grayson i Hansen, idźcie na koniec uliczki i wyrzycie – poleciała Fallon.

Otrzepliśmy się i podbiegliśmy do wylotu zaułka, tam, gdzie niedawno staliśmy.

– O kurwa – skomentowała Hansen, gdy wyszliśmy zza rogu.

Rozciągająca się przed nami ulica w niczym nie przypominała miejsca, przez które przed chwilą biegliśmy od okrętu desantowego. Skrzyżowanie przypominało ruinę. Droga kończyła się siedemdziesiąt metrów przed nami, a tam, gdzie wcześniej spoczywał desantowiec, teraz znajdował się dymiący krater. Okoliczne budynki po prostu zniknęły. Z naszej pozycji na rogu zaułka aż do zniszczonych domów na skraju pola działania eksplozji nie widzieliśmy ani jednej nietkniętej szyby. Wszędzie leżały szczątki – fragmenty materiałów budowlanych, drzazgi polikarbonowych szyb i kawałki chodnika. Desantowiec zniknął zupełnie i nie dostrzegalem żadnego jego elementu, który dawałby się zidentyfikować.

– Co, do cholery, wsadzają do tych ładunków? – spytałem.

– To mieszanka paliwowo-powietrzna – odpowiedziała Hansen. – Polowa broń improwizowana. Zbiorniki są tak skonfigurowane, że reszta paliwa zostaje rozpylona do wnętrza okrętu. Poza tym odpalana jest cała artyleria, która pozostała.

– Okolica jest nieźle rozpiardolona.

– Już wcześniej to nie był kurort – zachichotała Hansen.

Rozejrzałem się, wykorzystując tryb widzenia w słabym świetle. Ujrzałem setki małych płomieni jaśniejących na ekranie w hełmie jaskrawą zielenią. Zastanawiałem się, ile osób zostało wysadzonych wraz z desantowcem lub zginęło w gruzach swych domów. Czy ktoś został tu po katastrofie okrętu i strzelaninie? Próbowałem się zastanawiać, co sam bym zrobił, gdybym wciąż mieszkał w DZK, i doszedłem do wniosku, że każdy, kto postanawia kręcić się w okolicy, gdy okręt desantowy spadnie z nieba obok domu, zasługuje na to, by wylecieć w powietrze.

– Obserwujcie – rozkazała Fallon. – Wychodzimy. Oczyszczmy teren, dopóki karaluchy są oszołomione.

# Rozdział 12

## Bitwa o Detroit

Sierżant Fallon postanowiła, że pójdziemy najkrótszą drogą do budynku urzędu dzielnicowego. Opuszczaliśmy miejsce katastrofy tak, jak przyszlismy, główną ulicą wiodącą prosto na plac. Boczne uliczki i zaułki zapewniały lepszą osłonę, dawały jednak większą przewagę przeciwnikom niż nam.

Znów znajdowałem się w tylnej straży. Czwooro żołnierzy niosących pilotkę i szefa załogi osłaniały dwie dwójki nieobciążonych ludzi od przodu i od tyłu. Hansen i ja rozglądaliśmy się po okolicy za nami, lecz ulice znów były dziwnie ciche. Co jakiś czas dostrzegałem ruch w drzwiach albo w wylocie zaułka, ale nikt do nas nie strzelał. Sam chętnie zrezygnowałbym już z dalszych atrakcji i gdy przemieszczaliśmy się od osłony do osłony w kierunku placu, miałem nadzieję, że druga strona podziela to odczucie.

Nad nami desantowiec drugiego plutonu opadł z zadymionego nocnego nieba, by znów wylądować na placu. Wstrzymałem oddech, gdy mijał wysoki mrówkowiec, z którego niedawno cekaemy zasypywały Walkirię Sześć-Jeden pociskami przeciwpancernymi, ale okręt bez przeszkód minął dach.

– Ludzie, trzysta metrów za nami – oznajmiła sierżant Fallon. – Już niedaleko. Nie wiem, jak wy, ale ja nie mogę się doczekać prysznic i relaksacyjnego ruchanka.

– Popieram – zachichotał Stratton.

– Kurwa, zrobiło się za cicho – odezwała się od przodu Jackson. – Wszyscy spakowali się i wrócili do domów?

Otworzyłem usta, by skomentować sztamkowy wtřęt Jackson, gdy coś z przodu przykuło mój wzrok. Na budynku w oddali ujrzałem błysk i tuż przed tym, jak do czujników dźwiękowych hełmu dotarło dudnienie strzałów, zrozumiałem, co było jego źródłem.

– Kryć się! – wrzasnąłem i skoczyłem na lewo, pod skąpą osłonę jakiegoś wejścia. Wyświetlacz hełmu migotał, gdy komputer aktualizował kierunki zagrożenia i pozycje przeciwnika na mapie taktycznej.

– Wieżowiec na godzinie dwunastej, trzecie albo czwarte piętro od góry!

Smugowce lecące od strony budynku wyglądały w ciemności jak promienie lasera – te sztuczne i czerwone ze starych filmów science fiction, a nie niewidoczne, potężne strumienie z prawdziwej broni laserowej. Pierwsza seria trafiła tuż przed naszym oddziałem, odbijając się od asfaltu rozgrzanymi do czerwoności pociskami.

Członkowie oddziału szukali osłony, lecz w tej okolicy nie było jej zbyt wiele, a już żadnej, która zatrzymałaby pocisk z cekaemu. Strzelec musiał śledzić nas od jakiegoś czasu i otworzył ogień, dopiero gdy minęliśmy już boczne zaułki, a po bokach nie mieliśmy nic poza ścianami budynków. Wylot najbliższej uliczki leżał kilkadziesiąt metrów przed nami, choć w tych okolicznościach równie dobrze mógłby to być kilometr.

Fallon przyklęknęła na jedno kolano, wycelowała z karabinu i wystrzeliła do źródła nadlatujących pocisków. Blok był oddalony niemal o pół kilometra, czyli na skraju naszego zasięgu. Jej M-66 wydawał się słaby i mały w porównaniu z donośnym grzmotem ciężkiego karabinu maszynowego. Stratton i Jackson poszli za przykładem sierżant, otwierając ogień.

Cekaem przestał strzelać, lecz tylko na chwilę. Kolejna seria trafiła prosto w cel. Obserwowałem z przerażeniem, jak strumień smugowców dosięgnął Strattona, chłopak upadł na plecy.

Kątem oka dostrzegłem ruch. Gdy się obróciłem, nad krawędzią dachu za nami zauważyłem lufę karabinu. Jacyś ludzie zajmowali tam pozycje i żołądek zwinął mi się w kłębek, kiedy uświadomiłem sobie, że miejscowi wcale nie zaprzestali walki. Zasadzka nie była zbyt wyrafinowana, lecz weszliśmy w sam jej środek.

Cekaem w oddali znów zaczął strzelać. Snajper był dobrze wyszkolony, wypuszczał krótkie serie, dowodząc, że zdecydowanie nie była to dla niego pierwszozna. Hansen wepchnęła mnie w wejście po lewej stronie, po czym wcisnęła się za mną, akurat gdy nowy strumień smugowców przeorał chodnik tuż przy nas. Wpadłem na drzwi budynku i uderzenie mojego pancerza zatrzęsło ich polikarbonowymi panelami. Wyrzutnia MARS zsunęła mi się z pleców, a ja wylądowałem na niej. Odsunęliśmy się pospiesznie od krawężnika, gdy pociski przemknęły zaledwie kilka kroków na prawo od nas. Jeden z nich trafił w narożnik i odłupał kawałek betonu, zasypując nas gruzem.

Na ekranie taktycznym widziałem, jak na symbolach dwóch członków oddziału pojawia się ikonka alarmująca: „potrzebny sanitariusz”. Jednym z poszkodowanych był właśnie nasz sanitariusz, Paterson. Reszta oddziału przemieszczała się w kierunku wylotu najbliższego zaułka, ale operator cekaemu miał już nas na widelcu. Kolejna seria powaliła następnego kolegę, ale nie potrafiłem stwierdzić którego.

Hansen podniosła się i wystrzeliła do kogoś na dachu poza moim polem widzenia.

– Grayson, otwórz te pieprzone drzwi – powiedziała od niechcenia, wskazując wejście po mojej lewej.

Nie miałem już granatów śrutowych, a użycie ładunku burzącego oznaczałoby, że musielibyśmy wyjść na ulicę, by nie znaleźć się w promieniu wybuchu. Pociski gumowe odbiłyby się tylko od grubych na dwa centymetry paneli. Przełączyłem karabin na tryb ręczny, ustawiłem ciągłą serię, wycelowałem w środek drzwi i nacisnąłem spust. Błyski z lufy rozświetliły polikarbonową powierzchnię, a moja broń wypluwała zawartość magazynka w tempie dwóch tysięcy ładunków na minutę, a więc trzydziestu trzech tungstenowych fleszet na sekundę. Strumień pocisków z łatwością wgryzł się w polikarbon i po dwóch lub trzech sekundach cały górny panel drzwi zmienił się w deszcz plastikowych odłamków.

Mogłem teraz sięgnąć przez framugę i awaryjnie odblokować zamek. Pchnąłem drzwi barkiem, a gdy się obróciłem, ujrzałem Hansen na plecach, ruchami pięt wsuwającą się głębiej w wejście. Karabin leżał obok niej na ziemi. Wyciągnąłem rękę, złapałem dziewczynę za tylny uchwyt pancerza i wciągnąłem do środka, z dala od linii strzałów. Wraz z całym ekwipunkiem ważyła niemal sto kilogramów, ale byłem tak napompowany adrenaliną, że przez cały czas nawet nie puściłem swojego M-66.

– Jak się czujesz? – spytałem, a ona jęknęła w odpowiedzi. W miejscu, w którym płyta napierśnika łączyła się z naramiennikiem, widniał otwór.

– Przynieś mi karabin – oznajmiła. – Mogę strzelać drugą ręką.

– Nie ruszaj się – poleciłem jej. Znów niemal wyczerpałem magazynek, załadowałem więc nowy z zapasu w bocznej kieszeni pancerza na nodze. Następnie podałem Hansen swój M-66.

– Weź go na moment.

Cofnąłem się do wejścia i podniosłem wyrzutnię MARS. Słyszałem dobiegające znów z ulicy dudnienie cekaemu. Na ekranie taktycznym widziałem jedynie romby mrugające na zmianę czerwienią oraz błękitem, co oznaczało rannych. Po drugiej stronie ulicy nad krawędzi dachu wyglądało kilka głów. Przytrzymując wyrzutnię lewą dłonią, wyciągnąłem pistolet, który wsunąłem sobie w uprząż jeszcze na desantowcu. Dziwnie leżał w ręku i nie byłem do niego przyzwyczajony, dotąd strzelałem bowiem z niego tylko na szkoleniu przygotowawczym podczas zajęć zaznajamiających z bronią ręczną, lecz komputer w pancerzu natychmiast rozpoznał rodzaj broni, przełączył tryb celownika i u dołu ekranu wyświetlił pozostałą amunicję.

Pistolet mieścił jedynie dwadzieścia pięć nabojów, jedną dziesiątą tego, co karabin, lecz na krótki zasięg lepiej było walczyć nim niż gołymi rękoma. Umieściłem świecąca kropkę na jednej z głów na dachu i nacisnąłem spust. Poczulem gwałtowny odrzut i znajdujący się pod celownikiem kontur nagle zniknął. Na dachu rozległy się krzyki i wyjrzała kolejna głowa, tym razem zza lufy karabinu. Przelotnie zaobserwowałem, że wycelowana we mnie broń bardzo przypomina wojskowe M-66. Wystrzeliłem szybko po sobie trzy kolejne pociski i strzelec zniknął. Jego broń stoczyła się na ulicę, gdzie wylądowała z głuchym stuknięciem. Na razie na dachu nie pojawiały się kolejne głowy.

Wsunąłem pistolet z powrotem w uprząż i zarzuciłem MARS-a na ramię. Odległy operator karabinu maszynowego przeszedł na bardzo krótkie serie, po dwa lub trzy naboje. Zapewne chciał oszczędzać amunicję, a jednocześnie nie pozwalał nam się ruszyć. Na ekranie tak-łacza widziałem, że Hansen przemieszcza się głębiej w korytarz po mojej lewej, a reszta oddziału przyczaiła się w bocznym zaułku trzydzieści metrów z przodu. Na podstawie wyświetlanych symboli mogłem stwierdzić, że ponad połowa z nich została wyłączona z walki.

Obsługa wyrzutni MARS była wyjątkowo prosta. Ćwiczyliśmy ją wielokrotnie i gdy teraz moje palce wykonywały czynności niezbędne do przygotowania broni do strzału, z jakiegoś powodu słyszałem głos sierżanta Burke'a, ten jego charakterystyczny ton szkoleniowca.

Wymierzyłem środek celownika w górną część oddalonego o pół kilometra bloku, w kierunku błysków dobiegających z oddali z lufy cekaemu, i pociągnąłem za spust.

Rakieta wyskoczyła z tuby z oszałamiającą prędkością. Jej ogon gorzał ciepłem

wewnętrzny silnik, a całość leciała tylko nieznacznie wolniej niż pocisk smugowy. Spodziewałem się, że wzniesie się leniwie niczym sarissy, z których parę tygodni wcześniej korzystaliśmy podczas szturm na ambasadę, lecz MARS poleciał prosto w kierunku celu, w zaledwie kilka sekund pokonując dzielącą go odległość.

Nie wycelowałem zbyt dobrze. Rakieta trafiła w budynek dwa piętra poniżej stanowiska karabinu maszynowego, który wciąż pluł w naszą stronę smugowcami. Pojawił się jaskrawy błysk, który rozświetlił zadymione nocne niebo, a następnie po DZK przetoczył się grzmot eksplozji.

Gdy brałem wyrzutnię, ze stojaka chwyciłem również głowicę burzącą oraz termobaryczną. Jedną z nich wsunąłem od razu do MARS-a, aby mnie dodatkowo nie obciążała. Okazało się, że wystrzeliłem pocisk termobaryczny.

Wyrzutnia strzelała raketami kalibru dziewięćdziesiąt milimetrów. Zaprojektowano ją tak, by niszczyła wrogie fortyfikacje i wzmocnione budowle. Wysoki blok mieszkalny jest bardzo lekką konstrukcją, składającą się ze stalowego szkieletu oraz modułowych betonowych płyt tworzących ściany.

Pocisk uderzył jakieś sześć metrów poniżej stanowiska cekaemu, lecz zdolna do niszczenia bunkrów głowica pozwalała na całkiem spory margines błędu. Obszar wokół punktu trafienia wybuchł na zewnątrz, z powodu zwiększonego raptownie ciśnienia okna i ściany przemieniły się w miliony odłamków. Eksplozja miała znacznie bardziej drastyczny przebieg niż w przypadku wybuchu granatu termobarycznego, który wystrzeliłem w budynek ze snajperem podczas ewakuacji ambasady. Niebo przy bloku wypełniło się płonącymi szczątkami wypychanymi przez ciśnienie wywołane wybuchem. Nagle cała fasada budynku ponad punktem uderzenia zapadła się z donośnym jękiem nadwerężonego metalu i betonu. Obserwowałem z przerażeniem, jak cztery czy pięć pięter ponad miejscem, w które trafiłem, osuwa się na siebie. Beton wciąż sypał się z góry, tym razem większymi bryłami. Gdy rumor ucichł, chmura pyłu wznosiła się na kilkadziesiąt metrów nad blokiem. Obrócona w naszą stronę ściana naznaczona była w górnej połowie ogromną raną, dymiącą szczeliną o wysokości pięciu kondygnacji i szerokości trzech czwartych całego budynku.

Gdzieś w głębi zdałem sobie sprawę, że właśnie wysadziłem dwadzieścia mieszkań wraz ze wszystkim i wszystkimi wewnątrz. Owszem, zabiłem operatora cekaemu, lecz

pozbawiłem również życia innych ludzi: mężczyzn, kobiety, być może i dzieci. Poczułem mdłości oraz zawroty głowy, niemal upuściłem wyrzutnię.

W pobliżu znów wybuchła strzelanina. Opadłem na jedno kolano i zwolniłem blokadę pozwalającą wyrzucić z tylnej części MARS-a pustą już łuskę. Wziąłem drugi ładunek, a w tym czasie ktoś znów zaczął krzyczeć z dachu po drugiej stronie ulicy. Poczułem, że coś trafiło mnie w bok pancerza tuż pod ramieniem. Uderzenie było tak silne, że z zaskoczenia upuściłem wyrzutnię. Podniosłem leżący obok mojej stopy karabin Hansen. Granatnik był pusty, ale w magazynku wciąż znajdowała się połowa pocisków.

Z dachu strzelała kobieta. Miała na sobie workowate, bezkształtne ubranie, ale wyraźnie widziałem pod daszkiem czapki długie włosy i kobiece rysy. Klęczała na jednym kolanie tuż przy krawędzi dachu, trzymając karabin o drewnianym łożysku. Na moich oczach przesunęła dźwignię pod spodem, by załadować kolejny pocisk do komory. Zrobiła to, nawet na chwilę nie zdejmując broni z ramienia ani nie spuszczając oka z przyrządów celowniczych.

Wpatrywałem się w tę kobietę, wyglądającą jak dziesiątki innych, które widywałem w swojej dzielnicy, po prostu blokerkę w za dużych ciuchach, i chciałem ją zniechęcić czy wykrzyczeć ostrzeżenie – cokolwiek, by we mnie nie strzeliła, żebym ja z kolei nie musiał odpowiadać ogniem. I nagle nacisnęła spust.

Kula trafiła mnie tuż nad brwią, na wypukłości tworzącej górną krawędź wizjera. Poczułem się, jakbym oberwał solidnie rzuconą piłką baseballową. Zatoczyłem się do tyłu i przewróciłem na tyłek. Wyświetlacz w hełmie na moment zgasł z powodu uderzenia.

Był to zabójczy strzał, który chybił o włos. Wcześniej celowała w pancerz, by zwrócić moją uwagę i żeby skłonić mnie do obrócenia się, drugi strzał był skierowany prosto w osłonę na oczy, najłabszy element pancerza. Czujniki przywróciły mi możliwość widzenia w słabym świetle akurat w momencie, gdy zobaczyłem, jak kobieta z dachu znowu pociąga za dźwignię swojego staroświeckiego karabinu. Prawą dłonią wciąż ścisnąłem M-66 Hansen, ale w przeciwieństwie do mojej przeciwniczki nie musiałem unosić broni w pole widzenia, by wycelować.

Nacisnęliśmy spusty w tym samym momencie. Jej kula uderzyła w mój wizjer, prosto w połączenie pomiędzy przezroczystą osłoną a wzmocnioną balistyczną skorupą właściwego hełmu. Znów chybiła o włos, lecz mniej niż poprzednim razem. Poczułem pod lewym

okiem gwałtowne ukłucie bólu, który promieniował do ucha, zupełnie jakby ktoś rozciął mi bok twarzy ostrym nożem.

Mój karabin odpowiedział nie jednym, ale sześcioma ładunkami. Trafiły kobietę prosto w pierś, komputer wycelował idealnie. Nie krzyknęła ani nie szarpnęło nią. Przechyliła się po prostu do przodu, pomiędzy nią a ulicą nie znajdowało się nic, co mogłoby zatrzymać upadek.

Spadała, trzepocząc kończynami bez żadnych oznak kontroli nad ciałem, wiedziałem więc, że już nie żyła, zanim jeszcze uderzyła w ziemię. Mimo to jakiś impuls kazał mi podbiec dwadzieścia metrów do miejsca, w którym leżała bez ruchu na brudnym asfalcie.

Złapałem kobietę za kołnierz kurtki i obróciłem, by spojrzeć jej w twarz. Oczy miała otwarte, lecz pozbawione wyrazu. Nie było widać bólu, zaskoczenia czy zaniepokojenia. Mogła mieć trzydzieści lat, może trochę mniej. Gdy spadała, zgubiła czapkę z daszkiem, odsłaniając włosy zebrane w luźną kitkę. Tryb widzenia w słabym świetle nie pozwalał mi określić dokładnie koloru jej włosów, lecz były ciemne, zapewne brązowe lub kasztanowe. Gdybym ujrzał tę kobietę na ulicy w mojej DZK, zabicie jej byłoby ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby mi do głowy. Nawet po śmierci wyglądała żywotniej i solidniej niż większość ludzi, jakich znałem w swojej dzielnicy. Choć próbowała mnie zabić, to gdybym tylko mógł, cofnąłbym wystrzelone ładunki.

– Grayson, jeśli jeszcze jesteś na nogach, przywlec tu swoją dupę – usłyszałem na kanale oddziału. Pierwszy raz od momentu rozpoczęcia ostrzału przez cekaem ktoś użył sieci komunikacyjnej. Identyfikator na ekranie wskazywał, że to kapral Jackson, lecz brzmiała dziwnie, jakby mówiła powoli przez zaciśnięte zęby.

– Odbiór – odpowiedziałem, sprawdzając jej pozycję na mapie. Pocisk, który trafił mnie w bok wizjera, oszczędził wyświetlacz i wciąż mogłem widzieć dane. Miałem wrażenie, jakby ktoś wtarł mi w lewą stronę twarzy pokruszone szkło. Czułem, że po policzku spływa krew.

Oddział przyczaił się w zaułku przede mną i po lewej. Wsunąłem świeży magazynek do karabinu Hansen.

– Hansen, słyszysz mnie? – spytałem na kanale oddziału.

– Tak, tu jestem – odrzekła Hansen. – Na końcu korytarza za wejściem, tuż przed



zakrętem. Lepiej nie naciśnij za szybko spustu, gdy wejdiesz.

– Mocno oberwałaś?

– Prawa ręka wzięła urlop – oznajmiła zmęczonym głosem. – Będzie dobrze. Daj mi tylko chwilę, żebym złapała oddech.

– Jest tam ktoś?

– Jeśli tak, to na tyle mądry, żeby się nie ujawniać. Nie jestem teraz w zbyt towarzyskim nastroju.

Gdy się uśmiechnąłem, lewa strona twarzy odpowiedziała bólem. Nasze pancerze są wyłożone modułami bandaży termicznych, które automatycznie próbują zamykać rany i zatrzymywać upływ krwi, lecz hełmy ich nie miały i krew bez przeszkód spływała mi po policzku. Dotarłem do zaułka, w którym skryła się reszta oddziału. Idąc, celowałem w skraj dachu po przeciwnej stronie ulicy, zdecydowany wystrzelić fleszetę w ewentualnych wrogów, jednak jeśli ktoś tam pozostał, pilnował się, by nie wystawiać głowy.

– Grayson, zostały ci jakieś pakiety ratunkowe? – spytał ktoś, gdy wszedłem w uliczkę. Koledzy przycupnęli za śmietnikiem, część z nich leżała na ziemi.

– Tak, mam dwa – odpowiedziałem.

– Dawaj je tutaj.

Dwójka kompanów zajmowała się sierżant Fallon, która siedziała oparta o ścianę. Pod jej prawą nogą widać było kałużę krwi, a gdy znalazłem się bliżej, zauważyłem, że kończyna została solidnie pokiereszowana. Kucnąłem obok żołnierzy opatrujących sierżant, wyjąłem pakiety ratunkowe z kieszeni spodni i podałem.

– Oberwała, kiedy ściągała Strattona z ulicy – wyjaśniła Jackson.

Zerknąłem na dwa nieruchome ciała obok kontenera, popatrzyłem na dziewczynę pytająco.

– Stratton zginął. Paterson też. Obaj dostali prosto przez pieprzony pancerz.

– Kurwa – skomentowałem, a Jackson skinęła potwierdzająco.

– To nie są zamieszki wywołane przez biedaków na zasiłku – stwierdziła. – Ciężkie karabiny? Skąd oni je, kurwa, wzięli? To wojskowy sprzęt.

– Zastrzeliłem gościa, który trzymał M-66 – oznajmiłem. – I mogę przysiąc, że ten skurwiel przy cekaemie miał wzmocnione widzenie w ciemnościach. Trafił pierwszą serią.

– Ktokolwiek to jest, rozjebali nas – stwierdziła sierżant Fallon. Mówiła niewyraźnie, niewątpliwie z powodu końskiej dawki środków przeciwbólowych. Próbowałem nie patrzeć na to, co zostało z jej prawej nogi, ale nie mogłem powstrzymać się przed zerkaniem. Wyglądało to tak, jakby ktoś wsadził mały ładunek wybuchowy w mięśnie łydki. Widziałem roztrzaskany pancerz, rozdarte ciało i fragmenty kości.

– Co teraz mamy, do cholery, zrobić, pani sierżant? – spytał Baker.

Na dachu powyżej coś się poruszyło i chwilę później w naszą stronę spadła butelka z płonąca szmatą wsuniętą w szyjkę. Uderzyła o krawędź śmietnika i upadła na ulicę, nie rozbijając się. Odtaczając się w stronę rynsztoka, pozostawiała za sobą ślad płonącego paliwa. Jackson podbiegła, złapała butelkę dłonią w rękawicy i rzuciła w głąb uliczki, gdzie wreszcie roztrzaskała się, podpalając zawartość. Baker i ja wstaliśmy i podbiegliśmy na przeciwną stronę zaułka, by namierzyć napastników. Nikogo nie zobaczyliśmy, lecz po chwili dwie kolejne butelki spadły z krawędzi dachu. Jedna z nich poleciała trochę za daleko i rozbiła się na środku uliczki, lecz druga trafiła w cel. Powoli stoczyła się z dachu i wylądowała w samym środku grupy skulonej za śmietnikiem.

– Spadamy stąd! – wrzasnęła Jackson.

Żołnierze zza kontenera nie potrzebowali zachęty. Butelka rozbiła się, plując płonącym płynem, wszyscy więc odsunęli się pospiesznie. Ktoś odciągnął nieruchome ciała Strattona i Patersona od śmietnika. Za mną Baker wystrzelił w krawędź dachu.

– Musimy spierdalać z tego zaułka – odezwała się na kanale oddziału sierżant Fallon. Jej głos wydawał się beznamiętny, co miało bardziej związek z chemikaliami w jej krwiobiegu niż z samopoczuciem.

– Budynek jest czysty – oznajmiłem. – Hansen jest już w środku. Przyczajmy się tam i uciekajmy spod tego gradu.

Wydostaliśmy się z zaułka i wróciliśmy do drzwi, przy których kilka minut wcześniej zostawiłem Hansen. Wszyscy żołnierze, którzy wciąż byli w stanie chodzić, nieśli lub ciągnęli tych, którzy nie mogli. Jackson i ja targaliśmy ciało Strattona, który miał w napierśniku pancerza dwie schludne dziurki: jedną na żołądku, drugą zaś na mostku.

– Hansen, wchodzimy – nadałem. – Uważaj na celownik.

– Odbiór – odparła. – Tylko nie poślizgnijcie się na krwi.

\* \* \*

Budynek był niskim blokiem z dziesięcioma mieszkaniami na każdym piętrze. W DZK nigdy nie było pustych lokali. Istniała długa lista oczekujących nawet na te gówniane pudełka na buty z betonu grubości papieru. Mieszkańcy niewątpliwie przyciskali uszy do drzwi, gdy nasz oddział AT wpadł na korytarz parteru, i wiedziałem, że przynajmniej część z nich za chwilę rzuci się do swych aparatów sieciowych, by uruchomić alarm sąsiedzki.

„Są tu. Przyjdźcie po nich”.

Położyliśmy martwych w rogu, rannych zaś w centralnym korytarzu, z dala od drzwi wejściowych. Sierżant Fallon była poważnie okaleczona i napruta prochami, Stratton oraz Paterson nie żyli, a pozostali członkowie oddziału mieli przynajmniej drobne obrażenia. Wreszcie mogłem ściągnąć hełm i skrzywiłem się, gdy wyściółka po wewnętrznej stronie odkleiła się od rany, z którą spoiła się zakrzepłą krwią.

– Załatwiłeś sobie niezłą ozdóbkę, Grayson – uznał Baker. – Pewnie zostanie blizna.

– Trudno, później będę się tym martwił – odparłem.

– Musieliby mu odstrzelić głowę, żeby stał się tak paskudny jak ty – skomentowała Hansen słabo z odległości paru metrów.

– W bieżącej sytuacji to całkiem możliwe.

– Brawo C-Dwa, tu Brawo Jeden-Jeden – rzuciła do mikrofonu w hełmie sierżant Fallon. C-Dwa było kryptonimem kontroli walki, czyli ludzi z kompanii, którzy podejmowali decyzje i przekazywali rozkazy głównodowodzącego do dowódców plutonów oraz oddziałów. – Pierwszy oddział przyczaił się pół kilometra od budynku urzędu. Wyciągnęliśmy pilotkę i szefa załogi z Walkirii Sześć-Jeden, ale mamy dwóch poległych w akcji, a pozostali są ranni. Macie coś, co moglibyście tu przysłać?

Fallon słuchała odpowiedzi z C-Dwa, a wszyscy starali się dyskretnie podsłuchiwać.

– Odmowa, C-Dwa. Nie ma szans, żebyśmy przeszli ten odcinek, gdy pół miasta siedzi nam na tyłkach. Dwóch moich ludzi nie żyje, a troje z nas nie może chodzić. Ledwo wystarcza ludzi, by nieść wszystkich rannych.

Znów nastąpiła chwila przerwy, po czym sierżant Fallon zachichotała w sposób wskazujący na szczerze rozbawienie.

– Posłuchaj, kolego. Bardzo chciałabym wykonać ten rozkaz, naprawdę bym chciała. Mój oddział jest niezdolny do walki! Jeśli każecie nam teraz wracać przez tereny tubylców, rano będziecie musieli zbierać resztki. Wyślijcie tutaj zapasowy okręt ewakuacyjny, gdy już dotrze, i dokonamy ewakuacji. Mogą wylądować przed budynkiem i kryć nas, gdy będziemy wychodzić.

Odpowiedź C-Dwa sprawiła, że Fallon wywróciła oczyma.

– Karabinów maszynowych nie ma. Sześć-Cztery załatwiła pierwszy podczas przelotu, a jeden z moich ludzi rozwalił drugi w cholerę za pomocą MARS-a. Desantowiec może znieść znacznie więcej pocisków z broni ręcznej niż my, szefie.

Czekała na odpowiedź, a my przestaliśmy już udawać, że nie słuchamy.

– Rozumiem, poruczniku. Jeśli po drodze stracę choć jednego żołnierza więcej, może pan być pewien, że złożę panu wizytę, gdy tylko mnie poskładają. Brawo Jeden-Jeden bez odbioru.

Gwałtownie przytknęła przycisk kanału komunikacyjnego po wewnętrznej stronie nadgarstka.

– Mamy na piechotę przejść na plac przed budynkiem administracyjnym, żeby stamtąd dokonać ewakuacji. Nie chcą ryzykować kolejnego ptaszka. Desantowiec ma się zjawić za dziesięć minut.

Rozejrzałem się po pozostałościach naszego oddziału. Dwa trupy, sierżant Fallon i pilotka okrętu desantowego, które nie mogły chodzić, szef załogi wciąż nieprzytomny. Hansen nikogo nie uniesie. Pozostała piątka będzie musiała kogoś targać. Nie byliśmy już zdolni do walki.

– Ruszajmy więc – stwierdziła kapral Jackson. Zarzuciła karabin na ramię i pochyliła się, by podnieść nieprzytomnego szefa załogi.

– Grayson, bierzesz sierżant. Idziemy. Jeśli spóźnimy się na taksówkę, dopiero będziemy mieć przejebane.

Nie chciałem wracać na ulicę, lecz równie mocno nie chciałem tu zostawać. Gdy tylko

DZK ożyje po wschodzie słońca i ludzie zaczną zbierać ciała przyjaciół, każdy znajdujący się w okolicy żołnierz stanie się zwierzyną łowną.

– Dziesięć minut – powiedziała Fallon, gdy ją podnosiłem i zarzucałem jej ramię na swoją szyję. – Nie zatrzymujcie się, żeby wąchać kwiatki.

– O to nie musi się pani martwić – zapewniłem.

\* \* \*

Obciążony opancerzoną sierżant Fallon, dostałem zadyszki już po pierwszej przecznicy. Biegliśmy ulicą prowadzącą prosto na centralny plac, zatrzymując się na każdym skrzyżowaniu, by złapać oddech i sprawdzić, czy na bocznych uliczkach nie widać nieprzyjaciół.

Strzały rozległy się na nowo, gdy znaleźliśmy się półtorej przecznicy od budynku, w którym wcześniej się skryliśmy. Przed nami, na najbliższym skrzyżowaniu, ktoś wychylił się zza rogu i zaczął ostrzeliwać nasz zmaltretowany oddziałek. Znajdowałem się na czele z Fallon i jej uwieszony na moim prawym boku ciężar nie pozwalał mi skorzystać z karabinu, by strzelać w biegu. Zboczyłem pod ścianę i złożyłem sierżant na ziemi pod osłoną wejścia, lecz gdy wziąłem broń w ręce, napastnik już zniknął. Nagle usłyszałem strzały za sobą, od strony skrzyżowania, które dopiero co pokonaliśmy.

– Obserwujcie narożniki! – krzyknęła kapral Jackson.

Wycelowałem i odpowiedziałem ogniem. Moje fleszety wzbily betonowy pył, lecz strzelec zniknął za rogiem, gdy tylko podniosłem karabin. Jeśli mieli nam tak dokuczać przez całą drogę na plac, trasa zajmie nam przynajmniej kilka godzin. Wiedzieli, gdzie byliśmy i dokąd zmierzaliśmy, a do tego mieli dość sprytu, by unikać otwartego starcia.

– Strzelajcie w biegu – poleciała Jackson. – Przełączcie na pełen automat i ostrzeliwujcie narożniki, gdy będą wystawiać głowy. Pilnujcie stanu amunicji i przeładowujcie, gdy będziemy przystawać, żeby zaczerpnąć tchu.

Przemieszczaliśmy się rozpaczliwie powoli. Sierżant Fallon była naćpana, lecz przytomna i pomagała mi, używając wolną ręką swojego karabinu. Pozostali członkowie oddziału nieśli bezwładne ciała. Szliśmy od przecznicy do przecznicy, jak najszybciej przebiegając przez skrzyżowania i zatrzymując się po każdym zrywie, by przeładować broń oraz odpocząć parę sekund. Wydzielałem reszcie zapasowe magazynki, które zabrałem od

porucznika Weavinga. Dzięki naszym seriom wróg się nie wychylał, lecz zapasy ładunków szybko nam topniały.

Im bardziej zbliżaliśmy się do placu, tym intensywniejsza stawała się karabinowa palba. Wcześniej oddawali do nas pojedyncze strzały, teraz zaś współpracowały ze sobą trzy i czteroosobowe grupki, kojarzące się z zespołami ogniowymi piechoty. Wyglądało na to, że każdy, kto dysponował działającą bronią palną, był dziś na ulicy, i wszyscy wiedzieli, dokąd szliśmy.

Kuśtykałem z sierżant Fallon u boku. Przekształciliśmy się w symbiotyczny organizm, powolnego stwora o trzech działających nogach i dwóch karabinach. Gdy dochodziliśmy do skrzyżowań, osłaniała prawą stronę rozciągającego się przed nami półkola, ja zaś lewą. Bez celownika na wyświetlaczu hełmu w nic bym nie trafiał. Owszem, nie strzelałem zbyt celnie z karabinu trzymanego w zagięciu łokcia, ale to wystarczało, by nieprzyjaciele uciekali za rogi. Wypuszczałem serie trzech pocisków i zawartość magazynka skurczyła się już do stu ładunków. W kieszeniach upręży zostały mi dwa magazynki.

– Jeszcze ćwierć kilometra – poinformowała na kanale oddziału Fallon, gdy przycupnęliśmy po przebiegnięciu następnego skrzyżowania. Gdy tylko dochodziliśmy do styku ulic, strzelano do nas z wylotów zaułków i zza narożników budynków, a gdy pokonywaliśmy ważniejsze ulice, ogień z lewej i prawej strony stawał się dwukrotnie intensywniejszy, napastnicy widzieli nas bowiem dobrze z czterech kierunków. Standardowa taktyka piechoty polegała na rzucaniu granatów dymnych przed wejściem na skrzyżowanie, ale ostatni odpaliliśmy kilkaset metrów wcześniej. Teraz polegaliśmy już tylko na pancerzach i świadomości, że większość czarnorynkowej broni ręcznej nie potrafiła ich łatwo przebić.

W butach do biegania potrafiłem pokonać dwieście pięćdziesiąt metrów w sporo poniżej minuty. Teraz mogłoby to równie dobrze być dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Oddawano do nas strzały z każdego zaułka i bocznej uliczki. Wypuściłem serię w narożnik budynku, gdzie ktoś z karabinem strzelił właśnie dwukrotnie w naszą kolumnę. Strzelec cofnął się, gdy tylko ujrzał moją lufę kierującą się w jego stronę, i seria trafiła jedynie w beton. Mimo to nacisnąłem spust ponownie i jeszcze raz, posyłając następne dwie serie tam, gdzie przed chwilą była jego głowa.

– Grayson, zostały ci jakieś granaty? – słabym głosem spytała sierżant Fallon.

– Tylko dwa gumowe – odrzekłem.

– Kurwa. Mnie też wyszły.

Gdy skończyła mówić, wymierzyła karabin w wylot alejki po naszej lewej i nacisnęła spust. Nie widziałem tam wcześniej nikogo, jednak gdy pociski M-66 rozerwały mrok, usłyszałem okrzyk bólu i przekleństwo. Nagle magazynek sierżant Fallon się wyczerpał.

– Proszę wziąć to – powiedziałem, wyciągając z uprząży pistolet. Puściła karabin, który zawisł lufą w dół u jej boku, i wzięła broń krótką.

– Skąd wzięłeś ten pistolecik na kapiszony? – spytała.

– Ze zbrojowni desantowca – odparłem. – Przeładuję pani karabin, gdy pokonamy skrzyżowanie.

– Dobry jesteś. – Uniosła pistolet. – Znacznie łatwiej używać go jedną ręką.

Następne skrzyżowanie było spore, łączyły się tam dwie szerokie ulice. Zatrzymałem się na wysuniętym skraju narożnego budynku i lewą ręką wycelowałem karabinem za róg. M-66 posiadał wbudowane łącze z komputerem taktycznym i mogliśmy używać karabinów jako kamer, by rozglądać się bez narażania na ogień. Gdy tylko lufa wyjrzała zza budynku, ujrzałem na mapie taktycznej mnóstwo czerwonych rombów, które zbliżały się do rozwidlenia od lewej strony. Ulicą szło przynajmniej stu ludzi, a najbliżsi z nich znajdowali się w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt metrów.

– Stać! – wrzasnąłem do mikrofonu.

– Widzę ich – stwierdziła za mną Jackson. – Nawet jeśli tylko połowa z nich ma broń, nigdy nie uda nam się przedostać.

– Zostanę na rogu z sierżant i będę was kryć. Przebiegnijcie i później kryjcie nas.

– Została ci amunicja?

– Dwa magazynki – odrzekłem. – Pospieszcie się, do cholery.

Położyłem sierżant Fallon na ziemi i zamieniłem częściowo opróżniony magazynek w moim karabinie na pełny. Fallon wyciągnęła dłoń, podałem jej drugi pełny magazynek. Przyklęknąłem na jedno kolano, wychyliłem się za róg i zacząłem strzelać.

Grupa buntowników znajdowała się w odległości dwudziestu metrów, gdy powaliłem

pierwszych pojedynczymi strzałami, po jednym pocisku na każdego. Idący za nimi tłum rozproszył się. Niektórzy ukryli się w najbliższym zaułku, a część zawróciła i uciekła, skąd przybyli. Paru odpowiedziało ogniem i ci zostali trafieni jako następni. Widziałem w słabym świetle, miałem broń sterowaną komputerem i pancerz balistyczny. Oni dysponowali przestarzałą bronią i latarkami na baterie. Choć raz znaleźli się na otwartej przestrzeni i nie miałem żadnych skrupułów przed wymierzeniem odwetu.

Za mną reszta oddziału przebiegała przez skrzyżowanie. Jackson niosła szefa załogi, Phillips miał na ramieniu martwego Patersona, Priest targał pilotkę desantowca, a Baker i Hansen dźwigali wspólnie ciało Strattona. Byliśmy bojowym oddziałem piechoty z nowoczesnym uzbrojeniem, a zaledwie parę chwil walki z naszymi rodakami w centrum jednego z naszych miast zredukowało nas do okulawionej sfory ledwo wlekących się rannych oraz dwóch trupów.

Na tę odległość trudno było chybić. Umieszczałem celownik broni na znajdujących się przede mną sylwetkach i metodycznie naciskałem spust. Chudy gość trzymający strzelbę z lunetą popędził w kierunku wylotu zaułka, a ja wycelowałem tuż przed nim i przygwoździłem go pojedynczym strzałem, po którym rozłożył się na betonie. Dziewczyna minęła go i pochyliła się, by podnieść upuszczoną przez niego broń, a gdy tylko jej palce dotknęły łożyska strzelby, zastrzeliłem ją, pakując dwa pociski w środek skulonej sylwetki. Sierżant Fallon strzelała na leżąco, wnosząc wkład w rzeź za pomocą własnego magazynka.

Gdy tylko oddział pokonał skrzyżowanie, z lewej strony usłyszałem odgłosy palby. Obróciłem się, by zlokalizować jej źródło, i w tym momencie coś mnie uderzyło. Nie był to zbyt imponujący cios, ledwo się po nim zachwiałem, lecz zaraz poczułem silny ból w boku i wiedziałem już, że kula przebiła pancerz. Nastąpiło kolejne uderzenie, tym razem niżej. Miałem wrażenie, jakby ktoś wcisnął mi rozgrzaną do czerwoności igłę i dobijał ją młotkiem. Nagle znalazłem się na ziemi obok sierżant Fallon. Czuję się tak, jakby ktoś wyssał mi z płuc całe powietrze. Chciałem wykrzyczeć ostrzeżenie, ale nie miałem dość tchu na cokolwiek poza jęknięciem.

Na rogu rozwidlenia, które przeszliśmy zaledwie minutę temu, zobaczyłem grupę buntowników. Jeden z nich klęczał i celował we mnie ze znajomo wyglądającego karabinu. Rozpoznałem podwójny układ luf M-66, zwieńczony standardowym wojskowym



celownikiem hybrydowym. Mój karabin leżał na ziemi przede mną. Sięgnąłem po niego, lecz nagle wydał się trzykrotnie cięższy. Strzelec z M-66 znów wycelował i wiedziałem, że nie zdążę unieść własnej broni, zanim zegnije palec na spuście i wywrze na niego nacisk pięciu kilogramów wymagany do posłania kolejnej fleszety.

Wtedy zza siebie usłyszałem odgłos serii. Buntownik upadł na tyłek z niemal komicznym wyrazem konsternacji na twarzy. Przez krótką chwilę siedział na ulicy z rozsuniętymi nogami, wciąż trzymając karabin w rękach, lecz nie celując już w nic konkretnego. Rozległa się druga seria i przyjął wszystkie trzy pociski w twarz. Upadł w tył, wciąż ściskając broń. Jego dwóch kompanów umknęło z linii ognia i zniknęło za rogiem budynku.

Spojrzałem w prawo, ujrzałem kapral Jackson klęczącą na jednym kolanie, celującą w punkt za mną. Uniosłem się na dłoniach oraz kolanach i chwyciłem swój karabin. Licznik wskazywał, że w magazynku pozostało sto pięćdziesiąt dziewięć ładunków. W ciągu ostatniej minuty czy dwóch nacisnąłem spust niemal sto razy.

– Grayson, w porządku? – spytała Jackson na kanale oddziału.

Miałem wrażenie, jakby z lewego boku wystawały mi dwa noże. Ból był tak silny, że pozbawiał mnie tchu. Zmuszałem się, by wypełniać płuca, każdy oddech sprawiał, że ból wznosił się na poziom niemal niemożliwy do zniesienia. Próbowałem znaleźć dość powietrza, by odpowiedzieć, lecz jedynie pokręciłem głową.

– Baker, za mną – poleciła Jackson. – Ktokolwiek został, osłaniajcie nas ogniem.

Baker i Jackson przebiegli z powrotem przez skrzyżowanie. Za nimi Priest oraz Hansen wychylili się zza rogu i zaczęli strzelać. Chciałem uzupełnić ich działania własnymi fleszetami, lecz nie miałem już siły, by unieść karabin. Ktoś złapał mnie za uprząż i zaczął wlec po ulicy. Widziałem, że Jackson pomogła podnieść się sierżant Fallon i ciągnęła ją za sobą, drugą dłonią strzelając z karabinu. Komputer informował mnie, że miałem jeszcze w magazynku sporo pocisków, i kierował wektory zagrożenia w stronę ludzi na ulicy, którzy wciąż stali i do nas strzelali, ale teraz byłem już tylko pasażerem, niezdolnym do korzystania z całej tej nowoczesnej technologii.

W końcu moja wyboista podróż przez skrzyżowanie dobiegła końca. Nie pamiętałem, bym zamykał oczy, ale gdy je otworzyłem, ujrzałem nad sobą skulonego Bakera z

uniesionym wizjerem.

– Jak się czujesz? – spytał. Za nim Hansen i Priest wciąż strzelali, wymieniając się ogniem z ośmielonymi na nowo buntownikami, którzy zdecydowali, że zostaną i nas przygwożdżą. Widzieli już, że mieliśmy rannych. Do wody dostała się krew i reki zaczęły krążyć. Wkrótce dostaną posiłki, a nam kończyła się już amunicja.

Z trudem uniosłem karabin i dłonią poklepałem magazynek, by pokazać Bakerowi, że wciąż mam ładunki, Skinął głową i wziął M-66 z moich rąk.

– Priest, tu jest jeszcze pół maga – powiedział przez ramię.

– W samą porę, już prawie wyschłem. – Priest przejął mój karabin i wrócił na pozycję na rogu ulicy.

Baker przyjrzał się uszkodzeniom mojego pancerza. W lewym boku nie czułem już palącego gorąca, lecz lodowate zimno. Wciąż musiałem poświęcać całą energię, by wmuszać powietrze do płuc, i miałem wrażenie, że w środku popsuło się coś ważnego. Pierwszy raz w życiu pomyślałem, że mogę umrzeć. Przypuszczałem, że powinienem czuć przerażenie lub panikę, wiedziałem bowiem, że w każdej chwili mogę stracić przytomność i już się nie obudzić, ale byłem zbyt zmęczony i obojętny, by się tym przejmować.

– Stary, chcesz zastrzyk?

Baker trzymał w dłoni iniektor leków, wykonał przed moją twarzą gest przypominający włączanie długopisu. Pokręciłem głową. Nie chciałem się otepić i stracić możliwości wciągania powietrza do płuc.

– C-Dwa, tu Brawo Jeden-Jeden – usłyszałem mówiącą sierżant Fallon. – Leżymy na deskach. Mamy więcej rannych, niż możemy nieść. Wszędzie dookoła są nieprzyjaciele i zaraz skończy nam się amunicja. Wyślijcie okręt albo oddział poszukiwawczy z workami na ciała. Wasz wybór.

Na kanale plutonu nadeszła odpowiedź, lecz nie zrozumiałem jej, ponieważ odpływałem. Czułem się jak w początkach naprawdę solidnego przeziębienia. Kręciło mi się w głowie i drżały nogi, jakbym chwiejnie szedł do łazienki po leki.

Zamknąłem oczy i nasłuchiwałem otaczających mnie odgłosów bitwy. Wojskowe karabiny odzywały się rzadko, pojedynczymi pociskami, a czasami krótką serią. Strzały z broni cywilnej stawały się coraz częstsze i wydawało się, jakby docierały już z każdego

kierunku.

– Trafili mnie! – ktoś wrzasnął na kanale oddziału. Byłem już zbyt odrętwiały, by rozpoznać głos. Baker? Priest? I tak zresztą nic nie mogłem zrobić. Ledwo wystarczało mi energii, by dalej oddychać.

Nagle rozległ się nowy dźwięk, donośny ryk nad naszymi głowami. Wyczułem smród spalanego paliwa i gorąco dmuchnęło mi w twarz. Usłyszałem coś, co przypominało odgłos otwieranego ogromnego suwaka, a gdy podniosłem wzrok, zauważyłem miły widok sylwetki okrętu desantowego typu Szerszeń, który z wdziękiem obniżał się, prażąc z wieżyczki.

Znów na chwilę odpłynąłem. Miałem wrażenie, jakbym unosił się nad ziemią. Ludzie rozmawiali tuż nad moją głową, lecz ich głosy wydawały się dochodzić zza ceglanej ściany i nawet nie próbowałem ich rozumieć. Rzucono mną na twardą powierzchnię i lewy bok na nowo zapłonął bólem. Próbowałem zwinąć się w kłębek, lecz przytrzymały mnie silne dłonie, na szyi poczułem ukłucie iniektora.

Nagle otaczający mnie świat zamilkł.

# Rozdział 13

## Wielkie Jeziora

Gdy byłem młodszy, często śniłem, że spadam z dużej wysokości. Najbardziej przerażającym elementem tych snów było chwilowe wrażenie nieważkości, kiedy robiłem krok w otchłań. Moment, gdy uświadamiałem sobie, że spadnę, i żołądek próbował wznosić się w moim wnętrzu. Koszmar za każdym razem wydawał się tak rzeczywisty, że brałem go za jawę, i gdy pędziłem w kierunku powierzchni, byłem przekonany, że doświadczam ostatnich sekund życia.

Zawsze budziłem się, zanim uderzyłem w ziemię, lecz w pewnym sensie umysł po stokroć przeżywał moje ostatnie chwile. Pamiętałem, że za każdym razem czułem żal: za rzeczy, które zrobiłem lub których nie zrobiłem, za wszystko, czego nie udało mi się osiągnąć. Czasami myślałem o matce i o tym, że kolejny smutek spotka ją w i tak już pozbawionym radości życiu, gdy straci swe jedyne dziecko.

Ten sen okazał się inny. Gdy wykonałem krok nad przepaścią, znajdowałem się w pancerzu bojowym, trzymałem karabin i byłem w pełni świadomy, że śnię. Mimo to wrażenie nieważkości było rzeczywiste, podobnie jak strach, który mnie ogarnął, gdy moje ciało zaczęło spadać w rozciągający się poniżej mrok.

Tym razem nie obudziłem się przed uderzeniem w ziemię, lecz upadłem na nią po locie tak długim, że wydawał się niemożliwy. Nie przestałem istnieć, co powinno się zdarzyć po spadku z takiej wysokości, gdy ciało zostawało zmiażdżone w mikrosekundę, czyli akurat dość czasu, by mózg zarejestrował ostatni szok, zanim został zamieniony w miazgę. Przeciwnie, byłem świadomy uderzenia, wstrząsu, jaki spotkał moje ciało, i wrażenia, że każda molekula została wytrącona ze swego miejsca. Nic nie wydawało się złamane, nie czułem żadnego bólu, a gdy spróbowałem wstać, ciało natychmiast mnie posłuchało. Pancerz był nienaruszony, a karabin wciąż bezpiecznie tkwił w uprzęży na piersiach.

Nagle przed moją twarzą pojawiło się silne jaskrawe światło, wzdrygnąłem się. Poczulem na barkach czyjeś dłonie przytrzymujące górną część tułowia, a mózg wreszcie

postanowił uwolnić się od snu i wrócić na jawę.

Światło znajdowało się na końcu optycznej różdżki i wisiało mi tuż przed oczyma. Leżałem na plecach, gdy zaś spróbowałem naśladować działania ze snu i usiąść, udało mi się podnieść zaledwie o centymetr, zanim para rąk delikatnie, acz stanowczo pchnęła mnie z powrotem do pozycji horyzontalnej.

– Nie ruszaj się, żołnierzu. Jeszcze nie możesz wstawać, chyba że chcesz popruć wszystkie szwy.

Głos brzmiał wesoło, lecz profesjonalnie. Musiał należeć do kogoś, kto przywykł do dawania rad i do tego, by postępowano zgodnie z nimi. Nade mną stała kobieta w koszuli AT klasy B, nie potrafiłem jednak rozróżnić oznaczenia jej stopnia. Próbowałem coś powiedzieć, ale miałem spierzchnięte gardło i wydostało się z niego jedynie chrapliwe mamrotanie, w niczym nieprzypominające ludzkiego głosu. Kobieta mimo wszystko przetłumaczyła sobie chyba mój bełkot, ponieważ zgasiła różdżkę, sięgnęła gdzieś za mnie i umieściła w moim polu widzenia plastikowy kubek.

– Woda, zimna, sto mililitrów – oznajmiła, opisując trzymany obiekt w parodii żargonu wojskowych kwatermistrzów. – Nie wypij za dużo na raz. Szwy w twojej jamie brzusznej wciąż są delikatne.

Uniosła kubek do moich warg. Pociągnąłem ostrożny łyżeczek, a następnie większy. Spływająca w gardło woda nawet nie wydawała się płynna. Po prostu poczułem, że język otula mi coś zimnego, co po chwili przesuwa się na migdałki.

– Lepiej? – spytała.

W odpowiedzi skinąłem głową.

– W porządku. Na razie wstrzymaj się z mówieniem, dobrze? Mam całkiem niezłe pojęcie, o co chcesz spytać, zdam ci więc relację. Jeśli wciąż będziesz chciał mówić, gdy skończę, nie ma problemu. Zgoda?

Przytaknąłem.

– Znajdujesz się w ośrodku medycznym Armii Terytorialnej. Zostałeś ranny w walce, a nasi lekarze cię połatali. Będziesz musiał spytać dyżurnego oficera medycznego o szczegóły twoich obrażeń, ale z tego, co wiem, miałeś zapadnięte płuco, a teraz posiadasz o metr jelita mniej niż wtedy, gdy cię przywieźli. Zostaniesz z nami jeszcze jakiś czas,

zanim odeślemy cię z powrotem do jednostki.

Przerwała i uśmiechnęła się do mnie.

– Masz teraz jakieś pytania?

– Co z resztą mojego oddziału? – wyrzuciłem.

– Nie mam pojęcia. Przywieźli cię z innej placówki lotem medycznym. Tamtej nocy mieliśmy więcej poszkodowanych, ale nie wiem, kim byli ani gdzie teraz są. Będziesz musiał spytać dyżurnego oficera medycznego. Ja jestem tylko pielęgniarką.

– Od jak dawna tu jesteś?

– Trzy dni – odrzekła. – Tak naprawdę dwa i pół. Dotarłeś tu wczesnym rankiem w sobotę, a teraz jest popołudnie w poniedziałek.

– Cholera – powiedziałem. – Przegapiłem poniedziałkowe poranne rozkazy. Sierżant kompanii skopie mi tyłek.

Pielęgniarka zaśmiała się lekko. Znow sięgnęła poza moje pole wzroku i zapaliła za sobą światło. W miękkim blasku LED-owej żarówki dostrzegłem naszywkę z jej nazwiskiem i insygniami stopnia. Nosila szewrony kaprala, a naszywka głosiła, że nazywała się MILLER C. Wszyscy składaliśmy się jedynie ze stopnia, nazwiska i inicjału. Spytałbym pielęgniarkę o imię, ale przewyższała mnie o trzy stopnie zaszeregowania, a nie chciałem zrazić do siebie osoby, która przez następne kilka dni będzie mi podawać leki.

– W szufladzie jest sporo twoich rzeczy – powiedziała. – Głównie to, co miałeś przy sobie. Sprawdź, czy czegoś nie powinno tu być, a ja się tego pozbędę.

– Mój OTI przeżył?

– Tak – odparła kapral Miller. – Ich nie da się zabić.

Podniosła się z krzesła i rozprostowała koszulę mundurową.

– Zostawię cię na trochę samego. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, nad głową masz przycisk przywoływania. Za jakiś czas wrócę z kolacją.

Ponownie uśmiechnęła się do mnie i opuściła pokój.

W pomieszczeniu było pusto, nie licząc łóżka, na którym leżałem, małej nocnej szafki obok niego i wiszącego w rogu wyświetlacza. Całość wyglądała równie jałowo jak

wyposażenie mieszkania w DZK.

Przekręciłem się na bok i przyjrzałem szafce. Miała dwie szuflady, wyciągnąłem więc rękę i otworzyłem pierwszą z nich. W środku znalazłem nieśmiertelnik na łańcuszku, mój OTI, talię kart do gry, które wszyscy nosiliśmy w nagumowanych pokrowcach po pakietach ratunkowych, a także na wpół opróżnione opakowanie miętówek, które włożyłem do kieszeni na prawej nodze, zanim udaliśmy się do okrętu desantowego, a później o nich zapomniałem. Dotknąłem boku twarzy. Świeża krecha tkanki bliznowatej biegła od skraju lewej brwi aż za ucho.

OTI włączył się po pierwszym wduszeniu przycisku. Miałem go w kieszeni w czasie ostatniej misji i wydawało się niemożliwe, że elektroniczny sprzęt przeżył całe to bieganie, upadanie oraz strzelaninę, a jednak nie widziałem na nim choćby zadrapania. Nawet bateria była wciąż w pełni naładowana.

Sprawdziłem połączenie z MilNetem, bezprzewodową siecią łączącą wszystkie wojskowe systemy komunikacyjne. Nasze przydziałowe OTI mogły się z nią komunikować w każdym miejscu na Ziemi i Lunie. Na okrętach marynarki i w placówkach marines również znajdowały się mniejsze węzły MilNetu, lecz synchronizowały się jedynie co kilka dni. Na obu zamieszkałych ciałach niebieskich w naszym systemie słonecznym sieć zawsze pozostawała zsynchronizowana i wystarczyło stuknąć w ekran OTI.

Sieć była obecna, lecz z jakiegoś powodu mój tablet nie chciał się z nią połączyć. Mogłem uruchomić wszystko, co nie wymagało połączenia z MilNetem – kalendarz, podręczniki techniczne, tablice konwersji balistycznych oraz czytnik książek – lecz za każdym razem, gdy próbowałem włączyć coś, co potrzebowało dostępu do sieci, otrzymywałem komunikat o błędzie, choć OTI wskazywał na pełną moc sygnału.

Chciałem przesłać wiadomość do reszty oddziału oraz do Halley, lecz zostałem odcięty od reszty świata, co nie zdarzało się często. Terminale sieciowe w mieszkaniach w DZK traciły sygnał za każdym razem, gdy mucha pierdnęła przy rządowym przekaźniku komunikacyjnym, lecz MilNet był tak niezawodny, że brak połączenia wydawał się cokolwiek surrealistyczny.

Na blacie szafki leżał pilot obsługujący wyświetlacz umieszczony w rogu pokoju, lecz nie zamierzałem zanudzić się na śmierć jakimś okropnym programem z sieciowizji albo bzdurami, które uchodziły za wiadomości.

Skoro nie mogłem się z nikim skontaktować, postanowiłem wykorzystać okazję i trochę się przespać. Wrzuciłem OTI z powrotem do szuflady i położyłem w wygodniejszej pozycji. Materac był lepszy niż na mojej pryczy w bazie, panowała cisza, a lekarstwa krążące w krwiobiegu sprawiały, że czułem się senny.

Obudziłem się, gdy otworzyły się drzwi. W oknie dostrzegłem gwiaździstą noc, a więc musiało wyświetlać projekcję – na kontynencie nie zostało wielu miejsc, w których nocą dawałoby się zobaczyć gwiazdy, i Wielkie Jeziora na pewno nie były jednym z nich, skoro w sąsiedztwie znajdowały się metropleksy Chicago i Detroit.

– Jak się czujemy? – spytała kapral Miller. W dłoniach trzymała tacę z posiłkiem.

– Nie wiem, jak pani, ale ja czuję się, jakbym wpadł pod autobus – odparłem. – Co na kolację?

– Specjalnie dla ciebie płynny odżywczy pakiet numer siedemnaście. Możliwy jest wybór pomiędzy aromatem waniliowym oraz jabłkowym. Muszę cię jednak ostrzec, że oznaczenia aromatu niezbyt ściśle odpowiadają doświadczeniom smakowym.

– Przywykłem do tego – rzekłem, przyglądając się nieopisanym pojemnikom na tacy. – Próbowала pani kiedyś racji PPŻ?

– Tak – odparła. – Pochodzę z DZK Houston-23. Zaufaj mi, to tutaj jest delikatesem w porównaniu z karmą dla blokowisk. Udawaj po prostu, że to koktajl mleczny. A tak w ogóle, przez następne kilka dni będziesz na diecie płynnej. Zalecenie lekarza.

– Wybieram wanilię. Wie pani może, dlaczego mój OTI nie może się tu połączyć z siecią?

Kapral Miller wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Nie jestem informatykiem. Twoim dostępem zarządza dział wsparcia informatycznego z twojego batalionu. Możesz ich spytać, gdy stąd wyjdiesz. Może twoja zabawka jednak się zepsuła?

Wiedziałem, że nie była to wina OTI, lecz również jedynie wzruszyłem ramionami. Jeśli kapral Miller nawet wiedziała, dlaczego mnie odcięli, nie zamierzała mi tego zdradzić. Miałem jednak własne przypuszczenia.

– Zjedz kolację i wezwij mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy.



– Niedługo będę musiał skoczyć na stronę – powiedziałem. – Pewnie nie powinienem wstawać i łązić?

– Nie powinieneś. – Uśmiechnęła się. – Po prawej stronie łóżka jest tuba toaletowa. Skorzystaj z niej, gdy poczujesz potrzebę. Kiszki masz puste, więc przez jakiś czas nie musisz martwić się tym drugim.

– Dobrze wiedzieć. Dziękuję pani.

Opuściła pomieszczenie, a ja wziąłem łyk ze stojącego przede mną pojemnika. Płynny odżywczy pakiet numer 17 był w smaku równie nijaki jak gołe wafle ryżowe, ale miał lekki waniliowy posmak, poszedłem więc za radą kapral i udawałem, że sącze koktajl.

Tuby do sikania, płynne jedzenie, pojedynczy pokój i brak dostępu do MilNetu, pomyślałem. To będzie długi tydzień.

\* \* \*

Rankiem trzeciego dnia rekonwalescencji miałem gościa. Zaraz gdy skończyłem śniadanie – awansowałem do gąbczastych płatków zbożowych – otworzyły się drzwi i do środka wszedł major AT w pełnym mundurze klasy A.

– Nie wstawajcie – powiedział jowialnie, zupełnie jakbym zamierzał z miejsca odrzucić koc i zeskoczyć z łóżka na widok złotych liści na jego pagonach.

– Dzień dobry, majorze – powitałem go. Z początku sądziłem, że jest z Korpusu Medycznego, lecz zauważyłem oznaczenie rodzaju wojsk. Widniały na nim skrzyżowane muszkiety piechoty. Przyjrzałem się mozaice baretek nad kieszenią na lewej piersi i stwierdziłem, że miał bardzo niewiele nagród związanych z walką. Było tam odznaczenie za desant bojowy w randze mistrza, ale takie coś otrzymuje po dwóch latach służby każdy żołnierz AT w batalionie liniowym. Miał też odznaki strzeleckie z naszywkami karabinu i pistoletu, obie na najniższym poziomie. Większość żołnierzy AT z naszej kompanii decydowała się ich nie nosić, jeśli nie zdobyli eksperta, czyli najwyższego stopnia. Baretki i odznaki na mundurze klasy A są swoistą wizytówką żołnierza i w przypadku tego majora mówiły one: „gryzipiórek”.

– Dzień dobry, szeregowy – odparł. Rozejrzał się za krzesłem. Gdy go nie znalazł, podszedł do boku łóżka i przyjął dziwną pozycję sugerującą, że nie był pewien, czy ma się zachowywać w sposób formalny, czy też zrelaksowany. – Nazywam się major Unwerth. W

batalionie pełnię funkcję S2.

– Tak jest, sir. – S2, czyli oficer zajmujący się wywiadem i bezpieczeństwem. Nie miałem jeszcze żadnego kontaktu z szuchami zajmującymi „Panteon”, jak żołnierze nieformalnie nazywali kwaterę główną batalionu.

– Mam do was parę pytań, jeśli nie macie nic przeciwko, szeregowy.

– Oczywiście, że nie, sir.

– Czy pamiętacie, co wydarzyło się w zeszłą sobotę?

– Oczywiście, że tak. Zostaliśmy wysłani do DZK w Detroit i do mojego oddziału strzelano jak do kaczek, sir – dodałem.

Major nie był zupełnie pozbawiony formy, ale nie zauważyłem po nim charakteru. Wyglądał na miękkiego i nagle poczułem do niego niechęć. Może wynikało to ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, jakbym był inny, pochodził z pośledniejszego gatunku lub stanowił uszkodzony element maszyny.

– W gruncie rzeczy tak to wyglądało – rzekł major. – Pozwólcie, że zapytam was o coś konkretnego. Czy pamiętacie, że podczas tej misji wystrzeliliście głowicę termobaryczną z wyrzutni MARS?

– Owszem, sir, pamiętam. – Nagle zrozumiałem, dlaczego major tu jest i dlaczego mój OTI nie może połączyć się z MilNetem.

– A czy możecie mi powiedzieć, kto upoważnił was albo rozkazał wam wystrzelić tę konkretną głowicę?

– Nie otrzymałem bezpośredniego rozkazu, żeby strzelić z tej wyrzutni – oznajmiłem. – W drodze do celu dowódca plutonu poinformował nas, że śmiercionośne środki są dozwolone w samoobronie. Strzelano do mojego oddziału, kilka osób zostało rannych, a ja się broniłem, sir.

– Raczej dość energicznie. – Major Unwerth wydał wargi. – Problem leży w proporcjach, szeregowy Grayson. Wykorzystaliście głowicę niszczącą o wysokiej sile rażenia przeciwko celowi cywilnemu, na dodatek stanowiącemu własność rządową. W tym budynku doszło do poważnych ofiar cywilnych w wyniku waszych środków samoobrony.

Ostatnie dwa słowa wymówił z cieniem szyderstwa w głosie. Stwierdziłem, że

zdecydowanie go nie lubię.

– Naszym zadaniem jest ochrona i obrona obywateli WPA, szeregowy. Wyszadanie w powietrze cywilnego bloku mieszkalnego sprawia, że nie wyglądamy, jakbyśmy wykonywali dobrze to zadanie.

Poczułem, że gorąco napływa mi do twarzy.

– A co według pana, do cholery, powinienem był zrobić, panie majorze? Posiada pan dane z naszych komputerów, prawda? Miałem poprosić ich grzecznie, żeby przestali do nas strzelać z tego konkretnego miejsca?

– Mogliście chyba odpowiedzieć w bardziej stosowny sposób – stwierdził major. – Dysponowaliście inną bronią niż tylko rakiety termobaryczne.

– Cóż, trochę mi się spieszyło i nie miałem czasu czytać etykietek, sir.

– Szkoda – stwierdził Unwerth. – To ja muszę sprzątać ten bałagan przed mediami oraz dowództwem dywizji, a uwierzcie mi, że nie cieszy mnie to.

Nie mogłoby mnie mniej obchodzić, co cię cieszy, pomyślałem. Przez moment rozważałem, czy nie powiedzieć tego na głos, uznałem, że lepiej nie. Major znajdował się w pobliżu szczytu hierarchii batalionu, ja zaś byłem na samym spodzie. Cokolwiek na mnie szykowali, nie chciałem dorzucać do tego wykroczenia dyscyplinarnego.

– Wykonywałem swoją pracę, majorze. Mój oddział był niszczony, a ja powstrzymałem zagrożenie. To wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia.

Czułem, jak rozbudza się we mnie złość. Gdy do nas strzelali mieszkańcy Detroit, ten dupek w starannie odprasowanym mundurku klasy A z odznaczeniami urzędnika znajdował się zapewne w C-Dwa w Shughart i jeśli w ogóle widział bitwę, to z perspektywy kamer okrętów desantowych oraz naziemnych danych z komputerów dowódców oddziałów. Nie było go, gdy nagle zostaliśmy zasypani ogniem z broni ciężkiej, i to nie on przyjmował na siebie tysiące kul, które tej nocy do nas wystrzelowano. Nie musiał ciągnąć nikogo kilkaset metrów przez miejskie pole walki rojące się od wkurwionych przeciwników. Przez bardzo krótką chwilę miałem ochotę złapać go za kłapy nieskazitelnego munduru i przyłożyć mu czołem w środek twarzy.

Major najwyraźniej wyczuł nagłą zmianę mojego nastawienia, lekko odsunął się od łóżka.

– Cóż, później będzie czas starannie przyjrzeć się sprawie – rzekł. – Gdy wrócicie do Shughart, wysłuchamy sprawozdań waszego dowódcy oraz reszty waszego oddziału.

– Nie mogę się doczekać – odparłem. – Będziemy mogli wówczas ustalić, który geniusz kazał nam iść na piechotę z powrotem na plac przy urzędzie dzielnicy, kiedy połowa oddziału była ranna lub martwa. To naprawdę świetna zabawa, czuć się jak tarcza strzelecka.

Major Unwerth zmrużył oczy. Moja odpowiedź włączyła chyba w nim jakieś władcze odruchy, ponieważ wyprostował się i założył ręce za plecami, jakby stał w pozycji spoczynnej.

– Gdy ostatni raz zaglądałem do waszych akt osobowych, Grayson, pozostawaliście szeregowym w pierwszym oddziale pierwszego plutonu kompanii Brawo. Nie przypominam sobie, żebyście byli obecni na jakimkolwiek spotkaniu oficerów sztabowych, zakładam więc, że wasz status nie uległ zmianie.

Nie odpowiedziałem, jedynie zmierzyłem go wzrokiem.

– Należycie do Armii Terytorialnej i macie obowiązek wypełniać rozkazy waszych zwierzchników, niezależnie od tego, jak bardzo byście się z nimi nie zgadzali. Jeśli stanowi to dla was zbyt duże wyzwanie, dajcie mi znać, a poinformuję dział kadr, że zmieniliście zdanie co do odsłużenia okresu służby.

Wiedziałem, że był w całkowitym błędzie. AT nie zwalniała nikogo z kontraktu, jeśli ukończył szkolenie przygotowawcze, chyba że tak go ostrzelano, iż leczenie okazałoby się zbyt kosztowne. W przypadku poważnych przewinień po prostu organizowano sąd wojskowy i żołnierza zamykano. Nie miałem jednak zamiaru omawiać ujednoliconego wojskowego kodeksu sprawiedliwości z tym pierdzącym w stołek dupkiem, nic więc nie powiedziałem. Major Unwerth uznał moje milczenie za oznakę zgody.

– Gdy już zwolnią was z tej placówki, zostanieie przetransportowani do Shughart, gdzie zaraz po powrocie zgłosicie się do sierżanta kompanii. Jeśli nastąpi to po godzinach roboczych, zgłosicie się do dyżurnego. Czy zrozumieliście?

– Tak jest, sir – odparłem.

– To dobrze. – Rozejrzał się z wyraźnym niesmakiem na twarzy.

Nie wiedziałem, czy nie podoba mu się względny luksus mojego jednoosobowego

pokoju, czy też uważał, że poniżył się, spierając ze zwykłym szeregowcem, który nie miał na kołnierzu żadnej oznaki stopnia.

– To na razie wszystko – oznajmił i odwrócił się do wyjścia. – Wrócę później, żeby odebrać od was pełne sprawozdanie. Nie wstawajcie, szeregowy.

Nie ma to jak wizyta motywacyjna, pomyślałem, gdy zamykały się za nim drzwi.

\* \* \*

Następne dwa dni były wypełnione posiłkami, sprawdzianami fizycznymi i długimi okresami nudy. Gdy w moim organizmie obniżył się poziom lekarstw, nie znajdowałem się już w ciągłym stanie przyjemnej senności, a brak rozrywek skłonił mnie nawet do obejrzenia paru programów w sieciowizji.

Włączyłem holoe ekran i na przeciwległej, nieskazitelnie białej ścianie wyświetlił się interfejs sieciowizji. Wybrałem kanał z wiadomościami, do którego nie mieliśmy dostępu w mieszkaniu mamy w DZK. Nadawano reklamy rzeczy, jakich nigdy nie widziałem i na jakie i tak nigdy nie mógłbym sobie pozwolić: kurtek z odpornego na różne warunki pogodowe włókna, zmieniających kolor i wzór w zależności od nastroju właściciela, osobistych urządzeń komunikacyjnych, które wydawały się nowocześniejsze o sto lat od naszych monochromatycznych OTI, a także przekąsek wyglądających jak jadalna biżuteria. Zawsze wiedziałem, że istniały dwa światy: ten z niskim czynszem dla szczurów z DZK oraz ten z klimatyzacją dla klasy średniej z przedmieść i bogaczy. Odkąd jednak wstąpiłem do wojska, ten drugi, przyjemniejszy świat był znacznie bardziej widoczny.

Poprosiłem interfejs o wiadomości z Detroit z ostatniego tygodnia. Komputerowy asystent zaprezentował mi kilka nagłówków. Wybrałem coś, co wydawało się zaczynać od nocnego ujęcia z powietrza, i położyłem się z powrotem, by obejrzeć materiał.

*...demonstracje przeciwko niedawnym zmianom w składzie podstawowego przydziału żywnościowego. Władze podejrzewają, że za eksplozję należy winić nielegalną wytwórnę środków stymulujących. Życie straciło troje obywateli, siedemnaścioro zaś zostało rannych, niektórzy poważnie. W związku z trwającymi nieporozumieniami społecznymi ekipy ratunkowe mogły pojawić się na miejscu dopiero czterdzieści osiem godzin po incydencie. Władze pragną przypomnieć mieszkańcom dzielnic zakwaterowania komunalnego, że usługi publiczne oraz wszelkie dostawy PPŻ zostają*

*zawieszane na czas trwania wszelkich niepokojów, które związane są z fizycznymi działaniami zaczepnymi wobec funkcjonariuszy pilnujących porządku publicznego.*

Materiał dobiegł końca, wyświetliłem więc następny i jeszcze jeden. Wszystkie z nich mówiły w zasadzie to samo: nieokreślone niepokoje podczas publicznego zgromadzenia, a następnie wybuch w bloku mieszkalnym w DZK, który zabił i zranił garstkę osób. Przyczyna nieustalona, podejrzewa się jednak nielegalny handel środkami chemicznymi.

Wyciszyłem dźwięk, a następnie zupełnie wyłączyłem holoe ekran. Ściana po drugiej stronie pokoju znów stała się ponura i nieskazitelnie biała.

Dlaczego nie wspomnieli ani słowem o poległych żołnierzach? Zginęło dwóch w samym naszym oddziale, a wiedziałem, że trzeci poniósł jeszcze większe straty. Nie powiedzieli nawet nic o zabitych przez nas buntownikach. Nie liczyłem, ale nie było dla mnie tajemnicą, jak silny ogień tam prowadziliśmy. Na pewno zastrzeliliśmy setki cywilów – uzbrojonych buntowników próbujących nas wyeliminować, lecz mimo to przecież mieszkańców DZK i obywateli WPA. Wyglądało na to, że materiały z wiadomości mówiły jedynie o minimalnej liczbie prawdopodobnych ofiar, wynikającej z zauważalnych uszkodzeń budynków, a wszystko to w otoczce najprostszego wyjaśnienia. Ani słowa o armii strzelającej tam do cywilów. Nie żywiłem żadnych ciepłych uczuć do tych uzbrojonych gnojek, którzy nas atakowali i zmuszali do odpowiadania przeważającą siłą, jednak odkąd ujrzałem, jak piętra uszkodzonego wieżowca zapadają się na siebie, widok ten tkwił w moim sumieniu niczym zatruty kolec. Nie wszyscy tamtejsi mieszkańcy byli wywrotowcami, a jednak ich zabiłem. Owszem, w wyniku przypadku, ale mimo to nie żyli, a to ja wdusiłem przycisk odpalenia rakiety. Nie zginęli w wyniku eksplozji w nielegalnej wytwórni stimów. Na pewno nie było to tajemnicą dla wojska – do cholery, w końcu kamery w naszych hełmach nagrały wszystko w wysokiej rozdzielczości i trzech wymiarach.

Czemu miało więc służyć to udawanie niewiedzy? Dlaczego sugerowano, że wieżowiec w DZK wybuchł przypadkiem?

Przypomniałem sobie wiadomości, które oglądałem w DZK, gdy mieszkałem z mamą. Jeśli ograniczali dostęp do wszystkich takich nieciekawych wydarzeń, by nastroje w dzielnicach nie dochodziły do punktu wrzenia, to musiało być znacznie gorzej, niż sądziłem.

\* \* \*

Pod koniec tego dnia pozwolono mi wyjść z pokoju, co poprawiło mój nastrój. Kapral Miller przywiozła elektryczny wózek i po krótkim wyjaśnieniu ważniejszych zasad działania pojazdu oraz szpitalnego kodeksu ruchu udała się wraz ze mną na pierwszą wyprawę poza moją salę.

– Dokąd chcesz pojechać? – spytała, gdy toczyliśmy się korytarzem. Szpital był równie skąpo urządzone jak mój pokój: meble ze stali nierdzewnej, białe ściany bez ozdób oraz wykładziny w kolorze ponurego granitu.

– Nie wiem. Jest tu coś wartego obejrzenia? Jakies ciut barwniejsze miejsce?

– Na najwyższym piętrze jest sala rekreacyjna, na parterze kawiarnia. Jeśli chcesz, możesz spróbować zjeść coś konkretniejszego. Lekarz mówi, że twoje wnętrzości nie powinny się już buntować.

– Świetna wiadomość – rzekłem. – Mają tu coś nadającego się do zjedzenia?

– O tak. Jest zwyczajowy wojskowy zestaw ciast i trzy rodzaje kawy – poinformowała z lekkim uśmiechem. – Nie tniemy kosztów na urozmaiconej diecie naszych gości.

– A więc chodźmy. Nie mogę się doczekać, żeby dla odmiany coś przeżuć.

\* \* \*

Kawiarnia okazała się trochę weselsza od reszty placówki. Na parapetach okien projekcyjnych stały kosze ze sztucznymi kwiatami. Na zewnątrz widać było idylliczny brzeg jeziora, co zapewne w najmniejszym nawet stopniu nie odpowiadało prawdziwej okolicy szpitala. Wiedziałem, że w rejonie Wielkich Jezior nie pozostało zbyt wiele niezabudowanych odcinków wybrzeża, a i te nieliczne fragmenty znajdowały się w obrębie przedmieść dla klasy wyższej, nie w pobliżu obiektu wojskowego.

Przy jednej ze ścian znajdował się kontuar. Całe pomieszczenie wyglądało jak mniejsza, przytulniejsza wersja stołówki z Shughart, w której rozstawiono dwuosobowe stoliki. Kręciło się paru pacjentów w takich samych zielonych dwuczęściowych piżamach jak moja.

Gdy turlałem się do kontuaru z kapral Miller u boku, od jednego ze stolików dobiegł mnie znajomy głos:

– Grayson, zawsze idziesz prosto po żarcie.

Obróciłem się i ujrzałem sierżant Fallon. Również siedziała na wózku elektrycznym, a przed nią stała filiżanka z kawą i pusty talerz.

– Hej, pani sierżant!

Zmieniłem kierunek i podjechałem prosto do niej. Gdy parkowałem, uśmiechnęła się do mnie ze znużeniem.

– Myślałam, że już po tobie, Grayson. Gdy kładli cię na noszach, nie wyglądałeś zbyt dobrze.

– Czuję się tak, jakbym chciał się wymeldować – potwierdziłem. – Lekarz mówi, że dwie flešzety przebiły mi pancerz. Jedna drasnęła lewe płuco, a druga przeszła mi prosto przez jelita.

– Auć – powiedziała. – Powinno wystarczyć na Purpurowe Serce.

– Mocno w to wątpię. Dopiero co batalionowy S2 przemaglował mnie za to, że puściłem rakietę z MARS-a prosto w tamten wieżowiec. Nie sądzę, żeby mieli w najbliższym czasie dać mi jakieś medale.

– Major Unwerth? Nędzny dupek. Kiedyś walnęłam go pięścią w ten głupi pysk, gdy byłam starszym sierżantem, a on jeszcze kapitanem. Ciągle nie mogę uwierzyć, że awansowali tę bezużyteczną kupę sadła.

Spojrzała na kapral Miller, która podeszła za mną do stolika.

– Możecie mnie z nim zostawić na chwilę, kapralu. Może zrobicie sobie przerwę, dobrze?

– Pasuje mi – zgodziła się przyjaźnie pielęgniarka. – Wrócę za jakieś dwadzieścia minut. Nie próbuj robić pompek pod moją nieobecność.

– Bez obaw – powiedziałem. – Jeśli będzie pani przechodzić obok kontuaru, mogłaby mi pani coś wziąć?

– Jakieś preferencje?

– Cokolwiek, co będzie dobrze wyglądać – rzekłem.

– Żaden problem.



Miller odeszła, a sierżant Fallon obserwowała ją zmęczonymi oczyma. Wyglądała na przygaszoną, jakby zostawiła część siebie na ulicach Detroit. Chciałem popatrzeć na jej goleń, tę, która została zmasakrowana kulami z karabinu maszynowego, i wzdrygnąłem się, gdy ujrzałem, że kości nie ma. Prawa noga sierżant Fallon kończyła się tuż pod kolanem, a nadmiarowy materiał szpitalnych spodni był schludnie zwinięty i przypięty do uda.

– Tak, nie ma jej – poinformowała, widząc moją reakcję. – Kula zmieniła kości w szrapnele. Nie zostało dość, żeby to poskładać. Dopasowali mi już protezę. Słyszałam, że stop tytanowy i tak jest znacznie lepszy od kości i tkanki.

– Wydawało mi się, że za takie obrażenia automatycznie wydalają z armii.

– Nie, jeśli ma się taki wypasiony medal na błękitnej wstędze – odparła. – Wtedy sporo uchodzi na sucho. Mogę nawet zabić co roku dwóch oficerów i nikt nie będzie się awanturował.

Roześmiałem się i pokręciłem głową.

– W takim razie mam jednego kandydata, jeśli nie wyczerpała pani jeszcze limitu.

– Gdy następnym razem ten dupek do ciebie zajrzy, poproś o obecność oficera z wydziału prawnego i nie mów nic, dopóki go nie przyślą, słyszysz?

Szkoda, że sam na to nie wpadłem, pomyślałem.

– Tak zrobię. Nie chciał mi nawet powiedzieć, co stało się z resztą oddziału, a nie mogę połączyć się z MilNetem, żeby wysłać wiadomości.

– Bez jaj. – Fallon wychyliła się w moją stronę. – Odcięli twój OTI?

Przytaknąłem, a ona skrzywiła się z niesmakiem.

– Nie mów ani słowa bez papugi w pobliżu, Grayson. Chcą cię w coś wmanewrować. Nie zrobiłeś nic złego w tym pierdolniku, nie pozwól im więc na to.

– Chyba niewiele mogę na to poradzić, pani sierżant.

– Przekonamy się. A gdzie cię tu w ogóle kwaterują?

– Pokój trzy tysiące sześć – rzekłem. Lekka panika, którą odczuwałem od wizyty majora Unwertha, nagle zaczęła narastać.

– Stratton i Paterson nie żyją – beznamiętnym głosem powiedziała Fallon. – Hansen jest

na rehabilitacji z nowym stawem barkowym. Cała reszta wróciła już do batalionu, ale z tego, co wiem, nasz oddział nie może teraz opuszczać kwater, zupełnie jakbyśmy byli jakąś cholerną jednostką karną.

– To moja wina – stwierdziłem. – Nie powinienem był używać tamtej rakiety. Cholera, nawet nie zdawałem sobie sprawy, że mam załadowaną termobaryczną. Po prostu wycelowałem i wystrzeliłem.

– I wiesz co, Grayson? Zrobiłabym, kurwa, to samo, podobnie jak wszyscy pozostali z oddziału. Nie zdręczaj się tym. Sieciowizja zaczęła nieprzychylnie mówić i teraz oficer prasowy batalionu wpadł w panikę. Sprawa się wyciszy.

– Nie wiem, pani sierżant. Major wydawał się zdeterminowany, żeby przypisać mi winę.

– Przekonamy się – powtórzyła. – Może zamienię z nim słówko. Major Unwerth i ja mamy wspólną historię.

– Jeśli trafię do aresztu, niech reszta oddziału dowie się, że nie zjechałem, dobrze?

– Nie martw się – powiedziała. – Jeśli spróbują cię wyruchać, cały batalion się o tym dowie, możesz mi zaufać. Nie rzucamy naszych na pożarcie wilkom, żeby zadowolić jakieś wypindrzone cywilne szychy.

Po tych słowach poczułem się trochę spokojniej, ale wciąż miałem wrażenie, że nad moją głową zawisł miecz. Fallon posiadała spore wpływy w batalionie – w końcu w służbie nie pozostawało zbyt wiele żywych osób nagrodzonych Medalem Honoru, stanowiła więc dla jednostki powód do dumy – jednak mimo wszystko była tylko sierżantem sztabowym.

– Czy to prawda, że gdy dają Medal Honoru, można sobie wybrać przydział? – spytałem.

– Tak – odparła sierżant. – To element pakietu. Do końca życia dostajesz coroczną premię. Dają ci ładną niebieską flagę w ładnym drewnianym pudełeczku i nawet szychy muszą ci salutować. A jeśli zechcesz zmienić przydział, muszą ci to umożliwić. Nie możesz oczywiście prosić o posadę kapitana okrętu gwiazdowego, ale gdybym zechciała zostać kierowcą czołgu albo pilotem desantowca, musieliby wysłać mnie do szkoły pancерnej albo lotniczej.

– A dlaczego pani tego nie zrobiła?

– Nie chciałam zostawiać swoich ludzi. – Wzruszyła ramionami. – Inna formacja oznaczałaby po prostu inne gównno. Wolę pozostać przy gównnie, które znam. Chyba nie chciałam znowu czuć się jak rekrutka. W mordę, wyobrażasz sobie sierżanta sztabowego idącego do Szkoły Floty? Siedzącego w jednej klasie z wszystkimi tymi żółtodziobami zaraz po przygotowawczym?

Spróbowałem sobie zwizualizować zaprawioną w bojach Fallon podczas wykładu o podróżach międzygwiazdnych albo bezpieczeństwie na pokładzie, gdy wszyscy pozostali studenci wpatrują się w baretkę jej Medalu Honoru, i jedynie pokręciłem głową z uśmiechem.

– A dlaczego nie wybrała pani odejścia ze służby? Nie wzięła premii i nie wróciła do domu?

Sierżant Fallon popatrzyła na mnie tak, jakbym jej nagle zaproponował, by rozebrała się i zatańczyła nago na stole.

– A co miałabym robić po odejściu? Wydaje ci się, że ktoś rezygnuje po sześćdziesięciu miesiącach? Czy znasz wskaźnik retencji w wojsku?

Zaprzeczyłem.

– Dziewięćdziesiąt jeden procent, Grayson. Dziewięćdziesięciu jeden na stu żołnierzy, którzy dożyją sześćdziesiątego miesiąca, zaciąga się na nowo. Myślałeś, że po pięciu latach weźmiesz pieniądze i zwiejesz?

– Ano – odparłem. – Czy wszyscy tak nie myślą?

– Z takimi pieniędzmi? W prawdziwym świecie na gównno ci się zdadzą. Wyjdiesz jako E-3, może E-4, czyli wychodzi pół miliona dolarów za odsłużonych pięć lat. Taka suma oznacza, że nie kwalifikujesz się do mieszkania komunalnego, a na przedmieściach nie wystarczy na nic większego niż schowek na miotły. A już na pewno nie kupisz za to miejsca na statku kolonijnym. Nawet zresztą gdybyś wrócił do DZK, jak sądzisz, jak cię tam przyjmą jako byłego AT?

– Nie wiem – odrzekłem. – Mój ojciec był AT, ale wykopali go wcześniej. Nie znam innych weteranów.

– Nie bez powodu, Grayson. Do cholery, w zeszły piątek zabiliśmy kilkaset szczurów na zasiłku. Jak sądzisz, co myślą teraz o wojsku? AT jest wysyłana za każdym razem, gdy blokowiska wyrywają się spod kontroli. Jak uważasz, co się z tobą stanie, gdy wrócisz do domu z rzeczami w wojskowym worku i rządową kartą bankową, na której będzie pół miliona wspólnotowych dolarów?

Przygryzłem wargę. Jej słowa miały oczywiście sens i poczułem się jak idiota, że nie pomyślałem o tym wcześniej. W naszym DZK nie było świeżych weteranów – ludzie, którzy wyjeżdżali na przygotowawcze, nigdy nie wracali. Zawsze wydawało mi się, że po prostu nie chcieli wracać, a nie że nie mogli.

– W chwili, gdy podpisaliśmy papiery na przygotowawczym, wszyscy wpadliśmy w pułapkę. Nie możesz wrócić do domu po pięciu latach, a masz za mało pieniędzy, żeby zrobić coś innego, zaciągasz się więc na pięć następnych. Zanim się zorientujesz, jesteś już załatwiony na całe życie. Dążysz do premii za odsłużenie dziesięciu lat, potem piętnastu, po czym uznajesz, że równie dobrze możesz zostać do dwudziestu.

Spoglądała na mnie, jeżdżąc palcem po obwodzie filiżanki.

– Wiedzą, że większość z nas będzie się wciąż zaciągać. Zresztą na co byśmy się zdali w cywilu? Ostatnie jedenaście lat spędziłam jako żołnierz. Znam się na taktyce małych jednostek. Umieć wysadzać różne rzeczy i zabijać ludzi. Widzisz mnie pracującą gdzieś jako intendentka?

– Nie – przyznałem. – Straszylałyby pani cywilów na śmierć.

– To już nie jest nasz świat, Grayson.

I tak nie zamierzałem nigdy wracać do DZK. Nic tam dla mnie nie zostało i gdy tylko wsiadłem do promu wiozącego mnie na przygotowawcze, przestał to być mój świat. Nadal jednak wyobrażałem sobie tę nieskończenie przyjemną koncepcję, że za mniej więcej dekadę wyjdę z woja i będzie mnie stać na dom na przedmieściach klasy średniej, gdzie nie będę musiał się martwić ludźmi, którzy mogą dźgnąć mnie nożem za cotygodniowe pudło paskudnych kalorii. Teraz uświadomiłem sobie, że nie miałem pojęcia, jak poważne konsekwencje będzie miała decyzja o zerwaniu z poprzednim życiem.

– Czy zjebałem, pani sierżant? – spytałem Fallon. – Czy zaciągnąłem się dożywotnio?

Nie odpowiedziała od razu, lecz na jej wargach pojawił się lekki porozumiewawczy

uśmiezek.

– To powinno być karalne – mruknęła w końcu. – Dzieciaki w twoim wieku jeszcze gówny wiedzą o wszystkim. Wystarczy postawić przed wami na stołówce steki, a od razu podpisujecie te pieprzone papiery.

– I co mam teraz zrobić?

– A czego oczekujesz po wojsku? O co byś poprosił, gdyby jutro prezydent miał ci zawiesić na szyi ten medal? – zapytała, przyglądając mi się z uśmiechem, jakby już wiedziała, co odpowiem.

– Poważnie?

Przytaknęła.

– Poważnie. Szeregowy Grayson, oto twój Medal Honoru. Nic cię nie ogranicza. Czego byś zażądał?

Długo nie odpowiadałem, bo nie chciałem zabrzmieć, jakbym nie był lojalny wobec jednostki, ale nie potrafiłem być nieszczerzy przy sierżant Fallon. Zdecydowałem się zatem na prawdę.

– Poprosiłbym o stanowisko pozwalające polecieć w przestrzeń. Marynarka, marines, cokolwiek, byle znaleźć się w kosmosie.

Gdybym musiał zerwać z dawnym życiem, chciałbym, aby owo zerwanie było całkowite, jak najbardziej radykalne. I wiedziałem, że w koloniach jest przynajmniej świeże powietrze, że obszaru w promieniu kilometra od ciebie nie zamieszkuje ćwierć miliona sąsiadów.

– Bez jaj? – Fallon uniosła brew.

– Bez jaj.

– Cóż, tacy jak my tylko w taki sposób mogą się wyrwać z tej gównianej planety. Powinam dać ci wykład, jak paskudnie jest w innych formacjach, ale szczerze mówiąc, zupełnie nie mam do ciebie pretensji.

# Rozdział 14

## Pilnie potrzebna kadrowa

Mój OTI wciąż nie pozwalał mi wejść do MilNetu, działał na szczęście czytnik dokumentów. Większość żołnierzy z plutonu wykorzystywała go jedynie do lektury instrukcji obsługi sprzętu i materiałów teoretycznych, ale ja już jakiś czas temu odkryłem, że obsługuje dowolne formy elektronicznych tekstów. Istniało mnóstwo publicznych zbiorów literatury i poświęciłem dwie godziny na załadowanie do pamięci małej biblioteczki pełnej klasycznych książek.

Byłem w jednej trzeciej „Jądra ciemności” i w połowie drugiego pączka, gdy otworzyły się drzwi i do środka wszedł major Unwerth.

– Nie wstawajcie, szeregowy – powiedział, gdy ocierałem usta i odkładałem pączka, serwetkę oraz OTI na szafkę. Nie podobało mi się, że był w pełnym mundurze klasy A, a ja w marnej szpitalnej piżamie. Różnica stroju sprawiała, że wydawałem się odsłonięty, a fakt, że znajdowałem się w łóżku, jedynie pogarszał sprawę. Mógłbym się czuć bardziej niezręcznie, tylko gdyby naszedł mnie w ubikacji podczas stawiania klocka.

– Panie majorze – powiedziałem – czy od śniadania udał się pan aż do Shughart i z powrotem?

– Tak – odparł. – Spotkałem się na lunchu z dowódcą batalionu. Widzę, że dobrze was tu karmią.

– Tak jest, sir. Luksusy jak w domu.

– To dobrze. Czy czujecie się na siłach, żeby zdać raport? Muszę dołączyć waszą wersję wydarzeń do protokołu.

– W takim razie jestem przekonany, że przysługuje mi obecność oficera z wydziału prawnego, sir.

Major Unwerth zrobił minę, jakby właśnie poczuł coś nieprzyjemnie pachnącego. Jego przyjazne nastawienie wyparowało w mgnieniu oka.

– Nic wam nie przysługuje, szeregowy. Znajdujecie się jakieś trzy nanometry od sądu wojskowego i możecie czuć cholerną ulgę, że nie zabrałem ze sobą dwóch żandarmów, którzy stacjonowaliby pod waszym pokojem i eskortowali was za każdym razem, gdy idziecie się odlać. Na waszym miejscu bym się nie wychylał. A teraz albo podacie mi waszą wersję wypadków do protokołu, albo też zapiszę, że odmówiliście złożenia zeznania. I chyba będę wdzięczny, gdy tak właśnie zrobicie, bo oszczędzicie mi tym sporo roboty papierkowej. Zaczyna mnie męczyć wasza postawa.

Zmieniłem zdanie w kwestii wykroczenia dyscyplinarnego. Wyciągnąłem rękę, by złapać majora za klapy kurtki klasy A, ale zanim zdążyłem chwycić Unwertha, ktoś gwałtownie szarpnął go do tyłu. Ujrzałem na jego twarzy, że wyraz ponurej satysfakcji zastępują szok i konsternacja.

Major pozostawił otwarte drzwi i żaden z nas nie usłyszał wchodzącej sierżant Fallon. Wstała z wózka elektrycznego i nawet bez nogi miała wystarczająco siły, by ściągnąć majora Unwertha z mojego łóżka, jakby był jedynie niezbyt wypakowanym plecakiem bojowym. Bez szczególnego wdzięku wylądował na tyłku, a Fallon zaraz znalazła się nad nim. Jedną dłonią złapała go za kołnierzyk i przycisnęła do podłogi. Drugą chwyciła jeden z długopisów, które major nosił w kieszeni na piersi. Ruchem kciuka zdjęła skuwkę i przycisnęła czubek do gardła oficera. Następnie zbliżyła się do niego tak, że ich nosy niemal się zetknęły.

– Posłuchaj mnie, chujku – powiedziała głosem tak pełnym gniewu, że brzmiał jak chrapliwy warkot. – To jeden z moich ludzi. Ciągnął mnie niemal kilometr wrogiego terytorium. Jeśli jeszcze choć raz usłyszę, że znów mówisz do niego tak, jakby był jakimś świeżym rekrutem, który nie wrócił w porę z weekendowej przepustki, rozerwę ci tchawicę i naszczam w szyję. Zrozumiano?

Widziałem, jak gardło Unwertha poruszało się pod czubkiem długopisu, gdy przełykał ślinę. W oczach majora widniał teraz pierwotny strach i poczułem ogromną satysfakcję. Część mnie pragnęła, by Fallon wbiła mu ten długopis prosto w szyję.

Wreszcie niemal niezauważalnie skinął głową. Sierżant puściła oficera i rzuciła długopis obok niego. Twarz miała wykrzywioną odrazą, zupełnie jakby właśnie musiała czyścić latrynę gołymi rękoma.

– Nie potrafi się pani kontrolować, pani sierżant – oznajmił major Unwerth. Starał się

brzmieć asertywnie, ale wciąż miał niepewny głos. – Napaść na oficera starszego stopniem, znowu! Wywalą panią za to, niezależnie od Medalu Honoru.

– Możesz wrócić do bazy i złożyć na mnie donos – rzekła Fallon. – Może nawet zdołają mnie zamknąć, zanim znowu cię dorwę. Lepiej zresztą dla ciebie, gdyby im się udało. Powiem ci jednak coś: każdy żołnierz w batalionie dowie się o numerze, który próbowałeś wywinąć Graysonowi, a wtedy twoje życie nie będzie warte nawet wiadra ciepłych szczyń. Baw się dobrze, sprawdzając, czy w kłocie nie ma granatów odłamkowych.

– Oszalałaś, Fallon – odparł Unwerth. Wstał, zaczął wygładzać kurtkę mundurową i poprawiać krawat. – Nie możesz mi tak grozić. Dowódca wrzuci cię do celi i zgubi kod dostępu.

– Jasne – oznajmiła sierżant. – Być może. I pomyśl, jakie wspaniałe nagłówki będzie mógł zamieścić pieprzony „Przegląd Wojskowy”. „Odznaczona Medalem Honoru próbuje zabić oficera”. Podskoczy ci morale. Cywilnej prasie na pewno się to spodoba. – Znów się do niego zbliżyła, odsunął się przezornie. – Gównu mnie to obchodzi, majorze. Chcesz na mnie donieść? W porządku. Przekonamy się, czy dowódca zechce zmagać się ze złą prasą. Jeśli jednak dopuścisz do tego, żeby na Graysona spadła wina za Detroit, dopilnuję, żeby do końca miesiąca twoja dupa znalazła się w worku na ciała.

Major skończył wygładzać mundur. Zmierzył mnie paskudnym spojrzeniem, po czym skrzyżował wzrok z sierżant Fallon. Jego strach był niemal namacalny, próbował jednak zachować fason przed byle szeregowym i dowódcą jego oddziału.

– Postaraj się – oznajmiła Fallon. – Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Jeśli dowalisz Graysonowi choćby szlaban na weekend, możesz równie dobrze strzelić sobie w łeb.

– A jak, do cholery, mam to zrobić?

– Niech się mnie pan pozbędzie – wtrąciłem się.

Oboje popatrzyli na mnie z zaskoczeniem. Miałem gonitwę myśli i właśnie przypominałem sobie wcześniejszą rozmowę z Fallon, na jaki przydział bym się zdecydował, gdybym miał swobodę wyboru. Nie zdobyłem Medalu Honoru, ale może mogłem umożliwić Unwerthowi umycie rąk, a sam dostać to, czego chciałem.

– W jaki sposób? – spytał major.

– Niech pan mnie przeniesie – odrzekłem. – Wyśle do innego rodzaju wojska. Powie



dowództwu dywizji, że mnie pan wykopał, a oni będą mogli przekazać coś prasie cywilnej.

– Nie ma szans – odparł Unwerth. – Nie można się przenieść z AT.

– Pewnie, że można – oznajmiła Fallon. – Cały czas odbywają się przeniesienia pomiędzy formacjami. Skontaktuj się z kumplami z S1 i załatw to z nimi.

– Takie transfery mają miejsce tylko wtedy, gdy pojawia się potrzeba wypełnienia jakiegoś stanowiska. Gównianego stanowiska. Takiego, dla którego nie można znaleźć ochotników. – Popatrzył na mnie i widziałem, że ten pomysł nagle zaczął mu się podobać.

– Zrób to – rzuciła sierżant do majora. – Zrób to albo cały batalion dowie się, dlaczego przywaliałam ci za pierwszym razem, zanim mnie zdegradowali.

Unwerth jedynie zmierzył Fallon wzrokiem. Nie miałem pojęcia, co na niego miała, ale szantaż musiał posiadać doskonałą podstawę, ponieważ major pochylił się, podniósł czapkę z podłogi i opuścił pokój, nie mówiąc już nic ani się nie oglądając. Energicznie zatrzaskał za sobą drzwi.

– Wróci z tuzinem żandarmów i wrzuci nas oboje do aresztu – stwierdziłem.

– Nie – odparła sierżant Fallon. – Zaufaj mi. Zadzwoń do kumpli i wykorzystaj parę przysług. Zostaniesz przeniesiony, przekonasz się.

– Musi mieć pani na niego niezłe haki.

– Nawet nie masz pojęcia.

Nie podzieliła się ze mną szczegółami, ale widziałem, że zupełnie nie przejęła się tym, iż zaatakowała, a potem zaszantażowała sztabowego oficera S2.

– Powiedzmy jedynie, że miałam jednorazową kartę „Wyjście z więzienia” i właśnie zużyłam ją na ciebie. A teraz skończ jedzenie i zdrzemnij się. Nie martw się już Unwerthem. Gdy następnym razem do ciebie przyjdzie, będzie pamiętał o manierach.

\* \* \*

Następnego poranka odkryłem, że mój OTI może znów łączyć się z siecią. Byłem w trakcie śniadania – jajecznicy, tostów i miseczki płatków ryżowych – gdy usłyszałem ciche ćwierknięcie oznaczające przychodzącą pocztę. Wyciągnąłem tablet z szuflady i zauważyłem, że czeka na mnie osiemdziesiąt dziewięć wiadomości. Ponad połowa z nich była oficjalnymi komunikatami kompanii lub plutonu, zmianami harmonogramu i ogólnymi

biuletynami, lecz resztę stanowiły mejle od kolegów z plutonu dopytujących się o moje zdrowie. Przebiegałem wzrokiem nadawców, dopóki nie znalazłem tego, na co czekałem – wiadomości od HALLEY D/KSLB/LUNA/MARYNARKA. Temat brzmiał: „W połowie drogi”.

Kliknąłem wiadomość z niecierpliwością lekomana otwierającego słoiczek czarnorynkowych środków przeciwbólowych.

*Wszystko OK? Nie piszesz od paru dni. Dali Ci wartę na jakimś zadupiu w bazie czy coś? W każdym razie skrobnij choć słówko. Jesteśmy już oficjalnie w połowie Szkoły Floty. Jeśli wydawało Ci się, że sierżant Riley była upierdliwa, powinieneś poznać mojego instruktora latania. Jutro mam pierwszy samodzielny lot na prawym fotelu. Wyślę zdjęcia, jeśli pozwolą mi zrobić. Zgłoś się, dobrze? To rozkaz, szeregowy (teraz przewyższam Cię stopniem, HA!). — D.*

Przeczytałem jej wiadomość kilka razy, by upewnić się, czy zdołam przywołać ją z pamięci, jeśli z jakiegoś powodu znów stracę dostęp do MilNetu.

Włączyłem klawiaturę, by odpisać. Chciałem opowiedzieć jej o wszystkim: piątkowym wezwaniu do zamieszek, strzelaninie, śmierci Strattona i Patersona, moich obrażeniach, sędzie wojskowym wiszącym mi nad głową. Jakkolwiek bym jednak układał słowa i zdania w głowie, nie potrafiłem przekazać w tekście tego, co miałem w myśli. MilNet nie był odpowiednim medium dla takich rozmów, poza tym nie chciałem obarczać Halley złymi wieściami.

Zacząłem wpisywać odpowiedź, tym razem tak mglistą i niekonkretną, jak to tylko możliwe, pomimo wszystkich myśli wirujących w głowie z taką prędkością, że miałem wrażenie, iż rozsada mi skronie, jeśli nie spuszczę trochę ciśnienia i nie podzielę się swoimi zmartwieniami z kimś, kto był po mojej stronie. Napisałem Halley, że wylądowałem na parę dni w izbie chorych, ale wkrótce wrócę do batalionu, że jest podlizującą się pupilką instruktorów, skoro awansowała przede mną, i że to nie ma znaczenia, ponieważ będę dwudziestogwiazdkowym generałem, zanim marynarka porzuci wszelki rozsądek i zrobi z niej oficera. Oczywiście i tak awansuje – gdy ukończy szkołę lotniczą, otrzyma stopień chorążego i pierwszy przydział we flocie. Gdy się to wydarzy, być może nie będzie już mnie w AT i nigdy się nie dowiem, ponieważ nie będę miał dostępu do MilNetu. Jeśli wykopią mnie z wojska, Halley nie zdoła się już do mnie

odezwać, nawet gdyby chciała utrzymać kontakt z frajerem, który do końca życia będzie nosił piętno karnie wydalonego ze służby.

Perspektywa powrotu do DZK, wiecznego zastanawiania się nad straconą okazją i odcięcia od jedynych przyjaciół, jakich zyskałem od ukończenia szkoły podstawowej, uderzyła mnie bardziej niż wszystko, co miało miejsce w minionym tygodniu. Myśl, że mogłem umrzeć na ulicach Detroit-7, nie była nawet w połowie tak nieprzyjemna. Nawet świadomość śmierci Strattona, którego lubiłem najbardziej z całego oddziału, nie wstrząsnęła mną tak jak wizja powrotu do miejsca, które zostawiłem za sobą, i pozostania tam już na zawsze po tym, jak skosztowałem życia gdzie indziej. Wszystko w DZK było mdłe, szare i beznadziejne, lecz nie miałem pojęcia, jak mdłe, zanim przez jakiś czas zdołałem żyć w pełni. Połowa rzeczy, które robiliśmy w wojsku, była żmudna, nudna lub niebezpieczna, lecz przynajmniej żyliśmy na tyle, by odczuwać nudę bądź strach. W DZK nie miało się skrajnych emocji. Budziłeś się jedynie każdego dnia i czułeś równie bezwładny jak twoje łóżko. Byłeś tylko elementem własności publicznej, który kiedyś rozpadnie się i zostanie przetworzony.

Wysłałem wiadomość do MilNetu za pośrednictwem satelity, by pomknęła przez czterysta tysięcy kilometrów dzielących mój szpitalny pokój od Kosmicznej Szkoły Lotnictwa Bojowego na Lunie. Następnie wyłączyłem OTI i schowałem w szufladzie.

Po raz pierwszy od wielu lat miałem ochotę płakać, a że w pokoju nie było nikogo, kto by to zobaczył, poddałem się i pozwoliłem, by łzy popłynęły swobodnie.

\* \* \*

Po południu wróciłem do kawiarni, by sprawdzić, czy jest tam sierżant Fallon. Zauważyłem ją w kącie przy jednym z okien projekcyjnych, prostującą prawe kolano i spoglądającą na goleń. Gdy zauważyła, że się zbliżam, uśmiechnęła się i postukała nową protezę, mającą półmatowy poblask anodowanego metalu.

– Stop tytanu – wyjaśniła, gdy siadałem na krześle naprzeciwko niej. – Dziwnie się z nią czuję, ale jest znacznie silniejsza niż stara noga. Może drugą też powinienam wymienić?

– Szybko poszło. Czy wczoraj pani nie mówiła, że dopiero ją dopasowali?

– Przedwczoraj. Przesunęli mnie na szczyt kolejki oczekujących na części zapasowe. W zamian musiałam pomęczyć się trochę na pokazówce z paroma ludźmi z „Przeglądu

Wojskowego”. Każą mi odbębnić parę tygodni rehabilitacji, zanim będę mogła wrócić. Zupełnie jakbym nagle zapomniała, jak się chodzi.

– Dziękuję za to, co pani zrobiła. Nie musiała pani narażać dla mnie swojego tyłka. Cholera, jestem tylko szeregowcem z trzema miesiącami służby w batalionie. Ma pani znacznie więcej do stracenia niż ja.

– Nie pieprz, Grayson – powiedziała, spoglądając na mnie stanowczo. – Nikt w oddziale nie jest wart mniej niż pozostali. Chwytasz karabin i stajesz na straży, jesteś jednym z nas i nie jest istotne, ile pasków masz na rękawie. W mordę, popatrz na Unwertha. Jest majorem, a każdy z was, szeregowców, jest wart dziesięciu takich jak on.

– No tak, ale jednak jada lunche z dowódcą batalionu, a my nie.

Sierżant Fallon roześmiała się głośno.

– Pozwól, że powiem ci coś o szefie – rzekła. – Jest piechociarzem. Zanim poszedł do szkoły oficerskiej, był sierżantem. I nie może znieść majora Unwertha. Uważa go za zwykłego kolekcjonera, co jest oczywiście w pełni słuszne.

– Kolekcjonera?

– To goście, którzy wspinają się po drabinie hierarchii i po drodze gromadzą punkty do awansu. Gdy dostają połowy przydział dowódczy, kierują z tyłów. A gdy zbiorą zaledwie minimalny czas dowództwa bojowego, żeby mieć prawo do kolejnego awansu, przenoszą się. Kiedy trafiłam do batalionu, major Unwerth był podporucznikiem Unwerthem i dowódcą mojego plutonu. Myślę, że Chino-Ruskim na rękę była jego obecność w naszych szeregach.

– To wtedy mu pani przywaliła? – Wyszczrzyłem zęby. Opowieść była w batalionie osnuta legendą i, jak wszystkie wojskowe historie, istniała w stu różnych wariantach, z których każdy był niewątpliwie przesadzony. Najłagodniejsze z nich głosiły, że sierżant Fallon wpadła do pokoju dowodzenia kompanii i trzasnęła Unwertha karabinem po tyłku w obecności dowódcy kompanii i jego zastępcy.

– Cóż – westchnęła Fallon. – Szef rozkazał mi, żebym nigdy nikomu tego nie opowiadała, a już szczególnie szeregowcom. Powiedzmy jedynie, że podjął kilka złych decyzji i ma szczęście, że wciąż może oddychać.

Sierżant spuściła nogawkę szpitalnych spodni na nową, metalową nogę. Nigdy nie

marnowała nawet chwili. Wszystkie jej działania były zawsze wydajne i konkretne. Obserwowałem, jak złożyła mankiet dokładnie trzy razy i jednokrotnie pociągnęła za skończoną fałdę, by upewnić się, że nie ma na niej zagięć.

Jak wiele razy można igrać z losem? – zastanawiałem się. Przeżyła wiele niebezpiecznych misji, po drodze zyskując Medal Honoru, i nigdy nie myślała o odejściu, nawet gdy na srebrnym półmisku oferowano jej emeryturę. Odstrzelili jej pół nogi, a ona jedynie wzruszyła ramionami. Po kilku tygodniach wróci do pracy, którą będzie wykonywać, dopóki nie odstrzelą jej czegoś, czego lekarze nie zdołają zastąpić. Wiedziałem, że nie byłem ulepiony z tej samej gliny co major Unwerth, ale zdecydowanie różniłem się również od sierżant Fallon.

– Nie chcę zostawiać oddziału na lodzie – stwierdziłem.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie. Zdarzało jej się to tak rzadko, że przez chwilę wyglądała jak zupełnie inna osoba.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy, Grayson – odparła. – Przyślą paru rekrutów świeżo po przygotowawczym. Jeśli możesz złapać armię za jaja i zmusić, by dała ci to, czego chcesz, musisz wykorzystać okazję, bo zdarza się ona od wielkiego dzwonu. Za to spieprzyć można całkiem często.

– Nie chcę po prostu, żeby w oddziale sądzili, że ich wystawiłem, pani sierżant.

– Nie będą – stwierdziła Fallon. – Powiem im, co się stało.

Popatrzyliśmy na siebie przez stół. Coś dziwnego wydarzyło się od piątku. Wciąż była moim sierżantem, a ja jej szeregowcem, ale nasza relacja w jakiś sposób uległa zmianie. Dalej pozostawaliśmy od siebie tak samo oddzieleni rangą i stanowiskiem jak przed odlotem do Detroit, ale na pewnym poziomie byliśmy sobie równi. Czułem, że jest mi w swoisty sposób bliższa niż ktokolwiek, nawet Halley.

– Będzie mi ich brakowało – rzekłem. – Będzie mi brakowało Strattona. Nieżyły był z niego numer.

– Prawda? – Fallon znów się uśmiechnęła. – Zawsze miał tym swoim ozorem, żartował ze wszystkiego i wszystkich. Będę tęsknić za tym zarozumiałym małym gnojkiem. Był dobrym gościem.

Siedzieliśmy dalej w milczeniu. Sierżant Fallon wpatrywała się w nietknięty kubek z

kawą, ja zaś spoglądałem na gładką plastikową powierzchnię stołu oraz namiejsce, w którym stałaby moja kawa, gdybym ją zamówił.

\* \* \*

Pod koniec tygodnia nudziłem się już jak mops. Mózg był w stanie znieść tylko ograniczony czas oglądania sieciowizji, zanim miałem ochotę wbić sobie widelec w ucho. Przy zdrowych zmysłach utrzymywały mnie jedynie codzienne pogawędki w kawiarni z sierżantem Fallon oraz wiadomości wymieniane z Halley i kolegami z oddziału. Dowiedziałem się, że Halley śpiewająco zaliczyła pierwszy lot na prawym fotelu. To właśnie tam siedzi pilot dowodzący okrętem desantowym, czyli odwrotnie niż we wszystkich innych klasach okrętów. Najwyraźniej świetnie radziła sobie z Osą.

Poinformowano mnie też, że w ten weekend Stratton i Paterson mieli zostać pochowani w swoich rodzinnych miastach. Stratton pochodził z SeaTacVan, czyli Seattle-Tacoma-Vancouver, Paterson dorastał w jakimś małym miasteczku na Górnym Półwyspie w stanie Michigan. Było tradycją AT, że kompani z oddziału poległego żołnierza pełnili wartę honorową, a dowódca oddziału prowadził kondukt pogrzebowy, lecz sierżant Fallon wciąż przebywała na rehabilitacji, batalion wysyłał więc dowódcę plutonu, porucznika Weavinga, którego obrażenia okazały się na tyle lekkie, że poradziło sobie z nimi ambulatorium w Shughart. Większość oddziału wciąż podlegała lekkiej służbie, ale i tak wszyscy postanowili pojechać. Stratton był moim najlepszym przyjacielem w oddziale i chciałbym móc powiedzieć jego rodzicom, jak dobrze dogadywaliśmy się od samego początku oraz jak bardzo pomógł mi, gdy trafiłem do AT. Wydaje mi się, że sam chciałbym wiedzieć takie rzeczy, gdyby mój syn zaciągnął się do wojska i dwa lata później wrócił do domu w trumnie.

W piątek tuż przed lunchem drzwi mojego pokoju się otworzyły i do środka wszedł major Unwerth, ubrany w nieskazitelnie wyprasowany mundur klasy A.

– Spocznij – powiedział. Byłem już w odpowiedniej formie, by znów robić pompki, lecz i tak nie stanąlbym dla niego na baczność. Odezwał się odruchowo, oszczędzając nam obu sporego zakłopotania.

Podszedł do łóżka z czapką wsuniętą pod pachę. Podniosłem na niego wzrok i dobitnie zamknąłem OTI. Byłem w trakcie układania wiadomości do Halley i zirytowałem się, że mi przerwano, lecz Unwerth wciąż trzymał w rękach mój los, czułem więc również spory

niepokój. Postanowiłem jednak nie okazywać już temu gnojkwowi żadnej słabości, więc na jego pełne dezaprobaty spojrzenie odpowiedziałem miną, która w moim odczuciu była w pełni neutralna.

– Oto, jak sprawa stoi – oznajmił. – Załatwiłem ci przeniesienie do marynarki.

Poczułem nagłą lekkość w żołądku i wyraźnie nie potrafiłem ukryć ulgi, ponieważ major Unwerth uśmiechnął się do mnie ponuro.

– Są jednak pewne aspekty, które ci się nie spodobają. Przede wszystkim wyzeruje ci się czas spędzony w służbie. Oznacza to, że zaczniesz w marynarce tak, jakbyś dopiero skończył szkolenie przygotowawcze. Służba w Trzystu Sześćdziesiątym Piątym Batalionie nie będzie się liczyć do wymaganych pięćdziesięciu siedmiu miesięcy ani do awansu.

Miał rację, nie podobało mi się to, jednak przedstawiał warunki i miałem silne wrażenie, że nie podlegają one negocjacji, jeśli chciałem opuścić AT i trafić w przestrzeń.

– Poza tym trafisz do sieci neuronowych. Ta specjalizacja jest oznaczona jako „pilna potrzeba kadrowa”, gdy więc skończysz szkołę techniczną, wylądujesz w niej na cały czas pierwszego okresu służby.

Próbowałem sobie przypomnieć, co wiedziałem o gościach z sieci neuronowych w AT. Pamiętałem tylko, że siedzieli w fotelach przed stacjami administracyjnymi SN. Nie wyglądało to na ekscytującą czy ambitną pracę, ale wiedziałem już, że to moja jedyna droga do marynarki, kiwnąłem więc głową.

– I ostatnia rzecz – oznajmił Unwerth. – Odjedziesz bezpośrednio stąd, gdy tylko zezwolą na to lekarze. Zgłosisz się do Wielkich Jezior na szkolenie wstępne w centrum szkoleniowym marynarki, podobnie jak rekruci świeżo po przygotowawczym. Pięć tygodni na wstępnym, a później do szkoły technicznej. Po podpisaniu papierów nie wrócisz już do Shughart.

Ten warunek okazał się o wiele trudniejszy do zaakceptowania niż poprzednie dwa. Nie obchodziło mnie, że stracę kilka miesięcy służby spędzonych w batalionie i nie miałem nic przeciwko temu, że dowiem się, jak siedzieć w fotelu i przez resztę kontraktu trzymać konsolę komputerową, ale wydalenie z oddziału z taką szybkością i stanowczością sprawiało, że czułem się, jakbym znów dostał kulę we flaki. Najwyraźniej nie potrafiłem do końca ukryć nagłej konsternacji, bo major Unwerth zmarszczył brwi.

– Już trochę za późno na zmianę zdania. Wykorzystałem sporo przysług, żeby to załatwić. Nie myśl sobie, że teraz wrócę i odwołam całą papierkową robotę.

– Podpiszę wszystko, co będę musiał.

Unwerth położył czapkę i neseser w nogach łóżka, po czym wyciągnął schludną kupkę dokumentów.

– Teraz mogę tu stać i pozwolić ci przeczytać wszystko, co zapisano drobnym druczkiem, albo też po prostu podpiszesz, żebyśmy obaj mogli nie tracić czasu. Zapewniam cię, że nie ma tu żadnego ukrytego punktu, który każe ci kruszyć rudę na statku rafineryjnym.

Po tym, czego dowiedziałem się do tej pory o majorze, nie zaufałbym jego obietnicy bardziej niż własnemu przeświadczeniu, że zdołam pociągnąć okręt typu Szerszeń zębami, lecz wiedziałem, że bał się sierżant Fallon i że skreśliłaby mu kark, gdyby coś zachachmęcił. Wyciągnąłem rękę po papiery. Przekartkowałem szybko – zwarty prawniczy żargon, podobny do formularzy rekrutacyjnych w Orem – i przeszedłem do ostatniej strony. Za przytrzymaną dokumenty kłamrę zatknięty był długopis. Po raz trzeci w swej krótkiej wojskowej karierze podpisałem stos papierów i jednym pociągnięciem długopisu zmieniłem swój status.

– Od tej chwili nie należysz już do Armii Terytorialnej, Grayson.

Skinąłem powoli głową, oddając majorowi dokumenty. Wsunął je do neseseru i popatrzył na mnie wyczekująco.

– OTI jest własnością AT – oznajmił, gdy w odpowiedzi wzruszyłem ramionami. – Musisz go oddać. W marynarce wydadzą ci nowy.

Wyjąłem tablet z napisaną do połowy wiadomością do Halley i zdrętwiałymi palcami podałem majorowi. OTI nie mógł nikomu ujawnić moich osobistych plików oraz danych zapisanych bezpośrednio w MilNecie. Gdy tylko otworzę nowy tablet, na ekranie pojawi się nieukończona wiadomość, ale wciąż czułem się, jakbym oddawał swój pamiętnik klasowemu osiłkowi. Major Unwerth wziął urządzenie i włożył do neseseru, nawet na nie nie spoglądając. Następnie z bocznej kieszeni wyciągnął złożone dokumenty i rzucił mi je na łóżko.

– To twój rozkaz przeniesienia. Na tym kończą się nasze sprawy. Żegnam, Grayson – powiedział i odwrócił się do wyjścia.



– Moment – odezwałem się. – Nie mam swoich osobistych rzeczy z Shughart.

– Każę je przesłać – odparł, nie zwalniając. Otworzył drzwi i wyszedł, nie oglądając się. Nie zamknął nawet za sobą drzwi, jakbym nie był już wart ani odrobiny energii z jego strony. Obserwowałem, jak szedł żwawym krokiem korytarzem w kierunku wind.

Bez OTI byłem pozbawiony rozrywki, a także kontaktu z kolegami z oddziału i z Halley. Położyłem się z powrotem na cienkiej poduszce i wpatrywałem w okno projekcyjne, które sprzedawało mi iluzję wietrznego jesiennego wybrzeża.

Dostałem to, czego pragnąłem, odkąd wszedłem do biura werbunkowego – miejsce w służbie kosmicznej. Kiedy lekarz mnie wypisze, udam się wojskowym promem do Wielkich Jezior, gdzie wszyscy nowi rekruci marynarki przechodzili wstępne szkolenie, a po sześciu tygodniach polecę na Lunę do szkoły technicznej. Wreszcie znajdę się w kosmosie i spojrzę na Ziemię z odległości kilkuset tysięcy kilometrów. Po szkoleniu trafię na międzygwiazdny okręt, który zabierze mnie dziesiątki lat świetlnych od tego miejsca.

Dlaczego zatem czułem się tak, jakbym właśnie został ciśnięty w kąt i porzucony?

# Rozdział 15

## Uważaj, czego sobie życzysz

Moje rzeczy przyjechały następnego dnia. Batalion nawet nie zadał sobie trudu, by wysłać jakiegoś przydupasa, który przywiózłby te moje kilka osobistych drobiazgów. Zamiast tego dotarły standardową wojskową pocztą w plastikowej tubie, niewiele większej od tacy na stołówce. Wewnątrz znajdowały się dwie zmiany ubrań, które wziąłem ze sobą, gdy udawałem się na szkolenie przygotowawcze, a później miałem je na sobie wyłącznie podczas podróży do Fort Shughart.

Dziwnie było włożyć znowu cywilną odzież, stanowiącą ostatnią namacalną więź z moim dawnym życiem. Znajdowały się wśród niej rzeczy, w których poszedłem odwiedzić ojca: koszula z krótkim rękawem, para dżinsów z syntetycznej bawełny i cienka kurtka z kapturem w kolorze niewyróżniającej się szarości. Kiepskie łachy dla ubogich, których wyprodukowanie kosztowało ledwie parę dolarów. Gdy je założyłem, nagle poczułem się gorszy, bezwartościowy, nie na miejscu. W pewnym sensie znów stałem się nikim: już nie byłem żołnierzem AT, a jeszcze nie trafiłem do marynarki.

Przebrałem się z powrotem w szpitalny strój. Choć nijaki i prosty, był swoistym mundurem i zmieniał mnie z powrotem w kogoś, kto pasował do tego pokoju w wojskowym ośrodku medycznym. Nie czułem się już jak szczur z blokowiska, który zdołał zakraść się tam, gdzie nie należał.

\* \* \*

Gdy zszedłem do kawiarni na zwyczajową już popołudniową kawkę z sierżant Fallon, miejsce przy moim nadgarstku, w którym dotąd leżał OTI, wydawało się nienaturalnie puste. Dopóki go nie zabrali, nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak bardzo się do niego przyzwyczaiłem.

– Hej, pani sierżant – powitałem Fallon, siadając naprzeciw niej. Rozpuściła dziś ciemne włosy i pierwszy raz widziałem ją bez standardowej, odpowiedniej pod hełm fryzury. Wyglądała w ten sposób bardziej kobieco, a pasemka włosów łagodziły jej ostre

rysy. Była atrakcyjną kobietą i gdyby włożyła okulary, mogłaby uchodzić za bibliotekarkę, a nie za żołnierkę, oczywiście pod warunkiem, że miałaby na sobie ubranie na tyle luźne, by ukrywało muskularną sylwetkę.

– No cześć, wymiocie z marynarki.

Uśmiechnąłem się na jej słowa.

– Jeszcze nie. Muszę poczekać, aż lekarz stwierdzi, że wróciłem do normy, a później bezpośrednio stąd zgłoszę się do Wielkich Jezior na najbliższy dostępny cykl szkoleniowy.

– Gratulacje – powiedziała. – A więc od jutra nie będziemy się już widywać.

– A co się stanie jutro?

– Wysyłają mnie do innej placówki na rehabilitację. Przez kilka tygodni jakiś terapeuta z Korpusu Medycznego będzie mi pokazywał, jak się chodzi. Zanim wrócę do batalionu, zupełnie stracę formę.

Mogłem założyć się o połowę premii, jaką dostałbym po zakończeniu kontraktu, że sierżant Fallon już teraz codziennie robiła w swoim pokoju pompki i przysiady. Nie należała do osób, które przez kilka tygodni siedziały na tyłku, oglądały programy w sieciowizji i jadły ciastka. Już żałowałem biednego terapeuty, który z pewnością nie zdoła dotrzymać kroku nowej pacjentce.

– Major zabrał mój OTI, gdy podpisałem papierki o przeniesieniu – oznajmiłem. – Nie mogę się już z nikim skontaktować. Jeśli wróci pani do oddziału, zanim marynarka da mi w pełni funkcjonalny tablet...

Nie wiedziałem, czy chciałem, by powiedziała kolegom z oddziału, że mi przykro, że za nimi tęsknię, czy też że wstydzilem się, iż musiałem ich opuścić bez pożegnania, nie dokończyłem więc zdania, lecz sierżant Fallon jedynie skinęła głową.

Po czym wyciągnęła rękę i chwyciła moją.

– Nie jesteś już w moim oddziale. Formalnie rzecz biorąc, nie jesteś już nawet w AT, możemy więc zwracać się do siebie po imieniu. Jestem Briana.

Uścisnąłem jej dłoń.

– Andrew, ale to już wiedziałaś.

Trochę dziwnie było myśleć o niej jako o „Brianie”, a nie o „sierżant Fallon”. Gdybym tydzień temu zwrócił się do niej po imieniu, stanowiłoby to niestosowne spoufalanie graniczące z niesubordynacją. Teraz byliśmy po prostu dwojgiem ludzi nieograniczonych już skomplikowanymi zasadami dyktowanymi wojskową tradycją i protokołem.

Mimo to jakaś część mnie nigdy nie przestanie myśleć o Fallon jako o mojej sierżant. Była najtwardszym, najbardziej fachowym i bezstronnym żołnierzem, jakiego znałem, i prowadziła swój oddział, skupiając się w pełni na kompetencjach jego członków. Gdyby choć jedna dziesiąta armii składała się z takich osób jak ona, już pięćdziesiąt lat temu wykopalibyśmy ZCR ze wszystkich zamieszkałych ciał niebieskich pomiędzy Ziemią a Zeta Reticuli. Niestety, na dno ciągnęli nas ludzie pokroju majora Unwertha, prześlizgujący się przez system dzięki wykonywaniu jedynie niezbędnego minimum. Jeśli przyjąć, iż wojsko jest odbiciem społeczeństwa, któremu służy, było zdumiewające, że Wspólnota wciąż stanowiła najpotężniejszy organizm Terry. Pomimo całego balastu zalegającego w naszych szeregach udawało nam się powstrzymać zapędy ZCR i dziesiątek regionalnych potęg na Bliskim Wschodzie oraz w basenie Pacyfiku, którym brakowało zasobów, natomiast nie zbywało im na urazach wobec sąsiadów.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy – rzekłem. – Możemy pozostać w kontakcie przez MilNet?

– Oczywiście – odparła. – Gdy będziesz mógł wziąć urlop i na tydzień czy dwa wpadniesz na Ziemię, żeby odwiedzić rodzinę, zajrzyj może do Shughart i do oddziału, co?

– Możesz na to liczyć – oznajmiłem, choć wiedziałem, że jeśli podczas urlopu trafię na Terrę, szerokim łukiem ominę dawny dom.

– Przestrzeń – powiedziała tonem sugerującym, że to najgłupszy pomysł, jaki słyszała od wielu tygodni. – Za żadne pieniądze nie zgodziłabym się zostać wymiotem z marynarki, nie ma co do tego wątpliwości.

– Nigdy nie chciałaś opuścić Ziemi?

– Za diabła. – Uniosła plastikowy kubek z kawą i pociągnęła łyk. – Całe miesiące w zajebicie wielkiej tytanowej rurze bez okien, tycie na marynarskim żarciu, a jedynymi żołnierzami na pokładzie cholerni marines? Nie, dziękuję. Wolę zostać na tej przeludnionej kuli gówna i tłuc się z chinolami czy indolami. Wiesz, na Ziemi zostało jeszcze parę

porządnym skrawków.

– Tak, wiem – przyznałem, przypominając sobie nieskazitelne miasteczko dla klasy średniej w pobliżu OSWPA Orem, z przystrzyżonymi drzewami i trawnikami oraz z majaczącymi w oddali ośnieżonymi górami. – Po prostu nie sądzę, żebym kiedyś miał szansę żyć w jednym z nich, nie na tej planecie.

– Więc spróbujesz odsłużyć dwadzieścia lat i zdobyć miejsce na statku kolonijnym?

W odpowiedzi wzruszyłem ramionami.

– Życie w koloniach jest ciężkie, Andrew. Myślisz, że tylko w DZK ludzie są paskudni, niegodziwi i agresywni? Weź tysiąc naszych najlepszych, sól tej ziemi, zapakuj ich na statek kolonijny, przewieź za Trzydziestkę i wysadź na świeżo sterraformowanej skale w przestrzeni, a zobaczysz, że szybko wyleżą z nich gówniane zachowania z Terry. Będą tam obiboki, pyszałki, inżynierowie społeczni, osobnicy żądni władzy i maniacy religijni. Ledwo miną trzy miesiące pokoju, a ludzie znów zaczną gromadzić się w plemiona oraz wtrącać w nie swoje sprawy. Myślisz, że tacy jak Unwerth trafiają tylko do wojska? W świecie cywilnym widziałam dziesiątki takich jak on. Wyobraź sobie podobnego dupka jako administratora twojej kolonii, gdy najbliższe ciało rozsądzące znajduje się w odległości kilku lat świetlnych. Niektóre z tych zewnętrznych kolonii są odwiedzane przez marynarkę tylko raz czy dwa razy do roku, a nawet wtedy jest to jedynie jakaś stara fregata zostawiająca zapasy i sprawdzająca stan satelitów, po czym zmykająca z systemu, gdy tylko uda im się opróżnić ładownię. Dostajesz swój skrawek ziemi, ale naprawdę jesteś zdany tylko na siebie na zadupiu znanej Galaktyki.

Przerwała i wzięła kolejny łyk, zanim znów pokręciła głową.

– Gdy koloniści wiedzą, że znajdują się tak daleko od reszty ludzkości, że ich słońce może zamienić się w supernową, a dopiero po upływie pokolenia ktoś na Terze zdoła to zobaczyć przez teleskop, taka izolacja pieprzy im w głowach. Pamiętaj też o kwestii środowiska. Możesz wylądować w miejscu, gdzie minus dwadzieścia jest uważane za upał. Gdzie indziej trzy czwarte lokalnego roku żyjesz bez wschodu albo zachodu słońca.

Nie do końca wiedziałem, co odpowiedzieć. Wszystko, co mówiła, brzmiało prawdziwie. Kolonie nie były kurortami wakacyjnymi, pomimo faktu, że rząd musiał organizować loterie wyłaniające, kto otrzyma miejsce na udających się do nich statkach.

Podobnie jak w wojsku, zawsze było sto razy więcej zgłoszeń niż miejsc. Mimo to jedynie garstka kolonii przekroczyła milion mieszkańców, a koncepcja dzielenia całej planety z jedną dziesiątą populacji Wielkiego Bostonu była dla mnie zbyt niewyobrazalna. Nie miałem pojęcia, czy zniósłbym tyle przestrzeni dla siebie, tyle czystego powietrza, którym można było odetchnąć, lecz pragnąłem to sprawdzić.

– Wytrzymam kilka miesięcy ciemności, jeśli nie będę musiał do końca życia nosić kiepskiej maski filtracyjnej – odparłem wreszcie.

Fallon uśmiechnęła się do mnie podobnie jak mama, gdy jako dziecko wypowiadałem coś czarująco niewinnego, a jednocześnie zupełnie niedorzecznego.

– Nie ma idealnych miejsc. Zawsze ląduje się w tym czy innym gównie. Wolę pozostać przy gównie, które znam.

– A ja – rzekłem – mam już dość tego gówna i chętnie zmierzę się z innym.

Oboje się zaśmialiśmy. Nie chciałem myśleć o tym, że już nie zobaczę Briany. Przez ostatnie dwa miesiące śmiałem się częściej niż przez dwa lata przed zaciągnięciem do wojska. Koledzy z oddziału stali się dla mnie niemal jak rodzeństwo i jeśli żałowałem czegoś w decyzji o odejściu z AT i wstąpieniu do marynarki, to perspektywy opuszczenia kręgu przyjaciół. Wiedziałem, że we flocie też kogoś poznam, jednak znów będę nowym, który musi dowieść swej wartości.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedziała. – W wojsku rzadko zdarza się okazja, żeby otrzymać to, czego się chce, zwłaszcza na naszych stopniach zaszerogowania. Wykorzystaj tę szansę jak najlepiej.

– Tak zrobię – oznajmiłem. – I jeśli usłyszę, że jakiś marine gada bzdury o AT, obiecuję, że rozpocznę bijatykę.

Sierżant Fallon zachichotała z aprobatą.

– Mam nadzieję – odparła. – Choćby po to, żebyś nie zapomniał, skąd się wywodzisz. Dopilnuję, żeby wpisali cię na listę do odznaczenia za desant bojowy. Jeśli będziesz ją nosić na mundurze marynarki, możesz równie dobrze wytatuować sobie na czole: „Byłem w AT”.

Odnaczenie za desant bojowy otrzymują żołnierze liniowi po pierwszym desancie w ogniu nieprzyjaciela. Co konkretnie oznacza sformułowanie „ogień nieprzyjaciela”,

zależało od uznania dowódcy batalionu. Dowódcy niektórych jednostek dość nisko ustawiali poprzeczkę i zaliczali zrzuty, gdy okręt przeprowadzający desant otrzymał kulę czy dwie z broni ręcznej, lecz oficer kierujący 365. sbp posiadał wyższe standardy. Mimo to nie miałem wątpliwości, że każdy, kto potrafił tak poradzić sobie z S2, zdoła spełnić również tę obietnicę i doprowadzić do tego, by szeregowy z dwoma desantami bojowymi na koncie otrzymał odznaczenie.

– Chyba zrobiłaś już dla mnie wystarczająco wiele – powiedziałem. Choć chętnie zobaczyłbym baretkę na lewej kieszeni kurtki, nie chciałem, by sierżant Fallon niepotrzebnie kusiła dowództwo. Owszem, Medal Honoru dawał jej spore wpływy, jednak dowódca mógł w pewnym momencie stwierdzić, że sierżant bardziej przysłużyłaby się AT w punkcie werbunkowym w jakiejś zabitej dechami dziurze w północnej Manitobie.

– Zamknij się lepiej, a gdy odznaczenie przyjdzie do ciebie pocztą, przypnij je do munduru marynarki i pokaż tym urzędasom oraz nudziarzom zza konsol, że wiesz, co to walka.

– Tak jest! – odrzekłem.

# Rozdział 16

## Szkolenie wstępne marynarki

Na szkoleniu marynarki czułem się, jakbym wrócił do szkoły. Nie było takich surowych instruktorów szkolenia jak sierżant Burke i nikt na nas nie wrzeszczał. Szkoleniowcy i oficerowie marynarki ubierali się w idealnie wykrochmalone spodnie oraz koszule w kolorze khaki.

Mieszkaliśmy w akademikach z oddzielnymi pokojami dla każdego praktykanta i pierwszy wieczór szkolenia był jednocześnie pierwszym od czasów, gdy mieszkałem w DZK Boston-7, który spędziłem zupełnie sam. Meble w mojej kwaterze wyglądały, jakby nikt ich nigdy nie używał. Gdy wszedłem do środka, na biurku leżał zupełnie nowy OTI, a półki na ścianach były wypełnione materiałami wydrukowanymi na prawdziwym papierze. Miałem nawet własną łazienkę z kabiną prysznicową.

Szkolenie wstępne marynarki trwało pięć tygodni i niemal cały ten czas spędziłem w klimatyzowanych salach lekcyjnych. Codziennie odbywały się zajęcia fizyczne, lecz większość z nich polegała na grze w piłkę pomiędzy plutonami lub kompaniami i nawet przez chwilę nie musieliśmy biegać po drogach wokół placówki. Instruktorzy wyjaśnili nam, że biegi wokół szkoły są ograniczone z powodu fatalnego stanu powietrza w tak bliskiej odległości od metropolksu Chicago, więc jedynie kopaliśmy i rzucaliśmy do siebie piłki w sali gimnastycznej naszego „okrętu”.

Pierwszy tydzień stanowił dla mnie swoisty szok kulturowy. Podczas szkolenia przygotowawczego stosowałem taktykę podążania za tłumem i niewyróżniania się. Tutaj wyróżniałem się, cokolwiek bym robił. Zbyt głośno odpowiadałem na rozkazy instruktora, zbyt gwałtownie salutowałem i miałem zbyt dobre oceny z zajęć fizycznych. Kanty na moim mundurze były zbyt staranne, buty zbyt wypolerowane, a odpowiedzi w klasie zbyt szybkie. Zanim jeszcze skończył się ten tydzień, cała kompania szkoleniowa wydawała się wiedzieć, że przeniosłem się z AT.

Podczas wstępnego nietrudno było prowadzić samotne życie. Mieliśmy regularny



rozkład dnia, podobnie jak w AT, a wieczory i niedziele stanowiły czas wolny. Spędzałem go na ćwiczeniach w siłowni albo też siedziałem w swoim pokoju i czytałem podręczniki. Nasze OTI były w pełni funkcjonalne, w przeciwieństwie do tych, z których korzystaliśmy na przygotowawczym, i często wymieniałem wiadomości z Halley oraz kolegami z dawnego oddziału. Porządnie wykpiłi mnie za to, że zostałem teraz wymiotem z marynarki, a Halley po prostu osłupiała, że udało mi się zmienić formację. Gdy wysłałem jej pierwszy list z nowego węzła GRAYSON A/SW/RCS/TERRA/MARYNARKA, oskarżyła mnie, że robię jej bardzo wyrafinowany dowcip. Potrzebowałem dwóch mejli, aby uświadomiła sobie, że istotnie znajdowałem się teraz w marynarce.

*Nie mam pojęcia, jak Ci się to udało, ale gratuluję!* – napisała.

Byłem teraz daleko od 365. sbp oraz zasięgu oddziaływania majora Unwertha, jednak z jakiegoś powodu nie chciałem opowiadać Halley o Detroit za pośrednictwem MilNetu. Owszem, nie wiedziałem, kto poza nami mógł czytać naszą korespondencję, a poza tym doszedłem do wniosku, że nie potrafię ująć przebiegu wydarzeń w formie pisemnej. Trzykrotnie próbowałem zredagować wiadomość, lecz wszystkie te szkice wylądowały w koszu mojego nowego marynarskiego OTI. Wolałem opowiedzieć Halley to wszystko osobiście. Nie chciałem ograniczać się do wiadomości pisemnej, gdy nie mogła widzieć mojej twarzy ani słyszeć głosu, nie był to bowiem odpowiedni sposób na próbę wyjaśnienia, dlaczego wysadziłem budynek z być może setką ludzi, by tylko ocalić własne życie. Wciąż nie miałem pewności, czy potrafię usprawiedliwić się sam przed sobą. Zamiast tego przekazałem jej tylko wycinek prawdy: że sierżant mojego oddziału z sympatii pociągnęła dla mnie za parę sznurków.

*Za kilka tygodni polecisz na Lunę do szkoły technicznej. Jesteś podekscytowany?*

Odpisałem: *Jak cholera. Będę pierwszym zasiłkowym szczurem z mojej okolicy, który poleci w przestrzeń. Da się zobaczyć Ziemię przez okno?*

*Nie. Nasze kwatery nie mają okien. W mesie jest panoramiczne, ale skierowane w złą stronę. Widać tylko mnóstwo gwiazd.*

*Jakoś sobie z tym poradzę. Może uda nam się tam na siebie wpaść?*

*Wątpię. Będziesz w innym kompleksie niż Szkoła Lotnictwa Bojowego. I tak zresztą nie dają nam zbyt dużo czasu wolnego. Ale, kurczę, będziemy razem na tej samej skale.*

*Może skierują nas na ten sam okręt?*

Odpisałem: *Byłoby świetnie, sądzę jednak, że w zeszłym tygodniu wykorzystałem cały zasób szczęścia, wolę więc się nie nastawiać.*

\* \* \*

W czwartym tygodniu mieliśmy trochę wytchnienia od zajęć teoretycznych. Na potrzeby szkolenia z bezpieczeństwa pokładowego przenieśliśmy się do innego budynku w bazie, mieszczącego w sobie pełnowymiarowy symulator niszczyciela typu Ułan. Odwzorowanie było całkowicie przekonujące, przedstawiało stu pięćdziesięciometrowy kadłub ze światłami nawigacyjnymi, zespołami anten, osłonami wyrzutni pocisków i pancierzem. Całość sprawiała wrażenie, jakby w razie konieczności można go było odholować w przestrzeń i dołączyć do floty.

Szkolenie z bezpieczeństwa pokładowego to kosmiczne przedszkole. Uczyliśmy się, jak prawidłowo poruszać się wąskimi korytarzami i schodniami okrętu bojowego. Choć z zewnątrz kadłub niszczyciela wydawał się wielki, w środku było niewiele miejsca.

Bardzo ciekawa okazała się jedna z części szkolenia: zajęcia przeciwpożarowe oraz próbna ewakuacja. Wszyscy musieliśmy założyć szczelne skafandry próżniowe ze zbiornikami tlenu, a systemy pokładowe w przekonujący sposób symulowały poważny pożar. Po kolei podłączaliśmy elastyczne węże do naściennych zaworów i zadymionymi korytarzami przeprowadzaliśmy pozostałych studentów w bezpieczne miejsca. Pierwszy raz od czasów pokładu rufowego tak porządnie spociałem się na ćwiczeniach i ucieszyło mnie, że mogę się dla odmiany fizycznie zmęczyć. Odniosłem wrażenie, że próbna ewakuacja miała przede wszystkim podnosić na duchu i zapewniać żołnierzom poczucie kontroli nad własnym losem, gdy okręt płonie i dryfuje w przestrzeni, lepiej jednak było coś robić, niż siedzieć beczynnym i czekać, aż spłonimy lub się udusimy. Nauczyłem się więc kierować strumieniem z gaśnicy, obsługiwać wbudowany w skafander system obrazowania termicznego i przepatrywać pełne dymu korytarze i kajuty w poszukiwaniu uszkodzonych.

Przez cały dzień robiliśmy ćwiczenia na symulatorze niszczyciela, które rozpoczęły się od alarmu niskiego poziomu, zakończyły zaś pełną ewakuacją. Wzdłuż całego kadłuba okrętów marynarki znajdowały się kapsuły ratunkowe, rozmieszczone w taki sposób, że w razie zagrożenia żaden z członków załogi nie musiał pokonać więcej niż jednej lub dwóch

grodzi, aby do nich dotrzeć. Gdy coś się stanie z okrętem, masz odnaleźć kapsułę, uruchomić ją i liczyć na to, że silnik katapultujący nie wystrzeli jej w obszar przyciągania grawitacyjnego gazowego giganta.

Podczas ćwiczeń nie katapultowaliśmy się oczywiście od kadłuba. Musieliśmy biegać do najbliższych węzłów ewakuacyjnych, wsuwać się do kapsuł i uruchamiać sterowanie. Te trzęsły się lekko, by obrazować udane katapultowanie, i zadanie dobiegało końca. Zauważyłem, że wszystkie oderwały się od kadłuba i poleciały w przestrzeń. Zastanawiałem się, jak często tego rodzaju ewakuacja kończy się stuprocentowym powodzeniem. Instruktor kierujący szkoleniem jedynie uśmiechnął się, gdy opuszczając symulator, zadałem mu to pytanie, wyciągnąłem więc własne wnioski.

Pod koniec piątego tygodnia przeszliśmy przez szereg sprawdzianów umiejętności oraz pisemnych egzaminów, by dowieść, czy nie przespaliśmy szkolenia, i większość z nas została uznana za zdanych do dołączenia do floty. W ostatni dzień włożyliśmy nowe mundury marynarki i przemaszerowaliśmy przed dowódcą dywizji szkoleniowej. Następnie wręczono nam czapki z daszkiem i oznajmiono, że zostaliśmy przyjęci.

Podczas uroczystości otrzymałem awans za zasługi. Marynarka dała mi promocję do E-2, ponieważ uzyskałem najwyższą sumaryczną liczbę punktów w całej kompanii szkoleniowej. Powinienem być cieszyć się z awansu i tego, że mój pusty dotychczas kołnierzyk wzbogacił się o oznaczenie stopnia, potrafiłem jednak myśleć tylko o tym, że w AT też miałbym już E-2. Uścisnąłem dowódcy dłoń i uśmiechałem się, gdy przypinał mi szewron. Kiedy wychodziliśmy z sali defilad, niosłem proporczyk plutonu, lecz nie czułem się, jakbym przez ostatnie pięć tygodni cokolwiek osiągnął.

\* \* \*

Wieczorem tego samego dnia spytałem Halley przez MilNet: *Czy po przygotowawczym czułaś się trochę rozczarowana wstępnym marynarki?*

Odpisała: *Trochę. Było nieco nudnawo, co nie?*

*Po prostu nie uważam, żebym naprawdę zasłużył na te szewrony. To było zbyt proste. Nie jak na przygotowawczym.*

*Rozumiem cię. Nie martw się, w szkole technicznej poczujesz się inaczej. Jeśli będziesz miał podobnie jak ja, przez większość tygodnia nie zaznasz za dużo swobody.*

Bardzo wątpiłem, czy Szkoła Sieci Neuronowych okaże się podobnym wyzwaniem jak Szkoła Lotnictwa Bojowego, ale też nie przypuszczałem, że będzie w niej równie leniwie jak na wstępnym. Aby nauka okazała się choć trochę mniej sformalizowana i wyczerpująca niż tutaj, praktykanci musieliby chyba spędzać całe dni w łózkach i mieć donoszone posiłki.

\* \* \*

Następnego ranka zaciągnąłem nowy worek na rzeczy do promu lecącego na Lunę.

Nigdy nie byłem religijny. Matka została wychowana jako katoliczka, podobnie jak dwie trzecie osób mieszkających w naszej części metropleksu Wielkiego Bostonu, i mnie również starała się wychować w wierze, lecz od czasu pierwszej komunii ani razu nie byłem w kościele. Widok planety z orbity był dla mnie jednak przeżyciem porównywalnym z objawieniem religijnym. Prom wystartował, w dziesięć minut wspiął się na sto tysięcy metrów w coraz rzadszej atmosferze, po czym przetoczył na grzbiet, dając swym pasażerom doskonały widok na planetę przez okna rozciągające się wzdłuż górnej strony pojazdu. Tak małe promy nie posiadały systemu sztucznej grawitacji i byliśmy przypięci do foteli sześciopunktowymi pasami bezpieczeństwa. Gdy poczułem, że ciężenie się zmniejsza, musiałem oprzeć się pragnieniu, by po prostu rozpiąć klamrę, odepchnąć się od podłogi i zacząć swobodnie unosić we wnętrzu.

Z tej wysokości Ziemia wyglądała wspaniale. Napawałem się ogromem planety, wirującymi formacjami chmur wyglądającymi, jakby unosiły się na migoczącej wodzie, oraz łagodnym łukiem horyzontu. Dostrzegałem cienką, jasną warstwę atmosfery oddzielającą blask Ziemi od czerni kosmosu, w skali całego globu niemal nieznaczącą błonkę powietrza, która powstrzymywała zimny mrok. Po raz pierwszy, odkąd podpisałem rozkaz przeniesienia, uświadomiłem sobie, że może być to ostatni raz, gdy widzę ojczysty świat. Jeśli umrę gdzieś w przestworach zbadanej Galaktyki, pierwsze wspomnienie widoku Ziemi z orbity będzie również ostatnim. Nikt z mojej dzielnicy nie ujrzy jednak tego, co miałem teraz przed oczyma, gdybym więc nawet zginął w przyszłym tygodniu i tak będę miał nad nimi przewagę.

Widywałem zdjęcia Ziemi wykonane z przestrzeni, jednak nie oddawały one w pełni rozmiarów oraz majestatu planety. Przez okna promu przyglądałem się łańcuchom górskim, jeziorom i wielkim akwenom oceanów, zdając sobie sprawę, że przez większość życia

byłem ograniczony do zaledwie kilku kilometrów kwadratowych tego ogromu. Nigdy nie wspinałem się na góry ani nie płynąłem po ziemskim oceanie, a jeśli wszystko w marynarce potoczy się po mojej myśli, już nigdy tego nie zrobię.

Powtarzałem sobie, że gdzieś tam istnieje mnóstwo kolonii z górami, oceanami oraz czystym powietrzem, że wszystkie te rozciągające się pode mną znajome kształty kontynentów są jedynie przypadkowymi zlepkami pierwiastków, lecz gdy prom pędził po orbicie, wreszcie przyznałem sam przed sobą, że troszeczkę będę za tym tęsknił – nie za okolicą, w której się wychowałem, smrodliwym betonowym labiryntem rodzinnego miasta, lecz za ideą samej Ziemi, wszystkimi miejscami, które być może powstrzymałyby mnie przed udaniem się w kosmos, gdybym tylko miał okazję ujrzeć je na własne oczy.

# Rozdział 17

## Sieci neuronowe

Szkoła Sieci Neuronowych była moją czwartą placówką służbową w ciągu ośmiu miesięcy. Kolejny raz przyzwyczajałem się do nowego budynku, nowego rozkładu obowiązków oraz nowej grupy instruktorów i studentów.

Harmonogram zajęć był оголоcony ze wszystkiego, co nie wiązało się z sieciami. Żadnych ćwiczeń fizycznych, szkolenia z broni palnej, musztry czy zapamiętywania struktury stopni lub historii wojskowości. Zamiast tego osiem godzin dziennie poznawania funkcji typowych sieci pokładowych oraz zasad zarządzania i sterowania nimi z poziomu naszych konsol administracyjnych. Co tydzień rozpoczynaliśmy nowy temat, a co weekend przechodziliśmy sprawdzian umiejętności obejmujący materiał z tego okresu. Od szkoły podstawowej nie spędziłem tyle czasu w sali lekcyjnej. Przy sztucznej grawitacji oraz braku okien łatwo było zapomnieć, że tak naprawdę znajdowaliśmy się na Lunie, i gdy czasami miałem ochotę na wieczorną przebieżkę na świeżym powietrzu, musiałem sobie przypominać, że tak naprawdę na zewnątrz znajduje się próżnia.

Na tydzień przed ukończeniem szkolenia otrzymałem zapieczętowany pojemnik pocztowy.

Zerknąłem na etykietę kodową i zauważyłem, że wysłano go z 365. sbp Armii Terytorialnej. Przypomniałem sobie obietnicę sierżant Fallon, że prześle mi odznaczenie za desant bojowy, i otworzyłem pieczęć. W środku znalazłem nie jeden futerał, ale trzy. W pierwszym znajdowała się lśniąca odznaka za desant bojowy na poziomie podstawowym. W drugim pudełku leżało Purpurowe Serce, trzecie zaś mieściło Brązową Gwiazdę.

Pod metalowymi pojemnikami znalazłem starannie złożony formularz korespondencyjny. Zapelniony był starannym, dużym pismem Fallon.

*Andrew,*

*oto kilka rzeczy w prezencie dla Ciebie od batalionu. Są w pełni prawomocne i gdy będziesz to czytał, znajdą już swoje odzwierciedlenie w Twoich aktach osobowych w*

*marynarce. Każdy członek oddziału otrzymał taki sam zestaw, z wyjątkiem Priesty, który miał to nieszczęście, że wyszedł ze wszystkiego bez szwanku. Medale Strattona i Patersona wysłałam w zeszłym tygodniu do ich rodziców.*

*Noś je, bo zasłużyłeś. Oddział przesyła Ci pozdrowienia.*

*Powodzenia,*

*Briana Fallon, st. sierż. sztab., AT*

Musiałem dwa razy spojrzeć na podpis, zanim zauważyłem nowy stopień: starszy sierżant sztabowy. Wyglądało na to, że po Detroit przywrócili Fallon dawną rangę.

Wyciągnąłem medale z wyłożonych aksamitem futerałów, zważyłem na dłoni. Brązowa Gwiazda miała czerwono-niebieską wstęgę z małą literą V w kolorze brązu, symbolizującą nagrodę za męstwo. Purpurowe Serce to wojskowe odznaczenie przyznawane za rany odniesione w walce. Stanowiło pamiątkę po przestrzelonym płucu i trzech nudnych tygodniach spędzonych w wojskowym ośrodku medycznym.

W pudełkach znajdowały się również baretki, służące do przypinania do kurtki lub koszuli munduru. Wyciągnąłem je z mocowań i podszedłem do szafki. Wpiąłem baretki do kurtki munduru klasy A, tuż nad górną krawędzią kieszeni na lewej piersi. Medal za desant bojowy, mała srebrna sylwetka szerszenia widzianego od przodu i okolonego zakrzywionymi skrzydłami, wylądował nad baretkami. Po przypięciu wszystkich odznaczeń wygładziłem dłonią przód kurtki i przez kilka minut przyglądałem się całemu układowi: dwóm wstążkom ze szkolenia przygotowawczego i ze wstępnego marynarki, do których teraz dołączyły Purpurowe Serce, baretka Brązowej Gwiazdy i skrzydła za desant bojowy. Baretki były jedynie wąskimi mosiężnymi paskami owiniętymi kawałkami kolorowej tkaniny, odznaczenie zaś to po prostu kawałek chromowanego aluminium. Same w sobie nie stanowiły dowodu osiągnięcia czegokolwiek zaszczytnego.

Cieszyło mnie, że miałem namacalny, oficjalny dowód, że dobrze wykonaliśmy swoje zadanie w Detroit, ale oddałbym cały magazyn baretek oraz odznaczeń za możliwość pójścia ostatni raz do stołówki ze Strattonem i pogawędzenia przez godzinę nad kanapkami i kawą. Koledzy z oddziału AT byli pierwszymi osobami w moim wieku, które chyba mnie polubiły, i to nie za rzeczy, jakie mogłem dla nich załatwić lub zrobić, jak dzieciaki w DZK. W blokowisku wszyscy dbali o siebie. Na ulicach Detroit troszczyliśmy się o siebie

nawzajem.

Halley ukończyła Szkołę Lotnictwa Bojowego trzy dni przed moim końcowym egzaminem z sieci neuronowych. Rankiem po ceremonii wysłała mi wiadomość, że zdała i że teraz nosi nowiutką parę skrzydełek pilota:

*Wynik 91% na ostatecznym egzaminie z lotu. Jestem pieprzoną mistrzynią Osy.*

Odpisałem: *Gratulacje. Kiedy idziesz do floty?*

*Jutro. Wczoraj wieczorem dostaliśmy przydziały. Będę na „Wersalu”.*

W OTI przejrzałem informacje na temat OWPA „Wersal” i wyglądało na to, że jest fregatą starszej klasy. Oddano ją do służby niemal trzy dekady temu, a więc już tylko kilka lat dzieliło ją od zezłomowania.

*Nawet nie wiedziałem, że na tych malutkich fregatach stacjonują marines.*

*Tylko jeden pluton. Jeden okręt desantowy i jeden w rezerwie. Będę jednym z czterech pilotów na tej łajbie.*

*I dobrze. Dostaniesz jakąś przepustkę przed odlotem?*

*Miałam pięć dni, ale z jakiegoś powodu odwołali mi przepustkę. Pozwalają zamiast tego wziąć ją przed następną dyslokacją. Hej, może też wtedy dostaniesz jakieś wolne!*

*Byłoby miło, odpisałem, choć nie miałem pojęcia, co zrobiłbym z tygodniem czy dwoma urlopu.*

*Moglibyśmy pojechać do jakiegoś wojskowego ośrodka wypoczynkowego i przez tydzień czy dwa nie robić nic poza jedzeniem i bzykaniem. Co ty na to?*

Gdy czytałem odpowiedź Halley, miałem wrażenie, jakby czytała mi w myślach, i zachichotałem do ekranu.

*Brzmi znośnie. Możesz mnie dopisać.*

\* \* \*

Ostatni egzamin był wyczerpującym ośmiogodzinnym maratonem testów komputerowych i sprawdzianów praktycznych. Musieliśmy korzystać z naszych konsol administracyjnych, by obsługiwać zgłoszenia od fikcyjnych oficerów okrętowych i naprawiać szereg coraz bardziej skomplikowanych symulowanych problemów z siecią.



Ostatnim zadaniem była próba poradzenia sobie w ciągu piętnastu minut z całkowitą awarią systemu podtrzymywania życia, zanim załoga się udusi. Większość z nas zdołała ustalić źródło problemu – sabotaż poprzez użycie wirusa – lecz część praktykantów nie odnalazła rozwiązania na czas i zaważyła egzamin. Będą musieli podejść do niego ponownie w kolejnym cyklu szkoleniowym.

Wieczorem odbyła się obowiązkowa uroczystość i cieszyłem się, że nie musieliśmy paradować przed dowódcą w galowych mundurach. Zamiast tego szef naszej sekcji przypiął nam do koszul odznaki administratorów sieci neuronowych, uściskał dłonie i rozkazał udać się do jadalni na pożegnalne przyjęcie.

Zebraliśmy się w mesie, rozmawialiśmy z instruktorami i piliśmy kiepskie bezalkoholowe piwo. Wszyscy chcieli poznać swoje przydziały i szkoleniowcy nie trzymali nas długo w napięciu. Jeden z podoficerów przyniósł dużą plastikową misę, a gdy zebraliśmy się wokół niej, na dnie ujrzeliśmy mnóstwo małych białych dysków.

– W każdym z nich znajduje się nazwa okrętu – wyjaśnił dowódca. – Będziemy wyczytywać was po kolei, wy zaś będziecie podchodzić i wyciągać po jednym dysku z misy. W ten sposób wszyscy będą mieć takie same szanse, by trafić na jeden z tych luksusowych krążowników, na których tak bardzo chcecie służyć.

Administratorzy sieci neuronowych byli potrzebni na rozmaitych okrętach, począwszy od małych korwet eskortujących aż po ogromne lotniskowce szturmowe, wraz ze wszystkim, co pomiędzy: fregatami, niszczycielami, zaopatrzeniowcami, krążownikami kontroli przestrzeni oraz patrolowcami śledzącymi głęboką przestrzeń. Gdy nadeszła moja kolej, ukryłem zdenerwowanie, sięgając szybko do misy i ściągając zabezpieczenie z dysku, zanim dotarło do mnie, co robię. Wytrząsnąłem kawałek papieru i głośno przeczytałem zebrany nazwę okrętu.

– OWPA „Polaris”.

W całym pomieszczeniu rozległy się gwizdy i pohukiwania.

– Niech cię, Grayson – powiedział z uśmiechem podoficer pilnujący misy. – Wylosowałeś główną nagrodę na loterii.

Podniosłem brew i sięgnąłem po OTI, lecz stojący po mojej prawej praktykant odczochoczo zaspokoił moją ciekawość:

– To świeżutki lotniskowiec szturmowy. Największy okręt we flocie, z nowego typu Nawigator. Trafisz na najnowocześniejszy okręt w całej marynarce, Grayson.

Wsunąłem pasek papieru do kieszeni kurtki i pociągnąłem kolejny łyk piwa, gdy następny praktykant podchodził do misy, by wylosować sobie przydział.

Dotarliśmy już niemal do końca loterii, gdy któraś studentka wyjęła z dysku kartkę i ogłosiła reszcie swój przydział. Gdy usłyszałem nazwę okrętu, poczułem zaskoczenie.

– OWPA „Wersal”.

Rozległy się ogólne pojękiwania, gdy koledzy zaczęli zerkać do OTI i dowiadywać się, że „Wersal” to mająca za sobą lepsze czasy mała fregata z wycofanego już ze służby typu, który został zastąpiony przez doskonalsze projekty.

– Zardzewiałe wiadro – zachichotał ktoś, ale mnie nie było do śmiechu. Zbliżyłem się do studentki odchodzącej od stołu z przybitą miną.

– Zamień się ze mną – zaproponowałem, a ona spojrzała na mnie szeroko rozwartymi oczyma.

– Żartujesz sobie? – spytała. – Czy nie wylosowałaś „Polaris”?

Wyciągnąłem z kieszeni pasek papieru i pokazałem.

– Owszem. I co ty na to? Wymienię się z tobą przydziałami.

– Mówisz poważnie? Dlaczego chciałbyś zamienić taki okręt na fregatę?

– Mam na „Wersalu” przyjaciółkę – odparłem.

– Och. – Spojrzała na najbliższego instruktora z mieszaniną niedowierzania i podniecenia na twarzy. – Możemy tak po prostu się zamienić?

– Nie sądzę, żebyśmy nie mogli. I tak dopiero jutro zatwierdzą przydziały. Spytaj któregoś z podoficerów.

Podeszła do jednego z naszych instruktorów. Gdy wróciła, po jej minie mogłem odgadnąć, co oznajmił.

– Mówi, że jeśli oboje się zgadzamy, nie ma problemu.

– Cóż, ja się zgadzam. A ty?

– Żartujesz? Jak cholera się zgadzam.

Wyciągnąłem dłoń i podała mi świstek. Ja oddałem jej swój, rezygnując z biletu na najnowocześniejszy okręt we flocie. Wzięła go delikatnie, jakby spodziewała się w ostatniej chwili jakiegoś podstępu z mojej strony. Następnie odeszła, oglądając się przez ramię z miną sugerującą, że najwyraźniej postradałem zmysły. Być może tak było, ale myśl, że znajdę się znów blisko Halley, będę wąchał jej zapach i słuchał jej głosu, tak mnie ekscytowała, że nie zamieniłbym jej na mgliste obietnice lepszych rozrywek i czystszych mes.

\* \* \*

Następnego ranka znów składałem i pakowałem rzeczy do worka. Sekretariat sztabu przygotował nasze rozkazy, ustawiliśmy się w szeregu, by odebrać ich oficjalne wydruki. Wszyscy byliśmy w mundurach klasy A, ponieważ takiego ubioru wymagano przy zgłaszaniu się do nowej jednostki, i zauważyłem, że paru praktykantów zerkało ukradkiem na małą kolekcję baretek na mojej lewej piersi.

Wszyscy mieliśmy trafić na okręty, wsiadaliśmy więc na promy lecące do Stacji Węzłowej.

Mój okręt cumował w odległym końcu kotwiczowiska floty. Musiałem pokonać istne kilometry wąskich i brudnych korytarzy, zanim dotarłem wreszcie do rękawa oznaczonego OWPA „Wersal” FF-472. Służy strzegło dwóch żołnierzy w strojach bojowych marines z bronią ręczną w kaburach.

– Przydzielono mnie na ten okręt. – Podałem jednemu z nich swoje rozkazy. – Gdzie znajdę pierwszego oficera?

Marine spojrział na wydruk, a następnie na moją pierś.

– Hmm, spróbujcie w BCI. Jesteście nowym specem od sieci?

– Tak jest, sir.

– Idźcie przez służbę, później trapem do głównego korytarza dziób-rufa i skręćcie w lewo. Dotrzecie do zespołu wind. Zjedźcie na Pokład Piąty. Gdy wyjdziecie z windy, BCI będzie prosto przed wami.

– Dziękuję, sir.

Odebrałem rozkazy, podniosłem worek spoczywający dotąd na mojej stopie i

gwałtownym gestem wykonałem podręcznikowy salut na sposób AT. Kapral marines oddał honory i przeszedłem obok niego do służby, by po raz pierwszy postawić stopę na nowym okręcie.

\* \* \*

Po „Wersalu” dało się zauważyć jego wiek. Niemal wszędzie pokrywała go patyna podniszczenia. Podłoga trapów była wygładzona po dziesięcioleciach ciągłych kroków, a oznaczenia na grodziach i ścianach wyglądały, jakby wiele razy je odmalowywano. Wnętrze okazało się trochę ciaśniejsze i znacznie bardziej zużyte niż na symulatorze niszczyciela w Wielkich Jeziorach. Mimo to każdy pokład i trap były schludne i czyste. Podłogi może wysłużone, ale korytarzy nie zastawiono skrzyniami z zaopatrzeniem i zepsutymi urządzeniami jak na Stacji Węzłowej.

Zjechałem windą na Pokład Piąty. Trudno byłoby nie zauważyć BCI, czyli Bojowego Centrum Informacyjnego. Wielkie, okrągłe pomieszczenie zajmowało znaczną część pokładu. Włazy oraz okna były opancerzone, na krawędziach każdego otwartego wejścia widziałem charakterystyczne syntetyczne uszczelki autonomicznego systemu podtrzymywania życia. Było to stanowisko bojowe kapitana i starszych oficerów sztabowych, jedna z najlepiej chronionych części okrętu.

Podąłem rozkazy marine pilnującemu wjazdu. Przejrzał je przelotnie i machnął, bym szedł dalej.

– Zostawcie tutaj rzeczy – polecił, wskazując mój worek. – Szef nie cierpi, gdy ludzie wciągają swoje graty do BCI tylko po to, żeby się zameldować.

– Żaden problem. – Zdjąłem worek z ramienia i położyłem pod ścianą, z dala od wjazdu.

Wzdłuż całego obwodu pomieszczenia przy konsolach siedzieli podoficerowie i szeregowi. Na środku znajdowało się zagłębienie z dużym holostolem. Po jednej jego stronie stało trzech oficerów prowadzących ściszoną rozmowę. Gdy wszedłem na środek, jeden z nich podniósł wzrok. Był wysokim mężczyzną o ostrych rysach piechociarza, który dopiero co zakończył surowy program szkoleniowy. Na kołnierzykach koszuli khaki nosił złote liście komandora podporucznika, które czyniły go najwyższym rangą oficerem z całej grupki. Podszedłem do niego i gwałtownie zasalutowałem nad holostolem.

– SN2 Andrew Grayson melduje się na służbę, sir.

Komandor podporucznik oddał honory z miną nie do końca surową. Na jego plakietce widniało nazwisko CAMPBELL T., a na koszuli nie nosił żadnych odznaczeń poza złotą odznaką za walkę w przestrzeni.

– Pan Grayson – powiedział, gdy zakończyłem salut i opuściłem dłoń. – To pan jest naszym nowym gościem od sieci?

– Tak jest, sir. Wczoraj skończyłem uczelnię.

Campbell wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze stojącym obok niego kapitanem marynarki.

– Cóż, panie Grayson. Witam w takim razie na pokładzie. Jestem pana nowym pierwszym oficerem. Czy możemy się razem przejść?

– Oczywiście, sir.

Wyszedłem za Campbellem na korytarz. Gdy znaleźliśmy się na tyle daleko, by w BCI nie było słycać naszych głosów, zatrzymał się i obrócił do mnie.

– W każdym cyklu dyslokacji dostaję paru członków załogi, którzy postanawiają trochę ubarwić swoje mundury, żeby zrobić wrażenie na chłopcach lub dziewczętach w pomieszczeniach rekreacyjnych na Węzłowej. Zanim źle rozpoczniemy naszą znajomość, czy moglibyście mi łaskawie powiedzieć, skąd zaraz po szkole technicznej macie odznaczenie za męstwo, za desant bojowy oraz cholerne Purpurowe Serce? A jeśli nie dysponujecie dobrym wytłumaczeniem, daję wam dokładnie pięć sekund na zerwanie ich z waszej kurtki, zanim zobaczy je szef załogi i zanim zostanieie wtrąceni do aresztu za noszenie nieprawomocnych odznaczeń.

Poczułem, jak rumienię się ze wstydu, ale zaraz się skarciłem, że przejąłem się oskarżeniami pierwszego.

– Są prawomocne, sir. Zostałem przeniesiony z Armii Terytorialnej. Niech szef załogi sprawdzi moje akta osobowe.

Komandor podporucznik spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

– Bez jaj?

Wyciągnął z kieszeni OTI, zaczął stukać w ekran.

– Nie ma potrzeby pytać szefa załogi. Sam mogę wyciągnąć wasze akta.

Czekałem, gdy przekopywał się przez kilka poziomów menu na ekranie. Czytał przez chwilę, po czym zachichotał lekko.

– No proszę, niech mnie gównno zaleje.

Schował OTI, po czym wyciągnął do mnie dłoń.

– Przepraszam, panie Grayson. Jestem pierwszym oficerem tej łajby od dwóch lat, a jeszcze nie miałem żadnego transferu z AT.

– Nic się nie stało, sir – odrzekłem. – Przeprosiny nie są potrzebne.

Uścisnąłem mu dłoń. Konsternacja wywołana wprowadzeniem nowego dowódcy w zakłopotanie mieszała się we mnie z poczuciem satysfakcji.

– Bierzcie rzeczy. Odblokuję wam nowy gabinet.

\* \* \*

Ośrodek Sieci Neuronowych był bezpiecznym pomieszczeniem w rufowej części okrętu. Znajdował się na Pokładzie Fokstrot, w pobliżu maszynowni i z dala od BCI oraz kajut załogi. Komandor podporucznik Campbell odblokował pancerny włącz OSN i wszedłem za nim do środka. W przedniej części zobaczyłem stację administracyjną i dwa fotele, resztę gabinetu zajmowały procesory neuronowe i moduły przechowywania danych.

– To wszystko jest teraz wasze – powiedział pierwszy oficer. – W idealnym układzie powinniśmy mieć trzech sieciowych administratorów. Mieliście zostać numerem dwa, ale mój podoficer od sieci zachorował na coś podczas ostatniego rejsu. Przez kilka tygodni byliśmy bez admina.

– Podoficer nie będzie kierował sekcją? Kto zatem będzie moim zwierzchnikiem?

– Będziecie odpowiadać bezpośrednio przede mną – wyjaśnił Campbell. – Mógłbym was umieścić pod głównym inżynierem, ale ten wie o sieciach neuronowych równie mało co ja, możemy więc trochę uprościć hierarchię. Jesteście teraz szefem własnej sekcji. Nie podniecajcie się jednak zanadto. Jeśli coś się popsuje, to do was będą pretensje.

– Poradzę sobie, sir.

– Dobra wieść jest taka, że wasza robota to praktycznie bilet na podoficera. Zróbcie na

mnie wrażenie, a po odsłużeniu kontraktu będziecie mieć spore szanse na jakieś szewrony.

– Zrozumiałem, sir.

– Świetnie. Teraz ustawię wam uprawnienia dostępowe, a później szef załogi znajdzie wam jakieś miejsce do spania.

\* \* \*

Przydzielona mi pojedyncza kajuta nie była tak przestronna ani wyposażona jak pokój w Szkole Sieci Neuronowych, ale i tak okazała się lepsza niż trzyosobowe kwatery, które musiała ze sobą dzielić większość szeregowych. Dysponowałem składaną koją, wnęką łazienkową z sedesem oraz przyśrubowanymi do podłogi biurkiem i krzesłem, przypominającymi meble w moim pokoju w DZK na Ziemi. Takie zabezpieczenia wynikały tutaj oczywiście z innego powodu – nie chodziło o zapobieżenie kradzieży, po prostu marynarka chciała ograniczyć straty, jakie mogłyby wyrządzić nieumocowane ciężkie przedmioty w przypadku silnego wstrząsu okrętu. Wypełniłem nową szafkę swoimi rzeczami, po czym przebrałem się z munduru klasy A w znacznie wygodniejszy czarnogranatowy uniform roboczy noszony przez niższych rangą członków załogi podczas codziennych zadań. Następnie usiadłem przy biurku i zrobiłem coś, czego nie mogłem się doczekać, odkąd pierwszy oficer przydzielił mi dostęp do sieci – sprawdziłem rozkład przemieszczeń osobistych chorążego HALLEY D.

Halley została przydzielona do okrętowej sekcji walki bojowo-powietrznej, co było dość wyszukany określeniem dla dwóch desantowców, w tym jednego rezerwowego. System przemieszczeń osobistych śledził ruchy każdego członka załogi „Wersalu” za pośrednictwem chipów radiowych umieszczonych w nieśmiertelnikach i komputer powiedział mi, że Halley przebywała obecnie w sali odpraw na Pokładzie Fokstrot.

Gdy zdołałem odnaleźć drogę i trafiłem do odpowiedniego korytarza, odprawa w F5103 dobiegła już końca. Minąłem otwarty włącz do pomieszczenia i spróbowałem niedbale zapuścić żurawia do środka, lecz ujrzałem jedynie rzędy pustych krzeseł. Ruszyłem dalej, nie chcąc tutaj wyciągać konsoli admina i sprawdzać nowej lokacji Halley.

Gdy wyłoniłem się zza zakrętu korytarza, niemal wpadłem na grupę pilotów w ciemnozielonych kombinezonach lotniczych, stojących przed tablicą ogłoszeń.

– Oj. Przepraszam – powiedziałem, zatrzymując się gwałtownie, milisekundę, zanim zauważyłem, że Halley jest częścią tej grupki. Przerwała rozmowę ze stojącym obok niej pilotem i popatrzyła na mnie wielkimi, zaskoczonymi oczyma. Nie tak planowałem ujawnić jej swoją obecność na „Wersalu”, ale znajdowała się teraz metr ode mnie, nie mogłem więc wycofać się i spróbować jeszcze raz.

Byłem przekonany, że po prostu skinie mi głową i powie niezobowiązujące „cześć”, aby stojący wraz z nią oficerowie nie wiedzieli, że utrzymuje stosunki z szeregowym, lecz szybko wyprowadziła mnie z tego przekonania.

– Oho – stwierdziła tonem kogoś, kto właśnie znalazł w kieszeni zapomniany banknot.

Następnie jednym krokiem pokonała dzielącą nas odległość, złapała mnie za przód koszuli, pchnęła na ścianę korytarza i pocałowała w usta. Za jej plecami pozostali piloci gapili się i chichotali.

– Do cholery, Andrew, co ty tu robisz? – spytała, gdy wreszcie mnie puściła. Wargi przyjemnie pulsowały mi wrażeniem niespodziewanej bliskości.

– Zostałem przeniesiony – odparłem. – Jestem waszym nowym adminem sieci.

– Oho – powtórzyła, po czym znowu mnie pocałowała.

Nie opierałem się.

– Kończę zmianę za piętnaście minut – oznajmiła. – Jesteś wolny?

– Będę się zadomawiał w OSN – rzekłem. – Wiesz, gdzie to jest?

Pokręciła przecząco głową.

– Ten pokład, Fokstrot siedem siedem zero zero.

– Piętnaście minut – powtórzyła. – Mam nadzieję, że jesteś wypoczęty.

– Tak jest, pani oficer – odparłem.



# Rozdział 18

## „Wersal”

Nasz okręt opuścił Stację Węzłową dwa dni po moim dołączeniu do załogi. Gdy wyszliśmy ze stanowiska cumowniczego, siedziałem już na tyle głęboko w systemach „Wersalu”, że nie musiałem pytać, dokąd lecimy ani co będziemy robić. Okręt otrzymał zadanie przewozu zaopatrzenia i poczty na kolonię WPA na Willoughby, niedawno terraformowaną planetę krążącą wokół jednej z gwiazd w gwiazdozbiornie Woźnicy. W zapisie astronomicznym nosiła oznaczenie „Kapella A c”, lecz marines określali ją jako „pyłek kurzu na zadupiu znanej Galaktyki”. Halley, która w Szkole Floty otrzymywała najwyższe stopnie z astronomii oraz astrofizyki, twierdziła, że to nie do końca prawda, ponieważ system Kapelli leżał jedynie czterdzieści dwa lata świetlne od Ziemi – zdecydowanie za linią trzydziestu lat, oddzielającą kolonie wewnętrzne od zewnętrznych, lecz zdecydowanie przed ustalonym pobrażem, które znajdowało się w odległości sześćdziesięciu jeden lat świetlnych. Kapella A c, czyli Willoughby, nie leżała zatem na zadupiu zasiedlonej przestrzeni, ale i daleko jej było do centrum.

Dla mnie nie robiło to oczywiście większej różnicy. Miałem po raz pierwszy opuścić nasz system słoneczny i choć w pokładzie „Wersalu” brakowało okien, świetnie się bawiłem, patrząc przez czujniki i kamery. Mimo że okręt był stary, jego osprzęt sieciowy znajdował się w świetnym stanie i nie miałem zbyt wiele do roboty poza monitorowaniem systemów pokładowych i okresowym przeprowadzaniem testów. Podróż na okręcie międzygwiazdowym wyglądała zdecydowanie inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Brak zewnętrznych wizualnych punktów odniesienia w połączeniu ze sztuczną grawitacją sprawiał, że ruch był bardzo płynny, i gdybym nie wiedział, że przebywam w pojeździe kosmicznym, czułbym się tak, jakbym siedział w klasie na Lunie bądź Ziemi. Przez pierwsze kilka dni podróży zerkałem na przekazy z zewnętrznych kamer, ale gdy opuściliśmy Stację Węzłową, nie było widać nic poza czernią i sporadycznymi odległymi gwiazdami.

Halley spędzała swoje zmiany na odprawach, szkoleniach w symulatorze i innych

zajęciach dla pilotów. Ja odbębniałem wachty w OSN, gotów przyjmować zażalenia i naprawiać usterki, gdy dystrybutory w mesie nie przekazywały okrętowemu kwatermistrzowi informacji o brakach. W ten sposób z ośmiogodzinnej zmiany pozostawało mi siedem godzin i czterdzieści pięć minut na myszkowanie w bankach pamięci lub sprawdzanie, czy uda mi się dojrzeć moją dziewczynę w przekazie z którejś kamery bezpieczeństwa.

Halley wydawała się bardziej mile połączona niż urażona, gdy przyznałem się, że podglądałem ją przez system bezpieczeństwa okrętu.

– Musisz się cholernie nudzić w swoim gabinecie, moje biedactwo – powiedziała. – Szkoda, że nie ma kamer pod oficerskimi prysznicami na Pokładzie Trzecim, inaczej dałabym ci coś ciekawszego do pogapienia się niż tylko mój tyłek, wyglądający niekorzystnie w tym zielonym kombinezonie.

– Nie ma nic niekorzystnego w tym, jak wygląda w kombinezonie – rzekłem. Siedzieliśmy w OSN. Halley zaczęła tam zachodzić w poszukiwaniu schronienia, gdy potrzebowała cichego miejsca do papierkowej roboty lub chciała porozmawiać o czymś innym niż desantowce, wektory podejścia albo procedury dokowania.

– Tak uważasz? Porucznik Foster chyba się z tobą zgadza. Ostatnio wydaje się napalony.

– Któryś z twoich oficerskich kumpli mówi o tym, że kłusujesz wśród szeregowych?

– Jak cholera. Ale przyganiał kocioł garnkowi. Foster i Rickman robią przecież to samo. Foster bzyka jedną podoficerkę od napędu, a Rickman leci na jakąś fioletową z pokładu lotniczego.

– Fioletową... Od tankowania?

– Taa, nafciarka. Czerwoni to puszkarze, żółci to mechanicy.

– No, no, tak mawia elita. A jak wyrafinowani piloci nazywają adminów sieci?

– Nie mam pojęcia, jak mówią na innych, ale ty według porucznika Rickmana jesteś „tym szczęśliwym gnojkiem”.

– Dobrze wiedzieć, że przynajmniej w czymś jestem od niego lepszy – stwierdziłem.

OTI Halley zawibrował na blacie przed nią. Podniosła go z westchnieniem, by

przeczytać wiadomość.

– O wilku mowa. Wzywają mnie do sali odpraw pilotów. Zobaczymy się wieczorem po twojej zmianie?

– No jasne – odparłem. Nie mogliśmy razem zjeść kolacji, ponieważ stołowaliśmy się w różnych mesach – mnie wykopano by z oficerskiej, a na nią spoglądano by dziwnie u szeregowych – dysponowałem jednak prywatną kajutą, rzadkim luksusem na okręcie bojowym, i spędzaliśmy tam sporo wolnego czasu.

– Na razie, sieciowy wojownik – pożegnała się, dając mi szybkiego buziaka.

– Na razie, laluniu od sterów – odparłem.

Obserwowałem, jak wychodziła przez właz na korytarz. Kombinezon lotniczy zdecydowanie nie wpływał niekorzystnie na jej widok od tyłu.

\* \* \*

Szedłem do mesy dla szeregowych i podoficerów, gdy przez radiowęzeł usłyszałem komunikat:

– Administrator sieci neuronowych ma się zgłosić do pierwszego oficera w BCI. Administrator sieci neuronowych ma się zgłosić do dowódcy w BCI.

Zawróciłem i ruszyłem w stronę schodni prowadzącej z powrotem na Pokład Piąty.

W BCI pracowano pilniej niż wtedy, gdy po raz pierwszy tam zaszedłem. Pierwszy znów stał przy holostole, spoglądając na stos wydruków. Podszedłem i zasalutowałem.

– SN2 Grayson zgłasza się na rozkaz, sir.

Komandor podporucznik podniósł wzrok znad papierów.

– Ach, pan Grayson.

Odłożył stertę na bok i gestem wskazał, bym podszedł bliżej.

– Spocznijcie, Grayson. Jak daleko od najbliższego przekaźnika komunikacyjnego znajduje się obecnie okręt?

– Trzy i pół minuty świetlnej, sir. Od przekaźnika na orbicie Marsa.

– Bardzo dobrze – powiedział. Z pewnością znał już odpowiedź na to pytanie i tylko sprawdzał, czy jego nowy admin jest na bieżąco. – Wkrótce wejdziemy w komin

Alcubierre'a do Kapelli – oznajmił. – Proszę upewnić się, czy sprawdził pan wszystkie procedury wstępne przed osiągnięciem prędkości ponadświatłowej i czy wszystkie banki pamięci są w pełni zsynchronizowane z główną siecią.

– Tak jest, sir – odparłem. – Już się do tego zabieram.

– Świetnie. Proszę zgłosić gotowość sieciową bezpośrednio do mnie do godziny osiemnastej.

– Tak jest, sir.

\* \* \*

Nie wiedziałem zbyt wiele o naszych systemach służących do podróży międzygwiazdnych. Wiedziałem, że nazywają się napędami Alcubierre'a i że okręt przemieszczający się w bańce Alcubierre'a nie może przesyłać ani otrzymywać żadnych wiadomości, ponieważ jest szybszy nawet niż dane transmitowane z prędkością zbliżoną do światła. Przed podróżą Alcubierre'a każdy okręt marynarki musiał zsynchronizować wszystkie pokładowe dane z wewnętrzną siecią. W Szkole Sieci Neuronowych nauczyłem się przeprowadzać tę procedurę i wystarczyło zlecić to komputerowi, jednak regulaminy floty wciąż wymagały, by wyniki synchronizacji zostały dodatkowo sprawdzone przez znajdującego się na służbie admina oraz zweryfikowane przez jego bezpośredniego zwierzchnika. Doszedłem do wniosku, że większość moich codziennych obowiązków polegała na doglądaniu zautomatyzowanych procesów i przygotowywaniu się na odgryzienie głowy, gdybym nie wychwycił jakichkolwiek błędów.

Po powrocie do OSN otworzyłem konsolę admina, wszedłem do systemu i rozpocząłem zautomatyzowaną procedurę przedwstępną do Alcubierre'a. Gdy banki pamięci synchronizowały się z najbliższym przekaźnikiem komunikacyjnym marynarki, by zagwarantować, że nie dostarczymy przypadkiem poczty z zeszłego miesiąca, przejrzałem podręcznik, żeby się upewnić, iż wszystko przebiega prawidłowo. Powinienem zapewne czuć się lekko onieśmielony lub przytłoczony faktem, że zarządzałem sekcją, do której zgodnie z regulaminem należało dwóch szeregowych adminów i podoficer, ale prawdę mówiąc, wszystko było tak zautomatyzowane, że każdy, kto potrafiłby przeczytać kilka list kontrolnych, mógłby kierować OSN ze swojej stacji roboczej. Nie chciałem jednak dawać pierwszemu oficerowi powodu, by mnie zniechęcił, wykonywałem więc wszystko zgodnie z procedurą i sam sprawdzałem sygnaturę czasową każdej kopii banku danych, gdy komputer

sygnalizował zakończenie konkretnego procesu. Następnie wdusiłem przycisk połączenia na stacji administracyjnej przy biurku.

– BCI, tu Sieć.

– Sieć, tu BCI. Mów – dobiegła odpowiedź.

– Sieć zgłasza gotowość do przejścia w Alcubierre’a. Wszystkie banki danych zsynchronizowane i zweryfikowane.

– BCI potwierdza gotowość sieci do przejścia w Alcubierre’a.

Zważywszy poziom skomputeryzowania okrętu, nie miałem wątpliwości, że BCI znało status sieci w momencie zakończenia aktualizacji, ale znajdowaliśmy się w wojsku i wszystko musiało być przeprowadzone zgodnie z prawidłową procedurą oraz rytuałem, jak w teatrze kabuki z mundurami zamiast strojów. Należało wykonywać odpowiednie gesty i ruchy oraz wypowiadać odpowiednie frazy, i każdy się temu podporządkowywał, bo tak po prostu trzeba.

Wydałem konsoli polecenie odnalezienia sygnatury radiowej z nieśmiertelnika chorążego HALLEY D. System zlokalizował jej chip w mesie oficerskiej i włączyłem przekaz z kamery, by zobaczyć dziewczynę przy stoliku z pozostałymi pilotami, jak je kanapki i o czymś dyskutuje. Wyciągnąłem OTI i wpisałem wiadomość:

*Czy mogłabyś usiąść po drugiej stronie tego stolika, żebym lepiej widział twój tyłek?  
Teraz kamera ma kiepski kąt.*

Wysłałem tekst i z uśmiechem obserwowałem obraz. Halley wyprostowała się lekko i wyciągnęła OTI z kieszeni na nodze kombinezonu lotniczego, nie przerywając rozmowy z siedzącym obok niej porucznikiem. Przeczytała wiadomość, odnalazła na suficie obiektyw kamery i podrapała się po nosie środkowym palcem.

Uśmiechnąłem się znowu i wysłałem jej kolejny tekst.

*Obawiam się, że będziesz musiała poczekać do końca mojej zmiany.*

\* \* \*

Nie spodobało mi się przejście do Alcubierre’a. Gdy okręt wszedł w komin i włączył napęd Alcubierre’a, w każdej kości i mięśniu poczułem nagle wrażenie niewygody. Nie bólu, lecz rozrywania, jakby jakaś delikatna, choć nieugięta siła próbowała ciągnąć każdą

molekułę mojego ciała we wszystkich kierunkach naraz. Stawy i zęby wydawały się obluźwane, a skóra mrowiła nieprzyjemnie. Parę godzin dyskomfortu było zapewne znacznie łatwiejsze do zniesienia niż monotonia spędzenia kilku lat w podróży międzygwiazdnej, lecz już wiedziałem, że przejścia będą moją najmniej ulubioną częścią podróży kosmicznych.

Gdy okręty marynarki wchodzą i wychodzą z kominów, pozostają w stanie gotowości bojowej, ponieważ punkty wlotowe i wylotowe znajdują się w stałych miejscach przestrzeni. Ich położenie jest oczywiście tajne, inaczej Chino-Rosjanie po prostu minowaliby nasze punkty przejścia, aby okręty kończące podróż Alcubierre'a wpadały w pułapkę, lecz każde wojsko posiadało swoją służbę wywiadowczą, zawsze istniało zatem ryzyko, że po powrocie do normalnej przestrzeni natknemy się na komitet powitalny złożony z niszczycieli ZCR. Trzydzieści minut przed zakończeniem przelotu Alcubierre'em okręt wrócił w stan gotowości bojowej.

– Przygotować się na przejście – z radiowęzła dobiegł komunikat ogólny. – Przejście za dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

Znaleźliśmy się w normalnej przestrzeni w odległości zaledwie dwudziestu dwóch minut świetlnych od Kapelli A c i czterdzieści dwa lata świetlne od Terry. Nie natknęliśmy się na orszak okrętów ZCR pragnących rozpylić nas na atomy. Dobrze poczułem, w którym momencie napęd Alcubierre'a się wyłączył, ponieważ odczuwany przez ostatnie dwanaście godzin dyskomfort nagle zniknął. Ekran stacji administracyjnej pokazał, że sieć neuronowa okrętu rozpoczęła już sekwencję testów. Wykorzystałem odrobinę mocy systemu, by zerknąć na przekaz z matryc optycznych na zewnątrz kadłuba, ale nie zobaczyłem zbyt wiele. Kapella A bardzo przypominała nasze Słońce – wyglądała jak mała, bladożółta kulka w oddali – i nie dostrzegłem żadnych innych ciał niebieskich. System Kapelli A nie wydawał się zbyt różnić od naszego: ogromne przestwory nicości, przerywane blaskiem dalekich gwiazd.

Z ciekawości zerknąłem na schemat nawigacyjny. Punkt wyjściowy komina Alcubierre'a w Kapelli A leżał znacznie bliżej naszego celu niż jego wlot w stosunku do Ziemi. Znajdowaliśmy się zaledwie piętnaście minut świetlnych od Kapelli A c, czyli Willoughby, i za kilka godzin mieliśmy się znaleźć na jej orbicie. Długodystansowe czujniki okrętu pokazywały, że pomiędzy nami a planetą jest całe mnóstwo niczego.

Wyglądało na to, że byliśmy jedynym pojazdem kosmicznym w okolicy.

– Do wszystkich, koniec stanu gotowości bojowej. Wznawiamy rozkład wacht – oznajmił przez głośnik pierwszy oficer. – Jesteśmy w systemie Kapella.

\* \* \*

Podejście na orbitę Willoughby rozpoczęliśmy tuż przed końcem mojej zmiany. Byłem zmęczony i głodny, postanowiłem jednak zostać jeszcze parę minut w OSN, by obserwować, jak zbliżamy się do pierwszej pozasłonecznej planety, jaką widziałem.

Spoglądałem na obraz z sensorów grzbietowych, gdy odezwał się dzwonek przy włączniku. Podeszedłem do wejścia i wyjrzałem przez wizjer, by ujrzeć twarz Halley.

– No hej – powiedziała, gdy otworzyłem. – Mogę wśliznąć się na parę minut? Chcę wypełnić raport z lotu bez porucznika Rickmana dyszącego mi do ucha.

– Jasne – odparłem, gestem wskazując, by weszła. Spoczęła na jednym z foteli stojących przed stacją administracyjną.

– Nie skończyłeś już przypadkiem wachty? – spytała. – Jest wpół do jedenastej.

– Tak, skończyłem. Chciałem jeszcze trochę posiedzieć, żeby poobserwować, jak wchodzimy na orbitę. Popatrz.

Wskazałem ekran stacji. Przechyliła się, by spojrzeć, i odsunęła raport z lotu na bok.

– O rany. To Willoughby? Nie wiedziałam, że jesteśmy już tak blisko.

– Wkrótce znajdziemy się na orbicie. Nie powinnaś bawić się w taksówkę tym swoim okręcikiem desantowym?

– Tak, ale dopiero jutro od szóstej rano. Chyba nie są tam przygotowani na nocne dostawy.

Przyglądaliśmy się lazuruwo-brązowej kuli obracającej się powoli pod okrętem. Mocno przypominała Ziemię, ale było też w niej coś dalece odmiennego. Tyle razy widziałem znajomy obraz Terry z orbity, by obraz planety o zupełnie innym układzie kontynentów wywoływał dezorientację.

– Popatrz na to – odezwała się Halley. – Kontynenty, oceany i w ogóle. Bardzo przypominają Ziemię, prawda? Myślisz, że mają tam dzikie zwierzęta?

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Nie wiem, jak działa to całe terraformowanie. Czy musieli przywieźć zwierzęta gospodarskie z Ziemi, gdy zakładali kolonię?

– Może w lodówkach, jako próbki genetyczne lub embriony. Wątpię, czy marnowaliby przestrzeń ładunkową na statku kolonijnym dla stada żywej trzody. Masz pojęcie, ile kosztowałoby przetransportowanie całej krowy na odległość czterdziestu dwóch lat świetlnych?

Nagle okrętem szarpnęło. Straciłem równowagę i wpadłem na jedną z szaf z bankami danych. Halley krzyknęła zaskoczona.

– Co to, kurwa, było? – spytałem, odzyskawszy równowagę.

Światła sufitowe zamigotały i przeskoczyły na czerwono-pomarańczowy tryb bojowy. Głośnik zaczął nakazywać przejście w stan gotowości bojowej, ale ktokolwiek nadawał z BCI, wypowiedział jedynie „gotowości...”, zanim jego głos urwał się z piskiem. Następnie z pokładu pod nami dobiegł odgłos wybuchu i dekompresji. Okrętem znów szarpnęło, tym razem mocniej, i ponownie wpadłem na sprzęt. Bokiem głowy uderzyłem w twardą krawędź regału i wylądowałem na gumowanej podłodze, szybko tracąc przytomność. Usłyszałem jeszcze krzyk Halley i zarejestrowałem stukot blokad bezpieczeństwa na włączniku OSN, po czym mój mózg zgasił światło.



# Rozdział 19

## Do wyjścia

Obudził mnie podmuch zimnego powietrza na twarzy. Na policzku poczułem kleistą wilgoć, a gdy dotknąłem palcami czoła, pod prawą brwią znalazłem głęboką, krwawą szramę. Było ciemno i dziwnie cicho. Słyszałem jedynie znajomy przytłumiony szum szaf z matrycami pamięci. Nade mną pochylała się Halley.

– Powstańcie, żołnierzu. Wpadliśmy w głębokie gówno.

Popatrzyła na ranę na mojej twarzy i skrzywiła się współczująco.

– Wygląda paskudnie. Dobrze się czujesz?

– Tak – odparłem. – Jakoś przeżyję.

Moja konsola leżała na podłodze przy tylnej grodzi. Gdy ją podniosłem, okazało się, że wciąż działała i nie wyglądała na zniszczoną. Położyłem ją na biurku przy stacji administracyjnej, po czym przycisnąłem guzik połączenia priorytetowego z BCI.

– BCI, tu Sieć.

Nie było odpowiedzi, a Halley pokręciła głową.

– Już próbowałam. Obwód się usmażył. Przez radiowęzeł też gówno słyszałam. Cicho tutaj jak w grobie.

Wszedłem w system za pośrednictwem konsoli i nie potrzebowałem dużo czasu, by stwierdzić, że „Wersal” został poważnie uszkodzony. Praktycznie każdy istotny podsystem przekazywał długi strumień alarmów i komunikatów o błędach.

– O cholera – oznajmiłem.

Halley podeszła i spojrzała na ekran konsoli.

– O co chodzi?

– Obwody energii są wyłączone, wszystkie do trzeciego stopnia włącznie. Coś takiego nigdy nie powinno się wydarzyć. Jedziemy na zapasowych akumulatorach.

– A co z reaktorem? – spytała.

Zajrzałem do maszynowni i nieprzyjemne uczucie grozy skręciło mi lekko żołądek.

– Leży. Dryfujemy w przestrzeni. Niedobrze.

– A przecież mówiłam, że wpadliśmy w głębokie gówno.

Przewinałem listę priorytetowych wiadomości systemowych i uczucie grozy zaczęło zahaczać o panikę.

– Rozkaz „opuścić okręt” został wydany dwadzieścia minut temu.

– O cholera – powtórzyła po mnie Halley. – Jak długo byliśmy nieprzytomni?

– Wygląda na to, że niemal godzinę.

Halley podeszła do włazu, walnęła pięścią w panel sterujący.

– Czerwone światło – powiedziała. – Niewystarczająca ilość zdatnego do oddychania powietrza po drugiej stronie. Nie otworzy się.

– To jak, do ciężkiej cholery, mamy się stąd wydostać? Wiesz, wolałbym nie udusić się w tej puszcze.

– Uspokój się, Andrew. Zajrzyj do swojej zabawki i coś wymyślimy, zanim skończy się nam powietrze.

Poszukałem w systemie lokacji najbliższej niewykorzystanej kapsuły ratunkowej.

– Kurwa. Wszystkie zniknęły.

– Co zniknęło?

– Kapsuły. Wszystkie zostały wystrzelone. Na całym pokładzie nie została ani jedna kapsuła ratunkowa. Ostatnia odłączyła się przed siedmioma minutami.

Halley podniosła dłonie teatralnym gestem, który – zważywszy na okoliczności – wyglądał niemal komicznie.

– No to, kurwa, zajebicie.

– Mogę zdalnie otworzyć zamek włazu, ale nie będziemy mieć powietrza.

– Ani żadnej drogi ucieczki z tej cholernej łajby. – Umilkła na chwilę, po czym strzeliła palcami. – Możesz sprawdzić, czy na pokładzie lotniczym wciąż jest okręt desantowy?

– Jasne, zaczekaj.

Przerzuciłem tuzin stron ze statusami i przedarłem się przez rozmaite podmenu, zanim dotarłem do przekazu optycznego z kamery na pokładzie lotniczym. Zobaczyłem jedynie klamry dokujące i zamkniętą rampę zrzutową. Pokład był pusty i ciemny.

– Nie ma. Wygląda na to, że twoi kumple odlecieli bez ciebie.

– Cóż – stwierdziła Halley. – A więc to chyba tyle.

– A nie mieliście na tej łajbie jeszcze jednego desantowca?

Ujrzałem na twarzy dziewczyny podniecenie, które stanowiło znacznie lepszy widok niż strach goszczący tam jeszcze przed momentem.

– Tak, zapasowy. Jest w przeciwległym rogu pokładu lotniczego, w doku. Możesz to zobaczyć z kamery?

Przełączałem się pomiędzy wszystkimi kamerami pokładu lotniczego. Wreszcie jedna z sufitowych zapewniła mi idealną skośną perspektywę okrętu desantowego typu Osa.

– Oto on. Wygląda na to, że nie chcieli marnować czasu, żeby też go odpalić.

Halley przechyliła się przez moje ramię i przyjrzała ekranowi.

– Ten ptaszek jest goły i suchy. Bez paliwa, bez artylerii. Nawet gdyby udało nam się umieścić go w klamrach i zrzucić z rampy, polecilibyśmy po krzywej balistycznej. Jesteśmy zbyt blisko planety.

– Tankowanie nie jest zautomatyzowane? – spytałem.

– Tak. Puszkarze muszą ładować amunicję ręcznie, ale to komputer zajmuje się tankowaniem. Nie mam jednak pojęcia, jak go obsłużyć. Wiesz, gdy dawali mi kluczyki, wszystko było już nalane i gotowe do drogi.

– Ja też tego nie wiem, mogę się jednak założyć, że komputer wie.

Przez minutę czy dwie przekopywałem się przez systemy, wciąż połączone z siecią neuronową, spodziewając się, że automatyczne moduły z pokładu lotniczego będą niesprawne albo że system zareaguje na moje węszenie blokadą bezpieczeństwa, na szczęście ani jedno, ani drugie się nie ziściło. Moduł tankowania był aktywny i bezczynny, czekał na polecenie człowieka. Zalogowałem się zdalnie do stacji paliwowej i wskazałem

ekran swojej konsoli, by zwrócić uwagę Halley na menu.

– To musi być to. – Stuknęła w ekran przy pozycji nazwanej: WST PRZYG STAN 5.

– Dobrze, że dbają o opisy – stwierdziłem, aktywując sekwencję. Status menu zmienił się na: ZAINICJ/W TOKU. Przełączyłem z powrotem na obraz z kamery, by sprawdzić, czy na pokładzie lotniczym cokolwiek się dzieje. W pobliżu desantowca zaczęło błyskać światło ostrzegawcze. Na naszych oczach w polu widzenia pojawiło się mechaniczne ramię modułu tankowania, wygięło się wokół Osy, a następnie wsunęło do gniazda paliwowego u szczytu kadłuba.

– No to sprawę paliwa mamy załatwioną – powiedziałem. – Ile zajmuje tankowanie do pełna?

– Dziesięć minut – odparła. – Kolejne pięć na odpalenie awioniki i wykonanie testów przygotowawczych, po czym jeszcze dwie na przesunięcie całości do rampy zrzutowej.

Przez kadłub przebiegł niski rumor, podłoga pod naszymi nogami zadrżała. Przy modułach przechowywania danych coś zaczęło piszczeć, a wszystkie światła w pomieszczeniu na chwilę zgasły. Gdy zapaliły się na nowo, banki pamięci w OSN momentalnie ucichły. Nigdy nie przebywałem tam, nie słysząc szumu wiatraków chłodzących moduły, i jego brak wydawał się złowieszczy.

– Twoje zabawki chyba właśnie się popsują – zauważyła trzeźwo Halley.

– W życiu bym się nie domyślił.

Moja konsola administracyjna jeszcze działała i wciąż widziałem miejscowe dane, ale straciłem połączenie z systemami pokładu lotniczego. Sieć neuronowa okrętu bojowego była niezwykle wytrzymała, składała się z łączy zapasowych zabezpieczających łącza zapasowe, teraz jednak nie widziałem nic poza zasięgiem lokalnych czujników, pół pokładu w każdym kierunku. Popsuło się właśnie coś dużego i „Wersal” umierał. Gdyby połączenie zerwało się dwadzieścia sekund wcześniej, nie zdołałbym potwierdzić obecności rezerwowego desantowca. Nie mówiąc już o włączeniu sekwencji tankowania.

– Spadajmy stąd, póki możemy – odezwałem się.

– Nie zamierzam się spierać – napiętym głosem odparła Halley. – Chodźmy.

Nie widziałem zbyt wiele przez wizjer we włazie OSN. Na korytarzu panowała ciemność, ale nie miałem pojęcia, czy na zewnątrz był dym, czy też próżnia. System wiedział tylko, że otwarcie włazu będzie niebezpieczne, uruchomił więc zamek awaryjny.

– Możesz to odblokować swoją zabawką? – Halley wskazała moją konsolę.

– Tak, mogę ominąć zabezpieczenia. Po drugiej stronie nie ma jednak czym oddychać. Całe powietrze stąd zostanie wyciągnięte na zewnątrz, udusimy się w kilka minut.

– A co z tsopami? Mamy ich całe masy na „Wersalu”.

– Jasne. – Wyszczrzyłem zęby i aż chciałem się walnąć w czoło, że zapomniałem o czymś tak oczywistym. Tsopy, termiczne systemy obrazowania podczerwonego, przechowywano na każdym pokładzie w schowkach bezpieczeństwa. Były to małe maski z goglami działającymi w podczerwieni i niewielkim zapasem tlenu. Dzięki nim członkowie załogi mogli widzieć i oddychać w przypadku poważnego pożaru na okręcie. Otworzyłem konsolę admina i sprawdziłem na diagramie bezpieczeństwa, gdzie znajdę najbliższy schowek. – Są trzy na grodzi, tuż przed schodnią rufową – poinformowałem. – Dwadzieścia metrów w lewo. Myślisz, że zdołasz tak długo wstrzymać oddech?

– Przekonamy się. Jeśli zemdleję, będziesz musiał mnie po prostu ciągnąć, ty twardy piechociarzu.

– Raczej mam niewielki wybór – stwierdziłem. – Nie potrafię latać desantowcem.

Roześmialiśmy się, choć byliśmy śmiertelnie przerażeni.

– Dokąd pójdziemy, gdy założymy tsopy?

Znów zajrzałem do konsoli.

– Do schodni, a później w dół, na Pokład Siódmy. Nie widzę tam żadnych pożarów. Powinniśmy poradzić sobie w podczerwieni. Uważaj tylko pod nogi.

– Miejmy nadzieję, że twoja zabawka się nie myli – westchnęła Halley, zapinając kołnierz swojego kombinezonu. – Nie chciałabym otworzyć włazu i się usmażyć.

– „Przed otwarciem włazu należy sprawdzić go dłonią” – zacytowałem punkt z zajęć przeciwpożarowych ze szkolenia wstępnego marynarki.

– Jasne. Spadajmy już stąd.

Bardzo nie chciałem zamieniać względnie bezpiecznego OSN i jego autonomicznego zapasu tlenu na pozbawione powietrza korytarze po drugiej stronie wjazdu, ale nie mieliśmy pojęcia, ile jeszcze „Wersal” wytrzyma. Na konsoli admina odszukałem awaryjne ominięcie przeciwpożarowej blokady naszego wyjścia. Znowu spodziewałem się, że system odrzuci moje żądanie, ale światło na panelu bez przeszkód przełączyło się z czerwonego na zielone. Zamknąłem konsolę i wsunąłem ją do futerału.

– Gotowy? – spytała Halley z dłonią na dźwigni otwierającej.

– W lewo, dwadzieścia metrów. Gotowy – odparłem. – Jazda.

Kiedy Halley szarpnęła dźwignię, trzpienie blokady cofnęły się z głośnym stuknięciem. Następnie otworzyła wjazd i pomieszczenie natychmiast zaczęło napełniać się dymem. Przeszliśmy przez próg i pobiegliśmy korytarzem.

Powietrze pachniało nieprzyjemnie i cierpko, jak od tłącej się izolacji. Oczy zaczęły mi łzawić, gdy tylko znaleźliśmy się na ciemnym korytarzu. Żadnych świateł, nawet awaryjnych, które powinny działać aż do wyczerpania akumulatorów okrętu. Wyciągnąłem rękę i muskałem ścianę, by wiedzieć, jak iść. Przede mną Halley zakaszła chrapliwie, ja po paru chwilach poszedłem w jej ślady. Paliło mnie w płucach i nie miałem wątpliwości, że jeśli nie znajdziemy szybko schowków z tsojami, zginiemy.

Od wjazdu OSN do najbliższego rzędu schowków było zaledwie dwadzieścia metrów, lecz w zadymionym mroku ta odległość wydawała się znacznie większa. Wstrzymywałem oddech, by nie dopuszczać toksycznych oparów do płuc, i gdy dotarliśmy do szafek, mój organizm rozpaczliwie domagał się świeżego powietrza. Halley otworzyła drzwiczki i zaczęła grzebać w ciemności, po czym podała mi maskę. Założyłem ją szybko i przygryzłem ustnik, by uruchomić urządzenie. Chwilę później odetchnąłem czystym, pełnym tlenu powietrzem. Owszem, smakowało jak stare skarpety, ale i tak biło na głowę smrodliwą mieszankę oparów wypełniającą teraz tę część „Wersalu”. Gogle włączyły się automatycznie i znowu widziałem otoczenie, choć w dziwnej kolorystyce obrazowania podczerwonego.

Z Halley na czele zeszliśmy schodnią na niższe pokłady. Gdy dotarliśmy do półpiętra przy Pokładzie Siódmym, dziewczyna położyła dłoń na włączniku prowadzącym na korytarz, a ja poklepałem ją w ramię. Gdy się obróciła, wskazałem konsolę admina wiszącą na moim ramieniu, a później na wjazd, ona zaś skinęła głową. Ściągnąłem futerał z ramienia, by

wyjąć konsolę, po czym włączyłem, żeby sprawdzić, co nas czeka po drugiej stronie.

W korytarzu nic się nie paliło, lecz nie było też zdatnego do oddychania powietrza. Gestem przywołałem Halley bliżej i wpisałem wiadomość, by jej to przekazać. Popatrzyła na ekran i przytaknęła, pokazując mi dla zachęty podniesiony kciuk, po czym stuknęła w dźwignię, otwierając właz.

W korytarzu znaleźliśmy kilka ciał. Ktoś w niebieskim mundurze szeregowego leżał bezwładnie pod grodzią, spod jego głowy wypływała ciemna kałuża krwi. Halley przekręciła żołnierza na plecy, lecz nawet w niewyraźnym, czerwonym obrazie z gogli dostrzegaliśmy wyraźnie, że nic mu już nie pomoże. Krew pokrywała całą twarz, jej gęste strumienie krzepły pod nozdrzami i wokół ust, a oczy były na wpół uchylone. Halley odsunęła się od niego.

W tej części okręt miał zasilanie awaryjne. Czerwone światła stropowe działały, a pomarańczowe znaczniki na podłodze, wskazujące drogę do kapsuł ratunkowych, mrugały w gorączkowym tempie. Za każdym razem, gdy mijaliśmy stanowisko kapsuły, sprawdzałem je, by upewnić się, czy komputer nie przekazał mi błędnych informacji, lecz wszystkie szalupy ewakuacyjne z tego poziomu zostały wystrzelone, a ich włazy były zamknięte.

Dok startowy znajdował się na Pokładzie Siódmym, w jego środkowej części pomiędzy korytarzami biegnącymi wzdłuż bakburty oraz sterburty. Halley podeszła do panelu zawiadującego włazem, wpisała swoje dane. Światło na panelu zmieniło się z bursztynowego na zielone, trzpienie blokujące cofnęły się posłusznie i wejście otworzyło się z sykiem wypuszczanego powietrza.

Wewnątrz, w mroku, okręt desantowy stał pod ścianą, a wąż dalej pompował paliwo do jego baków. Jedyne źródłem światła była lampa ostrzegawcza na suficie, która nadawała hangarowi stłumione, pomarańczowe zabarwienie. Halley zamknęła za nami właz, a mały wskaźnik w dolnej krawędzi mojego tsopa, pokazujący stan powietrza, zmienił się z czerwonego na pomarańczowy, później na zielony. W hangarze wciąż było czyste powietrze. Ściągnąłem maskę z głowy i wziąłem bardzo płytki oddech, by zweryfikować ocenę komputera. Pachniało paliwem, ale dawało się oddychać. Kiedy pokazałem Halley uniesiony kciuk, poszła za moim przykładem.

– Szkoda, że nie mają wbudowanych komunikatorów – powiedziała, gdy pozbyła się

tsopa.

– Racja. Czy ten ptaszek nie powinien już być zatankowany? – Wskazałem głową desantowiec.

– Powinien – odparła Halley. – Weź hełm lotniczy z tamtej szafki, a ja sprawdzę okręt.

Gdy tylko wyjąłem hełm ze wskazanego miejsca, lampy na suficie ożyły, zalewając pokład jasnym światłem i wywołując ból w oczach, od dziesięciu minut wyęzających się w ciemnościach, lekko tylko złagodzonych przez podczerwień. Otworzyłem usta, by coś powiedzieć do Halley, lecz nagle oświetlenie z powrotem zgasło, tym razem również z pomarańczową lampą ostrzegawczą, hangar pogrążył się w zupełnym mroku. Ucichł też szum mechanizmu tankującego.

– Cholera – syknęła Halley. – Koniec energii akumulatorów.

Założyłem tsop, by włączyć podczerwień. Zobaczyłem, że Halley otworzyła wąż wejściowy do desantowca. Przywołała mnie gorączkowym gestem, po czym wdrapała się do Osy. Gdy wszedłem za nią do środka, wewnętrzne lampy włączyły się i mogłem znów widzieć bez gogli.

– Ma własny akumulator – oznajmiła Halley. – Ale nie dowiezie nas, niestety, do rampy zrzutowej.

– I co teraz?

– Otwórz tę swoją użyteczną zabaweczkę i sprawdź, czy zdołasz przerzucić trochę prądu na pokład lotniczy, inaczej utkniemy tu na dobre. Nie mam pojęcia, czy zwolniliśmy na tyle, żeby wejść porządnie na orbitę, a wolałabym nie spalić się w atmosferze w tym wiadrze na gówno.

Usiadłem na antypoślizgowej podłodze, otworzyłem konsolę admina. Lokalna sieć była martwa, nie mogłem się podłączyć nawet do bezprzewodowej chmury. Przeskanowałem wszystkie miejscowe węzły i żaden z nich nic nie przesyłał ani nie otrzymywał.

– Zero – krzyknąłem w stronę kokpitu, gdzie Halley przypinała się do prawego fotela. – Sieć leży. Gówno widzę.

Nagle światła w hangarze znów się zapaliły. Usłyszałem cichy szmer modułu tankującego, który podjął przerwane zadanie. Popatrzyłem na ekran konsoli i zobaczyłem,



że lokalna sieć powraca do życia.

– Co zrobiłeś? – krzyknęła Halley.

– Nic. Sama ożyła.

– Możesz dostać się do podsystemu tankowania?

– Zaczekaj, już to robię – odparłem.

Wróciłem do drzewka menu, by przejść do systemów hangaru. Dostęp był litościwie szybki, ponieważ znajdowałem się już w węźle docelowym i nie musiałem przedzierać się przez pół kilometra uszkodzonych ścieżek neuronowych. Na aktywnej pozycji wciąż widniało ZAINICJ/W TOKU, a pasek postępu pokazywał jedynie trzy czwarte ukończenia zadania.

– System mówi, że jeszcze pięć minut – poinformowałem Halley.

– Przerwij – poleciła. – Jeśli energia znowu padnie, zanim umieścimy Osę w klamrach i przygotujemy do zrzutu, będziemy mieć przejebane.

– Spróbuję.

Na szczęście system paliwowy był opisany w dość przewidywalny sposób, zapewne po to, by szeregowy personel mógł się z łatwością domyślić, o co chodzi. Usunąłem proces tankowania z kolejki zadań i poleciłem, by system przesunął Osę do statusu GOTOWY/START. Szum mechanizmu tankującego ucichł i wąż wysunął się z okrętu. Zagrzmiał sygnał ostrzegawczy i rozległ się niski rumor, gdy klamry dokujące przesuwały się na pozycję nad desantowcem.

– Wspaniale – rzuciła Halley z ulgą w głosie. – A teraz zaparkuj tyłek w fotelu obok i zapnij się.

Dziwnie się czułem na lewym siedzeniu desantowca. Automatyczne klamry opuściły się na Osę, zamknęły na punktach mocowania, po czym uniosły pojazd z płóz. Obok mnie Halley uruchamiała awionikę, błyskawicznie przechodziła przez listy kontrolne, tańcząc palcami na rozmaitych ekranach. Zapiąłem się drżącymi dłońmi i obserwowałem, jak klamry dokujące przenoszą okręt przez hangar w rozpaczliwie powolnym tempie.

– Podepnij hełm – poleciła Halley. – Jeśli coś nam tam rozerwie kadłub, nie chciałbyś zostać bez dopływu tlenu.

Nałożyłem hełm lotniczy i w gniazdo z boku kokpitu wpiąłem wąż idący z maski. Został przeznaczony dla kogoś mniejszego ode mnie i wyściółka nieprzyjemnie ścisnęła mi głowę. Podłączyłem obwód komunikacyjny, potem uruchomiłem kanał interkomu.

– Jeśli jest tam chiński niszczyciel, lot nie będzie zbyt długi – powiedziałem.

– Jeśli byłby tam chiński niszczyciel, już dawno dokonaliby abordażu lub rozwalili nas na strzępy – odrzekła Halley, nie spuszczać wzroku z ekranu. – Poza tym gównie możemy na to poradzić, chyba że chcesz czekać na tej rozwalonej tubie na okręt ratunkowy.

– Nie, dziękuję – odparłem. – Nieszczęśliwie widzi mi się śmierć z braku powietrza.

Klamry przestały poruszać się prostopadle i desantowiec zaczął się przesuwać w stronę rampy zrzutowej. Już tylko kilka chwil dzieliło nas od ucieczki z „Wersalu”, wstrzymałem oddech, modląc się do całego panteonu terrańskich bóstw, aby okręt zachował moc na czas potrzebny do zwolnienia klamer.

– Włączam pierwszy – oznajmiła Halley, sięgając nad głowę i przesuując szereg przełączników.

Za nami jeden z silników obudził się z głośnym, miarowym jazgotem. Gdy rozkręcił się do obrotów, które usatysfakcjonowały Halley, przesunęła dłoń nad kolejny zestaw przełączników.

– Włączam drugi.

Hałas z zewnątrz zwielokrotniał. Czulem przebiegające przez kadłub niskie wibracje.

– Czuję się, jakbym bez pozwolenia zabierała hydrosamochód rodziców, żeby się przejechać – stwierdziła Halley. – Nigdy nie miałam Osy tylko dla siebie.

– Zatankowaliśmy wystarczająco, by dolecieć na dół?

Kilkoma puknięciami palca w rękawiczce sprawdziła wyświetlacz i wzruszyła ramionami.

– Mamy pół baku. Dość, żeby dostać się na powierzchnię, i jeszcze trochę zostanie.

Pod nami opadła podłoga. Rampa zrzutowa była wielką śluzą w spodniej części pokładu. W zwyczajnych okolicznościach okręt byłby obrócony brzuchem ku powierzchni planety, ale teraz widziałem jedynie nicość przestrzeni. Pomimo oceny Halley wyobraziłem sobie chiński krążownik tuż obok „Wersalu”, gotowy do rozerwania na strzępy

ewentualnych uciekinierów, którym udałooby się wydostać z kadłuba.

Rampa zakończyła ruch w dół i na zewnątrz, pozostawiając pomiędzy nami a próżnią jedynie trzymetrowej głębokości otwór w pancerzu okrętu.

– No to jedziemy – oznajmiła Halley. – Zrzut za trzy... dwa... jeden... Zrzut!

Wdusiła przycisk na dźwigni przepustnicy i Osa wypadła z brzucha „Wersalu”. Sześćdziesięcotonowy desantowiec rozpoczął swobodny spadek, poczułem, jak żołądek podchodzi mi gwałtownie do gardła. Nagle opuściliśmy kadłub i zasięg sztucznej grawitacji „Wersalu”, a wówczas wrażenie upadku z dużej wysokości zostało raptownie zastąpione nieważkością, która podniosła mnie z fotela i rzuciła na pasy uprząży. Nie trwało to długo. Gdy tylko opuściliśmy pole grawitacyjne okrętu, Halley zwiększyła obroty silników i wprowadziła Osę w ostry zakręt. Skręciła w lewo, później w prawo, a umieszczone pod gondolami silników wyrzutnie środków przeciwdziałania wypuściły serię fałszywych celów.

– Chyba jest dobrze – uznała po kilku gwałtownych zakrętach i wróciła do mniej wywracającego żołądek trybu lotu. Obróciła Osę, by w polu widzenia pojawił się „Wersal”.

– O kurwa – powiedziałem, a Halley jedynie westchnęła raptownie w mikrofon hełmu.

Okręt wyglądał, jakby ktoś wystrzelił do jego boku z olbrzymiej śrutówki. Szary dym wypływał z setek otworów w zewnętrznym pancerzu. Rozciągająca się poniżej planeta wydawała się być znacznie bliżej, niż powinna przy prawidłowej orbicie, a zmaltretowana fregata dryfowała bez napędu, celując dziobem w zielono-brązową powierzchnię Willoughby.

– Mam nadzieję, że na „Wersalu” nikt nie pozostał – stwierdziła Halley. – Ta łajba spadnie jako milion rozżarzonych kawałków.

Przelecieliśmy powoli wzdłuż kadłuba. Gładka i prosta sylwetka w kształcie cygara była od dziobu do rufy zryta otworami, z których żaden nie miał więcej niż pół metra średnicy.

– To nie jest robota artylerii przeciwokrętowej – zawyrokowała Halley. – Co za broń wywala takie dziury?

– Cokolwiek to jest, wykonało swoje zadanie – odparłem. – Mogę się założyć, że po tej

stronie kadłuba nie zostało żadne szczelne pomieszczenie.

Dryfujący bez celu „Wersal” ciągnął za sobą szczątki. Znajdowały się wśród nich odłamki płyt pancerza, zamrożone bąble wyciekających płynów i przypadkowe elementy z wnętrza, które zostały wysane w próżnię. Podczas naszego przelotu Halley musiała wciąż manewrować, by nie wpaść na większe elementy. Widzieliśmy też parę ciał: uduszonych i zamrożonych współtowarzyszy z załogi, koziółkujących coraz dalej od okrętu. Nie wszystkie ciała były kompletne – dostrzegaliśmy ramiona, nogi i głowy oderwane od korpusu albo w wyniku uderzenia tego, co rozerwało kadłub okrętu, albo też z powodu nagłej dekompresji, która w ułamku sekundy wyrzuciła w przestrzeń zawartość przestrzelonych pomieszczeń. Przypomniałem sobie, że kajuty szeregowych członków zespołu technicznego znajdowały się blisko zewnętrznego kadłuba sterburty i zastanawiałem się, czy ja i Halley też byśmy tam dryfowali, gdybym opuścił OSN zaraz po zakończeniu zmiany. Ze wszystkich sposobów, w które można umrzeć, brak powietrza w próżni był chyba jednym z najmniej przyjemnych, jakie mogłem sobie wyobrazić.

– Sprawdźmy, komu jeszcze udało się uciec z tego wraku – powiedziała Halley. Przełączyła kanał komunikacyjny na częstotliwość awaryjną marynarki. – Do załogi OWPA „Wersal”, tu Żądło Sześć-Dwa – oznajmiła do mikrofonu w hełmie. – Jeśli słyszy to ktokolwiek na pokładzie okrętu albo w kapsułach ratunkowych, proszę o odzew.

W odpowiedzi usłyszeliśmy jedynie szum zakłóceń. Halley dwukrotnie powtórzyła wiadomość, lecz nie było żadnej reakcji, nawet kliknięcia przycisku transmisji.

– Odsunę nas od kadłuba i zbliżę do planety – rzekła, obracając Osę.

Spoglądałem na „Wersal” przez boczne okno kokpitu, dopóki zniszczona fregata nie zniknęła mi z pola widzenia.

– Do załogi OWPA „Wersal”, tu Żądło Sześć-Dwa – nadała znowu. – Czy ktoś z dołu to odbiera?

Tym razem usłyszeliśmy na kanale awaryjnym zniekształconą odpowiedź. Halley spojrzała na mnie i głęboko odetchnęła.

– Jak dobrze. Już zaczynałam sądzić, że zostaliśmy tu zupełnie sami – odezwała się do mnie. – Do załogi „Wersalu”, czekajcie. Schodzę na niższą orbitę, żeby poprawić odbiór. Następny przekaz za pięć minut.

Odbiliśmy jeszcze dalej od „Wersalu” i ruszyliśmy w stronę planety. W innych okolicznościach byłaby to wspaniała wycieczka krajobrazowa. Od zielono-brązowej planety nie oddzielało nas nic oprócz kilku konsol z awioniką oraz calowej pancерnej szyby. Rozpościerał się przed nami nieskazitelny świat czystych oceanów, ośnieżonych łańcuchów górskich oraz dzikich i pustych kontynentów. Kolonia WPA była jedynym śladem ludzkiej obecności na Willoughby. Dwanaście tysięcy kolonistów zamieszkiwało planetę wielkości dwóch trzecich Terry.

Gdy zeszliśmy na niższą orbitę, Halley obróciła desantowiec wokół osi grzbietowej, żebyśmy mogli lepiej przyjrzeć się planecie. Sterowała bardzo delikatnie i Osa podążała za jej gestami niczym potężne, dobrze wytresowane zwierzę. Pamiętałem, jak podczas szkolenia przygotowawczego było mi trudno choćby skierować dziób stymulatora desantowca w odpowiednią stronę, a Halley twierdziła, że prawdziwy jest pięciokrotnie trudniejszy w pilotażu.

– Pięknie, prawda? – odezwała się do mnie, w odpowiedzi skinąłem jedynie głową. – Popatrz na tę całą ziemię w dole. Jest niezasiedlona – mówiła dalej. – Moglibyśmy wylądować na środku któregoś z tych kontynentów i przez parę lat żyć na zapasach, jakie znajdują się w Osie. Wcześniej spełniłoby się twoje życzenie o skrawku ziemi na planecie kolonijnej.

Roześmiałem się w odpowiedzi, choć idea znalezienia się na odludziu w odległym świecie wraz z Halley była niemal nieprzyzwoicie ekscytująca.

– Marynarka by nas szukała – rzekłem. – Chcieliby odzyskać desantowiec i wątpię, czy darowaliby nam resztę kontraktu.

– Gównu by wiedzieli. „Wersal” rozpadnie się w atmosferze. Dla marynarki spaliliśmy się w kadłubie, a drugi desantowiec nigdy nie opuścił pokładu lotniczego.

Przez chwilę nie wiedziałem, czy żartowała, i potencjalne możliwości wisały między nami w powietrzu, stając się niemal namacalne. Nagle na kanale awaryjnym odezwała się kolejna zniekształcona transmisja i te zgrzytliwe odgłosy przywróciły nas do rzeczywistości.

– Chyba źle zrobiliśmy, reklamując się, że mamy tu sprawną Osę – powiedziała. – Teraz trudno już będzie wymknąć się niezauważenie.

– Żądło Sześć-Dwa, czy mnie słyszysz, odbiór?

Głos w głośnikach brzmiał tak czysto, jakby przekaz dochodził z naszej ładowni.

– Potwierdzam – odrzekła Halley. – Żądło Sześć-Dwa odbiera pięć na pięć. Nadający, proszę o identyfikację.

– Żądło Sześć-Dwa, tu pierwszy oficer. Jaki jest twój status i położenie?

– Żądło Sześć-Dwa jest na orbicie. Opuściliśmy okręt i kierujemy się na dół, sir.

– Sześć-Dwa, macie jakąś artylerię na pokładzie?

Halley wymieniła ze mną spojrzenia.

– Hmm, melduję, że nie, sir. To zapasowy okręt desantowy. Mamy dość paliwa w baku, ale węzły uzbrojenia są puste.

– Przyjąłem, Sześć-Dwa. Szkoda.

Halley puknęła kilka przycisków na konsoli taktycznej, zanim nadała odpowiedź.

– Sir, moje tak-łączy wskazuje położenie pańskiej kapsuły czterysta kilometrów na północ od mojej pozycji. Mogę być nad panem za dwadzieścia minut.

– Im szybciej, tym lepiej. Sześć-Dwa, masz w ogóle jakąś broń na pokładzie?

– Potwierdzam, sir. W schowku z bronią mamy standardowe wyposażenie taktyczne.

– Wspaniale – stwierdził pierwszy, a ulga w jego głosie była niepokojąca. – Przyspieszcie zejście, ale przy zachowaniu jak największych środków ostrożności. Nie popsujcie okrętu, bo to jedyny sprzęt, jakim dysponujemy obecnie w tym systemie.

– O czym on mówi, do cholery? – spytała mnie Halley. – Co z drugim desantowcem? Tym w pełni uzbrojonym w artylerię powietrze–ziemia?

W odpowiedzi mogłem jedynie wzruszyć ramionami.

– Sir, czy Sześć-Jeden nie dotarł na powierzchnię wraz z panem?

– Jeśli dotarł, to nie odzywa się do nas. Możecie próbować go wywoływać po drodze. A teraz pospieszcie się. Potrzebujemy tu was na wczoraj.

– Odbiór, sir. Już lecimy.

Halley wyłączyła nadajnik i zaczęła znów stukać w przyciski na swojej konsoli.

– Profil zejścia wskazuje, że będziemy na ziemi za dwadzieścia dwie minuty – oznajmiła. – Zamierzam całą drogę pędzić, więc upewnij się, czy jesteś dobrze zapięty. Trochę będzie trzęsło.

– Co się tam, do cholery, dzieje? Brzmiał, jakby srał pod siebie ze strachu. Myślisz, że ZCR próbuje zająć tę planetę?

– Nie mam pojęcia – przyznała Halley, poprawiając trajektorię i kierując dziób Osy poniżej odległego horyzontu. – Pewnie dowiemy się za dwadzieścia minut. A teraz zamknij się i trzymaj mocno.

# Rozdział 20

## Lądowanie awaryjne

Jeśli lądowanie bojowe w AT przypominało szybki zjazd windą ekspresową, to wejście w atmosferę Willoughby z wysokiej orbity kojarzyło się ze spadaniem w szybie windy z plecakiem odrzutowym. Gdy wlecieliśmy w górne warstwy atmosfery, Halley podciągnęła dziób, by wystawić ceramiczny brzuch Osy na żar wywoływany przez tarcie przy tak dużej prędkości. Przez dobre dziesięć minut po drugiej stronie okien kokpitu nie widziałem nic poza rozgrzаныmi gazami mijającymi nas w jaskrawych płomieniach. Halley drażkiem i przepustnicą wprowadzała korekty kursu, by utrzymać desantowiec pod odpowiednim kątem i na prawidłowej trajektorii, ale wyniki jej działań były zbyt subtelne, bym mógł je odczuć. Czuję się po prostu tak, jakbyśmy wpadli brzuchem w atmosferę, i wyłącznie spokojne, skupione zachowanie Halley powstrzymywało mnie przed atakiem paniki. Gdy fajerwerki na zewnątrz wreszcie zelżały, czerni przestrzeni ustąpiła miejsca błękitowi czystego nieba.

– Wysokość trzydzieści kilometrów – oznajmiła Halley, bardziej dla siebie niż dla mnie.

– Robiłaś to kiedyś sama? – spytałem.

– Nie bez porucznika Rickmana asystującego na lewym fotelu. Uspokój się, Andrew, wiem, co robię.

– Nigdy w to nie wątpiłem – rzekłem, po czym wbiłem się palcami w wyprofilowane poręcze fotela, gdy zwiększyła ciąg i wychyliła Osę w skręcie.

– Tam, na dole, mają dość gównianą pogodę – stwierdziła Halley, gdy zesliśmy poniżej sześciu kilometrów. – Widzę tylko burze, a wydawało mi się, że ta planeta została terraformowana.

Spojrzałem na szczyt pokrywy chmur, niespokojnej szaroczarnej masy rozciągającej się po horyzont.

– Fakt, że została terraformowana, nie oznacza, że jest jak Ziemia wiosną –



powiedziałem, przypominając sobie słowa sierżant Fallon w ośrodku medycznym.

– Jeśli tak tu wygląda po dekadzie działania wymienników atmosfery, to wolę nie wiedzieć, jak było, zanim dotarł pierwszy statek odkrywczy. Trzymaj się, będzie trochę rzuchało.

Halley miała talent do niedopowiedzeń. Gdy wlecieliśmy w pokrywę chmur nad powierzchnią Willoughby, Osą zaczęło miotać jak foliowym workiem w wietrzny dzień. Dopiero co znaleźliśmy się w chmurach, gdy deszcz zaczął dudnić o grube szkło kokpitu wielkimi kroplami, które brzmiały jak uderzenia broni ręcznej dużego kalibru. Zerknąłem z niepokojem na Halley, lecz była skupiona na instrumentach oraz sterowaniu. Nic nie mogłem zrobić, by pomóc sprowadzić nas na ziemię w jednym kawałku, starałem się więc w jak największym stopniu wtopić w wąską wyściółkę opancerzonego fotela.

– Ta pogoda jest pojebana – oznajmiła po chwili Halley. – Jesteśmy na prawie dwóch kilometrach, a tu dwadzieścia pięć stopni. Jak na pieprzonej Florydzie późną wiosną.

– Za ciepło?

– Dla tej skały? Jak cholera. Wczorajszy raport pogodowy twierdził, że o tej porze roku jest niewiele powyżej zera.

Wreszcie wyrwaliśmy się z chmur nad błotnistobrazowym terenem, który wydawał się leżeć zbyt blisko, bym mógł czuć się swobodnie. Halley wyrównała lot i skręciła lekko w prawo, by móc się lepiej przyjrzeć powierzchni planety.

– O rany, to paskudztwo sięgało prawie do samego dołu – oznajmiła. – Jesteśmy pięćset metrów nad ziemią. – Włączyła przycisk nadawania na drążku sterowniczym. – Do załogi „Wersalu”, tu Żądło Sześć-Dwa. Jestem sto dziesięć kilometrów od waszej pozycji. Przewidywany czas przybycia pięć minut. Możecie znaleźć mi miłe płaskie miejsce i odpalić parę podczerwonych świec dymnych?

– Odbiór, Sześć-Dwa – odparł głos na kanale awaryjnym. – Odmowa w kwestii dymu. Mamy w okolicy nieprzyjaciół. Kierujcie się po prostu na kapsułę i usiądźcie, jak najbliżej się da. I opuśćcie rampę, bo musimy się szybko ewakuować.

– Sześć-Dwa, odbiór – powiedziała Halley, po czym popatrzyła na mnie niepewnie. – Nieprzyjaciół? O czym on mówi, do cholery? Tablica zagrożeń jest czysta.

– Miejscowa fauna? – podsunąłem, lecz Halley pokręciła głową.

– Nie ma tu nic poza tym, co przyleciało na statku kolonijnym, może oprócz jakichś alg.

– Chińczycy albo Rosjanie? Myślisz, że mają jakieś oddziały na dole?

– Kurwa, nie mam pojęcia, Andrew – odparła Halley. – Wiem tylko, że chciałabym mieć jakąś artylerię na węzłach, bo jeśli wpadniemy na coś, do czego trzeba będzie strzelać, możemy im tylko pokazać środkowy palec.

\* \* \*

Kapsuła ratunkowa wyglądała jak pocisk z ogromnego działa. Leżała na boku na zboczu łagodnego wzgórza, osnuta linkami spadochronu hamującego, jakby spowijały ją jaskrawopomarańczowe winorośle. Halley przeleciała nisko i ujrzałem kilka osób ponagląjących nas gestami.

– Tu jest chyba dość płasko – powiedziała. – Trzymaj się. Będę tam siadać.

Zeszliśmy pod niewielkim kątem i dotknęliśmy powierzchni niecałe sto metrów od leżącej kapsuły. Gdy tylko Osa spoczęła na wszystkich trzech płozach, Halley zdusiła ciąg i pstryknęła przycisk na swojej konsoli. Z tyłu dobiegł znajomy jęk otwierającej się rampy załadunkowej. Parę chwil później kilkoro ludzi wbiegło do ładowni.

– Nie rozpinaj pasów, pilocie – na kanale awaryjnym odezwał się zasapany głos. – Wznies się i zamknij tę klapę, gdy tylko powiem, słyszysz?

– Odbiór – odparła Halley.

Usłyszeliśmy znowu dudnienie, gdy kolejni członkowie załogi pędzili po rampie.

– Zmykaj! – dobiegło przez głośniki. – Podnoś się z ziemi, już!

Halley stuknęła otwartą dłonią w przełącznik rampy, złapała znów ster i przepustnicę, po czym podkręciła obroty silników.

– Trzymajcie się tam czegoś! – krzyknęła do interkomu, po czym wystartowała pionowo. Obróciła desantowiec i skierowała dziób w stronę, z której przylecieliśmy. Następnie znów nabraliśmy prędkości i wlecieliśmy pod osłonę chmur. Nie minęło nawet trzydzieści sekund, odkąd nasze płozy dotknęły powierzchni planety.

\* \* \*

W ładowni pierwszy oficer zajął składane siedzisko szefa załogi i wpiął się do

obwodu komunikacyjnego Osy. Opancerzony właz pomiędzy kokpitem a ładownią był otwarty i widziałem, że członkowie załogi sięgają do schowka z bronią, rozdzielając ją między siebie, choć desantowcem targały turbulencje.

– Proszę do mnie mówić, sir – rzekła Halley. – Co się tam stało?

– Mamy tam nierodowity gatunek, ot co – odpowiedział pierwszy.

Halley i ja popatrzyliśmy po sobie z niedowierzaniem. Dysponujące technologią podróży kosmicznych narody Ziemi zajęły już kilkaset planet i księżyców, tak odległych jak Zeta Reticuli, i dotąd nie odkryto na nich życia, które można by obserwować bez mikroskopu.

– Nierodowity gatunek? – powtórzyła Halley. – Że niby pieprzeni obcy?

– Tak, że niby pieprzeni obcy! – oznajmił pierwszy. – Chyba że koloniści przywieźli trzodę, która ma ponad dwadzieścia jebanych metrów wzrostu. A teraz znajdź nam jakąś lepszą pogodę i trzymaj się z dala od ziemi, rozumiesz?

Halley ponownie prowadziła Osę przez chmury. Lot w górę nie wytrząsał tak kości jak podczas zejścia, ale mimo to odetchnąłem z ulgą, gdy przedostaliśmy się przez burzowe kłębowisko i niebo znów stało się niebieskie.

– Wyszliśmy z chmur – Halley poinformowała pierwszego przez interkom. – Dokąd chce pan lecieć? Mam paliwa na czterdzieści pięć minut.

Za nami komandor podporucznik Campbell wypiął się z siedziska szefa załogi i przeszedł do kokpitu, gdzie przykucnął między naszymi fotelami.

– Halley, jak daleko jest najbliższa osada kolonistów według naszych bieżących danych?

Halley zerknęła na ekran nawigacyjny i pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia, sir. To zapasowy ptaszek, pamięta pan? Wszystkie banki danych są puste. Przed odlotem nie załadowaliśmy żadnych danych nawigacyjnych. Mogę połączyć się z satelitą i podać panu nasze koordynaty, ale nie mam nic innego na mapie.

– Pewnie mógłbym znaleźć jakąś osadę konsolą administracyjną – powiedziałem. Pierwszy oficer popatrzył na mnie, podniosłem wizjer, by pokazać twarz.

– Pan Grayson – rzekł. – Cieszę się, że wydostał się pan z okrętu. Proszę tu przyjść i

odpalić swoją zabawkę.

– Tak jest, sir. – Odpiąwszy pasy, przelazłem przez opancerzoną boczną ściankę fotela.

Wciąż czułem szok i niedowierzanie. Od czasu wynalezienia napędu Alcubierre’a sięgaliśmy do coraz to kolejnych systemów gwiazdnych, lecz nigdy nie wychwyciliśmy nawet zagubionego sygnału radiowego od innej cywilizacji. Pamiętałem dyskusje ciągnące się na kanałach naukowych, gdy byłem w szkole. Rzadkoziemcy utrzymywali, że jesteśmy jedynym inteligentnym gatunkiem w Galaktyce, saganici i kopernikanie zaś spierali się, że we wszechświecie zapewne roi się od istot potrafiących odbywać podróże międzygwiazdne, jak my. Do tej pory spór ten nie doczekał się rozstrzygnięcia. Znajdowaliśmy się jedynie czterdzieści dwa lata świetlne od domu, co w kategoriach astronomicznych oznaczało, że wciąż bawiliśmy się na własnym podwórku. Jeśli już teraz wpadliśmy na inny podróżujący gatunek, w Galaktyce musiało ich być pełno.

– Jak wyglądają? – spytałem pierwszego. – Są nieprzyjaźni?

– Czy są nieprzyjaźni? Cholera, mam nadzieję, że nie. Ten, którego widzieliśmy, był kurewsko wielki. Minął naszą kapsułę w deszczu w odległości kilkuset metrów. Trzęsła się pod nim ziemia.

– Wyłapuję nadajniki dwóch kolejnych kapsuł – oznajmiła Halley z prawego fotela. – Obie są w tej zupie. Rozproszyliście się po całej planecie.

– Może się tam pani dostać z tym zapasem paliwa? – spytał ją pierwszy oficer. Halley zastanowiła się chwilę i wzruszyła ramionami.

– Owszem, ale nigdzie dalej już nie polecę. Jedna jest trzysta pięćdziesiąt kilometrów na wschód, druga trzysta na północny zachód. Poza tym gównem będę widziała w drodze na dół.

– Zatem nie – rzekł Campbell. – Odnotujmy ich tylko na mapie i później spróbujemy złapać ich przez radio.

– Tak jest, sir – odparła Halley.

\* \* \*

W ładowni zobaczyłem trzech oficerów z „Wersalu”, samych młodszych oficerów wachty w BCI, a także czterech marines w mundurach roboczych, którzy wyglądali na

podenerwowanych.

– Gdzie jest kapitan, sir? Nie było go w BCI, gdy nas trafiono?

– Kapitan wszedł do innej kapsuły – wyjaśnił komandor podporucznik Campbell. – Zgodnie z regulaminem. Jeśli jedna z kapsuł spłonie lub się rozbije, obaj wyżsi oficerowie nie zginą jednocześnie. A teraz sprawdźmy, czy uda nam się ustalić, gdzie, u diabła, jesteśmy.

Moja konsola admina kryła w sobie drugą połowę zagadki, jaką była nasza lokalizacja. Mogłem wywołać pełen zestaw danych na temat Willoughby, w tym położenie każdej budowli na planecie oraz trajektorie wszystkich satelitów, ale bez dokładnych współrzędnych nie potrafiłem określić, gdzie jesteśmy.

– Halley, możesz mi dać namiar nawigacyjny? – spytałem dziewczynę przez interkom.

– Pewnie. Zaczekaj.

Zerknęła na ekran, po czym wyrecytowała szereg współrzędnych. Nałożyłem je na satelitarną mapę planety i konsola wskazała naszą pozycję schludnym znaczkiem, który niepokojąco przypominał celownik.

– Tu jesteśmy. – Obróciłem ekran do pierwszego oficera. Przyglądał się przez chwilę, po czym zmarszczył brwi.

– Wygląda na to, że jesteśmy, kurwa, w złym miejscu. Główna osada leży na drugiej półkuli.

Oddał mi konsolę, dwoma palcami potarł grzbiet nosa.

– Po prostu wspaniale. Nasza taksówka nie ma artylerii i kończy jej się paliwo, znajdujemy się trzy tysiące kilometrów od jedynej stacji benzynowej na tej skale i wychodzi na to, że wprowadzono tu nowy zarząd.

Oddaliłem widok na mapie satelitarnej, by sprawdzić maksymalny zasięg desantowca określony wcześniej przez Halley na podstawie pozostałego paliwa. Znajdowaliśmy się na półwyspie rozciągającym się wzdłuż i wszerz na setki kilometrów i jego większa część była zupełnie pusta, lecz bezpośrednio na południe od nas zauważyłem znacznik. Zerknąłem na podziałkę i stwierdziłem, że obiekt leży około trzystu kilometrów od nas.

– Tu coś jest, ale nie mam pojęcia, co oznacza ten symbol.

Oddałem konsolę Campbellowi. Przyjrzał się mapie, po czym wskazał symbol palcem.

– To jedna ze stacji terraformujących. Ogromny wymiennik atmosferyczny z reaktorem fuzyjnym pod spodem.

– Jest tam żywność i woda?

– Tak – odrzekł. – Na miejscu pracuje ekipa konserwacyjna. Żarcie, ciepła woda, prysznice i łóżka, żeby się przespać. Mają nawet sprzęt komunikacyjny. Cholera, może znajdzie się też paliwo. Dobrze znaleźliście, panie Grayson.

Przekazał mi konsolę i zatarł dłonie.

– Znaleźliśmy cywilizację, ludzie. Sprawdźmy, czy ktoś jest w domu.

\* \* \*

Stacja terraformująca była wielką bryłą przypominającą fabryczne opakowanie dla fregaty. Wybudowano ją z surowego betonu, mocno podniszczonego przez ponad dziesięć lat, jakie minęły od ustawienia sieci wymienników. Wzdłuż dłuższych krawędzi głównego budynku stały rzędy mniejszych, pudełkowatych budowli. Każdą z nich wieńczyła ogromna kwadratowa dysza wylotowa, wyglądająca na wystarczająco dużą, by mógł wylądować na niej okręt desantowy, i jeszcze zostałyby miejsce.

– Paskudztwo, prawda? – komandor podporucznik Campbell odezwał się za naszymi plecami, werbalizując moje myśli. – Wymiennik atmosferyczny trzeciej klasy. Na tej skale są jeszcze sześćdziesiąt trzy takie same. Terraformowanie takiej planety sporo kosztuje.

Spoglądałem na brzydką, zwalistą górę betonu pod nami, gdy Halley otaczała kompleks na niewielkiej wysokości, i próbowałem wyobrazić sobie kilkadziesiąt takich budowli ustawionych obok siebie. Koszt samych materiałów musiał być nadzwyczajny, ale zapewne był niczym w porównaniu z sumą, jaką należało wydatkować, by maszynierę wypełniającą wewnątrz przetransportować na odległość czterdziestu dwóch lat świetlnych. Nagle zrozumiałem, dlaczego Wspólnocie zawsze brakuje pieniędzy i dlaczego dzielnice opieki społecznej dostają do jedzenia wyłącznie proteinowe pasztety i przetworzone gówno.

– Jeśli ktoś tam, na dole, nie śpi, nie wychodźcie. Pojazd marynarki Żądło Sześć-Dwa podchodzi do lądowania – nadała Halley.

Na jednym z krańców potężnego głównego gmachu znajdowało się kilka obiektów z

prefabrykatów oraz żwirowe ładowisko, topornie oznaczone białą farbą. Halley tak delikatnie posadziła sześćdziesięciotonową maszynę bojową, że nawet nie poczułem, gdy płozy dotknęły gruntu. Budynki nie wyglądały na uszkodzone, a w środku świeciły się światła. Halley zamknęła przepustnicę i grzbietem pięści uderzyła w przełącznik tylnej klapy. Następnie sięgnęła nad głowę i przestawiła kilka pstryczków, które wyglądały na ważne. Silniki wyłączyły się z przeciągłym wizgiem.

– Sprawdźmy, kto jest w domu.

Marines wybiegli kolejno z ładowni, z bronią w gotowości. Za nimi wyszli oficerowie marynarki, wyglądający znacznie mniej bojowo w swych mundurach roboczych.

– Chyba możemy do nich dołączyć – powiedziała do mnie Halley. – Jeśli nie mają tu gdzieś ukrytych paru ton soczku dla desantowca, ten ptaszek raczej już nie poleci.

Rozpięliśmy uprząż i zdjęliśmy hełmy. Halley zostawiła swój na siedzeniu, poszedłem w jej ślady. Wychodząc z kokpitu, przystanąła i lekko poklepała gródź, jakby dziękowała lojalnemu rumakowi, że bezpiecznie dowiózł ją do celu.

Otworzyłem właz schowka z bronią i zdjąłem karabin ze stojaka. Halley podeszła obok mnie i zrobiła to samo. Sprawdziła komorę, otworzyła szufladę z amunicją i zaczęła podawać mi magazynki.

– Chyba jeszcze pamiętasz, jak tego używać? – spytałem. Nie przerywając ładowania, pokazała mi środkowy palec. Wsunąłem po magazynku do kieszeni na obu nogach i kolejny do karabinu. Uzbrojony znów w odpowiednią broń szturmową, poczułem odrobinę komfortu.

Gdy Halley u mego boku przeładowywała karabin, doznałem nagłego wrażenia déj' vu. Przypomniałem sobie chwilę przed szkoleniem z walki miejskiej podczas przygotowawczego, gdy szykowaliśmy się do udawanych bitew ze sobą, które były jak zabawa w berka z pancerzami i symulowaną bronią. Każdy element wyposażenia w schowku Osy został zaprojektowany dla ludzi w pancerzach bojowych walczących z innymi ludźmi w pancerzach bojowych i przyszło mi do głowy, że nie byliśmy przygotowani do tego, by wsadzać zbiorowe palce ludzkości w obszary Galaktyki rozciągające się poza naszym zacofanym systemikiem.

– Ponad dwadzieścia metrów wzrostu – mruknęła Halley, nakładając na kombinezon

lotniczy uprząż do noszenia ciężarów. – Aż można żałować, że rakiety MARS nie mają głowic nuklearnych, prawda?

Gdy wyszliśmy z desantowca, by dołączyć do reszty załogi, na zewnątrz czekał komitet powitalny. Z jednego z budynków wyszedł nam na spotkanie pełen oddział marines. Byli częściowo ubrani w pancerze, założyli bowiem napierśniki i płyty na nogi, ale nie mieli hełmów ani osprzętu sieciowego, co świadczyło, że nasze przybycie ich zaskoczyło. Gdy podeszliśmy wraz z Halley do grupy, dowódca marines opuścił karabin i zsalutował naszemu pierwszemu oficerowi.

– Sierżant Becker, sir. Jesteśmy tutejszym garnizonem. Cieszymy się, że marynarka wreszcie się zjawiała.

– Komandor podporucznik Campbell, OWPA „Wersal”. Moglibyście mi wyjaśnić, co się, do cholery, dzieje na tej skale, sierżancie?

Sierżant wymienił niepewne spojrzenia ze swoim oddziałem.

– Mieliśmy nadzieję, że to wy nam powiecie, sir. Od niemal miesiąca nie mieliśmy żadnych wieści z Willoughby City.

\* \* \*

Stacja terraformująca była obsadzona przez oddział marines oraz dwunastu cywilnych techników z kolonii. Nawet gdy dodało się do tego piątkę oficerów marynarki i czwórkę marines z „Wersalu” oraz mnie, bez problemu zmieściliśmy się w tutejszej stołówce i zostało jeszcze mnóstwo wolnej przestrzeni. Komandor podporucznik Campbell był najwyższym stopniem oficerem w tej grupie, gładko wszedł w rolę dowódcy.

– Od ponad trzech tygodni nie macie kontaktu z głównym osiedlem? – spytał.

– Nie, sir. Pewnego ranka rozmawialiśmy z nimi, wymienialiśmy raporty i nagle transmisja padła. Przeprowadziliśmy diagnostykę całego sprzętu aż do łącza satelitarnego i wszystko działa, jak powinno.

– Sierżancie Becker – powiedział pierwszy.

– Sir?

– Proszę wziąć swoich i moich marines, po czym wystawić wartę wokół tego kompleksu. Kapral Harrison powie wam, czego wypatrywać. Jeśli zobaczycie, że



cokolwiek się zbliża, dzwońcie na alarm.

– Tak jest, sir – oznajmił Becker. – Słyszeliście. Do roboty, marines. – Zabrali broń i opuścili pomieszczenie.

– Co się dzieje, komandorze? – zapytał któryś cywil. – Jesteśmy atakowani przez ZCR?

– Cóż – odparł Campbell – dobra wieść jest taka, że z tego, co wiemy, w promieniu pięciu lat świetlnych nie ma ani jednej jednostki ZCR.

– Zgaduję, że są też złe wieści – rzekł cywil. – W końcu polecił pan marines, żeby stanęli na warcie.

– Och, wolałby pan nie wiedzieć – oznajmił komandor.

\* \* \*

Wiadomość, że ludzkość właśnie zetknęła się z pierwszym obcym gatunkiem, wyraźnie wstrząsnęła technikami, lecz bardziej zaniepokoiło ich odkrycie, że nie przybyliśmy tu, aby ich ewakuować na oczekującą jednostkę marynarki, i że nasz okręt do tego czasu rozsypał się już zapewne po całym kontynencie.

– Niezłe zakończenie paskudnego miesiąca – powiedział kierownik stacji, gdy pierwszy oficer skończył wtajemniczać cywilów w przebieg wydarzeń od momentu, gdy przed paroma godzinami wyszliśmy z komina Alcubierre’a.

– Chętnie posłucham – zachichotał Campbell.

– Gdy straciliśmy kontakt z Willoughby City, pogoda zupełnie zwariowała. Prowadzimy zapisy meteorologiczne, odkąd tu trafiliśmy, i nigdy nie widziałem czegoś takiego.

– Zauważyliśmy, że jest tu okropnie ciepło – rzekła Halley. – Wydawało mi się, że teraz powinno być niewiele powyżej zera.

– O tej porze roku miewaliśmy średnio plus pięć stopni Celsjusza przez ostatnie pięć lat, czyli odkąd zespół terraformujący przekazał nam kompleks – oznajmił kierownik. – Teraz jest dwadzieścia stopni powyżej normy, a już od trzech tygodni temperatura podnosi się o pięć stopni tygodniowo.

– Kilkaset kilometrów na południe stąd szaleje niezła burza – poinformowała Halley. – Wiatr wieje czterdzieści metrów na sekundę, a deszcz spada z pułapu trzech kilometrów.

– W samym zeszłym tygodniu mieliśmy więcej opadów deszczu niż w sumie przez poprzednie trzy miesiące. Mnóstwo burz. Pokażę wam jednak coś trochę bardziej niepokojącego.

Otworzył przenośny terminal danych, który trzymał w dłoni, i usiadł przy jednym ze stolików. Campbell i młodszy oficerowie zebrali się z tyłu, by patrzeć na ekran.

– Wszystkie stacje terraformujące na tej planecie są połączone w sieć, możemy więc wymieniać się danymi i dokonywać synchronizacji. Niedługo po tym, jak straciliśmy kontakt z Willoughby City, stacje zaczęły wypadać z sieci. Każdego ranka i wieczora synchronizowaliśmy dane przez satelitę, a teraz zostało nam tylko czterdzieści dziewięć węzłów. Codziennie jedna czy dwie stacje znikają. To jednak nie jest najgorsza wiadomość.

Napisał jakieś polecenie na klawiaturze, po czym gestem wskazał wyświetlacz.

– Gdy planeta została przekazana kolonistom, atmosfera była bardzo zbliżona do ziemskiej. Mieliśmy osiemdziesiąt przecinek trzy procent azotu, osiemnaście procent tlenu, zero przecinek osiem procent argonu i jedną setną procent dwutlenku węgla.

Wyświetlił kolejny ekran i wskazał tabelę z danymi.

– Odkąd straciliśmy kontakt z centralą, zawartość tlenu w atmosferze zmniejsza się, a dwutlenku węgla zwiększa. Obecnie mamy piętnaście procent tlenu, siedemdziesiąt trzy procent azotu i trzy procent dwutlenku węgla. Poziom tlenu spada o punkt procentowy na tydzień, dwutlenku węgla o tyle samo wzrasta. Jeśli to tempo się utrzyma, za kilka tygodni będziemy mieć problemy z oddychaniem. Gdy dorzucić do tego wzrost temperatury, widzimy, że w ciągu miesiąca nastąpił powrót do stanu sprzed dziesięciu lat terraformowania. Nawet gdyby nasze stacje wyłączały się jedna po drugiej, atmosfera nie powinna się tak zmieniać. Wszystkie stacje są teraz w trybie konserwacji, a proces terraformowania w zasadzie jest zakończony. W zasadzie był zakończony – poprawił się.

– Myśli pan, że to oni coś zrobili? – zapytał Campbella jeden z poruczników z „Wersalu”.

Komandor porucznik przez chwilę z niedowierzaniem spoglądał na swojego podwładnego, po czym roześmiał się chrapliwie, aż poczułem ciarki.

– Nie, poruczniku Benning. Myślę, że ktoś przypadkowo podkręcił termostat głównego

wymiennika atmosfery.

Rozejrzał się po obserwującej go grupie cywilów oraz żołnierzy, potem wzruszył ramionami.

– Cóż, wygląda na to, że ktoś inny przywłaszczył sobie planetę, a my dostaliśmy nakaz eksmisji.

# Rozdział 21

## Los kolonii

Komandor rozesłał nas w zespołach, żebyśmy sprawdzili stan zapasów stacji. Nawet po uwzględnieniu wszystkich osób, które z nami przyleciały, żywności i wody mogło wystarczyć na kilka miesięcy. Dzięki betonowym magazynom oraz schowkowi z bronią na desantowcu mogliśmy uzbroić się po zęby, a także zapewnić sobie wikt oraz dach nad głową, dopóki okręt ratunkowy nie dotrze do Willoughby. Nie przywieźliśmy natomiast jednej rzeczy: wystarczającej ilości tlenu, by dało się oddychać, gdy powietrze na planecie się zepsuje.

– Jakimi środkami transportu dysponujemy? – spytał pierwszy, gdy znów zebraliśmy się w stołówce, by połączyć zapasy.

– W szopie na zewnątrz jest sześć mułów towarowych oraz dwa ścigacze – poinformowała Halley.

– Jak podróżujecie do bazy i z powrotem? – spytał Campbell administratora, tyczkowego siwego mężczyznę nazwiskiem Hayward, który wyglądał, jakby całe życie pracował fizycznie na powietrzu.

– Skoczkiem – odparł. – Promem atmosferycznym z Willoughby City. Przylatuje dwa razy w miesiącu albo na wezwanie, jeśli nasz lekarz nie może sobie poradzić z jakimś przypadkiem medycznym.

– To spora odległość – stwierdziła Halley. – Ile to? Pięć tysięcy kilometrów na południe?

– Pięć dwieście. Sześć godzin w jedną stronę przy dobrej pogodzie.

– Jazda mułami zajęłaby nam dwa tygodnie, nawet gdyby udało się wziąć dość paliwa, żeby dojechać do celu – rzekł pierwszy.

Hayward pokręcił głową.

– Nie dojechalibyście. Po drodze jest łańcuch górski i ocean.

– No to klops – uznał Campbell. – Wygląda więc na to, że musimy tu poczekać na kawalerię.

– Macie w ogóle jakieś zapasy paliwa? – spytała Haywarda Halley. – Poza tym dla mułów i ścigaczy?

– Przy lądowisku jest wkopany zbiornik wypełniony JP-101AA. To dla skoczków. Zwykle mają dość na drogę powrotną, ale wolimy na wszelki wypadek trzymać zapas. Dwadzieścia tysięcy litrów.

– JP-101AA – powtórzyła Halley.

– Tak. Do lotów atmosferycznych. Możecie latać na tym czymś?

– Silniki są uniwersalne – odrzekła. – Da mniejszy ciąg i trzeba będzie trzymać się atmosfery, ale tak, polecimy na sto jedynce.

– Nie mamy mechanizmu tankującego – poinformował Hayward. – Tylko przenośną pompę ręczną. Zatankowanie tego potwora zajmie wieki. – Wyjrzał przez okno na widoczny w odległości kilkuset metrów desantowiec. – Ile do niego wchodzi paliwa?

– Dziewięć ton, dziewięćset osiem kilogramów i dwieście siedemdziesiąt dwa gramy – bez zająknięcia odparła Halley.

Jeden z techników gwizdnął przeciągle.

– Cholera, to prawie siedemnaście tysięcy litrów – odezwał się do Haywarda. – Wygląda na to, że jedno tankowanie wysie nas prawie do sucha.

– To akurat żaden problem. – Hayward włączył swój przenośny terminal. – Mam wrażenie, że niedługo nie będzie tu zbytniego zapotrzebowania na paliwo.

\* \* \*

Tankowanie zajęło cztery godziny, nawet gdy wykonywało je dwanaście osób. Napełnianie okrętu desantowego typu Osa za pomocą ręcznej pompy i węży z niestandardowymi zaworami przypominało próby wlewania wody do wanny poprzez wyciskanie do niej mokrych ręczników. Po kolei przytrzymywaliśmy otwarte wlewy na grzbiecie Osy i za pośrednictwem małej awaryjnej pompki oraz węży o średnicy nadgarstka wlewaliśmy paliwo bezpośrednio do baków. Gdy się napełniły, wszyscy śmierzdziliśmy benzyną lotniczą, nawet komandor.

– A więc ptaszek jest pełny – oznajmił Campbell, gdy kolejny raz zgromadziliśmy się w stołówce. – Polecimy sprawdzić, co się dzieje w Willoughby. Wolałbym nie zabierać wszystkich, w razie gdybyśmy mieli wpaść w tarapaty.

– W pełni rozumiem – powiedział Hayward. – Nie jesteśmy wojskowymi. Tylko byśmy wam zawadzali.

– Sugeruję, żebyśmy nie brali zbyt wiele – zaproponowała Halley. – Nigdy nie latałam Osą na paliwie atmosferycznym, nie mam pojęcia, ile zdoła unieść.

– A co, jeśli jednak wpadniecie w tarapaty, sir? – zapytał kapral Schaefer. – Przyda wam się na ziemi parę karabinów.

Campbell pokręcił głową.

– Mało prawdopodobne, kapralu. Bądźmy realistami. Jeśli kolonii już nie ma, oznacza to, że tamci dysponują większą siłą ognia niż nasze możliwości, a więc wasza czwórka nie zrobi różnicy. Wolałbym móc dokonać szybkiego odwrotu bez potrzeby przejmowania się też waszym bezpieczeństwem.

– Rozumiem, sir – rzekł kapral.

– Poruczniku Adams, na czas mojej nieobecności przejmuje pan dowodzenie. Jeśli stracimy kontakt i nie wrócimy za najdalej dwanaście godzin, macie się przyczaić i czekać na przybycie okrętu ratunkowego. Czy to jasne?

– Tak jest, sir – odparł porucznik. – Nie wychylać się i czekać na kawalerię.

– Kapralu Schaefer, proszę wraz ze swoimi ludźmi rozładować zbrojownię okrętu desantowego i jego schowków z zaopatrzeniem, gdy chorąży Halley będzie przygotowywać się do lotu. Zostawcie nam tylko trzy karabiny i wyrzutnię raket, w razie gdybyśmy mimo wszystko musieli lądować na odludziu. Nie chcę, żeby cały ten sprzęt się zmarnował, gdyby zdmuchnęli nas z nieba.

– Rozumiem, sir. Już się za to bierzemy.

– Dobrze. – Komandor zatarł dłonie. – Ruszamy, ludzie.

\* \* \*

– No i znowu tu jesteśmy – powiedziała Halley, gdy przypinaliśmy się do foteli w kokpicie. Silniki się rozgrzewały, lecz ich brzęczenie było teraz inne, niższe i jakby

bardziej szorstkie. – Sprawdź, czy dobrze się zapiąłeś – poradziła. – Jeśli będziemy musieli skakać, wolałbyś nie wyśliznąć się z upręży przy katapultowaniu.

– Byłoby kiepsko – zgodziłem się. – A teraz czy mogłabyś już przestać mówić o katapultowaniu? Nie mam ochoty dodawać lotu ze spadochronem do listy dzisiejszych nowych doświadczeń.

– Och, to całkiem fajne – rzekła Halley. – Jeśli ktoś lubi kurczowo zaciskać dłonie ze strachu.

Obserwowałem, jak po kolei wykonuje czynności z listy kontrolnej, tym razem w swobodniejszym tempie niż kilka godzin temu w hangarze na „Wersalu”.

– No dobra, tablica jest zielona. Wygląda na to, że jest dobrze. Czy przypiął się pan, komandorze?

– Potwierdzam – odparł pierwszy przez interkom. – Możemy lecieć, jeśli jest pani gotowa.

Halley złapała przepustnicę oraz ster i kilka chwil później unosiliśmy się już nad lądowiskiem. Ostrożnie machnęła ogonem okrętu w prawo i w lewo, by przetestować powierzchnie sterowe. Kolejny raz byłem zdziwiony, jak zwinna może być ta wielka, paskudna maszyna.

– Jedziemy – oznajmiła, zwiększając ciąg. – Żądło Sześć-Dwa wraca do interesu.

\* \* \*

Po chwili znów sunęliśmy sześć kilometrów nad skalistą powierzchnią półwyspu.

– Daj mi namiar na osiedle – poprosiła Halley.

Spojrzałem na mapę satelitarną na konsoli admina.

– Willoughby jest na kierunku jeden siedem dziewięć od stacji terraformującej, odległość pięć dwa dwa cztery kilometry.

– Poproszę o współrzędne.

Odczytałem jej współrzędne satelitarne, ona zaś wprowadziła je do swojej konsoli nawigacyjnej.

– Już. Teraz komputer w tym ptaszku wie, dokąd lecimy. Trochę mi lepiej, zważywszy,

że wracamy TAM.

Wskazała przez szybę na ogromne kłębowisko chmur burzowych, które osnuwały rozciągający się przed nami kontynent.

Bez możliwości wzlecenia w kosmos okręt desantowy okazywał się po prostu wielkim, niezbyt wydajnym samolotem. Halley nie była zadowolona z jego reakcji na gorsze paliwo w bakach.

– Czuję się, jakby ktoś założył mi ogranicznik – rzekła, gdy pokonywaliśmy łańcuch górski wspomniany wcześniej przez Haywarda. – Z trudnością wzniosłam się na sześć kilometrów i lecę z prędkością siedmiuset czterdziestu kilometrów na godzinę. Powinniśmy być dwukrotnie szybsi.

– To i tak lepiej, niż iść – stwierdziłem.

– Nieznacznie. Zupełnie jakbym miała ładownię pełną kamieni.

Po drodze do głównej osady Halley wychwytywała sygnały alarmowe z kapsuł ewakuacyjnych. Znajdowaliśmy się już nad chmurami burzowymi i choć Halley co kilka minut informowała na kanale awaryjnym o naszej obecności, nikt na ziemi nie odpowiadał. Odczytywała współrzędne kapsuł, gdy pojawiały się na ekranie jej tak-łacza, a ja wpisywałem je na mapę satelitarną na swojej konsoli. Żadna nie leżała bliżej niż sto pięćdziesiąt kilometrów od naszej trasy i gdy Halley spytała Campbella przez interkom, jak ma postąpić, polecił jej, by nie zbaczała z ustalonej drogi.

– Mają zapasy i osprzęt komunikacyjny – powiedział. – Nie chcę wypełnić tego ptaszka autostopowiczami i ostatecznie wszystkich zabić. Poza tym nie mamy dość paliwa. Wytrzymają, dopóki nie dotrze tu okręt ratunkowy.

– Tak jest, sir – odparła Halley.

\* \* \*

Chmury burzowe okrywały Willoughby niczym całun pogrzebowy, nie pozwalając nam dostrzec, czy coś kręci się po powierzchni. Jakiś gatunek przejmował planetę, dostosowując ją do swoich potrzeb, a my nie mogliśmy się dowiedzieć, z czym mamy do czynienia, dopóki nie zejdziemy w mroczną zawieruchę, aby umieścić nasze kruche ciała tuż obok nich. Czuję się jak mały chłopiec, któremu rodzice kazali właśnie zejść do pełnej potworów piwnicy po coś zupełnie nieważnego.



Straciłem już poczucie czasu spędzonego w powietrzu, gdy Halley skierowała wreszcie dziób okrętu w groźnie wyglądające chmury.

– Przygotujcie się na trochę wstrząsów – rzuciła. – Zostało jeszcze osiemdziesiąt kilometrów. Zejdę niżej, żeby sprawdzić, czy złapię promień ASL.

– ASL?

– Automatyczny System Lądowania – wyjaśniła. – Pozwala posadzić ptaszka w zerowej widoczności bez dotykania przyrządów.

Obserwowałem z przerażeniem, jak opadaliśmy w stronę chmur, od czasu do czasu podświetlanych błyskawicami. Gdy tylko w nie wlecieliśmy, desantowcem znów zarzuciło, lecz te turbulencje nie wydawały się tak silne jak gwałtowne wiatry, z którymi mieliśmy do czynienia przy pierwszym lądowaniu.

– Wieża kontrolna Willoughby, tu lot marynarki Żądło Sześć-Dwa – nadała Halley. – Jestem siedemdziesiąt osiem kilometrów na północ i kieruję się do lądowania ASL.

W odpowiedzi nie usłyszeliśmy nic poza szumem. Halley powtórzyła dwukrotnie wywołanie, po czym wzruszyła ramionami.

– Cały ich osprzęt nawigacyjny działa. Widzę radiolatarnię i promień ASL. Cokolwiek stało się tam, na dole, wciąż mają prąd.

Gdy przedarliśmy się przez chmury, ziemia była dalej niż wtedy, gdy zabieraliśmy komandora. Deszcz osłabł do mżawki. Kiedy Halley wypoziomowała okręt, znajdowaliśmy się siedemset metrów nad powierzchnią i mieliśmy widoczność w promieniu ośmiuset.

– Pogoda się poprawia – zauważyła Halley. – Wygląda na to, że ASL może nie być potrzebny.

Wyciągnąłem szyję, by przyrzeć się powierzchni i spróbować dostrzec obce istoty, które powinny być widoczne nawet z tej wysokości, lecz nie zauważałem żadnego ruchu. Widok był równie nudny i monotony jak skalisty płaskowyż i wzgórza w okolicach stacji.

– Zostało pięćdziesiąt kilometrów – oznajmiła Halley. – Na dole nic się nie dzieje. Nic nie widzę na radarze i w podczerwieni. Przed nami dostrzegam tylko radiolatarnię.

– Proszę zachować czujność – odezwał się przez interkom Campbell. – Pierwsze

oznaki kłopotów i lecimy z powrotem nad zupę.

– Och, o to nie musisz się, kurwa, martwić – mruknęła pod nosem Halley, nie wduszając przycisku nadawania na drążku.

\* \* \*

Miasto, które wyskoczyło z mglistych oparów niecały kilometr przed nami, wyglądało na nietknięte. Gdy znaleźliśmy się bliżej, ujrzałem rzędy budynków z prefabrykatów, bryłowatych modułów ze stali i betonu, o grubych oknach z polikarbonu. Domy stały wzdłuż schludnej sieci dróg zbudowanych z betonowych płyt ażurowych. Administrator ze stacji terraformującej nazywał to osiedle Willoughby City, lecz określanie go miastem okazało się mocno na wyrost. Miejskowa gleba miała kolor bladej ochry. Widziałem, gdzie koloniści posadzili spłachetki trawy, żeby wprowadzić tu naszą roślinność, lecz z góry nie wyglądało na to, by Willoughby dobrze przyjmowała ziemską wegetację.

Halley przeleciała wysoko nad osadą, prowadząc Osę po ciasnej spirali, byśmy mogli dobrze przyjrzeć się powierzchni. Spoglądałem obok niej przez grubą szybę kokpitu, lecz nie dostrzegałem nic niezwykłego. Domy i drogi nie wydawały się uszkodzone. W wielu budynkach paliły się światła.

– Według mnie wygląda dobrze – stwierdziła Halley. – Zejdźmy niżej i przyjrzyjmy się uważniej.

Znów przelecieliśmy nad miasteczkiem, znacznie wolniej i niżej niż poprzednio. Tym razem zauważyłem coś jeszcze, co nie było oczywiste z wysokości niemal siedmiuset metrów. Na dole znajdowali się ludzie, choć nie reagowali na okręt desantowy przelatujący nad nimi na niskim pułapie. Leżeli na betonowych drogach, opierali się o ściany budynków lub zalegali na brązowej ziemi pomiędzy domami, samotnie bądź parami, na brzuchach albo na plecach, zupełnie jakby cała kolonia postanowiła zdrzemnąć się w tym samym czasie. Nagle wyszło mi w ustach i poczułem, że serce dudni mi w piersi. Gdy spojrzałem na Halley, zauważyłem, że przygryzała dolną wargę, obserwując rozpościerającą się w dole scenerię.

– Komandorze, lepiej niech pan przejdzie na przód i sam na to spojrzysz.

Kilka chwil później Campbell pojawił się we włazie za nami. Złapał się oparcie naszych foteli, żeby utrzymać równowagę, i wychylił z mojej strony, by się rozejrzeć. Bez słowa

Halley lekko skręciła w lewo, pozwalając mu się lepiej przyjrzeć cmentarzysku, w które zamieniła się kolonia.

– Mój Boże – powiedział bezbarwnym głosem.

– Wszystkie budynki są nietknięte – rzekłem. – Nie widzę żadnych uszkodzeń. Co oni im zrobili, do cholery?

– Nie mam pojęcia – odparła Halley. – Jeśli jednak nie ma pan nic przeciwko temu, komandorze, wolałabym nie lądować i nie ryzykować skażenia.

W ogóle nie rozważałem ataku bronią chemiczną, lecz teraz, gdy Halley wypowiedziała swoje obawy, poczułem się bardzo niepewnie, lecąc na tak niskim pułapie. Wiedziałem, że po prostu mój przesadnie reagujący, przerażony mózg płata mi figle, ale wyobraziłem sobie obłok trującej substancji podnoszony ciągiem naszych silników. Podczas zajęć na temat broni chemicznej pokazywano nam filmy o chemicznych oraz biologicznych atakach z ostatniego poważnego sporu między Chińczykami i Koreańczykami na Ziemi i zbliżenia bezradnych żołnierzy WPA, którzy zginęli, krztusząc się krwawymi wymiocinami, mocno wpisały mi się w pamięć.

– Nie lądujemy – zgodził się pierwszy. – Nie mam dziś ochoty na wyrzygiwanie płuc. Proszę się wznieść i zacząć nadawać przez radio. Może ktoś tam przeżył? Może marines mieli na sobie kombinezony?

\* \* \*

Jakiś czas krążyliśmy nad osiedlem na dużym pułapie, próbując skontaktować się z marines, którym być może udało się wyrwać z miasta. Halley przez dwadzieścia minut nadawała wezwania na bojowej częstotliwości marines, lecz wciąż nie było żadnej odpowiedzi.

– Jeśli znajdują się w promieniu osiemdziesięciu kilometrów, powinni nas usłyszeć – powiedziała. – Nie mogę już tak dłużej krążyć, jeśli chcemy wrócić do stacji na tym, co zostało w baku.

– Rozumiem – rzekł pierwszy. – Proszę wykonać jeszcze jedną pętlę na południe, a potem wracamy do stajni.

– Tyle latania na nic – mruknąłem cicho do Halley, uważając, by nie dotykać palcem przycisku nadawania.

W odpowiedzi wzruszyła jedynie ramionami.

– To lepsze, niż siedzieć na tyłkach i czekać, aż zabierze nas inny okręt marynarki.

Coś zapiszczało cicho na konsoli taktycznej. Halley puknęła w ekran, przeczytała komunikat na wyświetlaczu, po czym wyprostowała się nagle na fotelu.

– O co chodzi? – spytałem, obawiając się kolejnych złych wieści.

– Transponder awaryjny – wyjaśniła. – To drugi desantowiec z „Wersalu”. Żądło Sześć-Jeden.

Jej palce zatańczyły szybko na konsoli komunikacyjnej, gdy przechodziła na inną częstotliwość.

– Żądło Sześć-Jeden, tu Halley w Sześć-Dwa. Wychwytyję twój sygnał cztery siedem kilometrów na południe od siebie. Jeśli ktoś tam mnie słyszy, proszę o odpowiedź.

Żadnej reakcji. Halley powtórzyła wezwanie jeszcze dwa razy, po czym prychnęła cicho, z irytacją.

– To chyba jakaś Planeta Popsutych Kurwa Radiostacji czy coś. Męczy mnie już ciągle gadanie do siebie.

Przełączyła klawisz interkomu.

– Komandorze, wychwytyję radiolokator alarmowy z naszego drugiego desantowca. Chcę przyjrzeć się tamtejszej okolicy i sprawdzić, czy ktoś przeżył.

– Zezwalam – rzekł pierwszy.

Gdy znaleźliśmy się znów w chmurach burzowych, Halley omiotła radarem teren przed nami. Zaglądałem na jej ekran sensoryczny, wyświetlający klinowaty segment powierzchni planety pod i przed nami, od czasu do czasu smagany skupioną wiązką z nadajnika radarowego okrętu.

– Zwykle nie przemiatamy terenu w taki sposób – wytłumaczyła Halley, gdy zauważyła, że obserwuję ekran. – Ten radar podświetla wszelkie czujniki zagrożenia niczym lampki na choince. Gdyby na dole byli Chino-Ruscy, równie dobrze moglibyśmy wywiesić wielki transparent z napisem „zestrzelcie mnie”.

– Wiesz co? Niemal żałuję, że nie ma tam po prostu żołnierzy ZCR – powiedziałem, a

Halley parsknęła śmiechem.

– Taa. Kto by pomyślał, że można sobie życzyć czegoś takiego.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Osa wyskoczyła z grubych chmur w obszar dobrej pogody. W jednej chwili lecieliśmy w zerowej widoczności pośród zacinających kurtyn deszczu, w następnej otaczało nas czyste niebo. Popatrzyłem z zaskoczeniem przez boczną szybę kokpitu i ujrzałem pozostającą w tyle ścianę chmur. Kilkaset metrów pod nami leżała ziemia. Znajdowaliśmy się w wielkim cylindrze spokoju, który mógł mierzyć jakieś trzydzieści kilometrów średnicy.

– Kurwa jebana mać – stwierdziła obok mnie Halley tonem wyrażającym wielki zachwyt i zdumienie.

Przed nami, na samym środku tego czystego obszaru, w niebo wznosiła się ogromna iglica. Miała barwę brudnego śniegu i była tak wysoka, że nawet wyciągając szyję i spoglądając przez górną część szyby, nie widziałem jej szczytu. W stosunku do swojej wysokości cała struktura wydawała się niemożliwie cienka, lecz z tej odległości było też oczywiste, że mierzyła kilkaset metrów średnicy. U dołu poszerzała się niczym pień drzewa.

– Co to jest, do cholery?

– Lepiej niech pan przyjdzie i na to spojrzysz, sir – Halley wezwała Campbella, który kolejny raz szybko wypiął się ze swego siedzenia i przeszedł do kokpitu.

– Jezu – skomentował na widok iglicy wznoszącej się przed nami w ciemne chmury.

– Na radarze nic nie mam – oznajmiła w osłupieniu Halley.

– Słucham?

– Nie widać tego na radarze. – Przełączała na ekranie różne tryby wyświetlania. – Cele naziemne, tryb powietrze–powietrze, fale milimetrowe... Zupełnie nic. Gdyby pogoda się tak nagle nie poprawiła, mogliśmy wlecieć prosto w to coś, w ogóle tego nie widząc.

– Wygląda na to, że się nie ociągali – stwierdził pierwszy oficer. – Zbudowali to w niecały miesiąc.

Dla mnie struktura wyrastająca z powierzchni planety w ogóle nie wyglądała na zbudowaną. Nie widać było przypór, wypukłości czy łączeń. Powierzchnia wydawała się

zupełnie gładka, kojarzyła się z ogromnym drzewem pozbawionym kory.

– Transponder znajduje się pięć stopni od naszego dziobu, w odległości sześciu kilometrów – poinformowała Halley. – Tuż przy podstawie tego.

– Na razie proszę to tylko oblecieć – polecił Campbell. – Utrzymując dystans. Nie chcę, żeby obok tego transpondera znalazł się drugi.

Obszar spokojnej pogody wydawał się idealnie okrągły, a wysoka, biała struktura stała w samym jego środku. Halley skręciła Osą w lewo, ustawiając ją na kursie równoległym do zewnętrznej ściany tego dziwnego oka cyklonu.

– Widać to w podczerwieni – oznajmiła. – Nie świeci się jak piec, ale zdecydowanie wydziela trochę ciepła.

– Tak, ale co to jest, do cholery?

Wychyliłem się, by znów wyjrzeć przez górną część szyby. Chmury nad nami miały trochę jaśniejszą barwę niż burzowe kłębowisko w oddali, a gdy spoglądałem na obłoki bezpośrednio nad Osą, miałem wrażenie szybkiego ruchu, jakby burzowy front sunął przez niebo, niesiony silnym wiatrem. Szare jak ołów kłęby wylewały się ze środka oka cyklonu i sunęły ku ścianom.

– To stacja terraformująca – powiedziałem. – Wymiennik atmosferyczny, jakkolwiek oni to nazywają. Spójrzcie.

Halley podążyła za moim wzrokiem, a Campbell wychylił się nad środkową konsolą, by dostrzec choć trochę z tego, co my widzieliśmy.

– Może pan mieć rację, panie Grayson – przyznał. – A jeśli tak, to raczej zostaliśmy na dobre wyrzuceni z tej skały.

Cofnął się z niewygodnej, rozciągniętej pozycji i przykucnął pomiędzy fotelami pilotów.

– Potrzebowaliśmy piętnastu jebanych lat, żeby zbudować tu sieć terraformowania i przystosować ją, żeby mogli mieszkać tu ludzie. Jeśli te istoty mogą tak po prostu wpaść i postawić własną działającą sieć w trzy tygodnie...

Nie dokończył zdania, mimo to rozumiałem, o co mu chodziło. Jeśli przed nami znajdował się sprawny wymiennik atmosferyczny, to obca rasa była tak zaawansowana, że

próba rywalizowania z nią o nieruchomość była równie dobrym pomysłem jak pojawienie się na konkursie architektonicznym z zestawem małego budowniczego i kilkoma rolkami arkuszy polimerowych.

– Podlećmy trochę bliżej do tego transpondera, ale ostrożnie.

– Tak jest, sir – odrzekła Halley. – Lepiej niech się pan znowu przypnie tam, z tyłu, tak na wszelki wypadek.

\* \* \*

Skrećaliśmy łagodnym łukiem w prawo, dopóki potężna biała iglica nie znalazła się pośrodku szyby Osy. Halley przeprowadziła szybki pomiar optycznymi instrumentami celowniczymi i oznajmiła, że struktura mierzy osiemset pięćdziesiąt metrów od podstawy do miejsca, w którym znikąca w obłokach.

– Teraz mam już lekkie odbicie na radarze – poinformowała. – Przeszanę omiatać to wiązką. Nie chcę wkurzyć tubylców.

Z naszej perspektywy miejsce, z którego transponder wysyłał swe regularne, bezmyślne elektroniczne okrzyki, leżało po przeciwległej stronie wielkiego pnia. Halley zmniejszała wysokość, lecąc w lewo wokół struktury, co pozwalało mi dobrze jej się przyjrzeć. Znajdowaliśmy się już mniej niż czterysta metrów od niej i dostrzegałem na powierzchni małe niedoskonałości, których nie widziałem wcześniej, nieregularne zgrubienia i zagłębienia wzmacniały wrażenie, że całość po prostu wyrosła, a nie została zbudowana.

– Wysokość sto pięćdziesiąt metrów – oznajmiła Halley. – Niżej wolę się nie zapuszczać.

Łatwo dało się zauważyć, gdzie drugi okręt desantowy rozbił się o powierzchnię planety. Na ziemi, zaledwie kilkadziesiąt metrów od podstawy iglicy, widzieliśmy miejsce uderzenia oraz odchodzącą od niego wypaloną bruzdę. Na końcu tej czarnej blizny leżały rozrzucone elementy oraz wrak tego, co kiedyś było Żądłem Sześć-Jeden. Resztki tak się przemieszały, że gdybym nie wiedział, jak Osa wygląda w nieuszkodzonym stanie, nie rozpoznałbym desantowca. Kiedy Halley przeleciała nisko nad miejscem katastrofy, zauważyłem, że część szczątków wciąż płonąca.

– Widzisz jakieś spadochrony? – spytała Halley.

– Nie wiem. Czego mam szukać?

– Zewnętrzna strona czaszy jest pokryta kamuflażem, a wewnętrzna pomarańczowa. Można ich używać jako znaczników dla pojazdów poszukiwawczych i ratunkowych.

Rozglądałem się po miejscu zderzenia, ale nie dostrzegałem nic poza połamanymi i powykręcanyymi szczątkami desantowca. Gdy jednak zerknąłem na podstawę obcej struktury, zauważyłem coś innego – powierzchnia iglicy była osmalona i wyszczerbiona.

– Wygląda na to, że twoi koledzy próbowali odstrzelić kawałek – powiedziałem do Halley, wskazując uszkodzenia. Zerknęła na pień i przez chwilę przyglądała się śladom.

– No jasne. Wcale mnie to nie dziwi. Ten idiota Rickman większość czasu myślał jajami. Zapewne rzucił się do szarży na to coś.

– Zastanawiam się, co rozbiło okręt. Myślisz, że obcy posługują się bronią?

– Nie za bardzo mam ochotę się dowiedzieć – odparła Halley. – Spadajmy stąd, zanim sami nam pokażą.



# Rozdział 22

## Willoughby Cztery-Siedem

– Do całej załogi „Wersalu”, uwaga. Mówi pierwszy oficer. Nie opuszczajcie swoich pozycji i nie próbujcie zbliżyć się do żadnych osiedli kolonii. Na planecie znajdują się nieprzyjaźni najeźdźcy. Macie rozkaz przycziąć się i unikać kontaktu, dopóki nie przybędzie nasz okręt ratunkowy. Powtarzam: nie próbujcie zbliżyć się do osiedli kolonii i nie angażujcie się w walkę, jeśli sami nie zostaniecie zaatakowani.

Lecieliśmy na dużej wysokości, zdecydowanie powyżej pułapu chmur, i Campbell nadawał tę samą wiadomość co parę minut. Otrzymaliśmy kilka odpowiedzi od rozbitków z dołu, lecz ku mojej uldze Campbell odrzucał wszelkie prośby o ich zabranie. Oczywiście nie chciałem porzucić naszych ludzi, ale w ładowni desantowca wcale nie byłoby im lepiej niż przy kapsułach, a nie chciałem wracać w szalejące kłębowisko i natykać się na kolejne złe wieści. I tak zresztą mieliśmy paliwa jedynie tyle, by wrócić do stacji terraformującej, gdzie zostawiliśmy resztę naszej grupy.

– Nieźle nam kopią tyłki – powiedziała do mnie Halley, gdy pierwszy oficer obsługiwał pokładową radiostację z siedzenia szefa załogi. – Nie mamy okrętu, kolonia została wybita, a teraz po prostu zaczynają się tu urządzać.

– Nie sądzę, żeby w ogóle próbowali nam dokopać – odparłem, wzdrygając się na świeże wspomnienie setek kolonistów leżących pokotem na ulicach głównego osiedla, bez widocznych obrażeń czy uszkodzeń budynków. – Tamci ludzie nie zostali wybici, a po prostu zdezynfekowani. Zupełnie jakby wykurzać mrówki ze spiżarni. Wrzucasz trutkę na owady, a później wracasz, żeby pozamiatać trupy.

– Nie ma jak optymistyczne podejście – stwierdziła. – Zupełnie jakby nasza broń w ogóle się nie liczyła.

Na lewo tutejsze słońce, Kapella A, stykało się już niemal z horyzontem. Wydawało się większe i bledsze niż ziemską gwiazdą, lecz widok i tak był spektakularny, zupełnie jakby w oddali wybuchała bomba wodorowa. Niebo było niczym jaskrawa paleta pomarańcze,

czerwieni oraz ciemnej purpury. Gdy obserwowałem swój pierwszy pozasystemowy zmierzch, uświadomiłem sobie, że nie pamiętałem, bym kiedykolwiek usiadł tylko po to, by obejrzeć zachód ziemskiego słońca.

– Mam nadzieję – odezwała się Halley – że marynarka przyśle nam tu coś większego niż starą fregatę, inaczej wkrótce z nieba zaczną spadać kolejne kapsuły ratunkowe.

\* \* \*

Noc na Kapelli A c była czarna jak smoła. Żaden księżyc nie służył planecie za nocną lampkę. Gdy tylko ostatni skrawek słońca zniknął za horyzontem, zniknęło wszystko. Nie dostrzegałem już nawet postrzępionej linii horyzontu i brak zewnętrznych źródeł odniesienia mnie dezorientował.

– Opuść wizjer i naciśnij guzik na krawędzi brwiowej – poradziła mi Halley, gdy opowiedziałem o swoim dyskomforcie. – W ten garnek wbudowali podczerwień i widzenie w słabym świetle.

Powoli pokonywaliśmy łańcuch górski, silniki desantowca trzymały się, by utrzymać bezpieczną odległość pomiędzy nami a najwyższymi szczytami. Halley spróbowała skontaktować się ze stacją terraformującą, od której wciąż dzieliło nas kilkaset kilometrów.

– Stacja Willoughby Cztery-Siedem, tu Żądło Sześć-Dwa. Czy mnie słyszycie, odbiór?

Spodziewałem się kolejnej długiej ciszy w słuchawkach, lecz odpowiedź nadeszła niemal natychmiast.

– Żądło Sześć-Dwa, słyszę was. Dobrze, że wracacie.

– Cztery-Siedem, jesteśmy cztery sześć siedem kilometrów od was i kierujemy się na lądowisko. Jaką macie pogodę?

– Paskudną. Silny deszcz, widoczność niecałe pół kilometra, wiatr pięć sześć kilometrów na godzinę z kierunku jeden osiem zero. Na pewno chcesz lądować w takim chlewie?

– Nie mamy dokąd lecieć – odparła Halley. – Zostało nam paliwa na trzydzieści minut. Albo to, albo jakieś zadupie. Włączcie mi tam tylko wszystkie światła. Znajdę stację radarem naziemnym, a na ostatnim odcinku już będę widziała.

– Odbiór, Sześć-Dwa. Zapalimy ci światełka. Powodzenia i uważaj na siebie.

Halley popatrzyła na mnie i zachichotała.

– „Uważaj na siebie”? Lecimy w nieuzbrojonym desantowcu, na oparach paliwa, nad planetą rojącą się od nieprzyjaznych olbrzymów, zamierzamy lądować w takiej zupie bez ASL, a on mi mówi, żebym „uważała na siebie”?

– Zaczynam się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem, decydując się na marynarkę – powiedziałem do Halley. – Jeśli wydostaniemy się z tej skały, zgłoszę się do pracy biurowej albo składania prania. Coś mało stresującego na jakiejś cichej stacji kosmicznej.

– Niewielkie szanse, synu – odezwał się zza naszych siedzeń komandor. Byłem tak zmęczony, że nie usłyszałem, kiedy przeszedł do kokpitu. – Przykro mi, że cię rozczaruję, ale właśnie wpadliśmy na pierwszy obcy gatunek napotkany przez ludzkość. Jeśli wydostaniemy się z tej skały, będzie pan jednym z najpopularniejszych żołnierzy w całej flocie. Oczywiście, gdy skończą już z nami ci z wywiadu.

\* \* \*

Kiedy znaleźliśmy się znów w stacji terraformującej, zdecydowanie byłem już gotowy na nową ścieżkę kariery w służbie więziennictwa, z dala od okrętów desantowych i kapsuł bezpieczeństwa. Gdy schodziliśmy przez chmury burzowe, miałem wrażenie, jakby desantowcem rzucało na wszystkie strony, lecz Halley zachowywała lodowaty spokój, więc zdusiłem narastającą panikę, starając się wtopić w fotel. Nawet przy włączonej transmisji w podczerwieni ujrzałem światła budynków stacji, dopiero kiedy znaleźliśmy się zaledwie kilkadziesiąt metrów nad lądowiskiem. Zanim zaś zdążyłem zmartwić się tempem zejścia, byliśmy już na ziemi. W momencie, gdy okręt spoczął na płozach na żwirze lądowiska, Halley wyłączyła ciąg i odetchnęła ostro.

– Pamiętaj, żebym po powrocie wpisała ten lot do rejestru – powiedziała. – Umieszczę go w kategorii „Latanie w gównianej pogodzie”. Wiatr pięć sześć kilometrów na godzinę, jasne. Chyba u mnie w dupie.

Od lądowiska do najbliższego budynku było niecałe sto metrów, lecz gdy znaleźliśmy się w środku, byliśmy przemoczeni do suchej nitki.

– Jestem skonana – rzekła do mnie Halley, gdy wytrząsaliśmy wodę z włosów w

budynku administracyjnym, zostawiając kałuże na gumowanej podłodze. – Uwielbiam latać, ale trzymanie drążka przez dziesięć godzin bez przerwy to jednak sporo.

– Kiedy ostatni raz pani spała? – spytał ją komandor Campbell.

Halley wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia, sir. Właśnie schodziłam z wachty, gdy okręt został trafiony. Może dobędę temu?

– Proszę znaleźć jakieś suche ubranie – polecił pierwszy. – Na pewno marines mają gdzieś jakiś zapasowy mundur roboczy. Później poszukać czegoś do zjedzenia i koi, a następnie przespać się z godzinkę. Pana to również dotyczy, Grayson – dodał.

\* \* \*

Na stacji znajdowały się kwatery dla techników oraz tutejszego garnizonu marines, lecz nie chcieliśmy przywłaszczać sobie niczych łóżek, rozstawiliśmy więc polówki w jednym z licznych magazynów. Od chwili ataku na „Wersal” dopingowała mnie spora dawka adrenaliny oraz strachu i nie miałem ochoty na sen, lecz we względnym bezpieczeństwie ciepłego magazynu nagle poczułem nagromadzone zmęczenie. Oparliśmy karabiny o ścianę i z przemoczonych ciuchów marynarki przebraliśmy się w suche mundury marines, po czym położyliśmy się na skrzypiących leżankach.

– Sram ze strachu – przyznała Halley, gdy nasłuchiwaliliśmy cichego szumu klimatyzacji. Łóżka były krótkie i znacznie mniej wygodne niż koje na okręcie. Koce drapały i pachniały tak, jakby przez ostatnie pięć lat leżały w zakurzonej szowku.

– Rany, nie mam pojęcia dlaczego – odparłem. – Kwitnąca planeta, przyjaźni tubylcy...

– Czy choć czasami przestajesz być taki przemądrzały?

– Nie. Widzisz, to mój mechanizm obronny służący ukryciu faktu, że również sram ze strachu.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się. – Cieszę się, że nie jestem sama. Potrafimy nieźle przyciągać do siebie gówno.

– Nawet nie masz pojęcia.

Zsunęliśmy łóżka polowe, leżeliśmy tak blisko siebie, że niemal się dotykaliśmy. Wyciągnąłem rękę, by objąć jej ramiona, ona zaś przesunęła się lekko, by umożliwić się u

mojego boku, jakby właśnie na to czekała.

– Dzięki, że uratowałaś nam dzisiaj tyłki – wyszeptałem.

Podniosła głowę i wychyliła się, by mnie pocałować.

– Dzięki, że mi dzisiaj nie umarłeś – wymruczała.

Jakiś czas później ktoś przebiegł obok drzwi do magazynu i obudziłem się gwałtownie. Miałem wrażenie, jakbym drzemał jedynie kilka minut, ale gdy zerknąłem na zegarek, okazało się, że spałem ponad sześć godzin.

Bardziej wyczułem, niż usłyszałem rozbrzmiewające w powietrzu dudnienie. Podłoga pod naszymi leżankami wibrowała. Drżenie nagle ustało, by po kilku sekundach wrócić z większą mocą. Brzmiało jak bardzo delikatne trzęsienie ziemi albo wybuchające w oddali pociski artyleryjskie. Coś w tych niskich i miarowych wibracjach sprawiało, że odczuwałem ogromny niepokój.

Obok mnie Halley poruszyła się na łóżku. Wyciągnąłem rękę, by ją obudzić.

– Wstawaj i wkładaj buty. Szybko.

Drżenia pod naszymi stopami wracały co kilka sekund, za każdym razem trochę silniejsze. Każdemu wstrząsowi towarzyszyło niskie dudnienie w powietrzu, powolne i miarowe, niczym bicie ogromnego serca.

– Co to jest, do cholery? – spytała wciąż lekko zaspanym głosem Halley.

– Chyba wpadliśmy w kolejne głębokie gównno – odparłem.

Nad nami rozdzwonił się system alarmowy.

\* \* \*

Włożyliśmy buty i chwyciliśmy karabiny. Moja konsola administracyjna leżała we wstrząsoodpornym futerale obok łóżka, złapałem ją więc i zarzuciłem na ramię. Następnie pobiegliśmy do stołówki, gdzie reszta naszej małej ekipy ładowała już broń i zapinała paski uprząży.

– Niech wszyscy wezmą zestawy komunikacyjne – powiedział pierwszy oficer, gdy weszliśmy do pomieszczenia.

– Co się dzieje, sir? – zapytałem.

– Marines z dachu mówią, że coś się zbliża. Jeszcze nie widzą co, ale nadciąga przez zupę z północy. Mogę się domyślać, że jest zajebicie wielkie.

Pod naszymi nogami podłoga stacji znów lekko zadrżała, jakby na podkreślenie jego słów.

– Marines! – krzyknął kapral Harrison. – Brać wyrzutnie i biegiem na dach!

Nasi marines z „Wersalu” mieli teraz na sobie częściowe pancerne hełmy, napierśniki oraz pancerze na nogi, niewątpliwie pożyczone z zapasów tutejszego garnizonu. Każdy z nich wziął po wyrzutni MARS ze stołów, na których rozłożono zawartość zbrojowni desantowca, po czym wybiegli. Zostaliśmy w stołówce z kilkoma konsolowcami marynarki oraz małą grupką cywilnych techników o zatroskanych minach.

– Jeśli ktoś wie, jak korzystać z karabinu, niech go teraz weźmie – rozkazał Campbell.

Miałem karabin jeszcze z desantowca, ale mimo to podszedłem do stołów z resztkami zbrojowni okrętu, by zobaczyć, co marines nam zostawili. Zniknęły wszystkie MARS-y i ładunki rakietowe, ale zobaczyłem mnóstwo granatów do M-66. Naciągnąłem zapasową uprząż na roboczy mundur, po czym zacząłem wypełniać pętle oraz sakwy magazynkami i czterdziestomilimetroowymi granatami. Obok mnie Halley robiła to samo. Technicy jedynie kręcili się niespokojnie, zerkając na nas i przyglądając się pozostałym na stołach karabinom, jakby były jakimiś może i interesującymi, ale przerażającymi obiektami.

– Gdzie mamy być, sir? – Halley spytała komandora, gdy skończyliśmy się zbroić.

– Za cholere, nie wiem – odparł. – Znajdźcie dobre miejsce, żeby wykorzystać te karabiny. Marines siedzą na dachu głównego budynku. Ktoś musi zostać tutaj i obsługiwać komunikację.

– Mamy schron – powiedział cywilny administrator. – Jest w głównym budynku, na poziomie piwnicy. Posiada własny zapas powietrza i sprzęt komunikacyjny.

– Wspaniale – stwierdził Campbell. – Cywile, przyczajcie się tam. Poruczniku Benning, proszę iść z nimi i dopilnować, żeby ktoś podniósł słuchawkę, jeśli marynarka zjawi się i zacznie komunikować. Reszta na górę, żeby wspomóc oddział paroma karabinami. Idziemy, ludzie, zanim dotrą nasi goście.

\* \* \*

Odkąd wylądowaliśmy, deszcz zelżał. Stacja przetwarzania atmosfery miała płaski, pokryty gumą dach powierzchni miejskiego kwartału ulic. Mokra guma skrzypiała pod butami, gdy biegliśmy od wejścia do krawędzi, gdzie marines rozlokowali się w pozycjach bojowych. Nawet krótszy bok budynku liczył przynajmniej sto metrów szerokości i rozłożone wzdłuż niego trzy zespoły ogniowe miały między sobą sporo miejsca. Grupa w prawym rogu rozstawiała broń automatyczną, wielkokalibrowy karabin maszynowy umocowany na trójnogu i zasilany z dużych, przejrzystych pojemników z amunicją.

– Sojusznicy z tyłu! – krzyknął Campbell, gdy podchodziliśmy do marines znajdujących się na środku krawędzi. – Przyprawiliśmy parę osób do naciskania spustów, sierżancie.

– Nie zaszkodzi, sir – odparł sierżant Becker. – Im więcej, tym weselej.

– Gdzie mamy stanąć, synu? Pozwolę wam prowadzić ten interes, bo jestem bezwartościowy jako piechociarz. Mówcie mi tylko, gdzie mam stać i kiedy strzelać.

– Tak jest, sir – odrzekł sierżant. – Jeśli nie ma pan nic przeciwko, proszę podzielić po prostu swoich ludzi i wzmocnić moje trzy zespoły.

– Żaden problem – stwierdził komandor. – Chorąży Halley i szeregowy Grayson, idźcie do kaprała Harrisona. Porucznik Davis i porucznik Grazio niech idą do kaprała Schaefera i wykonują jego rozkazy. Ja zostanę tu z sierżantem i będę robił to samo.

Gdy dotarłem wraz z Halley do rogu budynku, na którym zespół ogniowy kaprała Harrisona rozstawił swój kramik, dobiegające do nas wstrząsy były już tak silne, że poruszały prefabrykowanymi elementami ścian budynku administracyjnego piętnaście metrów pod nami. Coś bardzo dużego zbliżało się przez mżawkę do stacji terraformującej. Zauważyłem, że Halley zerka na lądowisko, gdzie okręt desantowy przycupnął niczym odpoczywający wielki insekt. Generalnie rzecz biorąc, wolałbym znajdować się w tej chwili sześć kilometrów nad ziemią i po minie Halley widziałem, że ona również.

– Leci! – krzyknął marine z innego zespołu. – Na godzinie pierwszej, czterysta metrów!

Popatrzyliśmy we wskazanym kierunku i zaledwie kilkaset metrów od nas ujrzeliśmy w deszczu potężną masę, wciąż w znacznej mierze zakrytą przez spadającą wodę i mgłę, ale ogólny kształt i rozmiar były przerażające, zupełnie jakby nacierał na nas niszczyciel marynarki. Nagle nasz gość wyłonił się z mgły powolnymi, ogromnymi krokami, które wywoływały pod nogami małe trzęsienia ziemi.

– O kurwa – skomentował kapral Harrison. Na całej naszej niepozornej linii frontu słyszałem okrzyki zaskoczenia marines.

Nie było wątpliwości co do obcego rodowodu istoty, która kroczyła w stronę stacji po skalistym płaskowyzu. Mój umysł próbował dokonać sensownego porównania z czymś znanym z ziemskiej biologii i strzelił ślepakiem. Stworzenie wyglądało jednocześnie na gada, ptaka i ssaka. Widziałem wielką, bezoką głowę, powoli kiwającą się z boku na bok, i coś, co wyglądało jak ogromne połączenie mokrej od deszczu skóry koloru skorupki jaja. Przednie kończyny wydawały się znacznie dłuższe od tylnych i połączone pośrodku w sposób, który wydawał się niemożliwy pod względem konstrukcyjnym. Istota opierała ciężar ciała właśnie na nich, niczym wielki owocożerny nietoperz idący na skrzydłach. Nawet przy pochylonej sylwetce mierzyła zapewne z piętnaście czy dwadzieścia metrów wzrostu i wyglądała, jakby mogła się rozprostować dwukrotnie bardziej, gdyby tylko stanęła na tylnych kończynach. Ogólne wrażenie było jednocześnie znajome i niepokojąco obce.

– Działko! – krzyknął sierżant Becker. – Rozwalić to coś!

Na przeciwnym rogu załoga działka automatycznego otworzyła ogień. Odgłosy wydawane przez broń kojarzyły się z uderzeniami olbrzymiego młota. Trzysta pocisków na minutę wylewało się z niej powolnym, majestatycznym staccato. Obserwowałem, jak ładunki pędzą na spotkanie wyłaniającej się z mgły potężnej sylwetki, a następnie odbijają jaśniejącymi małymi eksplozjami, posyłając we wszystkich kierunkach iskry.

Obca istota wydała z siebie przeszywający wrzask, który nawet z tej odległości rozrywał bębni. Nie przypominał niczego, co słyszałbym wcześniej – był to wysoki, świdrujący skowyt, który wywołał u mnie ciarki i sprawił, że chciałem jak najszybciej zaszyć się w jakąś dziurę. Oddalony o czterysta metrów stwór zachwiał się i pochylił na bok, po czym odzyskał równowagę i szedł dalej na nas. Z powodu swych wymiarów sprawiał wrażenie, jakby poruszał się ociężałym, powolnym krokiem, jednak dystans między granicą mgły a stacją pokonywał z niepokojącą prędkością.

– To chyba jakieś jaja – powiedział obok nas kapral Harrison.

– Wyrzutnie raketowe! – krzyknął ze środkowego stanowiska sierżant Becker. – Ładuj, celuj i ognia na mój znak.



Działko automatyczne wciąż wypuszczało z siebie długie, miarowe strumienie. Obcy szedł prosto na nadlatujące pociski, a te odbijały się od niego, jakby nosił pancerz z ceramicznego kompozytu. Marines strzelali tak, by orać jego tors, próbowali znaleźć słabsze miejsce, ale wyglądało na to, że takie nie istniało. Standardowym pociskiem działka był nabój dwuzadaniowy, składający się z przeciwpancerneho penetratora uzupełnionego o burzącą głowicę odłamkową, posiadający wystarczającą siłę, by z odległości kilometra unieszkodliwić pojazd opancerzony. W zetknięciu z twardą skórą tego stworza pękał w deszczu iskier niczym przerośnięty fajerwerk. Istota była już wyraźnie zirytowana i wydawała przenikliwe skowyty, lecz wciąż na nas szła.

Na skraju dachu marines oparli na ramionach przysadziste tuby wyrzutni MARS i wycelowali w obcego. Miałem tylko karabin i niskociśnieniowy granatnik, który ledwo dorzuciłby pocisk na taką odległość, ale i tak otworzyłem komorę, by umieścić w niej granat odłamkowy.

– Na trzy. Raz, dwa, ognia!

Pół tuzina wyrzutni raketowych zagrzmiało w tym samym momencie i pół tuzina pocisków wyskoczyło z tub. Pomknęły w stronę obcej istoty, świecąc wydechami niczym rój bardzo dużych i bardzo złych świetlików. Jedna z rakiet nie doleciała do celu i trafiła w ziemię przed stworem, podrywając błoto i kamienie. Kolejna przemknęła obok obcego, chybiając o kilkadziesiąt centymetrów jego lewy bok, a pozostałe cztery głowice bojowe eksplodowały na torsie wielkimi kulami ognia, które rozświetliły noc w sporym promieniu.

Jednoczesne trafienie czterema raketami zdołało osiągnąć to, czego nie udało się działku automatycznemu. Istota przewróciła się i potoczyła po błotnistej ziemi, wrzeszcząc przeraźliwie. Marines zaczęli krzyczeć i wiwatować.

Działko przerwało trwający od dłuższego czasu ogień. Spojrzałem przez celownik optyczny karabinu i przełączyłem go na maksymalne powiększenie. Stwór miotał się po ziemi w odległości zaledwie trzystu metrów. Z miejsca, w którym trafiły go rakiety, unosił się dym. Wierzgające kończyny obcego podrywały błoto i piach. Nagle zdołał się opanować i powoli podniósł. Wykonał krok, jakby upewniając się, czy wciąż ma sprawne nogi, po czym podjął marsz w kierunku stacji, choć mniej pewnie niż wcześniej.

– Ja pierdolę – powiedziała w osłupieniu Halley.

Mogłem jedynie pokiwać głową, zgadzając się z dziewczyną. Stwór przyjął właśnie na siebie wystarczającą ilość środków wybuchowych, by rozerwać w drzazgi okręt desantowy, a jednak podniósł się i wyglądał tylko trochę gorzej niż wcześniej.

– Wyrzutnie, przeładować! – krzyknął na kanale komunikacyjnym sierżant Becker. – Załadować przeciwpancerne. Ruchy!

Operatorzy MARS-ów umieścili nowe ładunki w wyrzutniach, oparli broń o ramiona i wycelowali. Sam chętnie bym do nich dołączył, ale nasz wzmocniony oddział miał tylko sześć wyrzutni wyposażonych po trzy rakiety każda i wszystkie znajdowały się teraz w rękach marines. Dysponowałem jedynie karabinem, którego granatnik, zważywszy na okoliczności, mógłby równie dobrze strzelać mokrymi petardami, lecz i tak go uniosłem, po czym umieściłem krzyżyk celownika na stworze, który znów zbliżał się dudniącymi krokami.

– Na trzy. Raz, dwa, ognia!

I znów pół tuzina wyrzutni wypuściło swoją zawartość ze stłumionym hukiem. Ta salwa była trochę precyzyjniejsza niż pierwsza. Tylko jedna rakietka chybiła, reszta zaś ugodziła obcego. Lecący z ogromną prędkością penetrator musnął przypominającą tarczę wypukłość z tyłu głowy i ujrzałem odpadające odłamki. Inne głowice wbiły się prosto w środek torsu, choć z mniejszym efektem pirotechnicznym niż wcześniej.

Tym razem stwór padł naprzód ze skowytem, niesiony własnym pędem. Dopiero gdy zobaczyłem łeb ryjący bruzdę w ziemi najwyżej pięćdziesiąt metrów od lądowiska, na którym przycupnął nasz desantowiec, uświadomiłem sobie, jak blisko naszych pozycji dotarł obcy. Dach zatrzęsął się od siły uderzenia. Stwór znów zawył i zaczął się szamotać, mniej energicznie niż wcześniej. Przypominał mi trochę ptaka miotającego się po ziemi ze złamanym skrzydłem – powodowanego paniką, szałem, bezmyślną desperacją.

– Atakować bez rozkazu! – wrzasnął sierżant i obszar przed budynkiem administracyjnym zmienił się w siódmy krąg piekieł, gdy dwunastu marines zaczęło jednocześnie strzelać.

Na prawo od nas działko automatyczne znów otworzyło ogień. Wzdłuż całej krawędzi dachu karabiny fleszetowe rozpoczęły swój chrapliwy stukot. Wycelowałem w powalonego stwora i zacząłem wypuszczać granaty. Tuż obok Halley poszła w moje ślady.

Nasz mały wzmocniony oddział strzelał z każdej znajdującej się na dachu broni do leżącego obcego i panował ogłuszający hałas. Po kolei wystrzeliłem niewielki zapas granatów, jakie miałem w uprząży, ładując je pośpiesznie do komory, a gdy się skończyły, opróżniłem zawartość magazynka. Z tej odległości nie sposób było nie trafić w wielką sylwetkę. Wypuściłem jeden magazynek po drugim, dwieście pięćdziesiąt pocisków w trzysekundowych seriach, szpikując obcego strzałkami o tungstenowych czubkach tak szybko, jak tylko pozwalała mi technologia.

Istota przestała się poruszać, a my po prostu strzelaliśmy dalej w martwe ciało. Wciąż trzymałem palec na spuście i celownik na celu, dopóki iglica karabinu nie uderzyła w pusty zasobnik.

– Przerwać ogień, przerwać ogień! – zawołał ktoś na kanale komunikacyjnym i strzelanina stopniowo ucichła. Przez parę chwil jedynym słyszonym dźwiękiem był deszcz spadający na dach. W dole obcy stwór leżał bez ruchu, rozciągnięty w błocie ledwie kilkadziesiąt metrów od budynku administracyjnego. Wyrzuciłem magazynek z broni i zacząłem szukać kolejnego w sakwach uprząży, lecz uświadomiłem sobie, że wykorzystałem już cały zapas fleszet i granatów.

Ze strony marines dobiegły donośne wiwaty.

– Przygwoździliśmy skurwysyna! – wrzasnął kapral Harrison. Podobne okrzyki dobiegały od pozostałych. Gdy marines świętowali zwycięstwo, poklepując się po pancerzach i triumfalnie wznosząc pięści w powietrze, Halley i ja jedynie wymieniliśmy ostrożne spojrzenia. Spojrzałem na istotę leżącą nieruchomo na ziemi. Jej skóra wciąż dymiła w miejscach, gdzie granaty i pociski z działka automatycznego wyzwoliły swój śmiertcionośny ładunek w niesłychanie twardą skórę. Powaliliśmy ją, ale musieliśmy w tym celu wykorzystać wszystkie środki z naszego arsenału, a stwór mimo to zdołał dotrzeć bardzo blisko naszych pozycji.

Halley popatrzyła na obcego spod zmrużonych powiek i znów spojrzała na mnie ze znużeniem.

– Naprawdę cholernie mało brakowało – stwierdziła, wysławiając moje myśli.

Podłoga dachu zawibrowała pod naszymi stopami, a w powietrzu rozległo się znajome dudnienie, po którym mój żołądek znowu się zacisnął. Podniosłem wzrok i po minie Halley

domyśliłem się, że też to poczuła. Wszędzie wokół nas śmiechy i wiwaty cichły, gdy marines zauważali nowe wstrząsy. Tym razem wibracje były dziwnie niezharmonizowane, nie tak miarowe i rytmiczne jak wcześniej.

– O kurwa – oznajmiła Halley.

– Przeładować broń! – krzyknął sierżant Becker ze swojej pozycji pięćdziesiąt metrów na prawo od nas. – Podnieść wyrzutnie z powrotem, natychmiast!

Przy każdym stanowisku bojowym znajdowały się małe składy amunicji. Otworzyłem skrzynkę z magazynkami do karabinu i zauważyłem, że jest na wpół opróżniona, dwadzieścia z czterdziestu zostało już wykorzystanych. Jeden wcisnąłem do M-66, a dwa kolejne do sakw w uprzęży. Jeden z marines położył obok mnie MARS-a i z niewielkiego zapasu wziął pocisk raketowy.

– Tylko tyle nam zostało? – spytałem.

– Mieliśmy po trzy na wyrzutnię – wyjaśnił. – Właśnie zużyłem dwa, reszta nawet nie jest przeciwpancerna.

Usłyszałem ostrzegawcze okrzyki. Gdy się obróciłem, ujrzałem nie jednego, ale cztery obce stwory wyłaniające się kołyszącym krokiem z mgły w odległości zaledwie kilkuset metrów.

– O kurwa! – powtórzyła Halley.

# Rozdział 23

## Gaśnie światło

Nowo przybyli nie szli tą samą trasą co poprzedni gość. Zamiast tego przystanęli na samym skraju mgły, po czym rozsunęli się w szeroki front, jakby znali los swego kompana i ograniczenia naszej broni. Gdy wreszcie zaczęli zbliżać się po skalistym terenie w kierunku stacji, rozeszli się jeszcze bardziej, dopóki odstęp między nimi nie osiągnęły kilkuset metrów. Ich szereg mierzył teraz około ośmiuset metrów i poruszali się bardziej zdecydowanym krokiem niż ich poprzednik. Po naszej stronie znajdowało się tylko czternaścioro żołnierzy podzielonych na trzy zespoły, a zużyliśmy już trzy czwarte zapasu amunicji, nie miałem więc wątpliwości, że nie mamy szans powstrzymać tego nowego szturm.

Po prawej stronie dachu automatyczne działko znów rozpoczęło ogień. Przymocowany do niego wielki pojemnik z amunicją wykonany był z przezroczystego polimeru i nawet z odległości stu metrów widziałem, że pozostało w nim niewiele pocisków.

– Lewa flank! – wrzasnął kapral Harrison. – Strzelać w tego z lewego skraju. Atakować bez rozkazu!

Z powodu rozproszenia obcych zespoły musiały dzielić ogień. Nasz, skupiony wokół kaprala Harrisona, zaczął wypuszczać ładunki w stwora z lewej flanki. Podobnie jak wcześniej, przełączyłem karabin na pełen automat i zacząłem opróżniać magazynki w zbliżających się obcych.

– Tylko, kurwa, nie spudłuj tą rakieta – ostrzegł swego operatora MARS-a Harrison. – Zaczekaj, aż się zbliży. Cohen, łap swoją ostatnią i przeładuj mu, gdy opróżni tubę. Nie zmarnujcie amunicji.

Na prawo od nas ze stanowiska działka automatycznego dobiegły wiwaty. Popatrzyliśmy na prawą flankę i ujrzeliliśmy, że załoga działka celowała w nogi, zamiast, jak wcześniej, próbować trafiać w tors. Ich wysiłki wydawały się przynosić skutek. Stwór zgubił pewny i miarowy krok, gdy pociski zaczęły trafiać w jego dolne kończyny. Niektóre

odbijały się i znikwały w ciemnościach jak niesione wiatrem rozpalone węgielki, lecz część wyraźnie docierała do celu. Obcy wydał z siebie okropny, ogłuszający skowyt i potknął się, po czym upadł na ziemię z wdziękiem walącego się budynku.

– Strzelać w nogi! – dobiegło polecenie na kanale komunikacyjnym. – Celować nisko i strzelać w nogi!

Wymierzyliśmy w kończyny stwora, który kroczył przez płaskowyż w kierunku naszego rogu budynku. Przez celownik optyczny widziałem, że fleszety i granaty podnoszą piach przed wielkimi, trójpalczastymi stopami. To, co zdało egzamin przy lecących z ogromną prędkością pociskach z działka, nie sprawdzało się przy naszym żłosnym arsenale broni małokalibrowej. Wiedziałem, że większość moich serii trafiała w cel, ale obcy szedł dalej. Nagle nasz operator MARS-a wystrzelił jedną z dwóch pozostałych naszemu zespołowi rakiet. Usłyszałem znajome puknięcie i uniosłem głowę nad celownik, by obserwować tor lotu rakiety. Musnęła zewnętrzną stronę podudzia stwora i odbiła się, by wybuchnąć w błocie za obcym.

– Kurwa! – zawołał strzelec. Inny marine podniósł ostatnią raketę i wsunął ją od tyłu do wyrzutni, dokonując najszybszego przeładowania MARS-a, jakie widziałem. Zatrzasnął zasuwę i klepnął strzelca w ramię.

– Podnoś!

Strzelec znów wycelował. Tym razem stwór znajdował się tak blisko, że trafiłbym go dobrze rzuconym kamieniem. Wyrzutnia ponownie zagrzmiała i rakietę wyskoczyła z tuby. Ułamek sekundy później głowica burząca trafiła obcego w udo, w miejsce leżące między organami wyglądającymi jak rzepka kolanowa i biodro. Siła uderzeniowa wybuchu odepchnęła mnie o krok. Stwór zachwiał się i z wrzaskiem przewrócił na zranioną nogę. Upadając, zahaczył barkiem o róg budynku, wstrząs pozbawił mnie równowagi. Na szczęście powierzchnia dachu była wyłożona miękką gumą, lecz mimo to na tyle mocno uderzyłem w nią głową, że pokazały mi się gwiazdy. Kiedy po kilku sekundach odzyskałem ostrość widzenia, dotarło do mnie, że nie mam karabinu w rękach.

– Do tyłu, kurwa! – wrzasnął marine. – Podnosi się!

Oddział pospiesznie odsuwał się od krawędzi dachu. Czyjeś dłonie złapały za kołnierz mojego pożyczanego munduru. Gdy się odwróciłem, ujrzałem klęczącą przy mnie Halley.

– Idziemy! – krzyknęła.

Na prawo od nas pozostałe zespoły nie zdołały powtórzyć naszego skromnego i tymczasowego zwycięstwa. Dwa stwory idące w środku linii obcych dotarły do budynku. Tarczowate narośle na ich głowach ledwo wystawały ponad krawędź, lecz długie przednie kończyny sięgały znacznie dalej. Ujrzałem, jak trójpalczasta dłoń wysuwa się nad dach i wbija w gumową wykładzinę. Cały skraj poddał się potężnemu chwytowi niczym pokrywa z aluminiowej folii na tacy z jedzeniem. Drugi stwór nie zawracał sobie głowy taką ostrożnością. Po prostu zarzucił wielką łapę na dach, gdzie wylądowała z hukiem brzmiącym jak wybuchający pocisk artyleryjski. Tym razem wszyscy, którzy jeszcze stali, przewrócili się. Na prawo, pomiędzy naszymi pozycjami a stanowiskiem zespołu komandora Campbella i sierżanta Beckera, powstała nagle wyrwa.

Zdołałem się podnieść, pociągnąłem Halley za sobą. Powierzchnia dachu była teraz nachylona w kierunku szczeliny. Mój karabin leżał w odległości paru metrów, gdy rzuciłem się w jego stronę, stwór powalony przez nas zaledwie parę chwil temu dotarł już do ściany i wbił pazury w gumową wykładzinę tuż przede mną, szukając oparcia.

– Pieprzyć broń! – wrzasnęła Halley, odciągając mnie. – Musimy uciekać, natychmiast!

Nie widziałem, czy komandor i Becker wciąż żyją, ale nie zamierzałem czekać na polecenia, gdy obce behemoty rozrywały budynek pod naszymi stopami.

Bieg w kierunku zejścia z dachu wydawał się trwać dłużej niż ten w przeciwną stronę, a miałem wrażenie, że poruszam się dwukrotnie szybciej. Dobiegające z za nas odgłosy brzmiały, jakby ktoś ciskał z orbity fregatami.

Dotarliśmy do drzwi i stłoczyliśmy się w korcu, ponieważ wszyscy próbowali w tej samej chwili przecisnąć się przez wejście.

– Gdzie jest ten cholerny schron? – krzyknęła w panującym harmidrze Halley.

– Po schodach w dół do piwnicy! – zawołał w odpowiedzi któryś z marines, gdy znaleźliśmy się już w środku i zbiegaliśmy pierwszym biegiem schodów. – Na dole w prawo!

Pędziliśmy po schodach niczym stado spłoszonych zwierząt. Mignęło mi wspomnienie mierzonych zbiegnięć przed budynek na szkoleniu przygotowawczym i uznałem, że śmiertelne niebezpieczeństwo znacznie lepiej motywuje do szybkiego zejścia niż rozeźlony

starszy instruktor.

Nagle budynkiem wstrząsnęło potężne uderzenie i większość z nas znów straciła równowagę. Udało mi się przytrzymać oburącz poręczy i uniknąć rozbicia głowy o stopnie z azurowanej stali. Nad nami światła mrugnęły i zupełnie zgasły.

– Co jest, kurwa? – zawołał ktoś. – Jak zdołali odciąć prąd? To przecież jebana elektrownia fuzyjna!

– Idź dalej, głąbie! – odparł inny marine. – To nie ma teraz pieprzonego znaczenia!

Zbiegliśmy do piwnicy. Budynek ponad naszymi głowami trząsł się przy każdym uderzeniu. Przy braku mocy piwniczny korytarz oświetlały jedynie czerwone lampki awaryjne, które malowały go w niepokojącej tonacji. Na wyższym piętrze coś wielkiego walnęło o podłogę z potężnym hukiem, od którego zadrżały ściany. Poczujęm się jak jedna z tych małych świnek z baśni, uciekających przed wielkim złym wilkiem, który przyszedł zniszczyć dom.

Do schronu prowadził mały opancerzony właz wstawiony w niszę w korytarzu. W panującym tu półmroku powtórzył się korek z góry, gdy stłoczyliśmy się jednocześnie w małym zagłębieniu ściany. Marines z przodu zaczęli walić we właz pięściami oraz kolbami karabinów.

– Poruczniku Benning, otwórzcie ten pieprzony właz! – krzyknęła do mikrofonu systemu komunikacyjnego Halley.

– Rozumiem – dobiegła w słuchawkach stłumiona odpowiedź porucznika. – Odsuńcie się, właz się otwiera.

Marines odsunęli się od wejścia i ktoś ze środka odblokował je, po czym uchylił. Sam właz mierzył blisko trzydzieści centymetrów grubości, a betonowe ściany schronu były niemal dwukrotnie grubsze, lecz po tym, co widziałem na dachu, miałem wątpliwości, czy powinienem wpełznąć tam i pozwolić, by intruzi nas zdeptali. Część mnie chciała uciec, odnaleźć drzwi wyjściowe i pobiec między wzgórzami. Nagle marines z tyłu popchnęli mnie do środka i przez wąskie przejście kolejno znaleźliśmy się w schronie.

Bunkier był małym pomieszczeniem, już zatłoczonym przez cywilnych techników ze stacji. Gwałtowny napływ ludzi w zwałistych pancerzach sprawił, że zrobiło się jak w kajucie dla szeregowych na okręcie floty. Ktoś za mną zamknął właz i dobiegające z góry



paskudne trzaski oraz huki lekko przycichły.

– Wszyscy dotarli szczęśliwie na dół? – spytał głos, w którym rozpoznałem szorstki baryton komandora Campbella.

– Policzyć się! – krzyknął sierżant Becker.

– Rivers i Okuda wciąż są na górze – odparł ktoś. – Znajdowali się przy działku. Nie odpowiadają już na komunikatorach.

– Ech, cholera. – Sierżant Becker sprawdził stan magazynka w karabinie i przepchnął się przez tłum. – Dwóch z was pójdzie ze mną. McMurtry, Gonzales, na was trafiło.

– Odwołuję ten rozkaz – oznajmił Campbell. – Właz ma pozostać zamknięty.

Becker odwrócił się i zgromił wzrokiem komandora, który stał po drugiej stronie schronu.

– Sir, marines nie zostawiają swoich. Jeśli tam wciąż są moi ludzie, muszę po nich pójść.

– Zostalibyście na darmo zamienieni w mielonkę. Cały ten róg dachu już nie istnieje. Widziałem, jak go odrywali razem ze stanowiskiem działka. Wasi ludzie zginęli w akcji, sierżancie. Odstąpcie.

W szeregach marines rozległy się pomruki, lecz Campbell był bez wątplenia najwyższy rangą, a McMurtry i Gonzales wydawali się odczuwać ulgę z odwołania rozkazu. Halley i ja precyzyjnie przeszliśmy przez grupę opancerzonych marines stojących przy włączach i dołączyliśmy do komandora oraz porucznika Benninga w przeciwległym rogu.

Wszędzie wokół mnie rozbrzmiał nagle gwar rozmów, ponieważ cywile chcieli się dowiedzieć, co wydarzyło się na dachu, marines zaś chętnie mówili. Komandor Campbell opowiadał o wydarzeniach porucznikowi Benningowi, który dysponował tylko bardzo wrywkowym obrazem krótkiej bitwy z naszych sporadycznych transmisji radiowych.

Nastąpił nagły, potężny wstrząs, znacznie silniejszy niż wcześniejsze, i światła awaryjne zamigotały. Usłyszałem nieprzyjemny zgrzyt i uznałem, że właśnie zawala się na nas spora część budynku. Po chwili do pierwszego dołączył następny wstrząs, jeszcze bardziej przerażający, który brzmiał, jakby Chińczycy wystrzelili właśnie artyleryjski pocisk termobaryczny w korytarz tuż za włączem. Większość marines padła, krzycząc i

przeklinając. Halley i ja przykucnęliśmy, spoglądając na strop.

Bunkier był kwadratowym pomieszczeniem o boku około dziewięciu metrów, raczej skąpo umeblowanym. Na blacie w tylnej części stała konsola komunikacyjna, a wzdłuż ścian znajdowały się metalowe ławki przyśrubowane do betonowej podłogi. W pobliżu radiostacji było kolejne przejście, choć tylko z drzwiczkami, a nie z wjazdem. Gdy podszedłem tam i je otworzyłem, odkryłem mniejsze pomieszczenie, zajęte głównie przez toaletę chemiczną i regał pełen zapasów. W całym schronie nie było nic wystarczająco solidnego, pod co można by wpełznąć, gdyby intruzi zdołali zawalić nam dach nad głową.

Dobiegające z góry odgłosy torturowanego i jęczącego metalu osiągnęły przerażające crescendo. Czułem, jak podłoga bunkra trzęsie się przy każdym większym wstrząsie i uderzeniu. Byliśmy jak szczury w pudełku, które nie mają dokąd uciec ani gdzie się schować, jeśli to, co składało się na strop schronu, nie zdoła utrzymać ciężaru dwudziestopięciometrowego stwora. Zastanawiałem się, ile muszą ważyć te istoty, lecz uznałem, że lepiej nie przeprowadzać takich szacunków, gdy kilka z nich niszczy właśnie stację terraformującą.

– Co się stanie, jeśli rozerwą reaktor fuzyjny? – spytałem, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Pole utrzymujące przestanie działać, a elektrownia się wyłączy – wyjaśniła jedna z techników. Plakietka na jej brudnym kombinezonie głosiła: BARMORE.

– Czy te wielkie istoty wtedy zginą?

– Nie – odparła Barmore. – Jeśli nagle odetnie się dopływ energii do zwojów magnetycznych, mogą wybuchnąć, ale przy rozmiarze tych istot zapewne nie wyrządzi im to krzywdy.

– Cholera – stwierdziła Halley. Kiedy podążyłem za jej wzrokiem, na ścianie schronu ujrzałem pęknięcie, szerokie zaledwie na kilka milimetrów, lecz sięgające od stropu do podłogi. Światła znów zamrugały, po czym zgasty. Tym razem nie zapaliły się na nowo.

– Wyłączył się obwód awaryjny – powiedział jeden z techników.

– W życiu bym się nie domyślił – mruknął któryś marine.

Wszędzie wokół nas włączało się oświetlenie taktyczne panczerzy, wypełniając pomieszczenie niesamowitym czerwonym blaskiem. Wiatraki wentylacji kręciły się ospale,

dopóki się nie zatrzymały.

– Co teraz? – zapytała Halley.

– Mamy baterię akumulatorów zasilających trzeciorzędny obwód – rzekła technik Barmore. Podeszła do pomieszczenia z toaletą. – Mógłby mi tu ktoś poświecić?

Jeden z marines zbliżył się. Barmore zdjęła pokrywę z zawieszzonego na ścianie panelu i odsłoniła rząd staroświeckich mechanicznych przełączników z zaślepkami bezpieczeństwa. Przewłączyła kilka z nich i światła stropowe zapłonęły bezszelestnie. Po paru chwilach wiatraki systemu podtrzymywania życia znów zaczęły się kręcić, wyrzucając przy tym z siebie trochę betonowego pyłu.

– Na jak długo to wystarczy? – spytał komandor Campbell.

– Godzinę, może dwie – odparła Barmore. – Trochę dłużej, jeśli będziemy na zmianę wstrzymywać oddech.

– Sprawdzić amunicję i sprzęt – polecił sierżant Becker swoim marines. – Jeśli skończy się powietrze, wychodzimy. Nieważne, czy na zewnątrz będą wielkie jebane potwory, czy nie.

Popatrzyłem na żołnierzy, którzy nie wydawali się podchodzić entuzjastycznie do tej koncepcji. Dysponowaliśmy paroma karabinami M-66 i pistoletami, ale w powstałym chaosie nikt nie zdołał ocalić wyrzutni rakiet i wiedziałem, że nie mieliśmy wystarczającej siły ognia, by powstrzymać choć jedną z tych istot. Śmierć poprzez uduszenie nie znajdowała się jednak wysoko na liście pożądanych przez mnie sposobów utraty życia, uznałem więc, że jeśli marines przejdą przez ten właz, udam się wraz z nimi.

Konsola komunikacyjna zaczęła nagle piszczeć. Osoba, która korzystała z niej jako ostatnia, musiała zostawić pokrętło głośności na najwyższym poziomie i nagły hałas tuż obok sprawił, że aż się wzdrygnąłem.

– Do personelu WPA, do personelu WPA. Tu OWPA „Manitoba” na kanale awaryjnym. Jeśli ktokolwiek z personelu WPA słyszy ten przekaz, prosimy o odpowiedź.

Rozmowy w bunkrze natychmiast ucichły i wszystkie oczy skierowały się na konsolę. Zapadła absolutna cisza, jak po wybuchu pocisku. Komandor Campbell podbiegł szybko do radiostacji.

– „Manitoba”, tu pierwszy oficer „Wersalu”. Czy mnie słyszycie?

Zamiast odpowiedzi usłyszeliśmy tylko szum. Nagle wiadomość „Manitoby” powtórzyła się:

– Do personelu WPA, do personelu WPA. Tu OWPA „Manitoba”...

Komandor Campbell znów próbował odpowiedzieć, lecz „Manitoba” nie reagowała. Z frustracji uderzył pięścią w bok konsoli.

– Niech ktoś sprawdzi ten cholerny sprzęt. Jeśli nie uda nam się wezwać tu pomocy, koniec z nami.

– Transponder awaryjny musiał dolecieć do Alcubierre’a – odezwała się Halley. – I flota wysłała wsparcie. W tym miesiącu zaopatrzenie miał tu dostarczyć tylko „Wersal”.

– I cholernie dużo nam to da, jeśli ta konsola jest spieprzona – stwierdził komandor. Marines i cywilni technicy mruzcili coś do siebie w podnieceniu. Nad naszymi głowami intruzi dalej rozrywali stację na strzępy, lecz uderzenia i łomoty oddaliły się trochę, przesuając w kierunku drugiej strony kompleksu.

– Sprzęt jest w porządku – oznajmił technik, gdy sprawdził konsolę. – Najwyraźniej odbieramy. Z tego, co mogę stwierdzić, również wysyłamy, ale musiało się popsuć łącze z anteną na dachu.

– Czy ktoś z nas mógłby pobiec na dach z komunikatorem z pancerza? – spytała Halley.

Sierżant Becker pokręcił głową.

– Mógłby, ale komunikator z pancerza ma za mało mocy, żeby dotrzeć do okrętu na orbicie. Może zdołałby połączyć się z desantowcem oddalonym mniej niż, powiedzmy, dwieście kilometrów. Nie sięgnie jednak do samej orbity, nawet jeśli są tuż nad nami.

– A co z twoją Osą? – zapytałem Halley. – Oczywiście, jeśli jej nie zniszczyli.

Halley i komandor popatrzyli na mnie z zaskoczeniem.

– No jasne – rzekła. – Coś by z tego wyszło, gdyby udało nam się oderwać od ziemi. Ale czynności wstępne w zimnie i ciemności zajmują dziesięć minut. Pięć, jeśli pokazać palec regulaminom i instrukcjom bezpieczeństwa. Nie sądzę, żebyśmy dysponowali takim czasem, Andrew.

Spojrzała na zamknięty właz. Po jej minie widziałem, że szczególnie ma ochotę próbować dostać się do Osy, zważywszy na to, co kręciło się na zewnątrz. Mnie też się to nie uśmiechało. Niemal wręcz pożałowałem wypowiedzianych przez siebie słów, tak dręczył mnie wyraz zaniepokojenia na twarzy dziewczyny.

– Nie musisz siedzieć w ptaszku, żeby go przygotować – powiedziałem. – Jak zatankowaliśmy tę Osę na „Wersalu”? Nie byliśmy nawet blisko niej.

– Nie pamiętasz? Zrobiliśmy to przez sieć neuronową, a tu nie mamy sieci okrętowej, prawda?

Nagle przypomniałem sobie o konsoli administracyjnej wiszącej we wstrząsoodpornym futerale na moim ramieniu.

– Nie mamy – stwierdziłem, czując, jak do mózgu napływa adrenalina. – Dysponuję za to całkiem niezłą przenośną.

Poklepałem pokrowiec u mego boku. Spoglądała na niego przez chwilę, nie rozumiejąc. Nagle otworzyła szerzej oczy.

– Andrew – odezwała się – za samo to wlaźłabym znów na twoją pryczę na przygotowawczym.

– Potrzebuję tylko kontaktu wzrokowego z desantowcem. Bezprzewodowa sieć konserwacyjna ma zasięg stu metrów. – Popatrzyłem na Halley. – Proszę, powiedz mi, że znasz główny kod dostępu do interfejsu sieciowego okrętu.

Wahała się moment, po czym wyciągnęła zza munduru swoje nieśmiertelniki. Obróciła dolną blaszkę. Na laminowanym pasku polimeru widniały zapisane ręcznym pismem liczby.

– Nigdy nie mogłam zapamiętać tego zajebicie długiego kodu, więc szef załogi mi go zapisał.

– Czy możemy dokonać transmisji z ziemi, zza osłony? – spytałem.

– Komunikator ma moc pięciu megawatów – poinformowała Halley. – Ale w otoczeniu gór i w tej zupie? Mogą nas w ogóle nie usłyszeć, dopóki nie znajdą się bezpośrednio nad nami na orbicie. Jeśli chcemy mieć pewność, musimy wzlecieć i dostać się nad chmury burzowe oraz te góry. Z pułapu sześciu kilometrów usłyszą mnie na niemal całej półkuli.

– Niech marines zapewnią osłonę panu Graysonowi i pani chorąży – polecił komandor

Campbell. – Jeśli jedna z tych istot tu wróci, będziecie musieli po prostu na tyle długo odwracać jej uwagę, by chorąży Halley wystartowała.

Sierżant Becker rozejrzył się po swojej obszarpanej grupie zmęczonych żołnierzy, po czym przytaknął i znów uniósł karabin.

– Powstać, marines. Zabawmy się w asystę.

\* \* \*

Przedzieranie się na powierzchnię przez zasypane gruzem zejście do piwnicy zajęło dobre dziesięć minut męczącej i brudnej wspinaczki oraz przeciskania się przez przeszkody z zawałonego betonu i stali. Gdy dotarliśmy wreszcie do drzwi na zewnątrz, Halley i ja musieliśmy usiąść, by odetchnąć. Dudniło mi serce, a niepokój ścisnął pierś niczym kłamra.

Sierżant Becker powoli uchylił jedno ze skrzydeł podwójnych drzwi i wyśliznął się cicho, by rozejrzeć na zewnątrz.

– Wychodźcie – powiedział po paru chwilach. Z oddali dobiegały trzaski i hurgoty, lecz już mniej szalone i gwałtowne.

Ruszyliśmy za Beckerem. Gestem wskazał swoim marines, by zajęli pozycje osłaniające, żołnierze rozproszyli się, trzymając karabiny w gotowości. Bez broni w dłoniach czułem się tu jak na patelni.

Zniszczenia na powierzchni miały szokujące rozmiary. Obróciłem się u szczytu schodów, by spojrzeć na budynek, i zauważyłem, że z tej strony stacji nie została się żadna budowla. Jak okiem sięgnąć widziałem rozrzucone dźwigary i odłamki betonu. To, co dawniej składało się na frontową jedną trzecią stacji terraformującej Willoughby Cztery-Siedem, zamieniło się w stertę gruzu. W odległości stu metrów zawaliła się część pozostałego budynku, a kondygnacje zapadły się na siebie niczym warstwy niezdarnie zrobionej kanapki. Przez wyrwę w gruzach spojrzałem w kierunku lądowiska, na którym Halley zostawiła Ose, i ledwo zdołałem dostrzec końce pionowych stateczników na ogonie.

Padający deszcz tworzył zimną, stalowoszarą kurtynę. Po dwóch minutach przebywania na zewnątrz miałem już zupełnie przemoczony mundur. Konsola administracyjna, tak bardzo teraz dla nas ważna, wisiała na pasie balistycznym u boku, otulona futerałem, który był

wodoodporny i niewrażliwy na strzały z broni krótkiej, a więc wytrzymałszy niż jego właściciel. Halley przycisnęła się do ściany na lewo ode mnie i pobiegła w kierunku narożnika budynku, znajdującego się dobre siedemdziesiąt metrów od podwójnych wrót rampy prowadzącej do piwnicy. Gdyby któraś z ogromnych istot wyszła teraz zza tego rogu, Halley nie zdążyłaby uciec z powrotem do schronu. Zebrałem się w sobie i pobiegłem za dziewczyną.

Po drodze musieliśmy wspinać się na sterty gruzu i kluczyć pomiędzy pogiętymi dźwigarami oraz zmiądzonym żelazobetonem. Odgłosy niszczenia przeniosły się na środek i tył budynku. Przy tak silnym deszczu bez uspokajającego wsparcia elektroniki hełmu nie dałoby się widzieć na więcej niż sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów.

Halley dotarła do narożnika i przykucnęła, po czym wyjrzała. Obróciła się do mnie z uśmiechem.

– Wciąż tam jest. Rób swoje, Andrew. Pospiesz się.

Nie potrzebowałem zachęty. Przyklęknąłem w błocie i odpiąłem pokrywę futerału. Osa Halley znajdowała się jakieś sto metrów od tego, co pozostało z frontowej ściany budynku, a więc w górnej granicy krótkodystansowego interfejsu sieciowego desantowca. Włączyłem konsolę i uruchomiłem wyszukiwanie wirtualnych gniazd serwisowych w okolicy.

– Kurwa – sapnąłem, gdy nic nie pokazało mi się na ekranie.

– Co się stało? – zapytała Halley. W oddali rozległ się potężny huk, obejrzała się więc za siebie zaniepokojona, po czym wróciła do mnie wzrokiem.

– Nie mogę znaleźć gniazda. Pewnie jesteśmy za daleko. A może to przez deszcz? Albo jedno i drugie. Muszę podejść bliżej.

Rozejrzałem się i pobiegłem po otwartym terenie w kierunku zimnego i ciemnego desantowca. W odległości pięćdziesięciu metrów duży, poszarpany płat wyściółki dachu leżał na ziemi niczym pomięty namiot. Wśliznąłem się pod niego, by mieć jakąś osłonę. Za moment usłyszałem za sobą plusk i Halley dołączyła do mnie.

– Powiedz, że odbierasz sygnał.

Zerknąłem na ekran konsoli i ponownie przeskanowałem otwarte porty sieciowe. Tym razem wyskoczył dostępny węzeł.

– Odbieram sygnał. Poproszę hasło.

Halley ściągnęła przez głowę nieśmiertelnik. Wytarłem go o przemoczony mundur i odczytałem kod, wpisując jednocześnie do konsoli.

– Jestem w środku. Chodź tu i pomóż mi z procedurami wstępnymi.

Halley podpełzła bliżej.

– Pomiń sprawy nieobowiązkowe. Potrzebuję awioniki, sterowania i włączonych silników. Całą resztę mogę uruchomić po oderwaniu się od ziemi.

Przechodziłem przez elementy panelu kontrolnego i po kolei włączałem wskazywane przez dziewczynę obwody.

– Systemy elektryczne włączone.

Przed nami rozbłysły lampy w kokpicie Osy. Na końcówkach skrzydeł światła pozycyjne zaczęły mrugać czerwienią i zielenią.

– Główna magistrala danych włączona. Awionika włączona.

– Gdy będziesz uruchamiać silniki, rób to po kolei – poinstruowała mnie Halley. – Bez dodatkowej mocy jedziesz na samych akumulatorach. Nie mają w sobie dość prądu, żeby odpalić oba wiatraki naraz.

– Jasne. – Pozwoliłem jej spojrzeć na sterowanie systemami paliwowymi i wskazała na ekranie odpowiednią pozycję.

– Tamto. Włącz zawór poprzeczny i uzupełniające pompy paliwa. Zaczekaj z silnikami, dopóki cała reszta się nie włączy. Zrobią hałas.

– Ile czasu potrzebują, zanim będziesz mogła wystartować?

– Minutę, może półtorej.

Wszystkie sprawdziany, jakie robili nam w Szkole Sieci Neuronowych, zupełnie nie potrafiły oddać napięcia, jakie teraz odczuwałem, przygotowując Osę do awaryjnego startu z nieprzyjaznego świata. Nie pozwalałem sobie na zastanawianie, co się stanie, jeśli schrzanię sprawę i stracimy jedyną okazję na oderwanie desantowca od ziemi.

– Daj znak, a odpalę silniki – powiedziałem Halley.

Wciągnęła niepewnie powietrze i wyjrzała na zewnątrz, gdzie światła pozycyjne Osy



malowały deszczową noc zielonymi i czerwonymi pasmami.

– Zrób to – rzekła.

Nacisnąłem ten fragment opryskanego deszczem ekranu, na którym widniał napis: SILNIK #1 SEKWENCJA STARTOWA INICJUI/PRZERWIJ.

Pięćdziesiąt metrów przed nami lewy silnik Osy ożył z cichym jękiem, który z każdą chwilą narastał. Dziesięć sekund później przerodził się już w chrapliwy warkot.

– Dwadzieścia procent. Dwadzieścia pięć. Trzydzieści.

– Odpal drugi, gdy ten osiągnie czterdzieści.

– Rozumiem. – Trzymałem palec nad polem oznaczonym: SILNIK #2 SEKWENCJA STARTOWA INICJUI/PRZERWIJ.

Rozbrzmiewające za nami od czasu do czasu odgłosy demolowania ucichły.

– O-o – odezwała się Halley.

Zaraz też odczuliśmy znajome niskie wibracje, od których trzęsła się lekko ziemia pod naszymi ciałami.

– Marynarze, spadajcie stąd, do cholery! – w moich słuchawkach rozległ się głos sierżanta Beckera. – Zaraz nawiążemy kontakt bojowy. Jedno straszycło nadchodzi od południowej ściany.

Z południowej strony zniszczonego kompleksu dobiegły odgłosy strzelaniny: wysoki grzechot karabinów fleszetowych ustawionych na jak najszybszy ogień automatyczny. Spojrzałem na ekran.

Czterdzieści procent.

Nacisnąłem ekran tak mocno, że zostawiłem ślad na osłonie z polioplastu. Drugi silnik włączył się, a jego cichy początkowo jęk w większości utonął pod dudnieniem, jakie wydawał teraz z siebie pierwszy.

– Otwórz właz boczny! – krzyknęła Halley. – A później biegnij, do cholery!

Wykonałem jej polecenie, gdy się podnosiła. Potrzebowałem paru chwil, by odnaleźć menu sterujące włazami, a kiedy włączyłem odpowiednią opcję, Halley była już w połowie drogi do ptaszka. Wstałem i pobiegłem za nią.

Za nami rozpętało się piekło. Niektórzy marines wciąż dysponowali granatami do karabinów i słyszałem odgłosy wystrzałów, a po nich dość ciche, choć dobitne eksplozje. Nagle rozległ się ogłuszający skowyt. Obejrzałem się przez ramię i natychmiast tego pożałowałem. Jeden z ogromnych obcych wyłaniał się z deszczu, górując nad szczątkami południowo-wschodniego narożnika stacji terraformującej. Wciąż częściowo zasłaniały go chlapa i ciemność, ale błyski z luf i wybuchających granatów zapewniały wystarczająco dużo światła, bym widział, jak szybko się porusza. Tkwiłem pomiędzy budynkiem a Osą, a kierunek biegu stwora pozostawiał mi tylko jedną drogę. Nie udałooby mi się dostać z powrotem do wrót do piwnicy, przy których marines zajęli pozycje osłaniające.

– Spadajcie stąd! – wrzasnął znów ponad harmidrem sierżant Becker. – Za dziesięć sekund wchodzimy pod osłonę.

Obróciłem się z powrotem do desantowca Halley i wykonałem najszybszy sprint na pięćdziesiąt metrów w życiu. Właz znajdował się po drugiej stronie, prześliznąłem się więc pod brzuchem Osy, by nie dostać się pod wydechy silników, i podniosłem szybko, po czym wskoczyłem w otwarte wejście.

Halley siedziała już w swoim fotelu. Za nami, w martwym polu ogona desantowca, rozległ się kolejny przeszywający skowyt, tak głośny, że przytłumił silniki Osy.

– Siadaj i trzymaj się! – krzyknęła Halley. Rzuciłem się na opancerzony fotel drugiego pilota w chwili, gdy chwyciła drążki. Nie miałem nawet czasu się przypiąć, zanim Osa poderwała się w górę i pomknęła naprzód. Za grubymi polikarbonowymi szybami kokpitu drogę blokowały nam szczątki obcego, którego zabiliśmy wcześniej z dachu, i Halley zakłęta, podnosząc dziób Osy, o włos unikając zderzenia z martwym cielskiem. Za nami ciemność i deszcz zasłaniały wszystko, my zaś pędziliśmy przez noc pełnym ciągiem. Halley przedkładała szybkość nad wysokość. Zerknąwszy na nią, zauważyłem, że nie miała hełmu – a co za tym idzie również widzenia w ciemnościach oraz infrawizji – leciała więc na ślepo i głucho. Przypomniałem sobie, ile stromych wzgórz otaczało stację, i otworzyłem usta, by coś do niej krzyknąć, lecz jedno spojrzenie na twarz dziewczyny uświadomiło mi, że w pełni zdawała sobie sprawę z tego problemu. Ostro skręciła Osą w prawo i poderwała dziób, by nabrać wysokości.

Gdy minęła minuta, a żadna góra nie wyłoniła się z mroku i na nas nie wpadła, pozwoliłem sobie znów odetchnąć. Halley przestała wznosić się po spirali,

wypoziomowała okręt i przełączyła coś na swojej konsoli. Kąt skrętu stał się łagodniejszy, wyrównaliśmy lot. Następnie puściła drążki i przypięła się. Poszedłem za jej przykładem i włożyłem hełm, który wcześniej zrzuciłem w pośpiechu z fotela.

– Tak lepiej – stwierdziła Halley, gdy włączyła systemy hełmu i opuściła wizjer.

Po uruchomieniu swojego też ujrzałem znów świat zewnętrzny, aczkolwiek w rozmaitych odcieniach zieleni. Znajdowaliśmy się nad wzgórzami otaczającymi stację terraformującą i łagodnie wznosiliśmy prawoskrętem w chmury.

– Plan niemal poszedł się walić – stwierdziła Halley. – To chyba był najszybszy start, jakiego ktokolwiek próbował z Osą.

Ustawiła okręt na autopilocie i włączyła kolejne systemy. Pozwoliłem sobie sprawdzić, czy nie muszę zmienić spodni od munduru. Na szczęście nie.

– Co teraz? – spytałem.

– Teraz włączymy radio, wzniesiemy się ponad zupę i odezwiemy do naszych przyjaciół w przestrzeni – odparła Halley. – A później wyląduję gdzieś bezpiecznie i będę miała zawał.

\* \* \*

– „Manitoba”, tu Żądło Sześć-Dwa, okręt desantowy z OWPA „Wersal”. Czy mnie słyszycie, odbiór?

– Żądło Sześć-Dwa, słyszę cię pięć na pięć. Jaki jest twój status i pozycja, odbiór?

Odpowiedź z orbity była czysta jak kryształ. Krążyliśmy w pętli nad Willoughby Cztery-Siedem, sześć kilometrów nad ziemią i jedynie około trzysta metrów nad pokrywą chmur, które teraz zasłaniały większość kontynentu, jak tylko daleko mogliśmy sięgnąć wzrokiem.

– „Manitoba”, mamy sojusznicy personel wymagający ewakuacji i bezpośredniego wsparcia lotniczego w stacji terraformującej Willoughby Cztery-Siedem. Nieprzyjazne formy życia atakują stację. Stan osobowy wynosi dwa pięć, wszyscy ukryci w bunkrze.

– Rozumiem, Sześć-Dwa. Czekać.

Radiooperator brzmiał dość formalnie jak na kogoś, kto właśnie został poinformowany, że na planecie znajdują się obcy.

Po paru chwilach „Manitoba” odezwała się ponownie.

– Sześć-Dwa, tu „Manitoba”. W stronę twojej pozycji wylatuje właśnie eskadra Dzierzb i dwa okręty desantowe. Przewidywany czas przybycia bezpośredniego wsparcia lotniczego siedem minut. Ich sygnał wywoławczy to Hades. Gdy znajdą się blisko, zgłoszą się do ciebie dla weryfikacji celu. Eskadra ewakuacyjna przyleci, gdy tylko Dzierzby posprzątają.

– Odbiór, „Manitoba” – oznajmiła Halley, uśmiechając się do mnie. – Schodzę z powrotem pod pokrywę chmur, by wskazać wam cel. Widoczność jest tam gówniana. Oznaczę nieprzyjaciół desygnatorami. Nie przegapicie ich, bo mają dwadzieścia pięć metrów wzrostu.

– Uhm... Odbiór, Sześć-Dwa.

\* \* \*

Halley zaczęła opuszczać Osę przez pokrywę chmur. Zejście było mniej przerażające niż podróż na ślepo w górę, jednak wciąż trzymałem się kurczowo poręczy, gdy wiatr miotał sześćdziesięcotonowym okrętem jak korkiem wrzuconym do wezbranego potoku.

Gdy chmury się rozstały, byliśmy mniej niż sto pięćdziesiąt metrów nad ziemią. Halley skierowała się z powrotem do stacji terraformującej, teraz zupełnie ciemnej. Nawet z odległości kilometra widziałem wokół zniszczonego budynku ogromne stwory. Wznosiły powolne i metodyczne niszczenie stacji. Przybliżyłem obraz i zadumałem się, jak całkowicie niewłaściwa była ich fizjologia. Wyglądały, jakby ktoś wziął najohydniejsze elementy nietoperzy, jaszczurek, ptaków oraz ludzi i pozlepił je w niemożliwie wysoką, smukłą sylwetkę.

Na tyle, na ile pozwalał na to wiatr, Halley zawisała desantowcem w powietrzu, a następnie uruchomiła system celowniczy.

– Boże, jak żałuję, że nie mam na węzłach paru rakiet. Albo chociaż stu ładunków do tego działka. – Nałożyła siatki celownicze na wszystkie cztery istoty i z ponurą miną nacisnęła na drążku przycisk „UZBRÓJ/STRZAŁ”.

– Żądło Sześć-Dwa, tu Hades Trzy-Zero na kierunku powietrze–ziemia. Powiedz mi, kto tam jest.

– Hades Trzy-Zero, nasi przebywają w schronie w piwnicy stacji – odparła Halley. –

Ja wiszę kilometr na południowy wschód i wystawiam wam nieprzyjaciół. Powtarzam, wszyscy nasi są w schronie. Odpalajcie na moje desygnatory, gdy będziecie w zasięgu.

– Odbiór, Sześć-Dwa. Zaczekaj. I lepiej zatkaj sobie uszy.

Nie było żadnego ostrzeżenia, żaden odgłos silników nie zapowiedział przybycia okrętów szturmowych. Pierwszą oznaką obecności eskadry bliskiego wsparcia lotniczego był niski, terkoczący ryk wielkiego działka automatycznego, wyrzucającego pociski z niezwykłą szybkością. Kilometr przed nami jeden z obcych zniknął w deszczu trafień wysokokalibrową amunicją. Chwilę później szturmowiec Dzierzba przemknął obok nas na pełnym ciągu, od którego aż zatrzęsło naszą Osą. Pilot Dzierzby jeszcze przez sekundę prażył do stwora, po czym odbił w prawo i znów zniknął w chmurach. Gdy opadł pył, obcy leżał na ziemi, szamocząc się.

Z innego kierunku przez pokrywę chmur przebiło się pół tuzina odrzutów raketowych. Spotkały się przy stacji terraformującej, podążając za promieniami celowniczymi Halley i lecąc w stronę wielkich istot. Powstała kula ognia była tak jasna, że włączyły się filtry hełmowe, na chwilę zupełnie zaciemniając mi widok. Gdy wróciła możliwość widzenia, żaden z obcych już nie stał.

Halley odetchnęła głęboko.

– Wygląda na to, że można być zbyt zmęczonym, żeby się cieszyć – powiedziała.

\* \* \*

Osa wylądowała na czystym kawałku ziemi spory kawałek od stacji. Halley wyłączyła silniki i poklepała konsolę. Nad nami Dzierzby latały na niskim pułapie, wypatrując ewentualnych kolejnych intruzów.

– Zostało paliwa na osiem minut – rzekła. – Dzięki, że wytrzymałaś, Sześć-Dwa.

Wyszliśmy z desantowca, akurat gdy silniki zamierały z drzeniem. Podszedłem do wielkiego kawałka betonu, usiadłem na nim i nagle poczułem silną potrzebę położenia się po prostu na mokrej ziemi. Halley podeszła i ze stęknieniem opadła obok mnie na piach, nie przejmując się szukaniem choćby prowizorycznego siedziska. Kilkaset metrów przed sobą widzieliśmy, co zostało ze stacji terraformującej: niewiele więcej niż sterta poskręcanej stali i betonowego gruzu.

– Mam już dość wymykania się śmierci o włos, jak na jeden dzień – stwierdziła Halley.

– Mam nadzieję, że to się liczy jako porażka – powiedziałem do niej – bo jeśli to zwycięstwo, to naprawdę nie chciałbym zobaczyć, jak wygląda, gdy kopią nam tyłki.

# Rozdział 24

## Koniec początku

Marynarka choć raz pojawiła się przygotowana. Następna eskadra okrętów desantowych, które trzydzieści minut później wyłoniły się z ciężkich od deszczu chmur, była po czubki skrzydeł obładowana zasobnikami z artylerią powietrze–ziemia. Gdy desantowce lądowały przy ruinach Willoughby Cztery-Siedem, Dzierzby wciąż krążyły w górze. W momencie, gdy tylne rampy opadły na błotnisty grunt, z każdej Osy wybiegł pełen oddział marines w hermetycznych pancerzach bojowych.

– Cieszymy się na wasz widok – powiedział pierwszemu z nich komandor Campbell, gdy dotarli do naszej obszarpanej i zmęczonej grupki ocalałych. – Robi się tu trochę nieprzyjemnie.

– Tak słyszeliśmy – odrzekł marine. Ponieważ tkwił w hermetycznym pancerzu, jego głos wydobywał się z głośnika w hełmie i w związku z tym brzmiał niepokojąco sztucznie. – Widzę, że mieliście małe kłopoty z sąsiadami.

Pod osłoną świeżo przybyłych żołnierzy podbiegliśmy do czekających desantowców. Gdy wchodziłem po rampie najbliższej Osy, zobaczyłem, że właz do kokpitu jest zamknięty, a stojący przy panelu sterowania rampą szef załogi również ma w pełni hermetyczny kombinezon.

Piloci okrętów desantowych nie tracili czasu na podziwianie widoków. Gdy tylko nasza zbieranina cywilów, marines oraz niedobitków z marynarki została rozdzielona między dwie Osy, zwiększyli obroty silników i wystartowali, zanim jeszcze rampy ładunkowe zamknęły się do końca.

– Ewakuowaliście jeszcze kogoś z moich ludzi? – spytał komandor dowódcę zespołu marines, siedzącego w ładowni na ławce naprzeciwko niego.

Marine pokręcił głową.

– My nie, sir. Ale wszędzie tu latają eskadry bezpośredniego wsparcia lotniczego. Myślę, że wysłali na dół chyba wszystkie desantowce z grupy uderzeniowej lotniskowca.

– Co jest na orbicie?

– Grupa uderzeniowa lotniskowca Sześćdziesiąt-Trzy, sir. „Manitoba”, dwa krążowniki, dwa niszczyciele i fregata.

– Nieźle – uznał komandor. – Sporo do nas wysłali.

– Byliśmy po prostu w okolicy. Prowadziliśmy manewry z użyciem ostrej amunicji w pobliżu Deimosy. Mieliśmy ćwiczyć szturmy w zerowej grawitacji, ale nagle nasz transponder wyskoczył z Alcubierre’a i zaczął wyć.

– Przepraszam, że zepsuliśmy wam ćwiczenia – rzekł Campbell, a marine zachichotał.

– Nie ma za co, sir. Desant bojowy zawsze jest lepszy od ćwiczeń. Jeszcze trzy zrzuty i będę mógł przypiąć odznakę mistrza.

Tym razem to komandor zachichotał.

– W bieżącej sytuacji chyba dość szybko zaliczysz odpowiednią liczbę desantów bojowych, synu.

\* \* \*

Osa nie miała okien w ładowni, wiedziałem, że opuściliśmy atmosferę Willoughby, gdy uniosłem się w pasach. Usłyszeliśmy zmianę odgłosu silników, kiedy desantowiec przeszedł w tryb lotu w przestrzeni i wspinał się na orbitę, by spotkać się z lotniskowcem.

Wrażenie ruchu naprzód i ciężenia wróciło, gdy weszliśmy w pole sztucznej grawitacji lotniskowca. Nigdy nie przebywałem w okręcie desantowym, który przybijałby do czegoś znajdującego się w przestrzeni, i spodziewałem się odczuć podobnych do tych podczas procedury dokowania promu, gdy przyleciałem do Szkoły Floty na Lunie, lecz nasze płozy po prostu spoczęły na twardej powierzchni, po czym znów znaleźliśmy się w ruchu, tym razem opuszczani na platformie wielkiej windy.

W końcu rampa ładunkowa otworzyła się, a na nas czekał komitet powitalny. Pokład lotniczy lotniskowca był ogromny w porównaniu z przestrzenią na dwa okręty na „Wersalu”. Widziałem rzędy desantowców i Dzierzb, poza tym wrzała tu aktywność: załogi w uniformach odpowiedniego koloru tankowały i uzbrajały zaparkowane pojazdy. Część, w której stanął nasz okręt, została oddzielona od reszty pokładu przezroczystą barierą z elastycznego polimeru, a niedaleko ustawiono namiot dekontaminacyjny.



– Cóż, tęskniłam za porządnym prysznicem – stwierdziła Halley cierpko, gdy zobaczyła ekipę do zwalczania zagrożeń chemicznych w pełnym osprzęcie ochronnym, gestami wskazującą nam kierunek do namiotu. – Tyle że nie na środku pokładu lotniczego, na oczach połowy załogi lotniskowca.

\* \* \*

Zostaliśmy wyszorowani, splukani i oblani dziesiątką różnych substancji, zanim chemiczni pozwolili nam założyć świeże mundury. Nawet po dekontaminacji uzbrojeni marines oddzielali nas od reszty załogi. Zostaliśmy wprowadzeni do dużego pomieszczenia wyglądającego jak pospiesznie opróżniony magazyn i stado lekarzy oraz pielęgniarek rzuciło się na nas, by opatrzyć drobne zadrapania i stłuczenia. Gdy wreszcie uznali, że nikomu z ewakuowanych nie wyrosną nagle macki i nie pożremy reszty załogi, skierowano nas do kolejnego pomieszczenia, tym razem do sali odpraw wystarczająco dużej, by spokojnie pomieścić pluton żołnierzy. Przed pulpitem dla spikera ustawiono stoły na kółkach, pełne tac z kanapkami oraz dzbanków z napojami.

Ustawieni wokół stolików, pochłanialiśmy kanapki i wysączaliśmy litry marynarskiego soku z żuków, kiedy do pomieszczenia weszła grupa oficerów. Rozdzielili nas i zabrali na przesłuchania do mniejszych pokojów. Nie podobało mi się, że po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, odseparowali mnie od Halley, i przez chwilę walczyłem z ochotą, by uderzyć chorążego marynarki, który ją wyprowadzał. Trafiłem w róg części warsztatowej jednego z hangarów, a przy stole naprzeciwko mnie siedziało dwóch oficerów. Pierwszy z nich był komandorem podporucznikiem z odznaczeniem za walkę w przestrzeni, drugi zaś porucznikiem z wywiadu wojskowego. Pomimo niższego stopnia to właśnie on kierował rozmową.

Znałem niechętnie podejście wojska do zagubionego i zepsutego sprzętu, a zważywszy na fakt, że właśnie straciliśmy okręt wart ponad miliard dolarów Wspólnoty wraz z całym znajdującym się na pokładzie wyposażeniem, spodziewałem się niezbyt przyjaznego magła ze strony oficera M1. Przesłuchanie przebiegło jednak w niemal sympatycznej atmosferze, obyło się bez oskarżeń. Oficerowie wysłuchali mojej wersji wydarzeń, poczynając od naszego wyjścia z Alcubierre'a, a kończąc na przybyciu desantowców ratunkowych mniej niż godzinę wcześniej.

– Mogę panom powiedzieć, że zostaliśmy ostrzelani na orbicie, ale nie mam pojęcia,

jak to się stało. Gdy opuszczaliśmy „Wersal” na zapasowym okręcie desantowym, w pobliżu nie było widać żadnych innych okrętów.

– To nie był okręt – powiedział komandor podporucznik. – Przylecieliśmy z włączonymi wszystkimi czujnikami. Nasi nowi przyjaciele istotnie trochę tu pozmieniali i na razie tylko tyle mogę wam powiedzieć.

– Czyli co, wpadliśmy na coś? Na jakieś orbitalne pole minowe?

Oficer floty popatrzył na swego towarzysza z M1.

– Tak – przyznał porucznik. – Rodzaj kapsuł. Jeśli się do takiej zbliżyć, jakby pęka i zasypuje okolicę ładunkami penetracyjnymi. Z początku ich nie zauważyliśmy, bo nie są widoczne na radarze, ale krążowniki zabezpieczające zajęły się problemem.

Wiedziałem, że w zwykłych okolicznościach obaj oficerowie nie podaliby mi nawet bieżącej godziny, nie mówiąc już o rozmieszczeniu środków obronnych nieprzyjaciela, ale nie potrafili ukryć swojej ekscytacji tym, że w tak decydującym dla historii ludzkości momencie znajdują się w centrum wydarzeń, i dzięki owemu podnieceniu zapomnieli o społecznej oraz zawodowej przepaści istniejącej pomiędzy oficerami sztabowymi a szeregowymi. Nie podzielałem ich odczuć. Byłem zmęczony i zaniepokojony, poza tym chciałem tylko znaleźć sobie koję i zasnąć. Odpowiadałem na ich pytania, uzupełniałem szczegóły, o które prosili, i kilkakrotnie powtarzałem sekwencję wydarzeń. Wreszcie oficerowie zadowolili się informacjami, jakie zdołali wycisnąć mi z mózgu, i pozwolili odejść, abym dołączył do reszty.

\* \* \*

Gdy znaleźliśmy się z powrotem w sali odpraw, kontynuowaliśmy posiłek i wymienialiśmy się informacjami, aby złożyć z nich większy obraz. Grupa uderzeniowa lotniskowca Sześćdziesiąt-Trzy wyszła z Alcubierre’a jakieś cztery godziny wcześniej i w stanie gotowości bojowej podeszła do naszej ostatniej znanej pozycji nad Willoughby, gotowa do walki z Chino-Rosjanami. Zamiast tego trafili na orbitalne pole min zbliżeniowych, których nie było widać na radarze i które nie przypominały niczego wyszczególnionego w podręcznikach rozpoznawania broni kosmicznej. Desantowce z „Manitoby” wciąż ewakuowały z powierzchni marynarzy z „Wersalu”, ponadto krążyły pogłoski, że Dzierzby opróżniły zasobniki z artylerią w obce struktury terraformujące i

wróciły tylko po to, by zabrać większe głowice bojowe.

– Co się teraz stanie? – spytałem komandora Campbella, gdy kończyliśmy jeść i czekaliśmy na dotarcie reszty załogi z planety.

– Cóż, sami zajmą się już sytuacją na dole. Spodziewam się, że niedługo na orbicie tej skały znajdzie się połowa cholernej floty. Później zapewne skierujemy się z powrotem do Węzłowej. Wszyscy wylądujemy w Tymczasowym Zasobie Kadrowym, dopóki marynarka nie wymyśli, co z nami zrobić. Może nawet spełni się pańskie życzenie o pracy przy składaniu prania, panie Grayson.

– Myśli pan, że jest jakaś szansa na przepustkę? – spytałem, a Campbell wybuchnął śmiechem.

– Właśnie wpadliśmy na inteligentny obcy gatunek – powiedział. – Jeśli sądzi pan, że pozwolą nam wrócić na Ziemię, rozczaruje się pan. Będą wszystko ukrywać, dopóki nie wykoncypują, jak przekazać wieści ludziom w domu.

Wepchnął resztę kanapki do ust i popił ostatnimi łykami soku z kubka.

– Wie pan co? W pewien pokrętny sposób jest to poniekąd zabawne – ciągnął. – Gdy byłem w Szkole Oficerów Sztabowych, kazali nam ciągle brać udział w tych grach wojennych i scenariuszach, w których sprawdzają, jak ludzie radzą sobie z napięciem na stanowisku dowódczym. Scenariusze, w których spotyka się kosmitów, nazywaliśmy „poziomami z robalami”.

Odstawił plastikowe naczynia na podłogę obok krzesła i oparł się wygodniej, wzdychając.

– Teraz mamy pierwszą wojnę z robalami i to my jesteśmy robalami.

\* \* \*

Halley wróciła z przesłuchania i pomachała, gdy tylko zauważyła mnie w przeciwległej części sali. Podszedłem do niej i zajęliśmy dwa krzesła w cichym kącie. Do tej pory wszyscy obecni rozłożyli się już na jednym czy dwóch krzesłach, drzemiąc lub rozmawiając.

– Ładują pieprzone głowice nuklearne na te bojowe ptaszki – oznajmiła, gdy usiedliśmy. – W drodze powrotnej z przesłuchania szliśmy przez skraj pokładu lotniczego i

całkiem nieźle przyjrzałam się sterowanemu pociskom nuklearnym Mark 65 o mocy piętnastu kiloton.

– O kurwa – skomentowałam.

Poprzednim razem wojsko użyło broni nuklearnej w warunkach bojowych czterdzieści lat przed moim urodzeniem, podczas ostatniego globalnego starcia z Chino-Rosjanami, w wyniku którego zginęło milion osób i który doprowadził do podpisania porozumienia ze Svalbardu. Zgodnie z jego zapisami miano zakończyć bezpośrednie ziemskie konflikty między oboma blokami.

– Pewnie nie mogli rozwalić tego wszystkiego standardową amunicją.

– Ta nieruchomość straci przez to trochę na wartości – powiedziała Halley. – Jeśli te istoty postawiły nawet o połowę mniej wymienników atmosfery niż my, niedługo spadnie tam ze sto atomówek. Nie będzie można nic uprawiać przynajmniej przez parę dziesięcioleci.

Koncepcja doprowadzenia planety do stanu, w którym nie da się jej zamieszkiwać, tylko po to, by dać łupnia rywalizującemu gatunkowi, wydawała się niedorzeczna, ale po doświadczeniach z Detroit wiedziałem, że wojsko nie zamierza się wahać.

\* \* \*

Przydzielono nam kilka pustych sekcji mieszkalnych dla szeregowych, z dala od pokładu lotniczego, żebyśmy mogli trochę odpocząć. Z ostatnich trzydziestu sześciu godzin przespałem zaledwie sześć i zaczynałem mieć omamy słuchowe. Dwoje lekarzy wydawało środki nasenne dla ewentualnych chętnych, Halley i ja odmówiliśmy, byliśmy bowiem tak zmęczeni, że gdyby nam pozwolono, zasnęlibyśmy nawet na stojąco.

„Manitoba” była znacznie nowszym okrętem niż „Wersal” i wszystko miała o wiele nowocześniejsze, lecz kwatery dla szeregowych wcale nie wydawały się większe. Halley i ja próbowaliśmy zająć jedną koję, ale uznaliśmy, że miejsca ledwo wystarczy dla jednej osoby, położyłem się więc na pryczy bezpośrednio pod dziewczyną. Zasunąłem zasłonkę i okryłem się cienkim kocem, nie zwracając sobie głowy zdejmowaniem munduru. Wszędzie wokół nas kadłub rozbrzmiewał odgłosami okrętu bojowego – obwieszczeniami przez radiowęzeł, buciorami tupiącymi o metalowe trapy, szumiącą maszyną – jednak dotychczasowa kariera wojskowa nauczyła mnie już zasypiać do tego akompaniamentu.

Życie na okręcie nie było zorganizowane według rytmu dobowego, lecz zmianowego. Dowództwo pozwoliło nam przespać półtorej wachty, zanim przysłali jakichś podoficerów, by zrzucili nas z koi. Gdy wydostałem się z przypominającej trumnę leżanki, nie miałem pojęcia, czy trwa akurat pierwsza, druga, czy też trzecia zmiana, ponieważ mój wewnętrzny zegar stracił staranne wykalibrowanie, które osiągnąłem, zanim „Wersal” wślizgnął się w komin Alcubierre’a prowadzący do Kapelli A.

Podczas naszego snu desantowce z „Manitoby” zdołały ewakuować kolejnych kilkudziesięciu rozbitków z powierzchni planety. Gdy weszliśmy znów do tej samej sali odpraw co wcześniej, parę rzędów siedzeń było już zajętych przez innych żołnierzy z „Wersalu”. Nastąpiło ogólne zamieszanie, gdy ludzie rzucili się na spotkanie z przyjaciółmi i współlokatorami z kajut. Nie znałem jeszcze zbyt wielu członków załogi, trzymałem się więc Halley. Rozejrzała się za pozostałymi pilotami, lecz zmarszczyła brwi, gdy nikogo nie zauważyła.

– Wygląda na to, że sekcja lotnicza składa się teraz tylko ze mnie – rzekła. – Rickman i reszta pilotów są na liście poległych w akcji.

Policzyłem pobieżnie obecnych i wyszło mi około sześćdziesięciu osób, czyli mniej niż jedna trzecia personelu „Wersalu”. Nawet zakładając, że paru rannych żołnierzy znajduje się w szpitalu, nasza załoga zebrała niezłe cięgi.

– Słuchajcie wszyscy – odezwał się do zebranych Campbell, gdy harmider pierwszych pełnych ekscytacji rozmów lekko przycichł. Marynarze zamilkli i obrócili się do komandora. – Nasza rola tutaj zakończyła się – ciągnął. – „Manitoba” pozostanie na miejscu i będzie kontynuować działania bojowe na powierzchni. Niektórzy z was zostaną podwiezieni z powrotem do domu na „Bunker Hill”. Obecny tu porucznik za chwilę odczyta listę.

Przerwał, by rozejrzeć się po zebranych resztkach załogi „Wersalu”.

– Wszyscy możecie spodziewać się kolejnych przesłuchań oraz nowych przydziałów, Bóg jeden wie dokąd. Decyzja będzie należała do marynarki. Chciałbym, aby dali nam nową fregatę, żebyśmy mogli namalować na jej burcie „FF-472” i wrócić do interesu, ale to nie jest planowane.

Niektórzy marynarze zachichotali cicho i wymruczeli swą aprobatę.

– Teraz niech posłuchają ci z was, którzy jadą do Węzłowej po nowy przydział. Dopóki nie zgłosicie się do nowego pierwszego oficera albo dowódcy, pozostajecie członkami załogi OWPA „Wersal” i jeśli usłyszę, że ktokolwiek zachowa się niegodnie podczas oczekiwania w Tymczasowym Zasobie Kadrowym, osobiście tam wpadnę i przekalibruję wam czaszki. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, sir! – odkrzyknęliśmy na tyle głośno, by pierwszy lekko się wzdrygnął.

– I dobrze – odparł. – Cieszę się, że mamy to z głowy.

– Sir – odezwał się jeden z podoficerów – jakieś wieści od szefa?

– Kapsuła kapitana Hilla została odnaleziona zeszłej nocy – rzeczowo oznajmił komandor. – Albo nie otworzył się spadochron, albo też podczas lotu oderwał się z jakiegoś powodu.

W sali natychmiast zapanowała powaga.

– Nikt nie przeżył – ciągnął Campbell. – Wraz z szefem w kapsule znajdowali się komandor podporucznik Schiller, porucznik Munoz, starszy bosman Ellis i porucznik marines Connelly.

Cisza po jego słowach aż dzwoniła w uszach.

– Pomyślcie ciepło o starym i reszcie personelu z BCI, gdy będziecie w drodze do Węzłowej. W kominie Alcubierre’a znajdziecie na to mnóstwo czasu. Szef był dobrym człowiekiem i świetnym dowódcą.

Spojrzał na stojącego obok porucznika, który trzymał podkładkę z przypiętym stosem wydruków.

– Pan Benning odczyta teraz listę osób, które za godzinę załapią się na przejażdżkę na „Bunker Hill”. Jeśli nie usłyszycie swojego nazwiska, zostajecie ze mną. Jestem dumny, że mogłem służyć z każdym z was, i z chęcią znów będę z wami służył.

\* \* \*

Na liście znajdowało się moje nazwisko, Halley nie.

Miałem nadzieję, że spędzę z Halley więcej czasu, w którym niekoniecznie

musielibyśmy uciekać z tarapatów albo latać po spustoszonej planecie w nieuzbrojonym okręcie desantowym. Okazało się jednak, że mogę liczyć co najwyżej na szybkie pożegnanie w zatłoczonym korytarzu przy pokładzie hangarowym.

– Czy to nie jest, kurwa, zajebiste? – spytała mnie Halley, gdy obejmowaliśmy się przy trzeciej próbie oderwania się od siebie. – Zrobiłeś tak wiele, żeby zostać przeniesiony na moją krypę, a teraz zdmuchnęli nam ją spod nóg.

– Myślę, że wszechświat mnie nienawidzi – stwierdziłem.

– To raczej nie jest prawda, Andrew – powiedziała, po czym pocałowała mnie w kącik ust. – W końcu udało ci się dostać na odpowiedni okręt. I nie rozbiliśmy się ani nie wessało nas w przestrzeń. Gdybym nie olała Rickmana po wachcie i nie poszła do ciebie, stałabym się spopieloną plamą na ziemi.

– To się zgadza – przyznałem.

– Po prostu znowu czeka nas związek na odległość. Zresztą kto wie? Flota nie jest tak wielka. Spróbuj dać się wysłać na jakąś wielką ptaszarnię, na której jest dużo desantowców, dobra?

– Postaram się.

Objęliśmy się ostatni raz, ignorując spojrzenia mijających nas członków załogi. Halley pocałowała mnie, po czym delikatnie odsunęła, kładąc mi dłoń na piersi.

– Idź, zanim któreś z nas zaliczy samowolne oddalenie się i wylądaje w areszcie za uchylanie się od przydziału.

– Dbaj o siebie – powiedziałem, a ona roześmiała się posepnie.

– Byłeś tam, Andrew. Na lewym fotelu Osy nie da się dbać o siebie.

– Na razie, laluniu od sterów – rzekłem.

– Na razie, sieciowy wojownika.

\* \* \*

– Ostatni – oznajmił szef załogi Osy, pełniący funkcję promu, gdy bez zbytniego entuzjazmu wszedłem po rampie. – Przypnij się, już jesteśmy spóźnieni.

– Tak jest, sir – odrzekłem i zająłem miejsce w pobliżu tylnego wjazdu.

Szef załogi wrócił do środka i wdusił przycisk zamykający rampę ładunkową. Wymacałem wytarte pasy i wpiąłem się w nie.

– Przykro mi z powodu waszego okrętu – rzucił szef załogi ponad hałasem wznoszącej się rampy. Skinąłem jedynie głową. – Cóż, za tydzień będziesz na Węzłowej. Dla was to już się skończyło.

Silniki desantowca ożyły. Oparłem się i zamknąłem oczy, by oderwać wzrok od coraz mniejszego otworu, w którym zaledwie kilka chwil temu Halley zniknęła za zakrętem korytarza.

Bardzo w to wątpię, pomyślałem. To się dopiero zaczęło.

**Koniec**



# Podziękowania

Gdy praca nad powieścią trwa kilka lat, lista osób, którym należą się podziękowania, solidnie się wydłuża. Jeśli pisze się powieść kilka lat i nie posiada się takiej listy, to albo jest się nadczołowiekiem, albo robi się to ZUPEŁNIE NIE TAK.

Pewnego dnia postanowiłem zgłosić się na warsztaty Viable Paradise dla pisarzy science-fiction i fantasy, potrzebowałem zatem pomysłu na powieść, który mógłbym tam zaprezentować. Właśnie wtedy powstała koncepcja „Warunków kontraktu”. Chciałbym podziękować wszystkim osobom, które przekazały mi wówczas sugestie, słowa krytyki i zachęty. Są to przede wszystkim: Tiffani Angus, Claire Humphrey, Katrina Archer, Sarah Brandel, Madge Miller, Jeff Macfee, Chang Terhune, Steve Kopka oraz Curtis Chen. Wiele zawdzięczam również swoim instruktorom: Patrickowi Nielsenowi Haydenowi, Stevenowi Gouldowi, Laurze Mixon, Wujkowi Jimowi, a także doktorowi Doyle’owi, Elizabeth Bear i Johnowi Scalziemu, którzy poświęcili dla mnie czas, by wyrazić swą opinię. Wszyscy przyczyniliście się do sukcesu tej kosmicznej wybuchowej powiastki, którą ocenialiście na Viable Paradise XII.

Dziękuję przyjaciołom i rodzinie, którzy byli na tyle uprzejmi, że nie wywracali oczyma za każdym razem, gdy słyszeli, że wciąż „pracuję nad stylem”.

Dziękuję mojemu agentowi Evanowi Gregory’emu z Ethan Ellenberg Literary Agency, który dopilnował, bym nie oddał swojej pracy za błyskotki i garść fajnych magicznych paciorków.

I wreszcie dziękuję swoim czytelnikom – tym, którzy właśnie mnie odkryli, a także tym, którzy od lat śledzili moje bazgroły na blogu. Wydałem powieść, Wy ją kupiliście, spodobała Wam się i zaczęły się dziać niezwykle rzeczy. Jestem Wam wdzięczny za okazane wsparcie i miłe słowa.

# O autorze

Marko Kloos jest powieściopisarzem, dziennikarzem i nieopłacanym służącym dwójki małych dzieci. Ukończył Viable Paradise SF/F Writers' Workshop.

Pisze przede wszystkim science-fiction i fantasy, ponieważ pasjami uwielbia te gatunki, odkąd mógł sobie wyrobić pierwszą kartę biblioteczną. Bywał również żołnierzem, księgarzem, dokerem, robotem z działu obsługi technicznej i administratorem sieci w korporacji.

Urodził się w Niemczech, lecz teraz mieszka z żoną i dwójką dzieci w amerykańskim stanie New Hampshire. Ich kwatera główna, Mroźny Zamek, strzeżona jest przez wędrowną sforę jamników.